

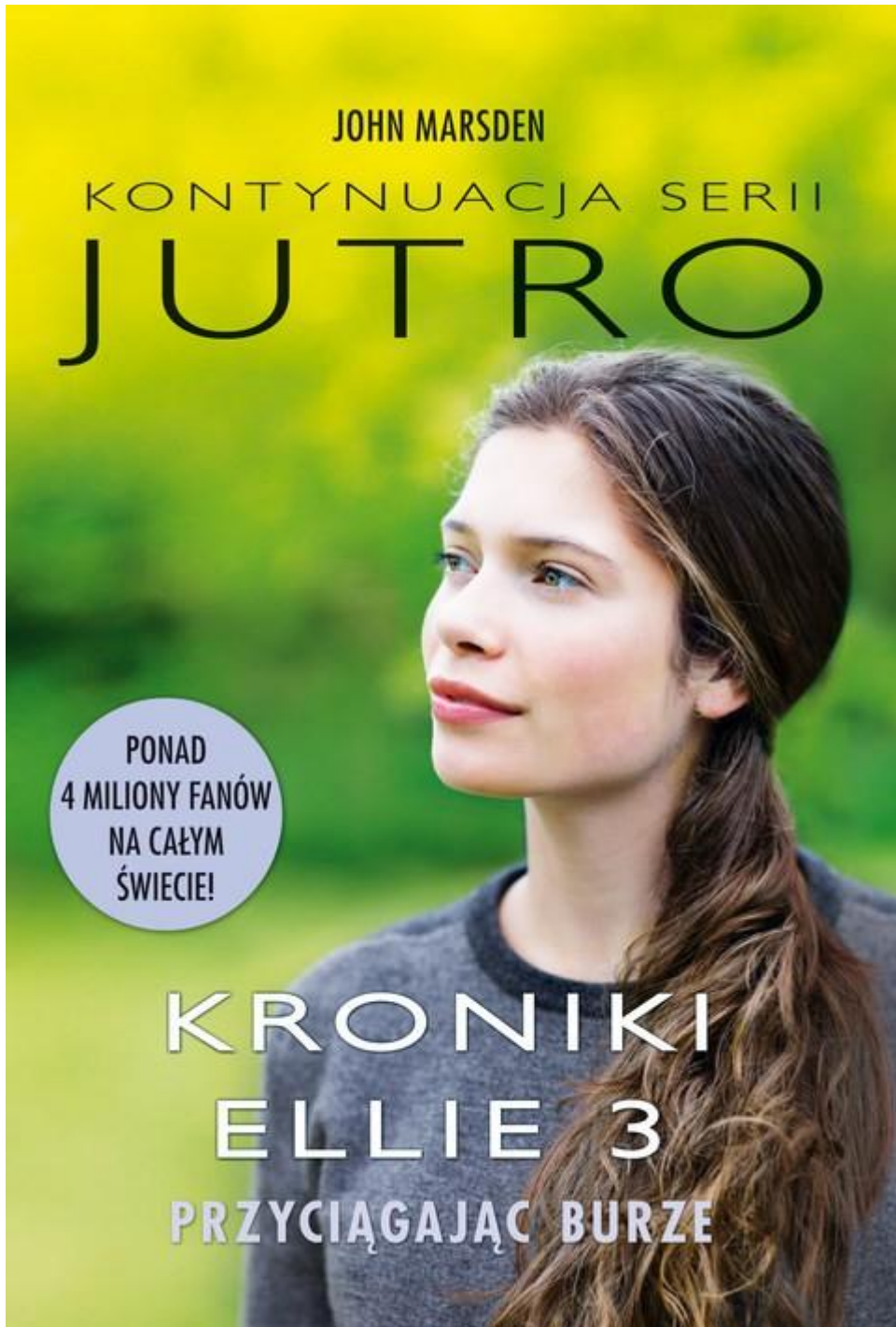
JOHN MARSDEN

KONTYNUACJA SERII

JUTRO

PONAD
4 MILIONY FANÓW
NA CAŁYM
ŚWIECIE!

KRONIKI
ELLIE 3
PRZYCIĄGAJĄC BURZE



JOHN MARSDEN

Kroniki Ellie 3

Przyciągając burze

tłumaczenie
Anna Gralak

znak *ltera
nova*
Kraków 2013

Tę książkę dedykuję Wam, bo jesteście pionierami... Jake Rushford, Piper Kelly, Mitchell Gandolfo, Grace Hannan, Sarah Wilkinson, Jesse Fitzmaurice, Alessandro D'Angelo, Luke Walker, Kiara Cimino, Luke Mitchell, Robert Nowland, Mercedes Lewis, Jamieson Fay, Katie Nowland, Emily Eliades, Jemma Reeves-Singles, Catherine Abourizk, Nick Lindsay, Brock Cowburn, Jesse Colcott, Jordan Tzovlas, Amy Marks, Zach Colcott, Chris Tzovlas, Michael Mortimer, Jake Reeves-Singles, Kim Nieuwenhuizen, Hannah Stewart Smith, Alex Kibble, Sabrina Lewis, Matilda Fay, Laura Bright, Zoe Hawke, Olivia Bland, James Allbon-Wellm, Beck Russack Riches, Bianca Cimino, Kevin Singh, Monika Crljen, Laila de Silva, Sarah Eliades, Oliver Leverton, Declan Cutler, Nick Stocky, Owen Kelly, Rory O'Connor i Issabella Cimino.

Dziękuję za historie, pomysły i odpowiedzi na pytania, także na te dziwaczne, osobom, które wymieniam w przypadkowej kolejności:

Matthew Townsendowi, Cameron Smith, Warwickowi Kirkowi, Williamowi Siu, Michelle Mitchell, Molly Keys (za *Bellbirds and Blowflies*), Peterowi i Phyllis Kininmonthom (za *Mount Hesse*), Colinowi Howardowi, Hannie Pirie, Bobowi Mitchellowi (za *Australijskie prawo karne*) oraz Keithowi Johnstone'owi (za ulepszenie i zmianę mojego rozumienia świata oraz za opowiedzenie mi historii Himmlera).

Rozdział 1

Wjeżdżasz na drogę prowadzącą do domu. Jesteś spóźniona, ale wiedziałaś, że tak będzie. To dlatego pojechałaś do szkoły pikapem, a Gavinowi kazałaś wracać autobusem. Powinien być w domu już od dwóch godzin. Sam. Ale nie jesteś głupia. I on też nie jest głupi. Obydwoje wiecie, co robić. Gavin jest w tym mistrzem. Pamięta o środkach ostrożności. Po wyjściu z autobusu nie od razu wskakuje na nowego quada, żeby pędzić prosto do domu.

Gavin wie. I ty też wiesz. Wybieracie okreśną drogę, przez las, szukacie miejsca, z którego roztacza się dobry widok na dom.

Przyglądacie się. Wypatrujecie nieproszonych gości, wrogich żołnierzy, zasadzki. Nawet jeśli dom wygląda w porządku, nie tracicie czujności. Za każdym razem podjeżdżacie z innej strony. Rozglądacie się. Gavin nie może nasłuchiwać, ale za to ty korzystasz z czegoś innego, jeszcze lepszego. Ze swojego instynktu. Ze swojego szóstego zmysłu.

Gavin wie. Wie, że jeśli pojawi się jakieś zagrożenie, macie kryjówkę, którą przygotowaliście niedaleko stawu.

Wie, że jeśli nikogo innego nie ma w domu, można iść nakarmić kurczaki i psy, zajrzeć do bydła, ale cały czas trzeba zachowywać czujność. Trzeba ciągle zmieniać harmonogram. Unikać wychodzenia tymi samymi drzwiami dwa razy z rzędu. Zamykać dom. Nosić przy sobie strzelbę.

Ty też tak robisz. Na przykład dzisiaj: nie wjeżdżasz główną bramą.

Kierujesz się ku tej leśnej, prowadzącej na Parkowe. Zatrzymujesz się za dwoma drzewami, wysiadasz i obserwujesz dom z drugiego brzegu strumienia. Widzisz, że wszystko wygląda w porządku. Pranie schnie na sznurku, polaris stoi w warsztacie, siekiera tkwi wbita w pień, na którym wczoraj rąbałaś drewno.

Marmie nadal jest w kojcu. To trochę dziwne. Zwykle Gavin ją wypuszcza. Uwielbia tę psinę. I wtedy coś zauważasz. Jeden drobny szczegół, który wygląda nie tak, jak powinien. Drzwi wejściowe są szeroko otwarte. Serce zaczyna ci walić w piersi. Wracasz do pikapa.

Ruszasz nieporadnym tańcem stóp ze sprzęgiem i gazem. Wjeżdżasz na mostek pod niewłaściwym kątem. To zaledwie dwie belki z przybitymi w poprzek deskami, nie ma poręczy. Przez chwilę myślisz, że się stoczysz - na kamienie, do wody. Czujesz, jak przewraca ci się w żołądku. Ale ostatecznie docierasz na drugą stronę.

Zapominasz o bezpieczeństwie. Przeklęty Gavin! Jeśli się okaże, że po prostu był nieuważny... Ale zaraz! Chcesz, żeby okazał się nieuważny.

Jego nieuwaga odsunęłaby o milion kilometrów tę drugą możliwość. Och, Gavin, proszę, bądź nieuważny. Jeśli po prostu byłeś nieuważny, dostaniesz po podwieczorku oba kit katy.

Gwałtownie wciskasz hamulec i zatrzymujesz się przed domem.

Zamaszystym ruchem otwierasz drzwi i wyskakujesz z samochodu. Nie po raz pierwszy biegiesz do budynku, w którym może być pełno uzbrojonych ludzi, w którym może cię czekać śmierć. Ale uświadamiasz to sobie dopiero za progiem. Ta myśl wydaje ci się jednak jakaś abstrakcyjna, interesująca najwyżej dla naukowca.

Kilka metrów dalej, w korytarzu, twoja stopa natrafia na coś dziwnego. O mało nie skręcasz nogi w kostce. Spoglądasz w dół. To zapasowy magazynek do karabinu. Wygląda na pełny, wyładowany nabojami.

Jest za późno, żeby zrobić cokolwiek innego, więc po prostu biegiesz dalej.

Już wiesz, co znajdziesz. Pod strachem, przerażeniem i paniką czai się chłodna świadomość, że gdzieś w domu leży ciało Gavina. Możesz sobie wyobrazić, co te kule zrobiły z jego małym ciałem. Widziałaś, co potrafią zrobić z ciałami dorosłych, z żołnierzami w koszarach, z twoją matką w kuchni. Najpierw idziesz do jego pokoju. Leży tam szkolny mundurek. Boże, przynajmniej raz się przebrał po powrocie do domu.

Mundurek wala się po podłodze, koszula jest całkiem pognieciona, ale to akurat w stylu Gavina. Zasada jest taka, że powinien się przebierać codziennie po południu, zaraz po powrocie ze szkoły. A tak naprawdę robi to mniej więcej raz w tygodniu. Nigdzie nie widać jego butów, ale mógł je zostawić na werandzie, co zresztą jest jego obowiązkiem, ale zawsze o tym zapomina. Nie widać śladów walki, ale, co najważniejsze, nie widać też śladów horroru, który z pewnością gdzieś czeka. Otwarte frontowe drzwi i magazynek pełen kul

powiedziały ci wszystko. Biegiesz do kuchni. Tam też niczego nie ma - oprócz wspomnień, potwornych i wyraźnych obrazów. Idziesz do salonu. I widzisz wszystko, jakby rozegrało się na twoich oczach. Przewrócony fotel. Ulubiony fotel Gavina.

Porozrzucane poduszki. Dziurę w ekranie telewizora. Wszędzie ostre mlecznobiałe kawałki szkła. Wciągnięcie tego wszystkiego odkurzaczem zajmie wiele godzin. Nie ma butów, w których Gavin chodzi do szkoły, ale jest jeden z jego uggów, z tych krótkich, sięgających tylko nieco powyżej kostki. But leży na podłodze między kanapą i drzwiami.

Gavin zawsze wkłada uggi po pracy.

Biegasz po domu. Płaczesz, ale tylko trochę i bez łez. Płaczliwym głosem powtarzasz jego imię, ale to i tak nie ma sensu, bo przecież by cię nie usłyszał.

Stoisz na środku podjazdu. Byłabyś dobrym celem dla kogoś uzbrojonego w karabin, dla kogoś pozbawionego sumienia, dla kogoś, kto odbiera życie, bo tak mu się podoba, dla kogoś, kto ma szczególne powody, żeby nienawidzić cię za to, co zrobiłaś w czasie wojny.

Zauważasz coś, co przeoczyłaś, kiedy pędziłaś pikapem w stronę domu. Mniej więcej trzydzieści metrów od ciebie leży drugi ugg Gavina.

Twój mózg kilka razy pstryka, przetwarzając tę informację. I coś głęboko w twoim umyśle mówi ci, że jest jeszcze nadzieja. Niewielka, po prostu szansa, że Gavin może gdzieś tam być, że żyje. Ale nie jesteś aborygeńskim tropicielem. Jasne, w ciągu tych wszystkich lat nauczyłaś się tego i owego. Czasem udawało ci się wytropić krowę, która miała się cielić, znajdowałaś jej kryjówkę. Jechałaś po śladach motoru w poszukiwaniu pracującego gdzieś na polu taty, żeby przekazać mu wiadomość od mamy. Bywało to śmiesznie łatwe, zwłaszcza kiedy tata wybrał drogę przez wysoką trawę albo przez zboże.

Nie tak dawno jechałaś po śladach Gavina, który zwędził motor, żeby dołączyć do swoich bohaterów, Homera i Lee. Ale tym razem padał deszcz i wokół domu jest tyle śladów, że chyba nawet ci legendarni tropiciele, Aborygeni potrafiący odnaleźć zagubione dziecko na skałach i piasku, mieliby nie lada kłopot.

Teraz to tobie zaginęło dziecko, może być kilometr, ale równie dobrze sto kilometrów stąd, na północy, ale równie dobrze na południu, na wschodzie albo na zachodzie. I z każdą

chwilą może się oddalać jeszcze bardziej. To duży kraj. Nawet nie wiesz, gdzie zacząć poszukiwania.

Zresztą możliwe, że szukasz już tylko zwłok.

Rozdział 2

Wiedzieliśmy, że jesteśmy na celowniku. To odkrycie wywołało u mnie prawdziwy chaos wewnętrzny. Najpierw Lee, Homer, Jeremy i Jess przekroczyli granicę, wyruszając z misją, która doprowadziła do chaosu po drugiej stronie. Mieli powstrzymać grupę planującą atak w naszym kraju.

Dorwij ich, zanim oni dorwą ciebie, najlepszą obroną jest atak, kuj żelazo, póki gorące i tak dalej. W sumie to popierałam, zwłaszcza po tym, co spotkało moich rodziców i panią Mackenzie, a potem Shannon Young i jej rodzinę. Nie wspominając o setkach innych osób, które zostały ranne albo przeżyły coś jeszcze gorszego, ani o wizytach wrogich żołnierzy, którzy nie powinni byli już walczyć.

Misja zakończyła się niepowodzeniem, choć ostatecznie wyszliśmy z niej cało. Nie miałam zamiaru w niej uczestniczyć, ale zmusił mnie do tego Gavin, i wszyscy znaleźliśmy się w bardzo trudnym położeniu. Przez chwilę zanosilo się na to, że wrócimy w plastikowych workach.

Minęło kilka tygodni, zanim ruszyliśmy z następną misją.

Początkowo miało to nastąpić wcześniej, ale ciągle odkładano termin. Tym razem zgłosiłam się na ochotnika - z dwóch przeciwstawnych powodów: trochę dlatego, że to miała być mała i raczej bezpieczna misja, a trochę dlatego, że chciałam znowu poczuć dreszcz emocji. Jedną ze zmian, które zaszły w moim życiu na skutek wojny, było to, że naprawdę szybko się teraz nudziłam. Trudno mi było przywyknąć do rutyny. Mycie zębów, karmienie psa, uczenie się do klasówki - te sprawy nie wywoływały ucisku w żołądku ani takiego podniecenia jak podczas ciągnięcia stalowego śmietnika pod gradem kul, kiedy miałam nadzieję, że moi przyjaciele schowani w tym śmietniku wyjdą z tego żywi. Nie chciałam być uzależniona od takich rzeczy, wiedziałam, że to niezdrowe, ale tak jak wszystkie nałogi, ten też zdążył mi zacisnąć ręce na gardle, zanim go zauważyłam.

Wyzwolenie - organizacja, do której nawet nie należałam i która była tak tajemnicza, że znałam zaledwie paru jej członków - zaproponowała mi nowego quada w zamian za ten, który straciłam podczas naszego śmiertelnego rendez-vous za granicą, ale pojawił się pewien

haczyk. Od początku było jasne, że mam wykorzystać polarisa na nowej wyprawie. Haczyk wisiał na końcu dość długiej żyłki. Tym razem ustąpiłam bez walki, ze wspomnianych wyżej powodów. Drugim kawałkiem żyłki przywiązałam Gavina do pani Yannis - no, może nie dosłownie, ale prawie - po czym wyruszyliśmy z Lee i Homerem, tylko we trójkę, na uroczą nocną wycieczkę.

„Wasza misja, o ile postanowicie się jej podjąć...” Poprzedniego dnia wieczorem dowiedziałam się od chłopaków, dokąd jedziemy i co mamy zrobić. Takie misje są tajne. Przysięgłam dochować tajemnicy i nawet teraz nie mogę o tym za dużo pisać, ale między innymi musieliśmy się z kimś spotkać w głębi terytorium wroga i przekazać pewną paczkę.

Była bardzo starannie przygotowana - wyglądała jak mocne kartonowe pudełko owinięte setkami metrów taśmy klejącej - i żadne z nas nie miało pojęcia, co jest w środku, ale człowiek, z którym się spotkaliśmy, powiedział:

- Dzięki, uszczęśliwicie tym sporo osób.

Zastanawiałam się, czy to nie narkotyki. Czyżby Wyzwolenie zrobiło ze mnie przemytnika? Chyba powinnam była się lepiej zastanowić, zamiast ufać obcym ludziom. Wtedy ten facet się do nas uśmiechnął i dodał:

- Wyglądacie bardzo młodo. Wiedziecie, ile tu jest?

Wydawał się zupełnie zrelaksowany i mówił prawie doskonałą angielszczyzną. Przecząco pokręciłam głową. Wzruszył ramionami i powiedział:

- Wierście mi, starczyłoby na luksusowy samochód. Muszą wam bardzo ufać.

Wtedy zrozumiałam, że w środku są pieniądze, i zawstydziałam się, że zważyłam w ludzi z Wyzwolenia. Potem, przyznaję, pomyślałam:

„Kurczę, gdybym wiedziała o tym wcześniej, mogłabym spłacić sporą część swoich długów”.

Facet dał Homerowi jakieś papiery: dużą kopertę dość niechlujnie wypełnioną kartkami, zupełnie jakby ktoś je tam po prostu wepchnął. Gdy ranek zabarwił niebo na szaro,

byliśmy już w domu. Ta wyprawa okazała się tak łatwa, że zaczęłam się zastanawiać, czy nasi wrogowie nadal chronią swoje terytorium. Chwilami łatwo było zapomnieć, że w razie schwytania groziłaby nam śmierć. Dopiero po drugiej stronie granicy, po tej bezpiecznej, zdałam sobie sprawę, że zmieniono nas nie w przemytników, ale w szpiegów. Może i koperta wyglądała niechlujnie, ale podejrzewam, że jej zawartość była dość ważna. Facet, z którym się spotkaliśmy, prawdopodobnie dostawał pieniądze za szpiegowanie i teraz znaleźliśmy się w tej samej kategorii co on, mimo że byliśmy amatorami.

Każdy wie, co grozi za szpiegostwo, w zasadzie we wszystkich krajach.

W latach pięćdziesiątych Amerykanie skazali na krzesło elektryczne tę żydowską parę, zdaje się Rosenbergow, twierdząc, że szpiegowała na rzecz Rosji. Ze szpiegami nikt się nie cacka.

Po powrocie do domu nakarmiłam chłopaków omletami. Po śniadaniu Homer pojechał dalej z kopertą pełną papierów, Lee poszedł spać, a ja wyruszyłam do szkoły. Trochę dlatego, że obiecałam Gavinowi spotkanie w autobusie, ale przede wszystkim dlatego, że bardzo mnie to wszystko bawiło. Chciałam siedzieć w ławce, wychodzić na przerwy i jeść lunch jak normalny człowiek, przebywać wśród tych samych ludzi co zwykle i przez cały czas mieć świadomość, że podczas gdy oni odrabiali wieczorem lekcje albo oglądali telewizję i potem szli spać, ja pędziłam nocą na quadzie po terytorium wroga, wioząc ogromną sumę pieniędzy, spotkałam się ze szpiegiem, odebrałam od niego tajne dokumenty i igrałam ze śmiercią. Tak, życie było dziwne. To niesamowite, że taka przeciętna osoba jak ja może się tak łatwo przystosować. Parę razy przysnęłam na lekcjach, ale przez resztę czasu zachodziłam w głowę, jakim cudem znalazłam się w tak dziwacznej sytuacji.

Kilka dni później poczułam, że coś związanego z tamtą wyprawą nie daje mi spokoju. Miałam wrażenie, że Homer wie o czymś, o czym ja nie wiem, a nie licząc świń rasy poland china i budowy silników Diesla, takich spraw jest naprawdę niewiele. Gdybyście zobaczyli oceny, jakie Homer zbiera w szkole, musielibyście mi przyznać rację. Kiedy tylko mam okazję, lubię się czuć lepsza od Homera, wcale tego nie kryję, bo Homerowi bardzo dobrze idzie wpędzanie ludzi w kompleksy. Byłam zatem podwójnie, a nawet potrójnie wkurzona, gdy zauważyłam, że zadowolony z siebie Homer coś przede mną ukrywa. To moja wina, bo nie chciałam przystąpić do Wyzwolenia, ugrupowania, które organizowało te wszystkie imprezy. Nawet nie wiedziałam, kto dowodzi naszym lokalnym oddziałem. Wiedziałam tylko tyle, że Homer i reszta nazywają go Szkarłatnym Pyszczem. To mógł być sam Homer,

Jeremy albo ktokolwiek inny. Którykolwiek z sześciu młodych macho w regionie. Albo dziewczyna. Albo nawet Gavin, pani Yannos lub pan Rodd. Chociaż to akurat mało prawdopodobne.

Ale kiedy następnego dnia parę razy zobaczyłam tego dużego greckiego wombata, i dzień później także, poczułam, że ukrywa przede mną coś więcej niż zwykle. Jakby pośrodku naszych rozmów tkwiła wielka skała, wokół której ciągle krążyliśmy.

Chciałam się dowiedzieć, co jest tą skałą.

No i się dowiedziałam, a potem zaczęłam tego żałować. Nie, nieprawda. Wiedza musi być lepsza niż życie w nieświadomości, bez względu na wszystko - w każdym razie tak uważam. Po prostu żałuję, że nie udało mi się zrobić z tej wiedzy lepszego użytku.

W czwartek po południu Homer postanowił wysiąść z autobusu przy mojej farmie i pójść do domu razem ze mną i Gavinem. Jego pomysł polegał na tym, że go nakarmię i odwiezę do domu. W domu pewnie też czekał na niego obiad, ale to bardzo w stylu Homera. Nigdy nie należy stawać między nim i jego stekiem. W każdym razie nie miałam nic przeciwko temu. Wysiedliśmy z autobusu, a później otworzyliśmy pikapa zaparkowanego obok młodego eukaliptusa przyjemnie rozgrzanego wiosennym słońcem. W zasadzie się ucieszyłam, że przez chwilę będę miała Homera tylko dla siebie. Oczywiście jeśli Gavin zechce się nim podzielić. Od wieków nie mieliśmy okazji porządnie pogadać, zamienialiśmy tylko kilka słów, mijając się w szkole, albo kilka pomruków, kiedy karmiliśmy bydło lub naprawialiśmy razem jakąś maszynę.

- Farma wygląda całkiem nieźle - powiedział Homer, kiedy dojeżdżaliśmy do domu.

- Tata raczej by się z tobą nie zgodził.

- Racja, ale i tak nie jest najgorzej. Bydło pana Younga robi się coraz grubsze. Niedawno rzuciłem okiem na twoje stado i część zwierząt też dobrze sobie radzi.

- A część nie.

- Jasne, królowo pozytywnego myślenia, ale staram się patrzeć na sytuację optymistycznie. Jeśli kupujesz stado szkieletów, to nawet gdy po jakimś czasie nabiorą trochę ciała, pozostaną szkieletami.

- Chodzącymi trupami.

- Właśnie.

- Nie było z nimi aż tak źle.

- Jasne, te poll herefordy są całkiem, całkiem.

- Byleby tylko udało się je sprzedać za cenę, którą za nie zapłaciłam.
Tysiąc sto czterdzieści dolców za sztukę.

- Ceny tak zwariowały, że mogłabyś dostać tysiąka za byka, który padł z głodu.

- Który padł trzy tygodnie temu.

- Trzy tygodnie? Kurczę, gdyby minęło tylko tyle czasu, dostałabyś półtora tysiąca.
Wiesz co, może byś tutaj skręciła i przeprawilibyśmy się przez bród?

- Wiesz, ten pojazd nie ma napędu na cztery koła.

- Ale ma cztery koła, nie? I wszystkie obracają się jednocześnie? Jak dla mnie to napęd na cztery koła.

- Czemu chcesz przejechać przez strumień?

Zauważyłam, że mówi poważnie, więc skręciłam w prawo i zjechałam w stronę żlebu, starając się nie urwać na skałach miski olejowej. Siedzący z tyłu Gavin zaczął głośno protestować. Nie zwróciliśmy na niego uwagi, więc próbował się wgramolić do przodu, żeby sprawdzić, co się dzieje. Odepchnęliśmy go z powrotem.

Podskakując, przeprawiliśmy się na drugi brzeg. Prawie poczułam ulgę, kiedy droga znowu zrobiła się płaska i przyspieszyliśmy do oszałamiających piętnastu kilometrów na godzinę. Jechaliśmy wzdłuż żlebu, najpaskudniejszego pasma erozji na całej farmie.

- Może się tutaj zatrzymamy? - spytał Homer.

Posłusznie wcisnęłam hamulec. Posłuszeństwo nie jest moją typową postawą w relacjach z Homerem, ale czasami trzeba się podporządkować, żeby zobaczyć, o co mu chodzi. Siedzieliśmy i podziwialiśmy pejzaże.

Z miejsca, w którym się zatrzymałam, było widać dom, cichy i wygodny w popołudniowym słońcu. Nad trawnikiem przed drzwiami zakołowała sroka, która po chwili niezdarnie wylądowała i zatrzymała się niedaleko krzewu hortensji. Gavin niespokojnie wiercił się na tylnym siedzeniu i w końcu wsunął między nas głowę.

- Co robicie? - spytał. - Czemu tu stoimy?

Lekko się odwróciłam, żeby widział moje usta.

- Spytaj Homera - powiedziałam.

Spytał, ale niewiele mu to dało. Zaczął się jeszcze bardziej niecierpliwic, a potem dał za wygraną, otworzył tylne drzwi i wysiadł, oznajmiając, że idzie do domu.

- Uważaj na węże - ostrzegłam.

Ruszył przed siebie, zsuwając się z krawędzi żlebu, i przy okazji strącił kolejne grudy ziemi. Jego głowa znikła mi z pola widzenia. Ja i Homer nadal nie ruszaliśmy się z miejsca. W końcu Gavin pojawił się po drugiej stronie, pochłonięty wspinaczką.

- Do twojego domu można dotrzeć wieloma różnymi drogami - odezwał się w końcu Homer.

- No.

- Na przykład, jeśli pojedziesz tędy jeszcze kilometr, napotkasz następny bród.

- To prawda.

- Dobrze by było, gdybyś częściej wybierała tę malowniczą trasę.

- Homer, o co ci chodzi, do diabła?

- Jeśli za każdym razem będziesz jechała inną drogą, trudniej będzie zastawić na ciebie pułapkę.

Powiedział to tak beztróskim tonem, że dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, jak złowrogo brzmią jego słowa.

- Co ty wygadujesz, do cholery?

Nie odpowiedział, a ja powoli zrozumiałam, że świat wcale nie wygląda tak, jak mi się zdawało, że moje życie ma inny kształt niż ten, który sobie wyobrażałam. Zdarzyło się to nie po raz pierwszy, ale po raz pierwszy ujrzałam to tak wyraźnie. Tego typu chwile są trudne dla mojego mózgu. Tę mogę opisać najwyżej tak, że wyobrażałam sobie swoje życie jako, powiedzmy, wiejski dom z werandą i ogromnym kominkiem, a on nagle przeobraził się, bo ja wiem, w graniastosłup ze stali nierdzewnej tkwiący na szczycie góry.

Przez kilka minut żadne z nas się nie odzywało. Potem, tak cicho, że zaskoczyłam nawet samą siebie, spytałam:

- Dlaczego?

Spojrzał na mnie, a potem znowu się odwrócił i utkwiał wzrok w przedniej szybie.

- Pamiętasz nasz ostatni wypad? No wiesz, do...

(Nie wolno mi zdradzić nazwy tego miejsca, żeby nikt go nie znalazł).

- No?

- Pamiętasz kopertę, którą dał nam ten facet?

- Jasne.

- Wysypałem te kartki na podłogę, żeby je trochę poukładać, no wiesz, żeby lepiej wyglądały, schludniej.

- Bo taki z ciebie schludny chłopak.

- Chciałem je włożyć do większej koperty, żeby nie...

- Dobra, dobra, rozumiem, tylko żartowałam, mów dalej.

- Okej, więc pierwszą rzeczą, którą tam zobaczyłem, no, może nie pierwszą, w każdym razie gdzieś w środku była mapka twojej farmy.

- Mojej farmy?

- Mapka okręgu z zaznaczoną twoją farmą i domem, a w dodatku z linią poprowadzoną mniej więcej wzdłuż trasy, którą przeprawialiśmy się przez granicę.

- Co?

- Granice twojej ziemi zostały zaznaczone bardzo niedokładnie, ale od razu można było poznać, że chodziło im o twój dom, że ta mapka miała komuś pokazać, gdzie mieszkasz.

Poczułam swędzenie, jakby oblażło mnie tysiąc pajaków. Miałam wrażenie, że się unoszę, mimo że w dalszym ciągu siedziałam za kółkiem.

Homer nic więcej nie dodał, po prostu czekał, aż sama się wszystkiego domyślę. Nie zajęło mi to dużo czasu. Mój dom został obrany za cel, mnie obrano za cel. Poczułam ucisk w żołądku, jakby miały mnie chwycić gwałtowne torsje, ale nie zrobiłam nic tak dramatycznego

i nie zwymiotowałam jak w powieściach, w których wszyscy wymiotują albo mdleją, kiedy usłyszą złe wieści albo zatną się w mały palec.

A więc jeszcze z nami nie skończyli. Zanim wpadłam na to, żeby zadać Homerowi najważniejsze pytanie, sam udzielił mi odpowiedzi.

- Na mapce była data sprzed dwóch tygodni.

- Przeczytałeś datę?

Nie wiedziałam, jak się zapisuje daty w języku tych ludzi, tych obcych, tych potworów, tych okropnych osób, do których nagle zapałałam tak ogromną nienawiścią, że aż we mnie zachręściło.

- To był wydruk komputerowy, no wiesz, mapka ściągnięta z jednej z tych stron, na których można znaleźć plan swojego podwórka.

Siedziałam i myślałam dalej. To przypominało sudoku. Kiedyś pani Barlow, moja nauczycielka angielskiego, mówiła, że pisząc jakąś historię, należy myśleć w trybie sudoku. Dać czytelnikowi kilka części, żeby sam mógł z łatwością domyślić się reszty. Wykorzystała mnie jako przykład:

„Jeśli powiem: »Ellie wsiadła na traktor«, możecie się domyślić, że Ellie jest na farmie, nie muszę wam o tym mówić, sami do tego dojdziecie”.

„Ale może też brać udział w ćwiczeniach na poligonie!” - zawołał Sam Young.

Wymazałam z umysłu Sama i panią Barlow i starałam się skupić na własnym sudoku.

- Więc myślisz, że zamierzają tu wrócić - powiedziałam. - Że jeszcze nie skończyli. Jak mogłeś mi o tym nie powiedzieć od razu?

A gdyby przyszli wczoraj w nocy? Albo przedwczoraj? Ja i Gavin już byśmy nie żyli.

- Uznaliśmy, że lepiej poczekać na właściwy moment. Poza tym razem z tatą i George'em kręcimy się tutaj od kilku nocy.

- Co?

- No wiesz, ze strzelbami. Te grupki napastników zawsze są małe.

Pomyśleliśmy, że damy sobie z nimi radę. Tata od razu w to wszedł. Nie przypuszczałem, że jest aż tak żądny krwi. Widocznie wojna domowa zostawiła w nim trwałe ślady.

Zatkało mnie. W pierwszym odruchu chciałam powiedzieć: „Nie potrzebuję, żeby mnie ktoś niańczył! Jak śmiesz to robić za moimi plecami? Nie lubię, kiedy podejmuje się decyzje, nie pytając mnie o zdanie”.

Ale nie mogłam nie zauważyć zyczliwości sąsiadów, którzy narażali się na niebezpieczeństwo i odmawiali sobie snu, żeby mnie chronić.

Musiałam przyznać, że to miłe. „Największą mądrością jest dobro”. Skąd ja to znam?

- Dzięki - powiedziałam, starając się przy tym nie zakrzusić. - Ale jaką wojnę domową masz na myśli?

- Grecką.

- Aha. A była taka?

- Spytaj go, na pewno ci opowie. Będzie opowiadał tygodniami.

W każdym razie Szkarłatny Pryszcz zasięgnął języka u ekspertów z wojska i tak dalej, ale nie ma żadnych doniesień na temat planowanych ataków. Dlatego doszliśmy do wniosku, że w najbliższym czasie raczej nic ci nie grozi. Bo pomyśl: jeśli nie można ufać ekspertom, to komu?

- Właśnie.

W głowie miałam taką samą sieczkę jak w żołądku. Byłam jedną wielką sieczkarnią. Można by we mnie uruchomić produkcję paszy.

- Super - powiedziałam. - „W najbliższym czasie”. Tylko to się teraz liczy, tak?

Przeklęty najbliższy czas. Później tu przyjdą, zabiją mnie i Gavina i spalą dom. A jeszcze później będziemy gnili w grobach. Wiesz co, pochowaj mnie z rodzicami, o nic więcej cię nie proszę. Gavina też.

Dzięki.

Homer milczał. Siedzieliśmy i patrzyliśmy przez szybę pikapa na zmęczony erozją żleb, brzydki dowód niszczycielskiego wpływu człowieka na krajobraz.

Rozdział 3

Przed tamtym wypadem za granicę i rozmową z Homerem w zasadzie wszystko było w porządku. Może problem polegał na tym, że za rzadko odpukiwałam w niemalowane drewno. A może na tym, że Bóg lubi się nami bawić. Droczy się z nami jak dziecko z pająkiem, które przez chwilę go gnębi, potem pozwala mu się schować w jakiejś kryjówce, a następnie, kiedy pająk myśli, że jest już bezpieczny i wychodzi, znowu staje przed nim, gotowe na następną rundę. I tak w kółko, aż w końcu mały oprawca uznaje, że ma już dość zabawy, że jest znudzony, i rozgniata pająka na miazgę.

Ja i Gavin przeżyliśmy w Stratton coś okropnego. Wcale nie przesadzam. Gavin jest dla mnie kimś w rodzaju adoptowanego brata.

Kiedy poszliśmy na spotkanie z jego młodszą siostrą, najpierw natknęliśmy się na mężczyznę, który był ich ojczymem. Nikt oprócz Gavina nie znał prawdy o tym człowieku, nikt nie wiedział, że zamordował on matkę Gavina. A jeśli jesteś jedyną osobą na świecie wiedzącą o tym, że doszło do morderstwa, to raczej masz pecha. Okazało się, że my też mieliśmy pecha, bo skończyło się na tym, że mokrzy i zakrwawieni wyładowaliśmy w fontannie w parku, gdzie próbowaliśmy się bronić przed facetem z nożem i przez jakiś czas nie najlepiej nam to wychodziło. Obydwoje mamy blizny na poparcie tych słów. W wyniku tych wydarzeń zebraliśmy nowe doświadczenia, bo przyszło nam wziąć udział w rozprawie w sądzie karnym. To jedna z tych rzeczy, które wywołują coś w rodzaju podniecenia połączonego z poczuciem winy z powodu odczuwania tego podniecenia. I oczywiście ze stresem, z ogromnym stresem. Okej, będę szczerą: ze strachem też, ale nie można nic poradzić na to, że oprócz strachu czuje się również te inne emocje.

Proces odbywał się w Stratton. Jedną z nielicznych pozytywnych zmian, jakie zaszły po wojnie, było to, że nowa konstytucja usprawniła system sądownictwa, dzięki czemu wszystko odbywało się szybciej. Pewien student prawa, z którym rozmawiałam w sądzie, powiedział, że dawniej upłynąłby rok, zanim sprawa ojczyma Gavina trafiłaby na wokandę.

Znowu zatrzymaliśmy się u Lee i jego rodzeństwa. Nie byłam w stu procentach przekonana, że to dobry pomysł, bo jadłospis w domu Lee zależał od liczby gotowych zapiekanek w zamrażarce, a sprzątanie od tego, czy można było swobodnie przejść przez

salon w stronę drzwi wejściowych. Kiedy ta trasa była już całkiem zablokowana, Lee zarządził dziesięciominutowe sprzątanie.

W filtrze suszarki było ze trzy kilo kłaczków. No dobra, znowu przesadzam, ale wątpię, by od nowości ktokolwiek go czyścił. Wyjaśniłam Lee, że takie zaniedbanie grozi pożarem, ale odniosłam wrażenie, że ta wiadomość nie spowoduje żadnej istotnej zmiany w jego życiu, więc uspokoiłam się dopiero wtedy, kiedy znalazłam Pang, jego młodszą siostrę, której wyjaśniłam to jeszcze raz. Wierzcie mi, gdyby nie Pang, ta rodzina musiałaby korzystać z posiłków rozwożonych przez opiekę społeczną. Lee przeważnie zamyka się we własnym świecie.

Dziewięcioletni Phillip to istny mały maniak. Najbardziej interesują go trzy rzeczy: gry komputerowe, wyniki meczów futbolowych i książki z serii *Deltora Quest*. A taki zestaw raczej nie gwarantuje udanej rozmowy. Litości! Ten dzieciak zbiera żarówki. Używane. Ma ich ze dwadzieścia i wszystkie trzyma w szafce. Pang mi pokazała.

Siedmioletni Paul jest najcichszy z nich wszystkich, ciągle siedzi z nosem w książce, trochę podobnie jak Lee, ale nie jest aż taki zawzięty.

Od czasu do czasu wstępuje w niego diabeł i Paul krąży po domu, szukając okazji do rozpętania chaosu. Intira, najmłodsza z rodzeństwa, ma cztery lata i problemy z panowaniem nad gniewem. Ale raczej się tym nie przejmowałam, bo wszystkie czterolatki mają problemy z panowaniem nad gniewem, tyle że w małym mieszkaniu bywa to kłopotliwe.

Kiedy przyjechaliśmy do Stratton na rozprawę, pomyślałam, że należałoby im kupić jakieś prezenty, ale nie miałam za dużo czasu, więc złapałam pudełko czekoladek w sklepie przy stacji benzynowej. Wiem, to naprawdę głupie, w dzisiejszych czasach wszystko jest potwornie drogie, a dostajesz marne dwadzieścia czekoladek za trzydzieści dolców.

Zrobiłabym lepiej, stawiając na ilość, a nie na ładne pudełko z mnóstwem bibułki w środku. Zresztą, zanim ktokolwiek się połapał, Intira wypatroszyła to ładne pudełko i pochłonęła połowę jego zawartości, a jakby tego było mało, wpadła we wściekłość, kiedy Lee zabrał jej resztę czekoladek, nazywając ją małą łakomą świnką morską albo czymś w tym rodzaju.

Podczas mojego pobytu u Lee nie doszło chyba tylko do jednego: do niespodziewanej eksplozji romantycznych uczuć, która porwałaby nas oboje. Być może szukam

usprawiedliwienia, ale muszę powiedzieć, że brakuje miejsca na romanse, kiedy pięcioro dzieci skacze po ścianach mieszkania, które nie jest wyposażone w ściany do skakania. Wiem, to brzmi jak narzekania kobiety w średnim wieku, żony i matki z przedmieść, która wyjaśnia w „Women’s Weekly”, czemu z jej małżeństwa uleciał wszelki romantyzm. Ale po raz pierwszy w życiu trochę współczułam tym żonom i matkom z przedmieść wiodącym mało romantyczne życie. Nie żebym znowu chciała być z Lee, przecież teraz chodziłam z Jeremym, ale ten przeklęty Lee ma w sobie coś takiego, że kiedy jesteśmy razem w tym samym budynku, zawsze dopadają mnie dziwne uczucia. I to niekoniecznie przyjemne - jakoś mnie tak ściska w żołądku i zaczynam szybciej oddychać - ale Lee zdecydowanie ma w sobie coś, co otumania mnie jak dym.

Ostatnią rzeczą, jakiej od niego oczekiwałam, było to, żeby padł przede mną na kolana z bukietem róż w dłoni. Mimo to myślałam - chociaż wcale się nad tym nie zastanawiałam - że życie byłoby ciekawsze, gdyby nadal coś do mnie czuł. No bo spójrzmy prawdzie w oczy: im więcej facetów się za tobą ugania, tym ciekawsze jest życie, nawet jeśli wcale nie szalejesz za niektórymi z nich i tylko niepotrzebnie wchodzisz w paradę innym dziewczynom, zakłócając sprawne funkcjonowanie łańcucha dostaw. Trudno mnie było zaliczyć do tej kategorii, ale na pewno bym wolała, żebym to ja była dla Lee najważniejsza, a nie jakaś inna, niezasługująca na niego dziewczyna. Moim zdaniem żadna inna dziewczyna nigdy nie będzie wystarczająco dobra dla Lee.

W każdym razie do niczego nie doszło. No, oczywiście wiele się działo: oprócz brania udziału w rozprawie byliśmy z Gavinem świadkami, jak Pang uderzyła Paula, kiedy wylał pepsi na jej pracę domową, jak Lee próbował zmusić Phillipa do wyczyszczenia grilla oblepionego stopionym serem ze skremowanej kanapki, jak Phillip schował się w szafce na miotły i siedział tam przez dwie godziny, bo Pang powiedziała, że nie można odwołać ruchu podczas gry w szachy, jak dzieci odmawiały pójścia spać, odmawiały wstania, odmawiały pójścia do szkoły, odmawiały wyjścia ze szkoły po lekcjach, odmawiały jedzenia, odmawiały niejedzenia różnych paskudztw, odmawiały pójścia do parku, odmawiały powrotu z parku, odmawiały wymiany bezpieczników, kiedy wysiadło oświetlenie - inaczej mówiąc, odmawiały odmawiania (to ostatnie to oczywiście żart).

Ale ogólnie nie było źle. Lee pewnie by mnie zabił, gdyby to przeczytał. Oni naprawdę się kochają i przeżywają razem mnóstwo miłych chwil. Kiedy Paul zobaczył, że

obrażony Phillip schował się w szafce na miotły, zachował się naprawdę słodko: w nieskończoność tulił brata, próbując go namówić, żeby już stamtąd wyszedł. I w końcu mu się udało.

Intira i Paul spędzili wiele wesołych godzin przy stole w kuchni z kredkami, ołówkami i tego typu rzeczami. Bawili się w tworzenie małych rysunkowych postaci obdarzonych szczególnymi mocami. Jednej z nich rosły skrzydła, inna umiała się zmieniać w robaka, a jeszcze inna potrafiła być niewidzialna. Nie powiem, żeby bardzo mnie to wciągnęło, ale dzieci były zachwycone. Chyba inspirowało je to, co puszczały ostatnio w telewizji, a ja nie miałam za dużo czasu na siedzenie przed telewizorem.

No więc: akcja dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu, ale romansu zero. Jeśli zdarzyła się chwila, w której romans wydawał się możliwy, przerywał ją krzyk dobiegający z jednego z pokoi, płacz dziecka domagającego się sprawiedliwości albo trzask w kuchni. Po kilku dniach uświadomiłam sobie, że mój związek z Lee nadal tkwi głęboko w zamrażarce. Dopóki miałam Jeremy'ego, nie powinnam się była tym przejmować, bo nie chciałam go zdradzać. Po prostu wolałam zostawić otwartą furtkę między mną i Lee. Mieszkaliśmy u Lee trzy dni i ostatniego wieczoru napisałam list do Jeremy'ego.

Cześć, chciałam ci tylko powiedzieć, że bardzo za tobą tęsknię. Tu jest trochę jak w domu wariatów, a proces był naprawdę okropny, więc nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do domu i znowu cię zobaczę.

Codziennie byliśmy w sądzie i czekaliśmy, aż powołają nas na świadków, i dzisiaj wreszcie to się stało. To trochę dziwne doświadczenie, ale chyba wszystko poszło dobrze. Gavin chce tu zostać i zobaczyć, czy jego ojczym zostanie skazany. Chyba ma nadzieję, że sędziowie przysięgli wydadzą wyrok skazujący, a paskudny pan Manning zostanie od razu wywleczony na ulicę i powieszony na najbliższym drzewie. Jeśli się nad tym zastanowić, ja też nie miałabym nic przeciwko temu. Robię w portki na myśl o tym, że facetowi mogłoby się upiec. Wiem, nie ma takiej możliwości, ale Bóg mi świadkiem: czasem w sądach dzieją się dziwne rzeczy i wszyscy wokół ciągle opowiadają mi historie o przestępcach, którzy uniknęli kary za morderstwo, a to raczej mało pocieszające.

Często spotykaliśmy się z Rosie, młodszą siostrą Gavina. Nie wiem, czy pamiętasz, ale Rosie mieszka z ludźmi o nazwisku Russell, którzy są naprawdę mili, nawet jeśli to właśnie pani Russell zasypuje mnie opowieściami o rozprawach w sądzie, które zakończyły

się wyrokiem uniewinniającym. Wczoraj zabraliśmy Rosie do parku i bawiliśmy się w „zdobywanie sztandaru” - grę, którą wymyśliłam na poczekaniu. Nadal czują się trochę skrepowani w swoim towarzystwie, ale miło jest na nich patrzeć i za każdym razem idzie im trochę lepiej. Rosie rządzi się jeszcze bardziej niż Gavin, w co pewnie trudno ci uwierzyć, ale Gavin zaczyna jej dotrzymywać kroku, a to chyba dobry znak.

Jestem samotna, Jeremy, chcę wrócić do domu, do naszego liceum, usiąść obok ciebie i słuchać twojego miękkiego głosu. Na potrafię opisać, jak na mnie działasz, ale wiem tyle, że w twoich objęciach czuję się bezpieczniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Mam tylko nadzieję, że nie zdradzasz mnie pod moją nieobecność ani z Jess, ani z nikim innym.

Żartowałam. Ale myśl o mnie bez przerwy, okej? Kiedy dostaniesz ten list, powinniśmy już być w domu, więc zadzwoń do mnie albo ja zadzwonię do ciebie.

Z mnóstwem miłości,

Ellie

Wysłałam ten list w drodze do sądu. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że będziemy mogli wrócić do domu tego samego dnia. Przyjście do sądu na ogłoszenie wyroku było pomysłem Gavina. Ja nie wróciłabym tam za żadne skarby, skoro już nas nie potrzebowali. Kiedy czekaliśmy, aż nas wezwą na świadków, nie mogliśmy się przysłuchiwać rozprawie. Pewnie dlatego, żebyśmy nie słyszeli, co mówią inni świadkowie, bo mogłoby to wpłynąć na nasze zeznania. Trochę jak u pani Gilchrist, która przesłuchuje uczniów, żeby się dowiedzieć, kto naprawdę zamordował panią przeprowadzającą dzieci przez ulicę, kto skakał po dachu albo podejrzwał pytania z testu z biologii.

Na szczęście śledzenie rozprawy z perspektywy widza nie było takie złe. Nie musieliśmy się stresować. Szybko zdałam sobie sprawę, że wszystko rozgrywa się szybciej, niż przypuszczałam, i ława przysięgłych szykuje się do wydania werdyktu. Panu Manningowi nie postawiono zarzutu morderstwa, nie oskarżono go o zabicie mamy Gavina, bo - jak orzekła policja - brakowało dowodów. To znaczy policja powiedziała, że dowodów jest dosyć, ale prokurator najwidoczniej się z tym nie zgodził i odciął policję od sprawy, więc pan Manning trafił na ławę oskarżonych wyłącznie za zaatakowanie nas nożem.

Jak dla mnie to było oburzające, ale oczywiście jedynym dowodem morderstwa były zeznania Gavina. Policja znalazła paru dawnych sąsiadów, którzy powiedzieli, że pan Manning był agresywnym kłamcą i że nikt nie widział mamy Gavina od dnia wybuchu wojny, ale poza tym nie znalazło się nic, co mogłoby dowieść, że ojczym Gavina faktycznie popełnił morderstwo. Nigdy nie odnaleziono ciała. Zresztą byłam w stanie zrozumieć, że zeznania Gavina nie wystarczą, by przekonać sąd do zamknięcia człowieka w celi i wyrzucenia klucza.

W każdym razie to był ostatni dzień rozprawy i wszyscy świadkowie zdążyli już złożyć zeznania. Teraz prawnicy mieli podjąć ostatnią próbę przekonania ławy przysięgłych. Spóźniliśmy się i na miejscu zobaczyliśmy, że prokurator, człowiek o nazwisku Lucas, skończył swoją przemowę i przyszła kolej na adwokata pana Manninga. Wyglądał na naprawdę miłego człowieka, przypominał czyjegoś dziadka, miał życzliwą twarz, okulary, przyjazny głos, ale po pytaniach, które nam zadawał, jakoś mu nie ufałam. Opowiadał ławie przysięgłych straszne bzdury o tym, jak ja i Gavin dręczyliśmy oskarżonego i dokuczaliśmy mu, o tym, że wyolbrzymiliśmy całą sprawę. Kiedy tak mówił, poczułam jednak, że w rzeczywistości robi to bez przekonania, i spojrzałam na niego inaczej.

Jego maska powoli zaczęła się zsuwać i pod spodem zobaczyłam starszego faceta, któremu dostał się paskudny klient, prawdopodobnie winny, i który mimo wszystko musi zrobić swoje i stworzyć wrażenie, że zapewniono oskarżonemu uczciwy proces. Bo ostatecznie trudno było zaprzeczyć, że po tym jak pan Manning zaatakował nas nożem, karetka zabrała mnie i Gavina do szpitala.

Sędzia przemówiła do ławy przysięgłych, skupiając się na tym, że za morderstwo można skazać człowieka, który postanowił kogoś porządnie sprać i ten ktoś zmarł, nawet jeśli agresor tego nie chciał. Ale to wcale nie oznacza, że można kogoś skazać za usiłowanie zabójstwa, jeśli ten ktoś postanowił kogoś porządnie sprać i jego ofiara przeżyła. A w naszym wypadku - porządnie pochłastać nożem. Sędzia zaznaczyła, że ława przysięgłych musi być przekonana o tym, iż pan Manning miał zamiar spowodować ciężkie obrażenia naszych ciał.

- Na podstawie zgromadzonych dowodów z łatwością można dojść do wniosku, że taki zamiar miał - dodała, co jak dla mnie zabrzmiało tak, jakby mówiła ławnikom, co mają myśleć.

Ale nawet jeśli się z nią zgadzali, do wydania wyroku skazującego potrzeba było

czegoś więcej. Musieli być pewni, że pan Manning działał z determinacją.

- Tę kwestię muszą państwo rozsądzić sami - powiedziała sędzia, choć od razu było widać, że już wysnuła odpowiednie wnioski.

Potem zaserwowała nam gadkę o „faktach obecnych” i „faktach przyszłych”. Jeśli jakiś obywatel pobije innego obywatela obuchem siekiery i świadek tego zdarzenia zadzwoni po pogotowie, ale jedyna karetka w miasteczku będzie miała po drodze wypadek i nie dojedzie na miejsce zdarzenia, wskutek czego ofiara umrze, to napastnik będzie winny zabójstwa. Ale jeśli w identycznych okolicznościach ofiara przeżyje, napastnik nie zostanie uznany winnym usiłowania zabójstwa. Nie można od niego oczekiwać znajomości faktów przyszłych, lecz tylko tych obecnych. Jeśli ktoś przykłada komuś lufę do głowy, wiedząc, że w jednej lub obu komorach mogą być kule, a następnie pociąga za spust i strzela, raniąc ofiarę, ale jej nie zabijając, napastnik jest winny usiłowania zabójstwa, bo znał fakty obecne i nie dostosował do nich swoich działań.

Jeśli więc pan Manning wiedział, że ciachanie nas nożem jest bardzo niebezpieczne, ława przysięgłych mogła go uznać za winnego usiłowania zabójstwa. Pomyślałam, że sędzia za bardzo komplikuje sprawę. Ale co ja tam wiem? Możliwe, że nie do końca to wszystko zrozumiałam.

W każdym razie wykład wydawał mi się całkiem ciekawy i naprawdę słuchałam uważniej niż na lekcjach w szkole.

Sędziowie przysięgli wyszli, szurając nogami, trochę speszeni zainteresowaniem, jakie im okazywaliśmy. Porozmawiałam chwilę z policyjnym prokuratorem, naprawdę fajnym gościem, po czym poszliśmy z Gavinem wypić coś ciepłego. W jego wypadku czekoladę, a w moim - cappuccino. Pan Lucas poradził, żebyśmy się za bardzo nie oddalali, bo jego zdaniem sędziowie przysięgli nie będą się długo naradzać (choć później dodał, że intuicja zazwyczaj go zawodzi).

W ciągu godziny nic się nie wydarzyło, więc zaprosił nas do swojej kancelarii, gdzie Gavin mógł pograć na komputerze, a ja poczytać książkę pod tytułem *Sing, and Don't Cry*, która naprawdę mi się spodobała, bo zabrała mnie ze Stratton i Wirrawee aż do egzotycznego Meksyku, gdzie faceci siedzą na pakach pikapów i o północy śpiewają kobietom serenady,

grając na gitarach i zawodząc tęsknym, rozkochanym, ciepłym i płaczliwym głosem... Na takim tle Jeremy wypadł dość blado.

Nagle pan Lucas wsunął głowę do kancelarii i powiedział:

- Wracają.

Dołączyliśmy z Gavinem do grupki ludzi spieszących do sali rozpraw numer cztery.

Potem wszystko wyglądało całkiem jak w telewizji. Weszli sędziowie przysięgli i żaden z nich nie spojrzał na pana Manninga, jeśli nie liczyć jednej kobiety, która rzuciła w jego stronę szybkie nerwowe spojrzenie. Już wiedziałam, że uznali go za winnego.

Podali sędzi kartkę, a ona przeczytała to, co tam napisano, i powiedziała:

- Czy decyzja jest jednomyślna?

Wszyscy potakująco pokiwali głowami, a sędzia ogłosiła, że ława przysięgłych uznała oskarżonego za winnego usiłowania zabójstwa i że sąd zgadza się z ławą przysięgłych. Potem się pochyliła i powiedziała do pana Manninga:

- Jest pan zwyczajnym dupkiem.

No, może nie użyła dokładnie takich słów, ale naprawdę nie miała dla niego litości. Nazwała go tchórzem, człowiekiem pozbawionym sumienia i zasad, gotowym zabić dzieci, które stanęły mu na drodze, i nie okazującym absolutnie żadnych wyrzutów sumienia. Potem skazała go na dziesięć lat w kamieniołomie i zabrali go strażnicy. Oczekaliśmy z Gavinem, aż Manning zniknie nam z oczu, i przybiliśmy piątkę. Miałam nadzieję, że wsadzą go do celi z Pomocnikiem Bobem albo z dwoma dwumetrowymi i dwustukilowymi członkami gangu motocyklowego, którym wyda się niesamowicie pociągający. Miałam nadzieję, że zgnije w więzieniu.

A my mogliśmy wrócić na farmę, do szkoły i - jak wtedy myślałam - do normalnego życia.

Rozdział 4

Nietrudno się domyślić, jak zareagowałam, kiedy sobie uświadomiłam, że Gavin zniknął. Trochę mi odbiło, przez chwilę biegałam po domu, trzymając się za głowę, jakbym próbowała uchronić mózg od eksplozji najróżniejszych kotłujących się w nim myśli, a potem rzuciłam się na telefon. Najpierw zadzwoniłam do Homera, a kiedy podniósł słuchawkę, krzyknęłam: „Ktoś porwał Gavina!”, i rozłączyłam się.

Zadzwoniłam do Lee, ale odebrała Pang, więc poprosiłam, żeby poszukała brata i kazała mu natychmiast do mnie oddzwonić. Nie chciałam jej martwić. Działałam mało racjonalnie: później zadzwoniłam do akademika Fi i cała w nerwach czekałam, aż ktoś podniesie słuchawkę, a kiedy w końcu odezwała się jakaś dziewczyna, jak zwykle nie chciało jej się kiwnąć palcem.

- Nie wiem, gdzie jest Fi - powiedziała.

- Mogłabyś jej poszukać? Proszę, proszę, proszę, to naprawdę ważna sprawa.

- No dobrze, może jest w sali telewizyjnej, pójdę sprawdzić.

Czekałam w nieskończoność, słuchając śmiechu i rozmów ludzi, którzy przechodzili obok telefonu. Już myślałam, że ta dziewczyna o mnie zapomniała, ale w końcu wróciła i oznajmiła:

- Przykro mi, nie mogę jej znaleźć.

- Czy mogłabyś jej przekazać, że dzwoniła Ellie? To naprawdę ważna i pilna sprawa - poprosiłam, a potem odłożyłam słuchawkę, zastanawiając się, czy ta wiadomość kiedykolwiek dotrze do Fi.

Boże, w tamtej chwili sama miałam problem z panowaniem nad gniewem.

Uświadomiłam sobie, że najpierw zadzwoniłam do starej paczki, do wszystkich oprócz Kevina, który - z tego, co wiedziałam - nadal był w Nowej Zelandii. Starzy przyjaciele są najlepsi. Ale potem wybrałam numer Bronte. Potrzebowałam jej spokoju i siły. Przynajmniej ona była w domu.

- Zadzwoniłaś na policję? - spytała.

Kurczę, nawet o tym nie pomyślałam. To najlepiej pokazuje, jak daleką drogę przebyłam od zakończenia wojny. Czyli żadną. Nadal nie umiałam się przystosować do świata, w którym jeśli kogoś zabiłam - tak jak u Youngów napadniętych przez wrogich żołnierzy - policja przeprowadzała duże śledztwo. Teraz żyłam w świecie, w którym człowiek próbujący zadźgać mnie i Gavina został aresztowany i osądzony.

W którym w razie uprowadzenia dziecka można było liczyć na pomoc - należało zadzwonić na policję, a ona powinna się tym zająć.

No więc wzięłam głęboki oddech i zadzwoniłam po gliny.

Głęboki oddech był mi potrzebny, bo miałam przeczucie, że czekają mnie długie i zawiłe wyjaśnienia dotyczące moich nielegalnych wypraw za granicę oraz coś, do czego nie byłam przyzwyczajona: przekazanie problemu w ręce ludzi, którzy każą mi usiąść i czekać, a na koniec dorzucają: „Odezwiemy się, gdy tylko będziemy coś wiedzieć”.

Oczywiście Bronte miała rację, musiałam zadzwonić na policję, ale jakoś nie miałam zbyt wielkiej wiary w możliwości służb mundurowych.

- Posterunkowy Brickwater.

Śmieszne nazwisko: „Ceglana Woda”.

- Dzwonię w sprawie porwania. Dziecko, którym się opiekuję, które ze mną mieszka, zostało chyba...

- Chwileczkę, powoli. Jak się nazywasz?

- Ellie. Ellie Linton.

- Okej. I skąd jesteś?

Powiedziałam mu. Później zrozumiałam, że postąpił bardzo sprytnie.

Przejął kontrolę nad rozmową, uspokajając mnie i wprowadzając pewien porządek. Inaczej powstałby ogromny bałagan: krzyczałabym, jękała się i trajkotała jak całe stado kakadu próbujące się usadowić na eukaliptusie w ostatnich promieniach słońca.

- No więc kto został porwany?

- Chłopiec, Gavin. Mieszka ze mną od zakończenia wojny, jest głuchy, a dziś po południu, kiedy wróciłam ze szkoły, nie było go w domu, telewizor jest roztrzaskany, a w korytarzu leży magazynek pełen naboí.

Wzmianka o nabojach wyraźnie go zainteresowała.

- To twój magazynek? Może pasuje do twojej broni?

- Nie. Gavin został uprowadzony albo coś w tym rodzaju. W czasie wojny robiliśmy mnóstwo rzeczy i od tamtej pory jesteśmy chyba na czyimś celowniku. Na początku roku zabito moich rodziców...

- Aha, okej, tak, teraz już wiem, kim jesteś.

Potem sprawa przybrała poważny obrót. Zaczęłam rozmawiać z jakimś sierżantem, ale w pewnej chwili straciłam cierpliwość.

- Przecież powinniście coś zrobić - powiedziałam. - Porywacze mogli już pokonać ze sto kilometrów.

- Wysłaliśmy do ciebie trzy radiowozy - odparł i nieco ponad pięć minut później radiowozy rzeczywiście zajechały pod mój dom, jeden po drugim.

Tymczasem szybko zadzwoniłam do Jeremy'ego, który, dzięki Bogu, był w domu i obiecał, że za chwilę do mnie przyjedzie. Ucieszyłam się.

Czasem potrzebowałam mieć przy sobie faceta. A Jeremy to nie było jakiś facet. Naprawdę coś do niego czułam. Spędzałam z nim każdą wolną chwilę w szkole, byliśmy razem na dwóch imprezach i na grillu.

Uwielbiałam jego towarzystwo i na jego widok zawsze ogarniała mnie radość. Codziennie rano z niepokojem i pustką w sercu wypatrywałam go w szkolnym tłumie.

Na widok radiowozów odłożyłam słuchawkę. Po zimie było tyle kurzu na drodze, że wzbity spora chmurę. Nie wiem, czy policjanci zachowali jakiegokolwiek środki ostrożności, żeby nie wpaść w zasadzkę, ale żadnych nie zauważyłam. Ja, Homer i Lee w takiej sytuacji z pewnością bylibyśmy ostrożni.

Widok trzech radiowozów zaparkowanych przed twoim domem ma w sobie coś poruszającego, strasznego i ekscytującego. Kiedy zabito moich rodziców i panią Mackenzie, zjechało się ich chyba jeszcze więcej, ale tamten dzień spędziłam głównie w kuchni i nie pamiętam zbyt wielu szczegółów. Teraz, kiedy radiowozy zaparkowały jeden obok drugiego z zapalonymi światłami i wolno migającymi niebieskimi kogutami, całe w policyjnych emblematach... Gavin byłby zachwycony.

Odpowiadałam na pytania, ale miałam pustkę w głowie.

Zastanawiałam się, czy dobrze zrobiłam, zawiadamiając policję. Jeśli Gavin już nie żył, mogła najwyżej znaleźć jego ciało. Jeśli był za granicą, poszukiwania mogły się ciągnąć nawet rok. Wszystko załatwiano by za pośrednictwem oficjalnych kanałów rządowych. Dochodzenia, zaprzeczenia, negocjacje - znałam ten scenariusz. Czytałam o tym w gazetach, w których opisywano inne przypadki porwań. Nick Greene, facet, po którego jakiś czas temu wybraliśmy się za granicę, był typowym przykładem. Moją jedyną szansą wydawało się to, co robiliśmy przez całą wojnę, a nawet i potem. Przejęcie dowodzenia. Zadbanie o siebie samemu.

Kiedy tsunami uderzyło w południowo-wschodnią Azję, widziałam w telewizji faceta, który stracił brata. Powiedział do kamery: „Gdzie jest rząd? Rząd powinien tu teraz być i go szukać”. Było mi żal tego człowieka - i jego brata - ale pomyślałam, że oczekuje od rządu zbyt wiele. Jeśli Gavin już nie żył, nie miało znaczenia, kto go znajdzie, kiedy i gdzie. Jeśli żył, największe szanse na odnalezienie go miała osoba, która właśnie stała w kuchni i

marnowała czas, pomagając policjantom wypełniać formularze.

To wszystko docierało do mnie stopniowo, kiedy odpowiadałam na niekończące się pytania, i po chwili zapragnęłam, żeby gliny już sobie poszły.

Część policjantów przeszukiwała szopy i pola, ale po zmroku wrócili do domu, kręcąc głowami i wzruszając ramionami. Dowodził nimi facet o imieniu Henry, który wyglądał na jakiegoś ważniaka. Pracował cicho i wydajnie. Myślę, że był co najmniej inspektorem. Przez kilka minut rozmawiał z policjantami, a potem wrócił i kazał mi usiąść przy stole w kuchni. Miał przed sobą małą stertę foliowych torebek. Dowody. Pełny magazynek, but Gavina, starą czerwoną czapkę, którą początkowo uznano za własność terrorystów, ale potem rozpoznałam w niej starą czapkę taty, którą czasami nosił Gavin. Henry mi ją oddał, a torebkę wrzucił do kosza pod zlewem. Potem wrócił do stołu i znowu usiadł.

Przedstawił mi różne możliwości. Podejrzewał, że Gavin żyje.

- Gdyby chcieli go zabić, zrobiliby to tutaj.

Sama też doszłam do takiego wniosku, ale usłyszenie tych słów od człowieka w mundurze dało mi większą nadzieję. Niestety, okazało się, że to jedyne pocieszające słowa, jakie dla mnie miał.

- Takie akcje prawie zawsze są przeprowadzane przez grupki renegatów, którzy, jak wiesz, nie mają poparcia ze strony swojego rządu.

W każdym razie oficjalnie. Stawiają sobie różne cele. Niektóre zrzeszają po prostu złych ludzi przyjeżdżających tu po to, żeby gwałcić albo plądrować. Innym przyświecają cele polityczne: zabijają i przeprowadzają ataki terrorystyczne, żeby nas trochę osłabić. Jeszcze inne działają z pobudek osobistych. Domyślam się, że ci, którzy tu byli, mogą należeć do tej ostatniej kategorii. Mówię to tylko dlatego, że atakowi na twoich rodziców brakowało wyraźnego motywu i ponieważ rzadko dochodzi do porwań dzieci. Słyszałem, że wydałaś książkę o swojej partyzanckiej działalności z czasów wojny.

Pokiwałam głową.

- Trzy książki.

- I opisałaś w nich różne ataki, które przeprowadziłaś razem z przyjaciółmi?

- Tak, tylko kilka. Ale przez pewien czas mocno te książki reklamowano... O innych rzeczach, które robiliśmy, pisały gazety i magazyny. W telewizji też trochę o nas mówili.

- Możliwe, że ktoś, kto przeczytał twoje książki albo zobaczył cię w telewizji, uznał, że wyrzuciłaś mu jakąś krzywdę. Na przykład przyczyniłaś się do śmierci bliskiej mu osoby.

Znowu pokiwałam głową.

- Pewnie tak. Niedawno dostałam cynk, że ktoś ma mnie na celowniku.

- Cynk?

Zrobiłam się czerwona i zaczęłam się zastanawiać, ile mogę mu powiedzieć.

- To delikatna sprawa. Wiadomość przyszła zza granicy. Znalaziono mapę, na której zaznaczono mój dom, jakby ktoś się nami szczególnie interesował.

Policjant zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że nie uczestniczysz w niczym, w co nie powinnaś się mieszać. Mam nadzieję, że twoja partyzancka działalność skończyła się razem z wojną.

Siedziałam w milczeniu i żałowałam, że obrałam tę drogę.

Partyzantka. Guerilla. Przypomniał mi się stary kawał mojego taty.

Pewnego dnia, kiedy mamy nie było w domu, a my pracowaliśmy w warsztacie, zrobiło się dość późno. W końcu tata powiedział, że pójdzie włączyć grilla, żebyśmy mogli sobie upiec parę steków po pracy. Po chwili wrócił z wystraszoną miną.

- Mało brakowało - powiedział.

- Co się stało?

- Przez pomyłkę prawie włączyłem goryla zamiast grilla.

Uważał, że to bardzo zabawne. Kiedy jęknęłam, dodał:

- Nie ma się z czego śmiać. Byłaś kiedyś uwięziona w kuchni z rozpalonym gorylem? To mogło się naprawdę źle skończyć.

Ciekawe, czy tacy ludzie jak Jim Carrey i Glenn Robbins mają dzieci i czy te dzieci też jęczą, mówiąc: „Oj, tato”, kiedy ich ojcowie żartują.

Ale Henry nadal siedział ze zmarszczonymi brwiami, więc nie pozostawało mi nic innego, jak tylko powiedzieć:

- Tak naprawdę nie powinnam była patrzeć na tę mapę, ale dzięki niej domyśliłam się, że ktoś może chcieć nas skrzywdzić.

- Skoro nie powinnaś była na nią patrzeć, to jakim cudem spojrzałaś?

- To delikatna sprawa - powtórzyłam, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

- Chcesz, żebyśmy ci pomogli, czy nie? Chcesz, żeby ten chłopiec wrócił do domu?

- Podejrzewam, że wojsko wie o tej mapie - odparłam. - Ale naprawdę nie mogę powiedzieć nic oprócz tego, że była taka mapa, że dowiedziałam się o niej dwa tygodnie temu i odniosłam wrażenie, że ktoś nas wziął na celownik.

Nagle policjant eksplodował. Zupełnie się tego nie spodziewałam.

Wcześniej był taki miły, łagodny i spokojny. Pochylił się i krzyknął mi prosto w twarz:

- Myślisz, że będziesz tu sobie siedziała i mówiła, że jesteś w posiadaniu ważnych dowodów, ale nie piśniesz mi o nich słowem?!

Słuchaj, nie toleruję takich ludzi jak ty. Wydaje się wam, że prowadzicie jakąś

amatorską wojnę, a potem, kiedy coś idzie nie tak, dzwonicie na policję i oczekujecie, że posprzątam bałagan. I nawet nie chcesz mi powiedzieć, w co się wpakowałam! - Wstał, odsuwając krzesło. - Nie jesteśmy firmą taksówkarską! Nie można po nas dzwonić, a potem, kiedy już zrobimy swoje, odesłać nas z kwitkiem. Doszło tu do poważnego przestępstwa i rozwiązanie tej sprawy to moja robota, więc jeśli będziesz mi przeszkadzała, oskarżę cię o współudział w przestępstwie.

Powiedziałem coś, czego nie rozumiesz?

Przecząco pokręciłam głową. Nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa.

- No więc gdzie widziałaś tę mapę? Kto ci ją pokazał? Skąd się wzięła?

Znowu zmienił ton głosu na spokojny i rozsądny, więc zaczęłam podejrzewać, że to tylko część jego scenariusza. Przedstawienie, które robi, żeby wydobyć informacje. Dobry glina i zły glina. Może tak naprawdę wcale nie był wściekły.

Próbowałam oszacować potencjalne skutki wydania Homera, Lee i całego Wyzwolenia, ale nie byłam w stanie myśleć. Potrafiłam tylko zdecydować, że na razie ich nie wydam. Potrzebowałam więcej czasu.

Godziny, dwóch godzin. Jak bardzo mogło to wpłynąć na szanse Gavina?

Nie miałam pojęcia. Wachlarz możliwości zaczynał się od: „właśnie skazałam go na śmierć”, a kończył na: „to niczego nie zmieni”.

- Nie widziałam tej mapy. Tylko o niej słyszałam.

- Od kogo? Musimy z nim porozmawiać. Albo z nią. Natychmiast.

- Chyba przeszmygowano ją przez granicę. Ale nic poza tym nie wiem.

- To, co wiesz, jest nieistotne. Chcę się dowiedzieć, co wie osoba, która ci o tym powiedziała. Kto to jest?

- Nie mogę panu powiedzieć. W każdym razie nie teraz. Muszę się skonsultować.

To znowu go rozjuszyło. W ciągu następnych dziesięciu minut wściekał się, uspokajał i znowu się wściekał. Tak mnie tym wymęczył, że rozboleła mnie głowa. Nie mogłam podejmować takich decyzji sama.

Sytuacja mnie przerastała.

I nagle Henry złagodniał.

- No cóż - powiedział, wzruszając ramionami - zrobimy, co w naszej mocy, opierając się na tych skąpych informacjach, które nam przekazałaś. Jeśli będziesz gotowa wyjawić mi coś więcej, proponuję, żebyś do mnie zadzwoniła. Im szybciej, tym lepiej. Mogę cię zapewnić, że jeśli chłopiec jest po tej stronie granicy, znajdziemy go, ale jeśli jest u nich, sprawa trafi do Wydziału Bezpieczeństwa Wewnętrznego i do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. My oczywiście nie mamy tam nic do powiedzenia. Tymczasem zostawię tu na noc czterech funkcjonariuszy, a rano wznowimy poszukiwania. Chcę ci założyć podsłuch telefoniczny, w razie gdyby próbowali się skontaktować. Biorąc pod uwagę wcześniejsze przypadki, to raczej mało prawdopodobne. Ale czasami dzwonią.

Podsunał mi jakiś formularz.

- To zgoda na założenie podsłuchu. Proponuję, żebyś coś zjadła, a potem spróbowała się przespać. Nic więcej nie możesz zrobić. Zostaw to nam.

Rozdział 5

Przyjechał Homer, był strasznie zdenerwowany. Zaprowadził mnie do gabinetu i wysłuchał w milczeniu całej historii, chcąc się jak najszybciej dowiedzieć, co zaszło. Gdy tylko skończyłam opowiadać, zjawił się Jeremy i musiałam powtórzyć wszystko od początku. Już zdecydowałam, że Wyzwolenie to moja jedyna nadzieja, więc nie musieli mnie do tego długo przekonywać. Mimo cierpienia, strachu i poczucia, że musimy jak najszybciej zacząć działać, nadal byłam ciekawa, czy któryś ze stojących przede mną chłopaków nie jest przypadkiem Szkarłatnym Pryszczem, ale żaden z nich się nie zdradził.

Powiedziałam im o tym policjancie, Henrym, i o jego próbach zmuszenia mnie do wyjawienia czegoś więcej na temat mapy. Homer i Jeremy spojrzeli na siebie.

- Lepiej wykonamy kilka telefonów - powiedział Jeremy.

- Byle nie ode mnie - ostrzegłam. - Gliny założyły podsłuch.

Pobiegli do domu Homera, a ja zaparzyłam herbatę i kawę dla gliniarzy. Były wśród nich dwie kobiety i choć ogólnie rzecz biorąc, lepiej dogaduję się z facetami, naprawdę się ucieszyłam, że ze mną zostały.

Wyniosły kubki na zewnątrz, żeby móc dalej trzymać wartę, a ja wyszłam razem z nimi i czekałam na chłopaków. Kobiety nie mówiły zbyt dużo, ale czułam się przy nich bezpiecznie, bo zachowywały się tak, jakby wiedziały, co robią, i jakby w ich obecności nic złego nie mogło na mnie wyskoczyć.

Wyskoczyli tylko Homer i Jeremy, którzy przyjechali starym pikapem. Szybko zagonili mnie do domu. Ale okazało się, że mają niewiele do powiedzenia.

- Słuchaj - zaczął Homer - rozmawialiśmy z kilkoma osobami.

Wszystkie mówią to samo. Po prostu staraj się zachować spokój i odczekaj przynajmniej dwadzieścia cztery godziny. Wiem, że to zabrzmi bezdusznie, ale ujęli to tak, że jeśli Gavin nie żyje, to nie żyje. A gdyby porywacze zamierzali go zabić, to już by to zrobili.

Mniej więcej to samo powiedział Henry, więc pokiwałam głową, zacisnęłam usta i starałam się za bardzo nie drżeć. Zauważyłam, że Homer też się trzęsie, choć próbował to ukryć, obejmując się rękami podczas mówienia.

- Lepiej nie mówić policji niczego więcej na temat mapy. Gliny nie mają żadnego wpływu na to, co się dzieje po drugiej stronie granicy, więc nawet jeśli odkryją, skąd się wzięła mapa, nie będą mogły tam pojechać i aresztować podejrzanych. Ludzie z Wyzwolenia myślą, że jeśli Gavin żyje, prawdopodobnie jest już za granicą. Ich zdaniem prawie na pewno żyje, a ty w końcu dostaniesz wiadomość, w której porywacze powiedzą, czego chcą. Wiem, że gliniarze mówili co innego, ale oni nie zawsze się dowiadują o takich wiadomościach.

- Czego moglibyście chcieć porywacze? - spytałam, zaciskając ręce na krawędzi stołu.

Przeżywałam to tak samo jak Homer. Tylko w ten sposób mogłam uniknąć rozprzestrzenienia się dreszczy na całe ciało.

Homer zrobił się czerwony.

- Możliwe, że ciebie - wyznał speszony. - Albo nas obojga. Albo całej grupy. Prawdopodobnie sporo o nas wiedzą.

- Też tak myślę - westchnęłam zrozpaczona.

Poświęciliśmy temu za mało uwagi. Podczas wojny w ogóle nie zaprzęaliśmy sobie głowy takimi sprawami i dopiero niedawno zaczęło do mnie docierać, że owszem, działania pociągają za sobą pewne konsekwencje, nawet jeśli wydają się słuszne i uzasadnione. W czasie wojny nie zrobiłam nic, czego miałabym się wstydzić, zresztą podobnie jak po wojnie (pomijając kilka osobistych spraw, na przykład imprezę w Nowej Zelandii), ale mimo wszystko nie mogłam oczekiwać, że wróg ma na ten temat takie samo zdanie jak ja i zaczynałam nabierać przekonania, że z pewnością nie ma. Wstałam i zaczęłam chodzić tam i z powrotem z rękami wciśniętymi pod pachy. Jeremy chciał mnie objąć, ale straciłam jego rękę. Nie miałam na to ochoty. Chciałam coś zrobić.

Bezczyność wydawała się niewybaczalna. Przypominała zdradę. Jedyłą rzeczą,

jakiej Gavin by nie zrozumiał, była bierność.

Nikt nie próbował się położyć. Nikt nie próbował zasnąć.

Siedzieliśmy razem, mimo że nie miało to większego sensu. Wiem, że na chwilę zapadliśmy w drzemkę, bo w pewnym momencie się obudziłam i zobaczyłam chłopaków śpiących w fotelach. Jedna z policjantek przychodziła dwa razy i mówiła, żebyśmy szli do łóżek, ale nikt jej nie posłuchał.

W końcu w pokoju zrobiło się trochę jaśniej. Poszłam do kuchni i zaparzyłam jeszcze więcej herbaty i kawy, a potem wyjęłam całe góry płatków zbożowych, chleba oraz tego typu rzeczy i spytałam policjantów, czy chcą zjeść śniadanie. Wyglądali na wdzięcznych.

Mieli poszarzałe twarze będące skutkiem spędzenia całej nocy na nogach, w stresie, na straży, zastanawiania się, czy ten kawałek kory poruszany w oddali wiatrem to rzeczywiście kawałek kory czy może czyjaś ręka. Boże, doskonale wiedziałam, jak się czują. W czasie wojny sama przeżyłam wiele takich nocy. W każdym razie weszli do domu i wsunęli prawie wszystko, co miałam. Potem zjawili się Homer i Jeremy, a gdy skończyli jeść, wyczerpał mi się budżet śniadaniowy na następne półtora miesiąca. Sama zjadłam tylko parę grzanek. Nie miałam apetytu, ale trudno się oprzeć zapachowi grzanki, a poza tym wiedziałam, że muszę coś zjeść.

Henry przyjechał mniej więcej za piętnaście ósma. Nie przywiózł żadnych wieści. Przywiózł za to kilka psów. Wysłałam z domu i patrzyłam, jak węszą, próbując złapać trop. Nic nie wskórały, ale jeden z przewodników powiedział, że nie liczyli na wiele.

- Za dużo tu zapachów - wyjaśnił. - Nie tylko tego chłopca, ale też innych zwierząt, tych wszystkich policjantów, którzy się tutaj kręcili, i twoich przyjaciół.

Kiedy z nim rozmawiałam, przyjechały kolejne radiowozy, a potem policyjny minibus. Wysypała się z niego cała zgraja młodych gliniarzy w pomarańczowych kombinezonach. Wyglądali na niewiele starszych ode mnie. Henry podszedł i wytłumaczył, że to kadeci z akademii policyjnej, którzy przeszukają pola. Poprowadził ich, a pół godziny później zobaczyłam, jak ustawieni w szereg kadeci powoli przesuwiają się w poprzek pola, które nazywamy Jednym Drzewem, i uważnie przyglądają się ziemi. Wiedziałam, że

najprawdopodobniej szukają zwłok, więc nie życzyłam im szczęścia i miałam nadzieję, że ich starania pójdą na marne.

Dzień włókł się rozpaczliwie wolno. Żeby nie zwariować, bez przerwy kogoś karmiłam. Przyjechała pani Yannos, która przypadkiem była wcześniej w supermarkecie. Nie, w zasadzie nie przypadkiem. To był jeszcze jeden przykład jej troskliwości. Przewidziała, że będzie potrzebna góra jedzenia, żeby wyżywić wszystkich gości, a w dodatku była dobra jak jakaś święta.

Czas mijał. I mijał. Przez dwa następne dni nic się nie zmieniło.

Sytuacja przypominała jeden długotrwały ból zęba, najgorszy, jaki kiedykolwiek czułam. Rwący, intensywny ból, który odbierał mi całą siłę i energię. Nie potrafiłam się skupić na niczym innym. Henry próbował mnie namówić na przeprowadzkę do miasta, ale nie chciałam. W nocy nadal pilnowały mnie patrole, ale od razu zaznaczył, że to nie będzie trwało wiecznie i prędzej czy później sama będę musiała zadbać o swoje bezpieczeństwo. Miał rację, ale nie mogłam i nie chciałam go słuchać.

Potem wszystko na mnie runęło jak woda, która przerwała tamę. Był piątek po południu. Ciągły strumień gości zaczynał mnie męczyć. Była ich cała masa: od przyjaciół przez znajomych po zupełnie obcych ludzi, na przykład policjantów; od dorosłych po dzieci; od sąsiadów przez nauczycieli po mamę Fi, która przyjechała aż z miasta. Fi była na szkolnej wycieczce w Japonii. Kiedy usłyszała o Gavinie, chciała się z niej wymiksować, ale jej mama zawlekła kopiając i wrzeszczącą Fi na lotnisko.

Kilka razy rozmawiałam z Lee przez telefon, ale kiedy przyjechał w piątek po południu, jakoś nie bardzo się ucieszyłam. No, nie powiem, że byłam niezadowolona. Po prostu wydawał się kolejnym gościem, tyle że milej widzianym niż większość pozostałych. Nie tracił czasu na powitania.

Skinął w stronę warsztatu.

- Chodźmy obejrzyć traktory.

Właśnie od takich słów zaczął. Nigdy nie przypuszczałam, że interesują go traktory, ale zaczynałam się już przyzwyczajać do ważnych rozmów na osobności. Dlatego poszłam

przodem, nie zadając żadnych pytań.

Usiadł na stole w warsztacie, a ja oparłam się o prawe przednie koło Johna Deere'a.

- Szkarłatny Pryszcz chyba wie, gdzie jest Gavin - powiedział, nie marnując słów na wstępy.

Ogromny kwiat czegoś, co można by nazwać nadzieją, powoli rozwinął się w moim sercu. Nie, nie rozkwitł, ale całkiem mocno się rozwinął.

- Gdzie? - spytałam.

Miałam okropne trudności z zapanowaniem nad drzeniem głosu, mimo że potrzebowałam go tylko do wymówienia jednosylabowego słowa.

- W Havelock.

- W Havelock? Jezu, przecież to setki kilometrów stąd.

- Tak, wiem. Ale raport jest bardzo wiarygodny. Być może to nie Gavin, lecz lepszego tropu nie znaleźli.

- Czemu mieliby go tam wywozić? Ktoś go widział? Nic mu się nie stało? Kto go widział?

Nie potrafiłam ułożyć pytań we właściwej kolejności, a wiedziałam, że w mojej głowie tłoczą się ich setki i każde próbuje się dopchać do przodu.

- W zasadzie niewiele wiadomo - zaczął - ale jest pewna paskudna grupka bandytów, którzy najprawdopodobniej mają bazę w Havelock.

Dość profesjonalnie przeprowadzają napady po naszej stronie granicy, mszczą się w ten sposób. Mnóstwo z nich figuruje na rządowej liście zbrodniarzy wojennych. To ich ulubiona zabawa: porywają dziecko i wykorzystują je w pertraktacjach.

- Więc jak go odzyskamy? - spytałam, zapominając o wszystkich innych pytaniach, a przynajmniej spychając je na koniec kolejki.

Wtedy Lee po raz pierwszy zamilkł i zmarszczył brwi, spuszczać głowę. Znałam te znaki równie dobrze jak jego samego. Ktoś coś zaproponował, może nawet miał jakiś plan, ale to nie był pomysł Lee i Lee go nie popierał.

- No, dalej - ponagliłam go przez zaciśnięte zęby.

- Moim zdaniem to szaleństwo. Zgadzam się tylko z tym, że rząd nie będzie w stanie nam pomóc. A nawet gdyby był, zajęłoby to dużo czasu i mogłoby się stać coś złego. Tych ludzi nie interesują negocjacje z rządami, a ich rząd nie ma nad nimi żadnej kontroli. Według mnie sytuacja wymaga wzięcia spraw we własne ręce.

- Więc jaki jest plan? - spytałam, starając się nie zgrzytać zębami.

- Właściwie to nie jest plan - powiedział powoli. - Raczej koncepcja, pomysł. Początek planu.

- Wchodzę w to.

Wtedy szeroko się uśmiechnął.

- No tak, domyśliłem się, że to powiesz. - Na chwilę zamilkł. - Jak już mówiłem, to nie jest plan, właściwie to nie jest nawet początek planu, ale w Havelock mieszka dość dużo ekspatriantów.

- Co to za jedni? - spytałam.

- Ludzie z innych krajów. To ważny ośrodek administracyjny i rządowy. Zresztą teraz wcale nie nazywa się Havelock. Dali mu nową nazwę, której nie jestem w stanie wymówić. Ale ONZ ma tam mniej więcej stu ludzi, powstaje kilka konsulatów. Zmierzam do tego, ludzie z Wyzwolenia zmiierzają do tego, że ktoś taki jak ty mógłby się poruszać po niektórych częściach Havelock, nie budząc podejrzeń. Po niewielu częściach: tylko tam, gdzie są

konsulaty, a ludzie przywykli do widoku obcokrajowców. Musiałabyś mieć papiery, ale nimi może się zająć Wyzwolenie. Dzięki temu przynajmniej będziesz bliżej centrum wydarzeń, jeśli centrum wydarzeń faktycznie jest w Havelock.

- Co o tym sądzi Szkarłatny Prysycz? - spytałam.

- Nie jest zadowolony. Uważa, że to zły pomysł.

- Czemu?

- Bo jest zbyt niebezpieczny, zbyt ryzykowny. Szkarłatny Prysycz lubi plany, struktury i szczegóły. Przypnę, w czasie wojny działaliśmy zupełnie inaczej, ale w wypadku Wyzwolenia takie podejście się sprawdza.

Chyba muszą być dość dobrze zorganizowani, skoro jest tyle różnych grup i tyle różnych operacji.

- Jak miałabym się dostać do Havelock?

- Pracują nad tym. Już się zajęli przygotowaniem papierów.

Widocznie to całkiem proste.

- Dobrze, że przynajmniej nikt tak naprawdę nie wie, jak wyglądam - powiedziałam. - Nawet jeśli ci, którzy porwali Gavina, czytali moje książki, nawet jeśli znają moje nazwisko, nawet jeśli im się wydaje, że sporo o mnie wiedzą, mało kto jest w stanie mnie rozpoznać. A skoro teraz mieszka tam mnóstwo osób, musiałabym mieć prawdziwego pecha, żeby się natknąć na kogoś, kogo spotkałam w czasie wojny.

- Tak - przyznał Lee. - Akurat z tym się zgadzam.

- A co masz przeciwko temu, żebym tam pojechała?

Zszokował mnie, bo nagle zeskoczył ze stołu, podnosząc długie ręce.

Przez chwilę przypominał modliszkę, która dostała cios w brzuch.

- Bo masz tam jechać sama - powiedział.

Uświadomiłam sobie, że jest na skraju łez. Wtedy naprawdę się wystraszyłam - wystraszyłam się i byłam w szoku. Lee? Emocje? Lee okazujący emocje?

- Mówią, że jedna nowa młoda twarz na ulicach Havelock prawdopodobnie nie wzbudziłaby podejrzeń - ciągnął - ale większa liczba na pewno nie przejdzie. Jeśli pokażemy się we dwójkę albo trójkę, wieść szybko się rozejdzie i nie będziemy mieli żadnych szans. - Lekko się do mnie uśmiechnął, drżały mu usta. - Powtarzałem im, że sam tam pojedę, bo akurat mnie będzie łatwo wtopić się w tłum Azjatów, ale dobrze wiem, że nigdy nie pozwoliłabyś jechać komuś innemu.

Pokiwałam głową. Wcześniej myślałam, że Lee mógłby mi towarzyszyć, ale zrozumiałam, że jest za bardzo potrzebny swoim braciom i siostram, żeby wyruszać w tak ryzykowną i daleką podróż na terytorium wroga.

Znowu się do mnie uśmiechnął. Chyba jeszcze nigdy nie uśmiechał się tak smutno.

- Wiem, że Gavin jest twój i że macie tylko siebie, to znaczy jako rodzina. Wiem, że to ty powinnaś po niego jechać. Zakładając, że w ogóle dojdzie do wyjazdu. I chyba są małe szanse, żebyś się wycofała.

- Dobrze to ująłeś - powiedziałam, choć rozwijający się kwiat w moim sercu wyrastał teraz z zimnego, mokrego i czarnego bagna w żołądku.

Rozdział 6

Wróciliśmy do domu. Tak się złożyło, że policjanci właśnie odjeżdżali. Henry mnie szukał. Wynurzył się z kuchni, gdy tylko weszliśmy.

- No! - powiedział. - Nareszcie jesteś. Posłuchaj, Ellie, nie możemy tu dłużej trzymać policjantów. Brakuje nam ludzi, a poza tym to bez sensu, skoro nie znaleźliśmy żadnego śladu tego chłopca. Ale ty, i obawiam się, że to jest rozkaz, musisz spakować kilka rzeczy i przenieść się do miasta.

Tutaj nie jest bezpiecznie.

Wtedy go zaskoczyłam.

- Dobrze - powiedziałam, spuszczać wzrok.

- Dobrze? - zdziwił się. - No cóż, nie przypuszczałem, że pójdzie mi tak łatwo. Ale cieszę się, że podchodzisz do tego rozsądnie. Znasz kogoś, u kogo mogłabyś się zatrzymać? Moja żona powiedziała, że jesteś bardzo mile widziana w naszym...

- Dziękuję, nie trzeba - przerwałam mu. - Pojadę z Lee i zatrzymam się u niego w Stratton.

Wtedy przyjrzał mi się podejrzliwiej.

- Mam nadzieję, że nie chodzą ci po głowie żadne niemądre pomysły. Zdajesz sobie sprawę, że nie jesteś w stanie pomóc Gavinowi?

- Tak, tak - zapewniłam szybko. - Wszystko w porządku. Naprawdę chcę się stąd wyrwać. Ostatnio nie czuję się tutaj bezpiecznie.

To go uspokoiło i już pięć minut później ścisnęłam dłonie policjantom, dziękowałam im i machałam na pożegnanie, kiedy radiowozy oddalały się od domu. Potem wróciłam do

środku, żeby zacząć się pakować. Najpierw sięgnęłam po broń i całą amunicję, chociaż wątpiłam, żeby udało mi się zabrać to wszystko do Havelock, jeśli plan w ogóle dojdzie do skutku. W każdym razie nie zamierzałam tego zostawić w domu.

Kiedy położyłam śrutówkę na stole w kuchni, zadzwonił telefon.

Od czasu uprowadzenia Gavina sygnał dzwoniącego telefonu był najważniejszym dźwiękiem w moim życiu. Połaskotał mnie w środku, jakbym była podłączona do aparatu i jakby on też był żywą istotą. I chyba mam jakieś zdolności paranormalne, bo od razu wiedziałam, że to TEN telefon.

- Biegnij do drugiego telefonu - powiedziałam do Lee.

Kiedy ruszył, zawołałam za nim:

- Podniesiemy słuchawki w tej samej chwili.

Kiwnął głową, a potem położył rękę na słuchawce i spojrzał na mnie.

Skinęliśmy do siebie i równocześnie podnieśliśmy słuchawki.

- Słucham? - powiedziałam.

Rozległy się jakieś trzaski i odezwał się głos. Był zachrypnięty i mówił z silnym akcentem. To był jakiś facet, mógł mieć ze dwadzieścia lat. Poczułam, że wiem, co chce powiedzieć, zanim w ogóle się odezwał.

Poczułam na sobie ogromny ciężar.

- Mamy go - powiedział ten człowiek.

- Nic mu nie jest? Dbacie o niego? - spytałam. Chciałam dodać, że ich zabiję, jeśli nie przyprowadzą go do domu w ciągu najbliższych pięciu minut, ale się powstrzymałam.

- Wszystko z nim w porządku. Go nie chcemy. Dostaniesz go z powrotem.

Przez chwilę miałam nadzieję, że Gavin był taki okropny i nieznośny, że zapragnęli się go jak najszybciej pozbyć. Widziałam coś takiego w pewnym filmie, ale to była komedia.

- Gdzie on jest? - spytałam. - Przyjadę po niego.

Lee spojrział na mnie i zmarszczył brwi, a wtedy zdałam sobie sprawę, że powiedziałam coś głupiego. Bo na pewno nie puściliby wolno mnie i Gavina, gdybym zjawiła się w umówionym miejscu. Już o tym rozmawialiśmy. Jeśli chodziło im o mnie, byłiby zachwyceni, widząc mnie na progu, ale nie mieliby motywacji, żeby wypuścić Gavina. Wręcz przeciwnie. Gdyby go wypuścili, mógłby komuś przekazać obciążające ich dowody.

- Jasne, przyjeźdź. Zrobimy wymianę. Chłopak za ciebie. I za ten drugi.

- Za jakiego drugiego?

- Za przywódcę. Za tego, który nam robi tyle problemy. Jego też chcemy. Damy małego za was dwa.

Dzwoniło mi w głowie, jakby nagle zmieniła się w dzwon, w który ktoś walnął dwuręcznym młotem. Chodziło mu o Szkarłatnego Pryszczę?

Chcieli Szkarłatnego Pryszczę? Nigdy bym na to nie wpadła. Sądząc po minie Lee, jemu też nie przyszło to do głowy.

- Ale ja nie wiem, kto jest Szkarłatnym Pryszczem - wyjąkałam, a potem sobie uświadomiłam, jak głupio brzmi to przezwisko. To był tylko taki nasz żart, ksywka, której używaliśmy we własnym gronie. - Szkarłatnym Pimpernelem - poprawiłam się. - Przywódcą.

- Wiesz - upierał się ten facet.

- Nie, nie wiem! - powiedziałam z naciskiem.

Oczywiście mówiłam prawdę: nie wiedziałam, kto jest Szkarłatnym Pryszczem, ale próbowałam też zyskać na czasie. Mogłam poznać tożsamość Pryszczę w dość łatwy sposób. Do diabła, wystarczyło się przyłączyć do Wyzwolenia. Ale pomyślałam, że jeśli zabrzmię

przekonująco, zyskam trochę czasu i będę mogła - będziemy mogli - przetrwać najnowsze wieści.

- Oni mi nie powiedzą! - krzyknęłam, starając się brzmieć jak histeryczka, co wcale nie było trudne, bo od kilku dni w zasadzie byłam w stanie hysterii. - Pytałam ich milion razy. Użyłam miliona sposobów, żeby się dowiedzieć, ale to największa tajemnica w Wirrawee. Nikt nie chce mi tego powiedzieć.

W słuchawce zapadła cisza. Poczułam się jak zwycięzcy.

Wiedziałam, że zbiłam go z tropu. Pewnie nie na długo, ale traktowałam to jak mały triumf. Pierwszy, odkąd zaczęła się ta cała paskudna historia.

Cieszyłam się mniej więcej trzy sekundy, bo po chwili usłyszałam:

- Dowiedz się. Dowiesz się, jeśli będziesz chciała. Postaraj się dowiedzieć.

Odłożył słuchawkę. Tego się nie spodziewałam. Myślałam, że czeka nas długa rozmowa, że przedstawi mi jakieś warunki, wyznaczy miejsce spotkania, cokolwiek. Ale pomyślałam, być może powodowana głównie rozpaczą, że to chyba dobrze. Może faktycznie pokrzyżowałam mu plany i uniemożliwiłam przejście do następnego etapu. Chciałam zyskać na czasie i wyglądało na to, że zyskałam. Pozostawało tylko pytanie, jak ten czas wykorzystać.

Telefon dał mi nadzieję, że Gavin żyje. I sprawił, że nieznana siła wydała mi się trochę bardziej znajoma. Zaczęłam od równania: $x = a + b + c$, i już wiedziałam, że c jest liczbą dodatnią, mieszczącą się w przedziale między zerem a kilkoma milionami (czy ile tam sobie liczyła populacja za granicą), więc chyba zrobiłam jakiś postęp. Prawda?

Ja zbiłam z tropu jego, a on zbił z tropu Lee. Bo nagle Lee zaczął wariować. Chciałam usiąść i wszystko z nim omówić - naprawdę rozpaczliwie tego potrzebowałam. Chciałam go wypytać. Po telefonie porywacza byłam roztrzęsiona. Moje ciało, moje emocje, cała moja istota pragnęła rozmowy z Lee. A on zamiast tego podbiegł do stołu w kuchni, na którym leżała broń, i praktycznie rzucił mi strzelbę.

- Co ty wyrabiasz? - zawołałam.

Myślałam, że chce natychmiast ruszyć do Havelock, odnaleźć tę grupę terrorystów i wystrzelać jej wszystkich członków.

- Obserwują dom! - krzyknął w odpowiedzi. - Są gdzieś niedaleko.

Nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale tylko przez chwilę. Potem połączyłam ze sobą te same wskazówki co on. Policja odjechała i przestała pilnować domu. A pięć minut później dzwonią do mnie porywacze.

Przypadek? Albo to był zadziwiający zbieg okoliczności, albo zaczekali na chwilę, w której mogliby nawiązać ze mną kontakt, nie obawiając się, że policja pokrzyżuje im szyki. Kiedy Lee ruszył ze śrutówką w stronę tylnych drzwi, złapałam go za ramię.

- Zaczekaj! - powiedziałam. - Czy w ten sposób pomożemy Gavinowi, czy może mu zaszkodzimy?

Kiedy się zastanawiał, dodałam:

- Na pewno nie trzymają go w pobliżu. Więc prawdopodobnie jest tu jakiś szpieg albo dwaj, raczej dwaj, obserwują nas i informują bazę. Jeśli nam się poszczęści i ich zabijemy, ludzie, którzy przetrzymują Gavina mogą się na nim zemścić.

Poczułam, że ręka Lee trochę się rozluźnia, więc ją puściłam.

- Masz rację - przyznał powoli. - A co jeśli nam się poszczęści i ich zabijemy, zanim się połapią, że ich ścigamy? Reszta ich organizacji nigdy się nie dowie, co się z nimi stało. Nie będzie wiedziała, czy zginęli w wypadku samochodowym, popełnili samobójstwo, zdezerterowali albo zakochali się w tobie i zabrali cię na Fidzi. Będzie zupełnie tak, jak z nami i tamtymi Nowozelandczykami w czasie wojny. Z tymi, którzy mieli zniszczyć lotnisko. Nadal nie wiemy, co się z nimi stało.

- W dodatku - podchwyciłam, czując, jak narasta we mnie podniecenie, bardzo znajome podniecenie, które czasami okazywało się całkiem przyjemne - jeśli nam się

poszczęści i ich zabijemy, upłynie dużo czasu, zanim ich kumple zrozumieją, że zwiadowcy zaginęli, i jeszcze więcej czasu, zanim znajdą nowy sposób, żeby się ze mną skontaktować.

A Gavin będzie bezpieczny jako ich karta przetargowa.

- Prawdopodobnie zyskamy czterdzieści osiem godzin, może o wiele więcej - powiedział Lee.

Jego twarz stężała i powoli znowu ruszył w stronę drzwi.

- A byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy ich złapali - powiedziałam. - Moglibyśmy ich przekazać w ręce policji, która zadałaby im kilka pytań.

- Moglibyśmy ich przekazać w ręce Wyzwolenia - poprawił mnie Lee ponurym głosem. - I sami byśmy im zadali kilka pytań. A w dodatku dostalibyśmy odpowiedzi.

Wyglądało na to, że podjęliśmy decyzję. Każde z nas wzięło broń: Lee śrutówkę, a ja.22-250. Nagle zdałam sobie sprawę, że jeśli faktycznie obserwują dom, natychmiast nas zobaczą i zauważą, że jesteśmy uzbrojeni i niebezpieczni. Pobiełam po pierwszą rzecz, którą udało mi się znaleźć i która wydawała się wystarczająco duża, żeby pomieścić dwie strzelby. To była śmieszna stara walizka, długa, poobijana i zakurzona. Leżała na samej górze w szafie w sypialni rodziców. Wiedziałam, że jeśli gdzieś w pobliżu są jacyś terroryści i zobaczą nas z tą podłużną walizką, nabiorą podejrzeń, ale nie będą mieli pewności, co się dzieje. Będą mieli zagwozdkę, a my zyskamy parę minut, zanim się połączą, co knujemy.

Wolnym krokiem poszliśmy do warsztatu, gawędząc jak starzy przyjaciele i udając, że wybieramy się do sklepu po karton mleka. To też wyglądało niezbyt przekonująco, biorąc pod uwagę, że właśnie odebrałam telefon od porywaczy, którzy uprowadzili mi brata, ale postanowiliśmy zrobić wszystko, żeby opóźnić ich reakcję, wytrącić ich z równowagi, tak jak oni wytrącali mnie przez dwa ostatnie dni. Jeśli to był teatrzyk dla niewidocznej publiczności, wszystko było okej, ale jeśli ta publiczność faktycznie nie istniała, po prostu marnowaliśmy czas.

Gdy weszliśmy do warsztatu, przestaliśmy udawać luzaków.

- Weźmy pikapa - powiedziałam.

- Nie, lepiej motory - odparł Lee. - Są bardziej mobilne.

Chyba w pewnym sensie wypłynęły różnice między chłopakami i dziewczynami. Różnice między Lee i Ellie. Ja chciałam mieć kogoś przy sobie, mieć przy sobie Lee, ale on był taki jak zawsze - samotny wilk.

Chciał wyruszyć sam i stoczyć walkę z siłami ciemności. Ja też chciałam toczyć walkę z siłami ciemności, ale u boku kogoś zaufanego, żebyśmy mogli walczyć razem. Lee uważał, że samotność czyni człowieka silniejszym. Ten podróżuje najszybciej, kto podróżuje sam. Natomiast ja uważałam, że bycie samemu oznacza większe niebezpieczeństwo. Jadąc motorem, czułabym się zbyt zagrożona. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - tak brzmiało moje motto.

Miałam ochotę wyciągnąć rękę i przytulić Lee, może nie od razu zaprowadzić do domu i oswoić, ale przynajmniej przebić się przez skorupę, którą się otoczył. Niektórzy powiedzieliby pewnie, że to twarda skorupa, ale ja nie. Ja nazwałabym ją mocną.

Porzuciłam ten pomysł, objęłam prowadzenie i ruszyłam w stronę pikapa. Lee na pewno nie był tym zachwycony, ale wiedziałam, że mi się upieczą, bo byliśmy na moim terenie i działaliśmy w mojej sprawie.

Wyjęliśmy broń z walizki, naładowaliśmy ją i wsiedliśmy do samochodu.

Nie mieliśmy żadnego planu - nawet nie wiedziałam, dokąd jedziemy, a już z pewnością kiedy dotrzemy do celu. Po prostu uznałam, że najlepiej będzie objechać pola i trochę się rozejrzeć.

Po drodze udało mi się trochę pomyśleć. Myślenie podczas prowadzenia samochodu - powinny tego zabraniać jakieś przepisy.

- Pewnie są w miejscu, z którego dobrze widać gospodarstwo, ale którego nie przeszukały gliny - powiedziałam. - Gdzieś, gdzie mogą mieć pewność, że nikomu nie przysłoby do głowy szukać. To może oznaczać cały Szew Krawca.

- Dość daleko stąd.

- I w dodatku to nie jedyne możliwe miejsce.

- Ale muszą mieć zasięg. A to wyklucza niektóre odcinki grani.

- Racja, nie pomyślałam o tym.

Jechałam powoli i obydwójce przyglądaliśmy się wzgórzom i polom, wyęzając mózgi, żeby były szybsze i bystrzejsze od oczu. Oprócz Szwu Krawca przyszły mi do głowy dwa miejsca, każde z nich leżało w odległości kilku kilometrów od mojego domu. Oczywiście nie powinnam była pomijać Szwu Krawca tylko dlatego, że był dalej, jak w tym dowcipie o gościu, który zgubił kluczyki po jednej stronie ulicy, ale idzie szukać po drugiej, bo tam jest jaśniej. Tyle że wcale nie pominęłam Szwu Krawca, po prostu pomyślałam, że dobrze zacząć od łatwiejszych miejsc. Uznałam, że warto zahaczyć o pole, które nazywaliśmy Jednym Drzewem. Skręciłam w tamtą stronę i jechaliśmy powoli, jakbyśmy wyruszyli na niedzielną popołudniową przejażdżkę. Jeśli ktoś nas obserwował, chciałam trochę namieszać. Oczywiście gdyby przez chwilę się zastanowił, zrozumiałby, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wybrałby się na niedzielną przejażdżkę po odebraniu telefonu w sprawie Gavina, ale cały czas chodziło o sianie wątpliwości, zyskiwanie na czasie. Tak, przyszło mi do głowy, że jeśli ukryli się gdzieś niedaleko i mają dobrą pozycję do oddania strzału, mogą spokojnie wymierzyć i bez problemu wpakować mi kulkę w głowę, tyle że wtedy straciliby szansę na dorwanie Pryszczu.

Chyba że Lee był Szkarłatnym Pryszczem. Głośno przełknęłam ślinę. Sama uznałam, że nim nie jest, ale przecież mogłam się mylić.

- Lee, nie jesteś Szkarłatnym Pryszczem, prawda?

- Nie - powiedział, lustrując wzrokiem pola i trzymając na kolanach strzelbę.

Jechaliśmy dalej, przeważnie trzymając się drogi i zboczyliśmy z niej tylko wtedy, kiedy napotkaliśmy duże stado bydła. Zwierzęta były ciężkie i leniwe. Trudno uwierzyć, że jeszcze niedawno potrafiły się tak rozpędzić. Cały czas się rozglądaliśmy, ale żadne z nas niczego nie zauważyło. Na górze skręciłam w prawo i pojechałam wzdłuż grzbietu, patrząc na

dom i na dolinę. Ładny widok. Nie mogłam uwierzyć, że tam też doszło do aktu agresji. Nie do przypadkowej agresji byłą spłoszonego przez piorun, lecz do zimnej, zaplanowanej przemocy, która wyrwała moje życie z korzeniami i wyrzuciła je w powietrze, by porwał je wiatr.

Nie napotkaliśmy niczego niezwykłego. Owładnięta frustracją, zawróciłam i pojechałam tą samą drogą. Tym razem minęłam jednak koniec szlaku, którym przyjechaliśmy i ruszyłam w stronę drogi Providence Gully. Wjechaliśmy w gęstszy las.

- Zatrzymaj się - powiedział nagle Lee.

Mocno wcisnęłam hamulec. Lee wysiadł, spojrzął na strzelbę, zawahał się i ostatecznie zostawił ją w samochodzie. Zsunął się na skraj lasu i przeszedł jakieś dziesięć metrów wzdłuż szlaku. Starał się zachowywać normalnie, ale słabo mu to wychodziło. Schylił się po coś, a potem wrócił do samochodu, wsiadł i zamknął drzwi. Następnie wyjął to coś z kieszeni i pokazał mi. Jednorazowa zapalniczka. Napis, który na niej widniał, nie był po angielsku, to nie był nawet nasz alfabet. Ale rozpoznałam litery. Już zdążyłam się na nie napatrzeć.

- Kurczę, masz dobry wzrok - powiedziałam. - A więc tu byli.

- Co o tym myślisz? Gdzie rozbiłabyś obóz, gdybyś nie chciała, żeby ktoś cię tutaj zobaczył?

- Żadne z tych miejsc nie zapewnia dobrego widoku na dom.

- Może się pomyliliśmy. Może rozbili obóz gdzieś tutaj i tylko podkradali się bliżej, żeby szpiegować, kiedy przyszła im ochota.

- Okej, w takim razie rozbiłabym obóz kawałek stąd. Tam, gdzie las robi się rzadszy i zaczyna się Spalona Chata. Wtedy mogłabym obserwować budynki z dwóch miejsc.

Przejechałam jeszcze pięćdziesiąt metrów, a potem odbiłam w bok, na polankę po lewej stronie, która była widoczna tylko z bliskiej odległości. Wskoczyliśmy z samochodu.

Robiliśmy to tak wiele razy, że nie musieliśmy nic mówić. Wzięliśmy broń i zaczęliśmy się przesuwac wzdłuż szlaku, rozstawieni po jego obu stronach, korzystając z osłony drzew i zarośli i wyęzając wzrok, jakby nasze oczy były ruchomymi kamerami monitoringu. Używaliśmy też instynktu. Nigdy nie wiem, jak wielką wagę przywiązywać do instynktu, ale chyba czasami byłoby lepiej, gdybyśmy bardziej na nim polegałi. Ostatnio nie ma jednak większych szans. Biedactwo. Ciągłe jest spychany na koniec kolejki. W każdym razie w naszym społeczeństwie. Założę się, że u Aborygenów było inaczej - tak samo jak u tych wszystkich plemion, które musiały żyć w zgodzie ze środowiskiem naturalnym i nie traktowały go jak czegoś, co należy kontrolować albo pokonać. Podejrzewam, że ich instynkt działał całkiem niezłe. Bo jeśli nie, byłoby niewesoło. Krokodyl potrafi odgryźć nogę w mgnieniu oka. Rekiny też dość mocno gryzą. A co do dinozaurów - kurczę, pożarłyby cię na podwieczorek i nadal by narzekały, że są głodne.

Zatem co robisz? Rozwijasz instynkt najbardziej, jak się da, aż najdrobniejsza zmiana w otoczeniu sprawia, że dostajesz gęziej skórki, zasycha ci w ustach, a ułamek sekundy później zaskakuje mózg, mówiąc:

„Zaraz, zaraz, coś tu nie gra”.

Potem stopniowo ewoluowaliśmy. Nie jestem pewna dlaczego ani kiedy. Może wtedy, gdy pojawili się naukowcy, księżowi i nauczyciele.

Z jakiegoś powodu nasz instynkt musiał zrobić miejsce mózgowi i nauce, a potem ciągle słyszeliśmy: „Lepiej się nad tym jeszcze zastanowić”, „Nie należy się spieszyć”, „Czy rzeczywiście to przemyślałeś?”.

Wszyscy powtarzają, że głupcy spieszą się tam, gdzie boją się chadzać anioły.

Kiedyś słyszałam, że w czasie drugiej wojny światowej facet dowodzący SS, najgorszy z najgorszych typów, poszedł zobaczyć, jak jego żołnierze wykonują egzekucje na Żydach i wszystkich osobach, którzy też trafili na czarną listę nazistów - na gejach, Cyganach, pacyfistach - i gdy zobaczył długie rzędy ludzi uśmiercanych strzałem w głowę i wpychanych do masowych grobów, zasłabł i trzeba go było zaprowadzić do samochodu. Okej, więc można by przypuszczać, że wrócił do domu i pomyślał: „Kurczę, coś tu jest nie tak... Instynkt próbuje mi coś powiedzieć. Ciekawe co?”.

Ale nie, zamiast tego wrócił do Berlina, usiadł za biurkiem i pozwolił mózgowi znowu

przejąć dowodzenie. Zapomnijmy o tym głupim instynkcie, co on tam wie? Pomyślał, że nie może narażać miłych młodych niemieckich żołnierzy na takie okropieństwa. Zaprojektował nowy system umożliwiający zabijanie ludzi w czysty, zorganizowany, „naukowy” sposób. Stworzył fabryki śmierci. Nazwano je obozami koncentracyjnymi.

Nie posłuchał swojego instynktu i sześć milionów ludzi zapłaciło za to najwyższą cenę.

Wojna zdecydowanie rozwinęła mój instynkt. O wiele bardziej nastroiła mnie na to, co dzieje się wokół. Z dala od takich rozrywek jak telewizja, ipody i komputery moje zmysły działały o wiele lepiej.

A podejrzewam, że to one karmią instynkt, dostarczają mu potrzebnego surowca, więc bardzo często czułam się tak, jakbym funkcjonowała na innym poziomie. Dorastanie na farmie też mi nie zaszkodziło. Wiem, że w dzisiejszych czasach rolnictwo powinno się kręcić wokół nauki, kontroli rozrodu, dobrego zarządzania i płodozmianu, ale jeśli nie potrafisz poznać, że zbiera się na deszcz, że traktorowi coś dolega albo że spod podnoszonego kawałka blachy falistej wpełza wąż, równie dobrze możesz sprzedać farmę i zostać księgowym.

Oczywiście czasem nie możesz ufać instynktowi. Musisz go stłumić.

Musisz wiedzieć, że nawet jeśli zmysły dostarczają właściwych informacji, instynkt wcale nie musi ich dobrze przetwarzać i jeśli mózg natychmiast nie włączy się do gry, dojdzie do jakiejś tragedii. Nie tak dawno temu, kiedy Gavin utknął na ścianie urwiska, a ja myślałam, że spadnie i się zabije, pociągając mnie za sobą, musiałam się błyskawicznie zmienić w mistrzynię wspinaczki wysokogórskiej. Wymagało to zignorowania instynktu i wpatrywania się w skałę, przez co nie widziałam, co robię ani dokąd zmierzam.

Myślę, że takie sporty jak spadochroniarstwo, górskie zjazdy na linie i skoki na bungee, a nawet przejazdki diabelskim młynem w wesołym miasteczku wiążą się z taką samą walką między sercem i umysłem, a dreszcz emocji pojawia się w chwili pokonania starego instynktu dzięki mocy umysłu.

W każdym razie cieszę się, że mam instynkt, i w najbliższej przyszłości nie chcę go stracić. Bo nagle, kiedy ostrożnie skradaliśmy się wzdłuż szlaku, oddaliliśmy się od samochodu o nieco ponad kilometr, poczułam, że albo oblażyły mnie pająki, albo moje zmysły próbują mi coś powiedzieć. Cokolwiek to było, uznałam, że lepiej się zatrzymać. I szybko się

zatrzymałam.

Rozdział 7

Lee i ja przyjaźnimy się tak długo i tyle razem przeszliśmy, że jesteśmy powiązani długimi bawełnianymi nitkami. W lesie albo w takiej sytuacji jak ta nasze zmysły nie tylko pracują na najwyższych obrotach, ale też jesteśmy ze sobą mocno zestrojeni. Nie chcę przez to powiedzieć, że byliśmy jakimiś bohaterami. Liczyło się przetrwanie. Albo działasz w ten sposób, albo giniesz. Proste.

Dlatego kiedy się zatrzymałam, Lee też się zatrzymał. Dokładnie w tej samej chwili. Jakby zastygł w pół kroku. Bo na chwilę zastygł.

Potem postawił nogę na ziemi, patrząc na mnie w oczekiwaniu na jakąś wskazówkę, i przez cały czas chłonał, pił i wdychał wszystko, co działo się wokół. Od razu uniósł strzelbę i zauważyłam, jak przesuwa kciukiem bezpiecznik i zaciska palec na spuście. Był gotowy.

Ja też byłam gotowa, choć nie wiedziałam na co. Lekko się odwróciłam, ale z tyłu nie dobiegały żadne wyraźne sygnały. Coś było przed nami - coś, przez co te pająki łaskotały mnie tak bardzo, że miałam ochotę się podrapać. Cała sztuka polegała na tym, żeby podejść do tego w sposób, który nie narazi nas na niebezpieczeństwo i jednocześnie będzie cichy. Im bardziej oddalaliśmy się od szlaku i im głębiej wchodziliśmy w las, tym częściej deptaliśmy po gałązkach, liściach, korze i innych hałaśliwych rzeczach. Jak zwykle chodziło o to, żeby znaleźć złoty środek.

Odeszłam trochę w lewo i zaczęłam się skradać drogą. Lee zrobił to samo po drugiej stronie. Zbliżaliśmy się do małego zagłębienia. Dalej droga zaczynała się wznosić, a potem się wyrównywała i biegła prosto przez jakieś pięćdziesiąt minut, prowadząc do przeszkody dla bydła. Tam była granica między Jednym Drzewem a Spaloną Chatą.

Na polu nazywanym przez nas Jednym Drzewem prawdopodobnie rzeczywiście rosło kiedyś jedno drzewo. Może gdy mój pradziadek wyrównywał tę ziemię piłami poprzecznymi i siekierami albo gdy dziadek pomógł mu traktorami i buldożerami. Ale potem do akcji wkroczył mój tata ze swoimi nierealnymi romantycznymi ekologicznymi pomysłami i nie tylko dopuścił do tego, że w wielu miejscach ziemia z powrotem zarosła drzewami, ale sam je tam sadził, odtwarzając przy okazji jezioro.

Dlatego Jedno Drzewo w zasadzie już nie zasługiwało na swoją nazwę, ale i tak było na nią skazane.

Spalona Chata była ładnym pastwiskiem, na którym tłoczyło się teraz bydło pana Younga, przyjęte przeze mnie na wypas. Tu przebiegała wschodnia granica mojej posiadłości. Dalej było gospodarstwo Colina McCanna. Łączyła nas tylko ta granica i rzadko go widywałam, ale był porządnym gościem i dobrym sąsiadem.

Wiedziałam, że na lewo od zagłębienia, po stronie Lee, przed nami było coś w rodzaju żlebu, w którym w mokre zimy czasami zbierała się woda. Zrozumiałam, że jeśli ci kolesie są gdzieś w pobliżu, to prawdopodobnie obozują właśnie tam.

Pomachałam do Lee, żeby się zatrzymał, a potem wycofałam się z powrotem do lasu i pokonałam spory kawałek. Wyszłam niedaleko bramy prowadzącej na Spaloną Chatę, po drugiej stronie zagłębienia, i obejrzałam się w stronę szlaku, wypatrując Lee. Zobaczyłam go: chudą ciemną postać wśród chudych ciemnych drzewek. Pokazałam na żleb, dając mu do zrozumienia, czego oczekuję: chciałam, żebyśmy się tam zakradli i się rozejrzeli. Potem trochę przykucnęłam, żeby spojrzeć między drzewami.

I o mało nie urwało mi głowy. Boże, nic nie jest w stanie obrócić człowieka w proch, w papkę skuteczniej niż kula wystrzelona w jego stronę z bliskiej odległości. Mam na myśli kule, które chybiają. Wszystko nabiera płynnej konsystencji. Pewnie gdyby ta kula we mnie trafiła, też straciłabym sporo płynów, ale i tak była całkiem skuteczna. Zastygłam w półprzysiadzie. I jednocześnie zdałam sobie sprawę, że ten półprzysiad uratował mi życie. Zaczęłam kucać dokładnie w chwili, w której ten ktoś wystrzelił.

Przynajmniej mój mózg zaczął znów działać po chwilowym paraliżu.

Padłam na ziemię i szybko podpełzłam do jakichś paproci i trawy, z nadzieją że w najbliższym sąsiedztwie nie budzą się właśnie żadne węże.

Moje serce zachowywało się jak pusty kanister na pace pikapa jadącego drogą gruntową z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

I mam tu na myśli drogę pożarową. Nie wiedziałam, czy moje serce to wytrzyma. Zastanawiałam się, gdzie jest Lee i czy strzelający go zauważył. Druga kula trafiła w drzewo za mną, ale w porównaniu z pierwszą sporo chybiła. Zaszłam się głębiej w zaroślach, a

potem od razu zaczęłam się przesuwając w prawo, licząc, że uda mi się do niego - albo do nich - strzelić.

Nie odbezpieczyłam strzelby, bo wleczenie broni przez trawę byłoby wtedy po prostu zbyt niebezpieczne. Ktoś zaczął strzelać właściwie na oślep, ale zauważyłam, że kule lecą zgodnie z pewnym schematem, co oznaczało, że kiedy zaczną świstać bliżej, mogę przywrzeć do ziemi.

Zanim to nastąpiło, prawie całkiem ogłuchłam. Jedna kula ominęła mnie z lewej, a druga z prawej. Powiedziałabym, że od tej, która śmignęła bliżej, dzieliły mnie niespełna dwa metry. Ale wtedy byłam już tak rozplaszczona, że można by na mnie położyć poziomnicę i banieczka wcale by się nie przesunęła. Zachowałam się jak kolczatka i wwierciłam się w ziemię, próbując zrobić wgłębienie tam, gdzie brakowało wgłębień.

Ale gdy kule mnie ominęły, wykazałam się szybkością, jakiej nie mogłaby rozwinąć żadna kolczatka, i ruszyłam w stronę ogrodzenia Spalonej Chaty.

Wiedziałam, że las jest tam o wiele rzadszy i będę miała lepszy widok. Oczywiście przy okazji sama stanę się lepiej widoczna, ale musiałam na niego - albo na nich - spojrzeć i ocenić, z czym mam do czynienia.

Nagle strzały ucichły. Jeśli nie liczyć dzwonienia w moich uszach, zapadła całkowita cisza. Mogłabym się założyć, że wszystkie ptaki w promieniu dwóch kilometrów trzymają dzioby na kłódkę i lecą w stronę wzgórz. Nie było słyhać znajomego „bach, bach, bach” rozpedzonych kangurów. Ani muczenia i mrużenia bydła. Chyba wszystko skupiło się na mnie, na Lee i na nieznaną liczbę uzbrojonych ludzi, którzy chcieli nas zabić.

Starłam się robić jak najmniej hałasu, choć teraz i tak nie byłabym go w stanie usłyszeć. Może gdybym zaczęła krzyczeć na całe gardło i jednocześnie skakać po grubych suchych gałęziach... no, to pewnie bym usłyszała. Nadal na czworaka przedzierałam się przez paprocie i trawę, próbując nie zwracać uwagi na jeżyny, z którymi co chwila się zderzałam, aż w końcu uznałam, że mogę zaryzykować i zerknąć.

Zerknęłam, ale niczego nie zobaczyłam. Powoli odwróciłam głowę i zerknęłam jeszcze raz, dłużej, lecz nadal bez rezultatu. Znowu zaczęłam się zastanawiać, gdzie jest Lee. I po chwili przeżyłam nagły szok, bo gdy zerknęłam po raz trzeci, ujrzałam ich jak na dłoni.

Dwóch młodych mężczyzn w kamuflażu. Powoli przesuwali się wzdłuż drogi, dokładnie tak samo jak wcześniej ja i Lee. Widocznie czytaliśmy ten sam podręcznik dla partyzantów. Trzymali karabiny w pogotowiu i wyglądali dość profesjonalnie. Ja zerkałam, a oni się rozglądali.

Ostrożnie podniosłam strzelbę, nadal starałam się nie hałasować.

Uświadomiłam sobie, że huk wystrzałów też musiał ich dobrze ogłuszyć.

Wymierzyłam, ale nie wiedziałam, co robić. Powinnam była ich zastrzelić z zimną krwią? Nie miałam większych skrupułów, pamiętając, jak zaciekle próbowali mnie przed chwilą wykończyć, ale nie byłam pewna, czy to dobre posunięcie taktyczne. Czy mogłabym ich wziąć do niewoli? Bałam się tego. Wiem, na filmach wszystko wygląda bardzo prosto, ale w prawdziwym życiu widziałam same problemy. Co jeśli każę im iść drogą w określonym kierunku, a oni odmówią? Czy wtedy ich zabiję? Czy będę w stanie ich zastrzelić?

Przeklęty Lee, gdzie on się podziewał? Potrzebowałam rady. Czyjejs, czyjejkolwiek, ale rady Lee albo Homera ceniłam wyżej niż rady większości innych ludzi, zwłaszcza w takiej sytuacji jak ta.

Potem zrozumiałam, że zauważyli Lee, nawet jeśli mnie się to nie udało. Podczas gdy ja nadal się zastanawiałam, czy pociągnąć za spust, a jeśli tak, to którego zastrzelić najpierw, oni nagle zastygli. Potem jeden odszedł dwa kroki w lewo, a drugi dwa kroki w prawo. Obaj znaleźli się poza zasięgiem mojego wzroku. I oddali strzał prawie w tej samej chwili, tak że rozległ się tylko jeden huk. Lee odpowiedział ogniem. Widocznie znalazł dość dobrą pozycję, bo dał im popalić. Strzelił jeszcze raz, a potem dwa razy. Pewnie wymienił magazynek. Widziałam gałęzie odskakujące pod gradem kul. Spadały liście. Chyba Lee zmusił tych gości do odwrotu, bo dość dobrze ich teraz słyszałam: krzyczeli coś do siebie w swoim języku. Brzmiało to tak, jakby byli dwadzieścia metrów dalej na drodze, prawie przy bramie.

Pobiegłam, żeby zająć lepszą pozycję. Wiedziałam, skąd jest dobry widok na ogrodzenie. Gdybym mogła ich złapać, kiedy będą przechodzili przez przeszkodę dla bydła, na chwilę wytrąciłabym ich z równowagi.

Trudno przejść przez taką przeszkodę, zwłaszcza jeśli jednocześnie próbujesz się skupić na strzelaniu do ludzi.

Ale kiedy znowu ich zobaczyłam, byli już za przeszkodą. Sprawnie im poszło. Pędzili w stronę małej kępy drzew, od czasu do czasu uskakując na boki. O tak, zdecydowanie byli zawodowcami. Lee przybiegł drogą, dysząc, jakby właśnie zrobił dziesięć kilometrów. Ruszyłam wzdłuż ogrodzenia, stawiając olbrzymie kroki nad pniami, kamieniami i rowami.

Spotkaliśmy się przy bramie i bez słowa przebiegliśmy po przeszkodzie dla bydła. Lee ukląkł na jedno kolano i wymierzył, ale wiedziałam, że marnuje czas. Kiedy biegniesz, kiedy jest tak gorąco i zmagasz się z paniką, nie sposób trzymać broni nieruchomo, nie da się dobrze wymierzyć, pot spływa do oczu, trzęsie ci się ręka i kula leci za bardzo w bok, za wysoko, za blisko albo jeszcze inaczej. Lee powinien był o tym wiedzieć.

Byłoby śmiesznie, gdyby po tych moich wywodach trafił, ale nie trafił. Nie widziałam, gdzie poleciała kula, mimo że musiałam się zatrzymać i poczekać, aż Lee odda strzał. Nie miałam zamiaru biec przodem, podczas gdy on zabawiał się strzelaniem za moimi plecami.

- Szybciej - ponagliłam go, a wtedy wstał i pobiegł za mną.

Zrozumiałam, że pakujemy się w kłopoty. Że kiedy ci goście dobiegną do kępy drzew - a nic, co mogliśmy zrobić, nie było w stanie ich powstrzymać - sytuacja nagle się odwróci. Byliśmy w dużej niezadrzewionej części pastwiska. Nie mieliśmy tam żadnej osłony. Po mojej lewej stronie, za dwunastoma bardzo zaniepokojonymi i nieszczęśliwymi krowami, znów rozciągał się las, ale rósł daleko. Czekał nas grad kul ze strony dwóch zawodowych żołnierzy, którzy dobrze się przed nami schowają. Po prawej było jeszcze więcej bydła i szczyt wzgórza, przez który biegło ogrodzenie oddzielające moje pastwisko od ziem Colina McCanna.

Obejrzałam się za siebie i nawet jeśli dotąd się nie pociłam, to teraz zaczęłam. Kurczę, byliśmy daleko. Za daleko. Biegliśmy za szybko.

Wuefiści z liceum w Wirrawee byliby z nas dumni. Powinni byli zorganizować jakąś ceremonię na naszą cześć. Szkoda tylko, że pośmiertnie.

- Tędy! - krzyknęłam do Lee.

Widocznie zauważył problem w tej samej chwili co ja, bo zwalniał i chyba dopadły go

wątpliwości. Odbiłam w lewo, przebiegłam najwyżej dziesięć metrów, a potem przyszła moja kolej, żeby przyklęknąć i unieść strzelbę. Boże, tato, panie Young, wybaczenie mi to, co za chwilę zrobię. To była najgorsza chwila w mojej karierze farmerki. Totalny dół.

Nie sposób ustrzelić lisa, kiedy on biegnie, a tobie brakuje sił i drzysz z podniecenia polowaniem. Prawdopodobnie nie sposób trafić do człowieka w podobnej sytuacji, choć nie mam w tym zakresie dużego doświadczenia. Ale bardzo łatwo trafić w dwa byki, zwłaszcza jeśli spokojnie stoją i obserwują cię z bardzo ponurą podejrzliwością. Oba strzeliłam w łeb i od razu osunęły się na ziemię. Pierwszy przyklął na przednich nogach i na chwilę zastygł w tej pozycji, a potem powoli przewrócił się na lewą stronę. Drugi padł od razu, też na lewą stronę.

Reszta bydła uciekła w popłochu.

Ruszyliśmy sprintem w stronę byka, który leżał bliżej. Kiedy do niego dopadliśmy, okazało się, że wcale nie jest martwy, ale z drugiej strony nigdzie się nie wybierał. Zdążyliśmy w ostatniej chwili, bo już kiedy byliśmy dziesięć metrów od niego, zaczął się ostrzać od strony drzew. Chyba nie pokonałam tych dziesięciu minut biegiem, raczej je przefrunęłam. Pamiętam jak przez mgłę ten długi sus, po którym wylądowałam z łoskotem przy unoszącym się i opadającym boku zdychającego byka.

Boże, czasami człowieka dopada emocjonalne przeciążenie. Leżałam tam i czułam: a) paniczny strach, że w ogóle do mnie strzelają, b) wściekłość na tych gości i dzikie pragnienie zabicia ich, c) przerażenie okropnym sapaniem osłaniającego mnie zwierzęcia, oraz d) wyrzuty sumienia po zastrzeleniu dwóch pięknych i zdrowych sztuk bydła, i e) radość, że jest przy mnie Lee, który oprócz Homera był chyba jedynym znanym mi człowiekiem mogącym pomóc mi wyjść z tego z życiem.

Gdybym miała więcej czasu, pewnie czułabym też coś związanego z Gavinem, ale na tę krótką chwilę zupełnie o nim zapomniałam.

- Na kolację będzie wołowina z grilla - powiedział zdyszany Lee.

Natychmiast dodałam do swojej listy kolejną emocję: wściekłość na Lee. I tak dotarliśmy do punktu f).

- Jeśli zginiemy, nie będzie żadnego grilla - warknęłam.

Sześć kul trafiło w byka i wspaniałe zwierzę skonało, nie wydając żadnego dźwięku. Siła pocisków była przerażająca. Całe szczęście, że byki zdążyły nabrać ciała. Chude zwierzę byłoby kiepską osłoną. Ale ten byk też był już tylko truchłem, posiekany tak, jakby najgorszy rzeźnik na świecie potraktował go tępą siekierą. Wokół rozprysły się kawałki mięsa.

Z przodu Lee był wysmarowany krwią, a kiedy spojrzałam w dół, zauważyłam, że jestem w identycznym stanie. Od razu pojawiło się parę much.

- I co teraz, geniuszu? - spytał Lee.

Trzeba przyznać, że nie powiedział tego złośliwym tonem. I dorzucił niepewny uśmiech. W głębi serca wiedziałam, że jest mi wdzięczny za kilkakrotne uratowanie mu życia. Tak samo jak ja byłam mu wdzięczna za uratowanie mojego.

Przyszła pora, żeby mózg przejął dowodzenie. Instynkt może być przydatny jako wsparcie, ale to była robota dla mózgu.

- A jak myślisz, czemu zastrzeliłam dwa byki? - spytałam, nie mając jednak zamiaru czekać na odpowiedź.

Ostrzał ustał. Zastanawiałam się, czy zaczyna im brakować amunicji.

- Osłaniaj mnie - rzuciłam i pobiegłam do drugiego byka.

Był tak blisko, a zarazem tak daleko. Miałam wrażenie, że biegnę i biegnę, ale nigdzie nie dobiegam. Wiaterek dmuchał mi w twarz, góry wydawały się tak bliskie, że można by ich dotknąć, ale truchło drugiego byka wcale się nie zbliżało. Biegając tak w nieskończoność, usłyszałam strzały Lee. Och, nie miałam na to ochoty. Owszem, emocje były silne, a ja się od nich uzależniłam, i choć uwielbiałam muzykę, przyjaciół i pokój, nic nie było w stanie przebić palącej agonii umysłu i ciała, której doświadczałam, kiedy gra szła o moje życie, ale co za dużo, to niezdrowo, chciałam znowu być człowiekiem. A na wojnie nie można być człowiekiem.

Obok mnie śmignęła kula, wydając dziwny przeciągły dźwięk niepodobny do żadnego innego. A potem następna, jeszcze bliżej. Znowu skoczyłam, wylądowałam obok drugiego martwego albo umierającego zwierzęcia i skuliłam się pod osłoną jego ciepłego boku. Nim dożyję sędziwego wieku, zginie wiele zwierząt, żebym mogła się najeść i ubrać albo dlatego że będę kierowała samochodem, albo dlatego że nie zdołam ich ochronić przed lisami i krukami. Ale niewiele z nich skona tak blisko mnie jak te dwa byki. Szybko spojrzałam na zagajnik. Ostrzał znowu ustał.

Pomachałam do Lee i oddałam pierwszy strzał, żeby go osłonić.

Wystrzelona w odpowiedzi kula uderzyła w mojego byka z taką siłą, że truchło aż się zakołysało. Ale na tym się skończyło. Znowu zaczęłam się zastanawiać, czy nie brakuje im amunicji. Sama miałam jej już niewiele.

Mimo to kiedy Lee opuścił bezpieczny przyczółek obok pierwszego byka, otworzyłam ogień. Musiałam. Nie było sensu skazywać Lee na śmierć, żeby zachować amunicję na jakąś późniejszą hipotetyczną strzelaninę.

Wymierzyłam w miejsca, w których wcześniej dały się zauważyć małe błyski ognia, w zasadzie nie liczyłam na to, że kogoś trafię, ale nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć na takim dużym pastwisku.

Lee dotarł bez szwanku. Znowu głośno dyszał.

- Co ty na to? - spytał, sapiąc.

- Ja na to, że nie zostało mi za dużo amunicji.

- Mnie też.

Oślaniając Lee, wystrzelałam następny magazynek. Teraz, starając się zapanować nad drżeniem rąk, załadowałam resztę naboju. Nie chciałam ich tam pakować na oślep, kiedy zrobi się gorąco.

- Moglibyśmy pobiec na skraj zagajnika i potem ich zaskoczyć - powiedziałam.

Lee oblizał usta.

- Chyba nie ma sensu.

Zanim zdążyłam zareagować, dodał:

- Spójrz na to z logicznego punktu widzenia. Przecież próbujemy odzyskać Gavina. Nie zrobiliśmy im krzywdy, tylko ich wystraszyliśmy, więc jeśli teraz się wycofamy, nie powinni do nas chować urazy. Nie powinni się zemścić na Gavinie.

- Ale co potem? Zostawimy ich tutaj, żeby robili, co im się podoba?

Nie chcę jechać do Havelock, kiedy te głąby biegają sobie po mojej ziemi.

- Moglibyśmy wezwać gliny i ich otoczyć.

- Wtedy będziemy mieli identyczny problem: ich kumple się dowiedzą, że zostali złapani, i mogą się odegrać na Gavinie.

Prowadziliśmy tę rozmowę w tak gorączkowym nastroju, że mój mózg odmawiał współpracy. Nie potrafiłam wymyślić idealnego rozwiązania, a tylko takie mnie interesowało.

Wtedy Lee przemówił tym zimnym tonem, który gasi słońce i sprowadza grad:

- W takim razie musimy ich zabić, zanim skontaktują się z bazą.

Wtedy ich kumple nigdy się nie dowiedzą, co tu zaszło.

Mniej więcej to samo ustaliliśmy w domu, ale z jakiegoś powodu na ciepłym pastwisku, gdy ci ludzie byli tak blisko, zabrzmiało to bardziej przerażająco. Teraz wróg był prawdziwy, nawet jeśli niczego o nim nie wiedzieliśmy.

Kiedy przetrząsałam umysł w poszukiwaniu właściwej odpowiedzi, Lee nagle zeszytniał. Zupełnie jakby ukąsił go wąż albo oblażył jadowite mrówki.

- Są tam - powiedział.

I rzeczywiście, dwaj mężczyźni biegli przez pastwisko na lekkie wzniesienie, kierując się w stronę ogrodzenia. Tego się nie spodziewałam.

Pewnie też brakowało im amunicji, ale poza tym chyba trochę się wystraszyli, kiedy zaczęliśmy ich gonić. Wiedzieli, że mamy dobrą pozycję, żeby przypuścić atak na ich kryjówkę wśród drzew i podejrzewam, że uporczywość naszego pościgu mogła ich wprowadzić w osłupienie. Może podejrzewali, że mamy nieograniczoną ilość amunicji.

Bez słowa ruszyliśmy za nimi. Na wojnie zdecydowanie zapomina się o wartości własnego życia. Zdążyłam dobrze poznać ten stan. W takich chwilach coś wyłącza ci mózg. O tak, ci dwaj szli prosto do wyłącznika, do tego dużego pstryczka z ostrzegawczym napisem: „Uwaga, niebezpieczeństwo: nie dotykać!”, zignorowali te słowa, pstryknęli i odcięli całe zasilanie. Pobiegłam przez pole, jakbym zupełnie przestała dbać o życie. I to wcale nie było złudzenie. Nie dbałam o nie. Wszystkie racjonalne myśli zniknęły, wszystkie wspomnienia zostały wymiecione, przyszłość przestała istnieć. W takich chwilach można się pogodzić z ryzykiem śmierci. Kiedy widzę ludzi w żałobie po nagłym odejściu kogoś bliskiego, mam ochotę im powiedzieć: „To nie było dla niego takie straszne. Jeśli człowiek widzi, że zbliża się śmierć, a wcześniej nic go nie ostrzegło, po prostu się na nią godzi. W tych kilku ostatnich chwilach godzi się na śmierć. Zapomina o wszystkim, o swoich zobowiązaniach, nadziejach, obawach - oddaje wszystko bez walki. Napina mięśnie, przyjmuje cios i nie ma miejsca ani czasu na nic innego. Wie, że tak już musi być, więc opuszcza go cały strach. Wierz mi, widziałam wystarczająco dużo umierających ludzi. Wierz mi, wystarczająco dużo razy otarłam się o śmierć. Tak to już jest”.

To nie umierający mają problem, ale ci, którzy żyją dalej. Mają czas, żeby o tym wszystkim myśleć. I mają wyobraźnię. Czas w połączeniu z wyobraźnią to nie zawsze dobry zestaw. Bo kiedy ma się jedno i drugie, bez końca roztrząsa się to, co się stało, przeżywa się to setki, tysiące razy, w zwolnionym tempie, dodając ścieżkę dźwiękową i ścieżkę emocjonalną.

Zmarli tego nie potrafią. Dla nich wszystko zamyka się w kilku sekundach. A do ciebie przykleja się na następne pięćdziesiąt lat. Albo i na dłużej.

Teraz, kiedy o tym piszę, argumenty brzmią bardzo sensownie.

Szkoda, że nie umiem skorzystać z własnych rad, zwłaszcza gdy chodzi o moich rodziców i to, co ich spotkało. Z Robyn jest łatwiej, bo kiedy umierała, widziałam jej twarz,

więc w tym wypadku nie jestem zdana na domysły. W ostatniej sekundzie jej istnienia zobaczyłam tę zgodę na jej twarzy.

A teraz pędziłam przez pastwisko jak wariatka - byłam w swoim żywiole, jeśli można tak powiedzieć - i goniłam dwóch uzbrojonych facetów, którzy właśnie zbliżali się do ogrodzenia na szczycie wzgórza. Po lewej stronie miałam Lee, znowu bawiącego się w „przyklękanie i strzelanie”, choć efekt wcale nie był lepszy niż za pierwszym razem.

Myślałam, że kiedy tamci goście dobiegną do ogrodzenia, będziemy mieli szansę, bez względu na to, jak dobrze są wyszkoleni, bo przedostanie się na drugą stronę zajmie im trochę czasu. Postanowiłam, że wtedy ja też oddam parę strzałów. Ale okazali się zbyt dobrze wyszkoleni. Kiedy dobiegli do ogrodzenia, jeden z nich się odwrócił i uniósł broń, a drugi zaczął się przeprawiać przez drut kolczasty. Szybko padłam na ziemię.

Zobaczyłam, że Lee zrobił to samo. Przywarłam do trawy, przesuając się w prawo, za niewielkie wzniesienie. Facet oddał jeden strzał, ale na tym skończył. Oczekałam jeszcze kilka sekund, a potem podniosłam głowę.

Drugi żołnierz przechodził przez ogrodzenie, a pierwszy go osłaniał. Byli naprawdę szybcy. Lee strzelił jeszcze raz, podniósł się i pobiegł dalej.

Nikogo nie trafił. Ale biegł tak szybko, jakby był pewny, że przynajmniej jeden z nich nie ma już naboju. Nie chciałam zostać w tyle, więc też się podniosłam. Biegłam zygzakiem. Facet uniósł karabin, jakby miał zamiar strzelić, i obydwójce padliśmy na ziemię. Ale nie strzelił. Chyba Lee miał rację. Teraz, kiedy znalazłam się w lepszej pozycji do strzału, wymierzyłam do tego po lewej i pociągnęłam za spust. W ostatniej chwili, zanim moja strzelba wystrzeliła, facet odskoczył i zniknął za wzgórzem.

Od razu się podniosłam. I obydwójce z Lee szybko pobiegliśmy na górę.

Kiedy dotarliśmy do ogrodzenia, byli sto metrów przed nami. Ale w tej samej chwili zobaczyłam, że z prawej strony nadciąga coś wielkiego.

Co jest, do cholery? Przez chwilę myślałam, że to jakiś wielki pojazd.

Czyżby już przyjechała policja? Czyżby ktoś usłyszał strzały i ją wezwał?

Kiedy w końcu zrozumiałam, co to takiego, poczułam się jak kretynka.

Colin McCann wyprowadził na pastwisko swojego byka. Nie widziałam tego zwierzęcia od dwóch miesięcy. Było wspaniałe, należało do najlepszych byków w okręgu. Rogaty hereford - w dzisiejszych czasach rzadko spotykane zjawisko - ciemnorudy, wielkości samochodu dostawczego, z tylnymi ćwierćtusami, od których biła moc, i z dumnie

uniesionym łbem. Col nigdy nie obcinał bykom rogów. Chyba był purystą i lubił naturalny wygląd. Poza tym obcinanie rogów to krwawy zabieg i byki go nie znoszą.

Każdy ma swoją opinię na temat rogów, a mnie najbardziej podobało się podejście Tammie Murdoch, która zatknęła na rogach swoich kóz piłki tenisowe i przymocowała je metrami taśmy klejącej. Przez to jej kozy wyglądały naprawdę śmiesznie, jak przybysze z kosmosu. Kozy i bez tego wydają się wiecznie oszołomione, co w sumie pasuje do piłek tenisowych.

W dzisiejszych czasach większość byków jest dość łagodna, bo tak są hodowane. Prawie wszyscy farmerzy, których znam, zawożą agresywne sztuki do rzeźni. W zasadzie nawet byk, który przez lata zachowywał się bez zarzutu, kończy w hamburgerze, jeśli zrobi niewłaściwy krok. Albo - jeśli jest wystarczająco młody, by wyrosnąć na dobrego wołu - właściciel poprzestaje na kastracji. Wtedy zamiast w hamburgerach, zwierzę kończy jako stek albo kiełbasa. Dla byka to oczywiście znacznie lepszy los, który przepełnia go dumą i radością.

W każdym razie chodzi o to, że nie warto zadzierać z agresywnymi bykami. To potężne maszyny do zabijania na lądzie, równie skuteczne jak rekiny, hipopotamy albo krokodyle w wodzie. Ważą tony, są szybkie i choć nie potrafią zawrócić na pięciocentówce, to pięciodolarowy banknot z pewnością by im wystarczył. I jeszcze jedno: nigdy nie można im ufać.

Tak samo jak ogierom. Nieważne, jak długo je znasz, nieważne, jak miłe i grzeczne dotąd były - zawsze mogą zaatakować. Czasami powód jest oczywisty: jeśli na przykład zabierasz ze stada krowę w rui, nie powinieneś oczekiwać, że byk cię polubi. Ale bywa, że nie sposób znaleźć przyczyny. Byk hodowany tradycyjnie jest zwykle bardziej niebezpieczny, ale z drugiej strony byk, który nie miał za dużo kontaktu z ludźmi, też stwarza zagrożenie. Rogate byki bywają agresywne częściej niż bezrogie.

A na pastwisku każdy byk ma wokół siebie tak zwany dystans ucieczki, którego wielkość różni się u poszczególnych zwierząt.

Byk Cola prawdopodobnie miał duży dystans ucieczki, bo pasł się na dużym polu, bo Col karmił go osobiście i dlatego że ostatnio rzadko widywał ludzi. Jeśli przekroczysz dystans ucieczki zwierzęcia, ono zwykle odwraca się i ucieka. Ale nie zawsze tak to wygląda.

Mechanizm działa w wypadku królików, gołębi i zazwyczaj u węży. Jeśli jednak mają agresywne usposobienie, natrafisz na ich zły dzień albo są skacowane po nocnej popijawie, a ty zakłócisz im spokój, możliwe, że sam będziesz musiał uciekać. A jeśli w dodatku są duże, mają całe paszcze jadu i na domiar złego nachodzisz je w sposób, który budzi poczucie zagrożenia, lepiej od razu sprawdź swoje ubezpieczenie na życie.

Dwaj żołnierze chyba nie tylko nie mieli o tym większego pojęcia, ale na domiar złego nie zauważyli byka. Byli zbyt zajęci oglądaniem się na nas. Byk paś się po ich prawej stronie. Jego dystans ucieczki mógł liczyć około stu metrów. A żołnierze znaleźli się w odległości trzydziestu. Czyli mieli pecha. Jeszcze gorsze było to, że byk przejawiał wszelkie oznaki strasznego wkurzenia. Spuścił łeb, potrząsał nim i grzebał kopytem w ziemi: całe jego ciało było zdenerwowane. Tak wyglądał byk szykujący się do poważnej rozróby. Kiedy podbiegliśmy do ogrodzenia, Lee chciał oddać następny strzał, ale cicho zawołałam:

- Nie strzelaj, nie strzelaj.

Wydawał się zdziwiony. To niesamowite, ale chyba też nie zauważył byka. Dwutonowy potwór stał się niewidzialny. Pokazałam na zwierzę palcem i Lee wytrzeszczył oczy. Załedwie przed chwilą dotarliśmy na szczyt wzgórza i rozglądaliśmy się w poszukiwaniu miejsca, w którym można by przejść przez ogrodzenie, ale obydwójce się zatrzymaliśmy.

Jeden z żołnierzy jeszcze bardziej zmniejszył swoje szanse, bo oglądając się na nas i próbując uciec z najlepiej widocznej części pastwiska, odbijał coraz bardziej w prawo. Pomyślałam, że jeśli nie zmieni kursu, to wystarczy, że byk otworzy mordę i gość sam do niej wskoczy. W tej samej chwili facet po lewej zauważył problem. Krzyknął do kumpla, a ten się zatrzymał i odwrócił. Nie widziałam jego miny, ale podejrzewam, że takie rzeczowniki jak osłupienie i panika walczyłyby o pierwsze miejsce na liście z jej opisem.

To, co wydarzyło się później, rozegrało się jak okropny dramat z dwoma widzami. Ja i Lee staliśmy po naszej stronie ogrodzenia niczym jakaś publiczność. Oczywiście gdyby byk zechciał przedrzeć się przez ogrodzenie, mógłby to zrobić w każdej chwili, ale na szczęście prawie wszystkie krowy żyją i umierają, nie dokonawszy tego odkrycia. Całkiem jak w szkole: większość uczniów pokonuje drogę od przedszkola do dwunastej klasy, nie mając pojęcia, że gdyby chcieli, mogliby poważnie narozrabiać. Zostają za ogrodzeniem.

Czasem trafia się byk, którego nie można powstrzymać ogrodzeniem, i takie zwierzę często dostaje w nagrodę bilet w jedną stronę do ubojni. Kiedy byłam mała, mieliśmy byka, który nauczył się nawet wsadzać łeb pod drut biegnący u dołu ogrodzenia i wrywać z ziemi rząd palików. Następnie kładł ogrodzenie na ziemi i przechodził po nim, stąpając delikatnie, żeby nie poranić sobie kopyt na paskudnym drucie kolczastym. Nie wiem dokładnie, co się z nim stało, ale mogę się domyślić.

Facet po prawej zaczął uciekać. To było najgorsze, co mógł zrobić.

Nigdy nie odwracaj się do byka plecami. Największą szansą tego człowieka, jego jedyną szansą, było użycie karabinu w taki sam sposób, w jaki ja używam kija do krykieta, kiedy mam do czynienia z niektórymi bykami: wymachuję nim i dzięki temu wyglądam na większą i groźniejszą.

A zamiast tego gość wyrzucił karabin. Widocznie obu skończyły się naboje, bo jego kumpel też nie próbował strzelać. To była dobra wiadomość dla byka.

Ja i Lee nadal mieliśmy strzelby i amunicję. Spojrzeliśmy na siebie i bez słowa podjęliśmy tę samą decyzję. Odwróciliśmy się w stronę sceny, żeby obejrzieć tragedię.

Zrobiliśmy nawet coś jeszcze gorszego. Facet biegł prawie prosto na nas. W pobliżu nie było innego ogrodzenia ani żadnej osłony, więc chyba zapomniał o naszym istnieniu albo uznał, że jesteśmy mniejszym zagrożeniem niż byk. Może myślał, że jesteśmy fajniejsi, niż byliśmy w rzeczywistości. Podobno mili kończą ostatni. Ale w czasie wojny zdążyłam się nauczyć, że mili ludzie giną. Dlatego podniosłam strzelbę i wymierzyłam do niego, żeby nawet mimo przerażenia wiedział, że za chwilę może dostać kulkę. Nie zamierzałam strzelać, ale nie dlatego, że jestem miłą dziewczyną. Po prostu bałam się, że huk wystrzału mógłby wystraszyć byka. Taka jestem miła.

Podniósł ręce, jakby się poddawał, a może żeby błagać o życie, i gwałtownie odbił w lewo, jakby chciał pobiec za kumplem. Tamten stał jak wryty. Podczas gdy żołnierze tańczyli swój taniec, byk nie tracił czasu.

Gdy jeden z facetów zaczął biec, wielkie zwierzę ruszyło za nim. Mimo dwudziestometrowej przewagi i zmiany kierunku, która pozwoliła skrócić drogę ucieczki, facet nie miał szans. To była furia na czterech nogach.

Olbrzymi czerwony czołg z oczami świni i ogonem sterczącym jak ster.

Morderstwo na najbardziej prymitywnym poziomie. Byk dogonił ofiarę.

Na samym końcu facet przyspieszył i znowu podniósł ręce, ale byk już go miał. Żołnierz upadł w kłębach kurzu. Albo nadal byłam ogłuszona, albo nie wydał z siebie żadnego dźwięku, bo nie słyszałam niczego oprócz kilku parsknięć byka, który poruszał wielkim cielskiem jak wykolejonym wagonem bydlęcym.

Dwie tony wołowiny przetoczyły się po nogach, plecach i głowie faceta, który leżał bez ruchu w tumanie opadającego kurzu. Ale byk jeszcze nie skończył. Nie tylko jeden człowiek wtargnął na jego teren. Był tam też drugi intruz, który bez wątpienia chciał mu zabrać krowy, planował poderwać parę gorących lasek. O nie, ten byk nie miał zamiaru stać i patrzeć, jak najpiękniejsze krowy na pastwisku znikają na horyzoncie, idąc na kawę z kimś obcym.

Dygocząc z wściekłości, trzęsąc się na całym ciele, nad którym unosiła się fala gorąca, byk zmierzył drugiego mężczyznę przekrwionymi oczkami. Prawie jak te samochodziki, które kilka razy przesuwają się po dywanie, zanim w końcu się je wypuści. Gromadził energię, nabierał rozpędu, gotowy do następnego błyskawicznego natarcia.

Krowy patrzą tam, gdzie chcą dotrzeć, a ten byk gapił się na żołnierza tak mocno, że nawet ktoś, kto nigdy nie widział byka, zrozumiałby, co się święci. Żołnierz - nie wiem, czemu ciągle ich nazywam żołnierzami, przecież to obraza dla prawdziwych żołnierzy, takich jak generał Finley - wycofywał się rakiem, ale po chwili się odwrócił i zaczął uciekać. Zbliżał się do ogrodzenia pod innym kątem, chcąc do niego dopaść jakieś czterdzieści metrów od nas, po lewej. Razem z Lee trzymaliśmy strzelby w pogotowiu.

Tym razem musieliśmy ich użyć. Kiedy facet znalazł się dziesięć metrów od słupka, Lee strzelił. Nie wiem, jak blisko śmignęła kula, ale chybił. Dopiero później zrozumiałam, że chybił celowo. Uciekający odbił w drugą stronę, pochylił głowę i pobiegł w kierunku widocznego w oddali drzewa. Tętent kopyt za jego plecami musiał wyraźnie pobrzmiwać mu w głowie, nawet mimo ogłuszenia strzelaniną.

Czasami ciało człowieka wydaje się bardzo powolne. Nawet gdyby ten facet zerwał sobie wszystkie wiązadła, zwichnął wszystkie stawy, naciągnął wszystkie mięśnie, nie byłby

w stanie biec szybciej. Zanim zwierzę go dopadło, zdążył pokonać zaledwie jedną czwartą drogi do drzewa. Byk zarzucił olbrzymim łbem, złapał intruza na rogi i żołnierz wystrzelił w górę jak rażony milionem woltów. Człowiek przestał być człowiekiem, mimo że nadal żył. Teraz przypominał rzecz, przedmiot pozbawiony umysłu i serca, a z pewnością kontroli nad głową, rękami i nogami. Ciało gruchnęło o ziemię i byk natychmiast znowu na nie natarł, używając rogów jak śmiertelnej broni, którą faktycznie były, dźgając nimi, bodąc i podzucając. Nie zwracał uwagi na krew, która zaczęła plamić ubranie ofiary, rozbryzgując się na byczej mordzie i przednich nogach.

Zobaczyłam, jak kończyny żołnierza mlóć powietrze, usłyszałam płaczliwy krzyk, który brzmiał aż nazbyt ludzko, a potem odwróciłam wzrok.

Rozdział 8

Boże, Lee potrafi być taki zimny. Kiedy to wszystko się działo, mój mózg przestał pracować, bo zmysły odbierały tyle bodźców, że wszystko wewnątrz mnie musiało się skupić na ich przetwarzaniu, ale Lee myślał, myślał, myślał.

Gdy wyglądało na to, że jest już po wszystkim - dwa nieruchome, zmasakrowane ciała leżały na ziemi, a byk dumnie kroczył wokół, prychając i parskając - Lee odwrócił się do mnie i powiedział:

- To może nam być bardzo na rękę.

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem.

- Niczego nie czujesz?

- To przychodzi później. I przestań mnie traktować, jakbym był jakąś zimną maszyną do zabijania. Mam tego dość.

- Okej - powiedziałam potulnie.

Tak naprawdę, kiedy to wszystko się działo, też wiedziałam, że to, co robi byk, jest nam na rękę. Po prostu Lee bardziej rozwinął tę myśl, o czym za chwilę miałam się przekonać.

- Słuchaj, co musimy zrobić - zaczął. - Trzy rzeczy. Po pierwsze, przeszukać ciała i sprawdzić, czy nie mają komórek ani niczego innego.

Dzięki temu będziemy pewni, że nie powiedzieli kolegom o pościgu. Po drugie, zabierzemy im karabiny. Po trzecie, pozbieramy wszystkie łuski po nabojach.

- Czemu mamy zbierać łuski po nabojach? - spytałam powoli.

- Słuchaj - powiedział - w pewnym sensie właśnie dokonaliśmy zbrodni doskonałej. Co będzie, kiedy właściciel tego byka przyjdzie zajrzeć na pastwisko? Znajdzie dwóch martwych gości, najwyraźniej zabitych przez to zwierzę. Przerazi się. Wezwie gliny. Przyjadą.

Przeszukają teren i prawdopodobnie znajdą ich obozowisko, a potem zrozumieją, że to członkowie bandy, która porwała Gavina, i że obserwowali twoje gospodarstwo. Gliny się z tobą skontaktują i powiedzą:

„Właśnie znaleźliśmy dwóch mężczyzn zabitych przez rozjuszonego byka”. I dopiero wtedy się o tym dowiesz. Nigdy nie przyjdzie im do głowy, że w gruncie rzeczy zapędziliśmy tych gości na pastwisko albo, inaczej mówiąc, że sami się tam zapędzili. Wszystko będzie wyglądało tak, jakby wybrali się na miłą przechadzkę po lesie i przez własną niewiedzę w jakiś sposób sprowokowali byka. Zabraknie dowodów sugerujących inny scenariusz. Nikt się nie dowie, że doszło do strzelaniny.

- Pewnie nie.

- Jedyne niebezpieczeństwo jest takie, że jeśli ich znajdą w ciągu paru najbliższych godzin, wyczują zapach prochu albo coś w tym rodzaju.

Ale mówiąc brutalnie, kiedy ci dwaj zaczną się rozkładać, ściągając lisy, kruki i całą resztę na podwieczorek, tego typu dowody też dość szybko znikną.

- A co z dwoma bykami, które zastrzeliłam? - spytałam.

- No tak, to pewien problem. Ale od strony pastwiska, na którym pasie się ten byk, są niewidoczne. W tej sprawie czas i lisy też będą pomocne.

- Poza tym gliny mogą uznać, że żołnierze zastrzelili je na mięso.

Nikt nie będzie robił sekcji dwóch rozkładających się byków.

W dzisiejszych czasach policja nie ma na to czasu.

- Właśnie.

Musiałam przyznać, że brzmi to nie najgorzej. A jeśli ktokolwiek zasługiwał na to, co go spotkało, to bez wątpienia ci dwaj żołnierze.

- Lepiej wykonajmy twoje zalecenia w odwrotnej kolejności - zaproponowałam. - Najpierw poszukajmy łusek. Nie chcę wchodzić na tamto pastwisko, dopóki byk porządnie nie odpocznie.

- Miałem nadzieję, że to powiesz - ucieszył się. - Chociaż nie, w zasadzie miałem nadzieję, że pójdziesz tam na ochotnika. Ale jeśli zamierzasz marudzić, równie dobrze możemy mu dać pięć minut na uspokojenie.

Jedyną rzeczą, której Lee nie musiał mi wyjaśniać, była potrzeba zatajenia naszego udziału w śmierci tych dwóch mężczyzn. Ostatnio świat funkcjonował w taki sposób, że gdyby ktokolwiek się dowiedział, że uczestniczyliśmy w wymianie ognia, w wyniku której zginęło dwóch ludzi, wpakowano by nas na rok do aresztu, by prowadzić przesłuchania i zbierać dowody. Nigdzie nie moglibyśmy się ruszyć. Chociaż może trochę przesadzam. Raczej nie znam się na przepisach. Wątpię, czy rzeczywiście by nas zamknęli, choć taki scenariusz nie był przecież wykluczony, ale z pewnością spędzilibyśmy dużo czasu na rozmowach z prawnikami i policją.

Rozeszliśmy się i zaczęliśmy szukać łusek po nabojach i pustych magazynków. Niektóre łatwo było znaleźć. Inne wymagały uważnego przeczesywania terenu. Jedne znajdowaliśmy fuksem, inne na pewno przeoczyliśmy. Ale doszliśmy do wniosku, że skoro nam nie udało się ich znaleźć, nikt ich nie znajdzie.

Za to znaleźliśmy obozowisko. Żołnierze zbudowali sprytny szałasik, małą klitkę z patyków, kory i gałęzi, którą zakamuflowali większą ilością kory i suchą trawą. Zajrzeliśmy do środka. Nie chcieliśmy niczego ruszać, na wypadek gdyby później znalazły to gliny. Ale na jednym z plecaków zauważyliśmy komórkę.

- Byłoby śmiesznie, gdyby teraz zadzwoniła - powiedział Lee.

Później wróciliśmy na pastwisko. Denerwowałam się z dwóch powodów: po pierwsze, Colin McCann mógł przyjechać zajrzeć do byka.

Był fajnym facetem, ale trochę leniwym, więc prawdopodobnie zaglądał na pastwisko co kilka dni, a nawet wtedy nie musiał podchodzić do ogrodzenia. Ale gdybyśmy mieli pecha,

zobaczylibyśmy, jak stoi z komórką przy uchu, a w oddali byłoby już słycać warkot policyjnego śmigłowca.

Nietrudno się domyślić, jaki był drugi powód moich zmartwień. Nie wiedziałam, ile czasu upłynie, zanim byk uspokoi się po zabiciu dwóch ludzi, ale podejrzewałam, że sporo. Wiedziałam, że Lee jest równie zestresowany jak ja, bo idąc na wzgórze, oboje sypaliśmy żarcikami.

No cóż, mogło być lepiej, ale mogło też być gorzej. Byk się oddalił, lecz zaledwie o jakieś sto metrów. Wolałabym, żeby to były dwa kilometry. Orał trawę kopytami i wyglądał na dość mocno wkurzonego.

Uświadomiłam sobie, że nie tylko doprowadziliśmy do zgonu dwóch osób, ale też skazaliśmy byka na śmierć. Żaden hodowca na świecie nie zatrzyma byka zabijającego ludzi. Nie po raz pierwszy musiałam zacisnąć zęby i pomyśleć: „Kolejna ofiara wojny”. Wojna jest trochę mniej sprawiedliwa niż tsunami, ale niewiele.

Zakradliśmy się na pastwisko, starając się, żeby od byka oddzielały nas dwa drzewa. Na wszelki wypadek wzięliśmy broń, ale zastrzelenie byka skomplikowałoby naszą sytuację. Znalaziono by go z raną od kuli z broni, która nie należy do żadnego z zabitych. Lee wymyślił, że można by zastrzelić byka, zetrzeć z broni nasze odciski palców, włożyć strzelbę w ręce jednego z martwych żołnierzy i zostawić na niej jego odciski palców. Spojrzałam na niego z politowaniem. Naprawdę nie wykluczał zastrzelenia byka. Widocznie naoglądał się za dużo kiepskich amerykańskich seriali o gliniarzach. Za żadne skarby nie zamierzałam aż tak komplikować sobie życia.

Kilka razy przyszło mi do głowy, że ci ludzie mogą wcale nie być martwi, ale wolałam się nad tym nie zastanawiać. Mój mózg powiedział, że są martwi, a instynkt to potwierdził. Chyba po prostu próbowałam nastraszyć samą siebie. Bo na pewno byli martwi. Jednemu wyciekła krew z uszu i ust, ale nie miał żadnych innych widocznych obrażeń. Z brzucha drugiego, w miejscu, gdzie został stratowany, zwisały flaki. Paskudny widok. Wzięliśmy karabiny, ale niczego więcej nie dotykaliśmy.

Magazyneki były puste, więc mieliśmy rację, podejrzewając, że wystrzelali całą amunicję.

Wróciliśmy do punktu wyjścia. Niczego nie osiągnęliśmy. Chyba że uznać za osiągnięcie śmierć tych dwóch ludzi. O tak, pałałam ponurą żądzą zemsty, która ładnie pasowała do mojej wściekłości na porywaczy Gavina. Fantazjowałam o tym, że ich wszystkich wytropię i zabiję jednego po drugim, nawet gdyby to miało trwać latami. Zostałabym aniołem zemsty. Istnieją zbrodnie przerażające, złe i pomniejsze oraz książki nieoddane na czas do biblioteki. Porwanie Gavina było czymś okropnym.

Nic nie mogłoby tego usprawiedliwić, nigdy, przenigdy. Więc nie uroniłam zbyt wielu łez nad zwłokami na pastwisku. Ale jednocześnie wiedziałam, że niczego nie zyskaliśmy. Skupiłam się na nagłym olśnieniu Lee, który zgadł, że ktoś obserwuje mój dom, i obydwójce byliśmy tak oszołomieni tym odkryciem, że żadnemu z nas nie przyszło do głowy, jak niewielkie ma to znaczenie.

Lee wpadł jednak na dobry pomysł.

- Może zadzwonię do Wyzwolenia? Jeśli jest coś, w czym są naprawdę dobrzy, to na pewno w gromadzeniu tajnych informacji, więc gdy spojrzą na tych gości, może uda im się zgadnąć, skąd przyjechali.

Trochę się zmartwiłam.

- Nie chcę, żeby mnie wiązali z podwójnym zabójstwem. Jak by to wyglądało na moim świadectwie?

- Nie przejmuj się. Oni mają inne podejście do prawa. Nic, co dzisiaj zrobiliśmy, nie jest w stanie ich speszyć.

- Krwiożercza gromadka. To bardzo wygodne, prawda? Uznać, że zwyczajnie nie zgadzasz się z prawem, i iść własną drogą.

Zmierzył mnie tym swoim szczególnym spojrzeniem.

- Okej, a co powiesz na to: rozmawianie przez komórkę podczas jazdy samochodem jest bardzo niebezpieczne, prawda?

Nieodpowiedzialne, lekkomyślne i zdecydowanie sprzeczne z prawem.

- Tak, potwierdzam.

Powiedziałam to, żeby mu sprawić przyjemność, bo najwidoczniej chciał mnie w coś wkręcić. Zresztą faktycznie uważałam, że rozmawianie kierowcy przez komórkę jest niebezpieczne.

- Ale w Nowej Zelandii jest legalne.

- Aha. - Usiadłam i zastanowiłam się. - Okej. Rozumiem, co masz na myśli.

- W jednym kraju jesteś nieodpowiedzialnym i niebezpiecznym przestępcą, a w drugim szanowanym i przestrzegającym prawa obywatelem. Podam ci inny przykład. Światła i różne bajery, które kilka lat temu zainstalowano przy szkołach, żeby jadący setką kierowca zwolnił do czterdziestu, kiedy dzieci wracają do domu.

- Albo przychodzą do szkoły.

- Jednego dnia jazda setką jest w porządku, a już następnego stajesz się łamiącym przepisy świrem. A przecież nic się nie zmieniło. Jesteś tym samym człowiekiem, jadącym tą samą drogą co wczoraj. Zmieniło się tylko prawo. Nagle stajesz się przestępcą.

- Ale niektóre rzeczy zawsze są złe. Morderstwa, gwałty.

- W pewnych społeczeństwach to element życia społecznego. Albo religijnego. Albo obu. Czytałem o początkach Bora-Bora. Kiedy spotykano się tam, żeby oddać cześć Bogu, zabijano ludzi na prawo i lewo. Specjalnie trzymano niewolników, żeby móc składać ofiary z ludzi.

Nikt tego nie uważał za morderstwo.

- Ale dla nas...

- Właśnie o tym mówię. Chyba nie ma praw, które nie byłyby sztuczne. Po prostu społeczeństwo decyduje, czego chce albo czego nie chce w danym czasie. A kiedy już

zdecyduje, czego chce, jednym ze sposobów na to, żeby wszystko sprawnie działało, jest zepchnięcie na margines każdego, kto „łamie prawo”.

- Ale nasze prawo opiera się na jakiejś zasadzie... na filozofii.

- To znaczy?

- Bo ja wiem? Na czymś w rodzaju poszanowania praw innych ludzi. Każdy ma prawo żyć tak, jak chce, i nikt nie powinien się do tego wtrącać. Coś w tym rodzaju.

- Tak? Powiedz to uchodźcom, którzy przyjechali do Australii przed wojną. Byli tu legalnie, ale rząd nie przestrzegał własnych praw. Po prostu ich zamknął i wyrzucił klucz. Albo jeszcze lepiej: niedawno słyszałem o pewnym trzynastolatku z Nowej Południowej Walii. Jego matka była prostytutką uzależnioną od heroiny i znęcała się nad dzieckiem. Kiedy miał mniej więcej dwa lata, umieszczono go w rodzinie zastępczej, potem wylatywał z kilku szkół, aż w końcu zdiagnozowali u niego aberrację chromosomową i niedorozwój intelektualny. W wieku trzynastu lat zabił małą dziewczynkę. Naprawdę brutalnie. Coś strasznego. I co zrobił sędzia? Wpakował go na dwadzieścia lat za kratki.

- Do czego zmierzasz?

- Za co go ukarał? Za to, że był mordercą, czy za to, że znęcała się nad nim matka?

Milczałam. Czasami nie potrafiłam nadążyć za Lee.

- Więc co powinni byli z nim zrobić? - spytałam w końcu.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale na pewno nie posyłać go za kratki na dwadzieścia lat.

- Pewnie mówiłbyś inaczej, gdyby zabił Pang.

- No, możliwe. I dlatego trzeba by się zastanowić, czy najbliżsi ofiar w ogóle powinni

podejmować tego rodzaju decyzje. Moim zdaniem nie.

Prawdopodobnie byliby zbyt zaślepieni smutkiem, miłością i wściekłością, żeby zobaczyć problem z szerszej perspektywy.

- Ale jako najbliżsi Gavina, skoro już nas tak nazwał, właśnie poszliśmy i wykonaliśmy egzekucję na dwóch gościach, którzy zrobili mu krzywdę.

- To prawda. I jedyne, co mogę na ten temat powiedzieć, to to, że nie planowaliśmy ich zabić. Ale jasne, masz rację, mogliśmy to przerwać, ale nie przerwaliśmy. W zasadzie kiedy trawował ich byk, wcale nie myślałem o Gavinie, myślałem o swoich rodzicach.

I po tym otrzeźwiający wyznaniu zadzwonił do Szkarłatnego Pyszcza albo kogoś innego z Wyzwolenia. Mnie pozostało to, w czym jestem najgorsza, czyli czekanie. Moje życie znowu znalazło się w cudzych rękach i wcale mi się to nie podobało. Musiałam czekać na dokumenty, którymi miałam się posługiwać po drugiej stronie granicy, musiałam czekać na więcej informacji z Wyzwolenia, musiałam czekać na transport do Havelock.

Czekałam też na następny telefon od porywaczy, ale nikt nie zadzwonił. Tym razem brak wiadomości nie oznaczał dobrych wiadomości, lecz po prostu brak wiadomości. Nie miałam pojęcia, jak rozumieć to milczenie. Mogło oznaczać, że Gavin nie żyje, że odcięto im telefon, bo nie płacili rachunków, albo że nagłe milczenie szpiegów pokrzyżowało szyki porywaczom. Większość moich przyjaciół stawiała na to ostatnie.

Jeremy usiadł u szczytu mojego stołu w kuchni, a ja siadłam obok niego w rogu i sączyliśmy domowej roboty napój cytrynowy. Jeremy powiedział, że gdyby Gavin już nie żył, porywacze i tak by mi o tym nie wspomnieli.

- Po co mieliby to robić? Jest ich kartą przetargową. Muszą cię przekonać, że Gavin żyje, bo inaczej nie dostaną tego, czego chcą.

- Dzięki, bardzo mnie pocieszyłeś.

Tak naprawdę przyjechał po to, żeby mi pomóc w pracy domowej, czyli w nauczeniu się mojej nowej tożsamości. Teraz byłam Paulą McClure, córką Jerry'ego McClure'a i doktor

Suzanne Spring. Paula McClure naprawdę istniała. Aktualnie przebywała w szkole z internatem w Marylandzie w Stanach Zjednoczonych, a jej rodzice przyjechali do Havelock w ramach programu współpracy medialnej. Nie pytajcie mnie, co to znaczy. Ale dosłownie mnie zatkało, kiedy usłyszałam, że prawdziwi rodzice Pauli nie będą mieli pojęcia o mojej obecności w Havelock, a tym bardziej o tym, że będę się podawała za ich córkę. Oczywiście prawdziwa Paula też miała żyć w nieświadomości, ale ponieważ do Baltimore jest dość daleko, wątpiłam, żeby się przejęła swoją dublerką w Havelock.

Mimo to czułam niepokój. Gdyby ktoś udawał mnie, wpadłabym w szal.

A jeśli natknę się na kogoś, kto zna prawdziwą Paulę? Jeśli natknę się na Jerry'ego McClure'a i doktor Suzanne Spring? Co im wtedy powiem? „O, cześć, od dawna marzę, żeby was zobaczyć. Jestem waszą córką, no wiecie, Paulą. Jak leci?”

Jeremy kazał mi przestać o tym wszystkim myśleć. Zachowywał się dosyć... uwielbiam to słowo... oschle. Oschle. Znałam kiedyś gościa, który nazywał się Oschły, ale wcale taki nie był. Jeremy normalnie też nie był oschły. Ale teraz mówił rzeczowym tonem:

- Ellie, daj sobie spokój z dylematami moralnymi. To strata energii.

Najpierw będziesz miała mnóstwo innych problemów. No, kiedy masz urodziny?

- 5 grudnia - odpowiedziałam bez zastanowienia.

- Nie ty, głuptaku. Paula, nowa ty. Kiedy masz urodziny?

- A niech to, przecież wiedziałam... W październiku?

- Tak, trzydziestego pierwszego.

- O, w Halloween. Łatwo zapamiętać. Mam nadzieję, że ta data nie okaże się symboliczna.

- Imiona i nazwiska rodziców?

- Jerry McClure i doktor Suzanne Spring. Ale nie wiem, o jaką dokładnie doktor chodzi.

- Tak, też nie mogę uwierzyć, że tego nie sprawdzili. Ale chyba nie jest lekarką, boby powiedzieli.

- No. Albo pracowałyby w przychodni.

- Okej, a teraz nazwisko panięskie twojej matki.

- A, było jakieś dziwne. To znaczy skomplikowane. Tennyson-Barnes?

- Barnes-Tennyson. Numer twojej jednostki?

- Sto dwadzieścia siedem. Blok D, siedziba personelu ONZ.

- Miejsce zatrudnienia rodziców?

- Chodzi ci o to, gdzie pracują?

- Jasne, że o to. No, Ellie, obudź się w końcu.

- Przecież nie śpię. Po prostu strasznie dziś zrzędzisz. - Przesunęłam się, żeby położyć mu głowę na ramieniu, a potem się do niego przytuliłam.

Potrzebowałam odrobiny ciepła. Rozłąka z Gavinem trwała zbyt długo. - No dobrze, powiedz mi, gdzie pracują mamusia i tatuś.

- Zgadnij.

- W Wydziale Braw Wewnętrznych?

- Bardzo śmieszne. Tylko że przestanie być śmieszne, jeśli udzielisz takiej odpowiedzi w Havelock. Jaki jest numer telefonu tego Wydziału Spraw Wewnętrznych?

- 444 i coś jeszcze. 1725?

- Dobrze. A numer do ciebie do domu?

- Po prostu chcę jak najszybciej pojechać do Havelock i coś zrobić.

Czuję się taka bezradna. W czasie wojny działaliśmy. Nie siedzieliśmy tak jak teraz, czekając, aż ktoś nam coś zorganizuje.

- Obawiam się, że jakoś będziesz musiała to przeżyć.

Najprawdopodobniej upłyną co najmniej dwadzieścia cztery godziny, zanim uda się zorganizować twoją podróż. To ci daje dwadzieścia cztery godziny na przyswojenie informacji w takim stopniu, żebyś nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią. No, więc jaki jest twój numer telefonu?

- Boże, nie mam pamięci do numerów. Chyba zaczyna się od 455.

Pozostałej czwórki nie pamiętam. Mają krótsze numery niż my.

- 1215. Magna Charta.

- Magna co?

- Wiedziałem, że to powiesz. Masz jakieś rodzeństwo?

- Tak, dwudziestoczteroletnią siostrę Laurę. Ale ona też jest za granicą, pisze doktorat na Wydziale Prawa w Princeton. Jest prawdziwym wrzodem na tyłku. Zawsze mi zabiera pilota, wybrzydza przy jedzeniu i próbuje mną dyrygować, kiedy nie ma rodziców.

- Skąd to wytrasnęłaś?

- Właśnie wymyśliłam.

- No dobrze, ale nie możesz powiedzieć „też”.

- Słucham?

- Powiedziałaś: „Ona też jest za granicą”. Nie możesz tak mówić.

Nie jesteś za granicą. Jesteś w Havelock.

- A, no tak, jestem. A przynajmniej chciałabym być. Boże, masz pełno kłaczków w pępku.

- Zawsze doprowadzasz nauczycieli do szału?

- Przeważnie.

- Podciągasz im koszulki i molestujesz ich pępki?

- Faj, co za paskudny pomysł. Jesteś obrzydliwy. Zadaj mi jeszcze jedno pytanie.

- Nie, za mało się jeszcze nauczyłaś. Idź i powkuwaj ze dwie godziny, a potem znowu cię przepytam. Jadę do Homera skorzystać z bezpiecznego telefonu. Muszę trochę podzwonić.

- Podzwonić? Powinnam być zazdrosna?

- Nie. Postaram się przyspieszyć twój wyjazd do Havelock. No, naucz się tego. Nie będzie można podzielić stawki ani zadzwonić do przyjaciela, jeśli na ulicy w Havelock zatrzyma cię żołnierz i zacznie zadawać pytania.

Poszedł.

Wydawał się taki obcy. Nie zachowywał się, jakbyśmy byli parą.

Wprawdzie przed chwilą zażartował, ale przyszło mi do głowy, że poczucie humoru nie jest jego najmocniejszą stroną. Miał jednak rację, podkreślając, że sprawa jest poważna i że muszę znać wszystkie informacje na wrywki. Oczywiście wiedziałam o tym od początku, ale trudno mi się było skupić. Bardziej zainteresowało mnie to, że będzie się starał o przyspieszenie mojego wyjazdu do Havelock. Znowu zaczęłam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie on jest Szkarłatnym Pryszczem.

Rozdział 9

Wyjście na ulice Havelock nie było najbardziej przerażającą rzeczą, jaką kiedykolwiek robiłam, ale w zawodach przeszłoby przez eliminacje u siebie i na wyjeździe, dochodząc do finałów. Trudno byłoby to też nazwać najdziwniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek robiłam, ale zdecydowanie mogło się ubiegać o miejsce na podium. Jedynym obcym krajem, jaki dotąd widziałam, była Nowa Zelandia, która owszem, jest obcym krajem, ale wszystko wygląda tam bardzo podobnie jak u nas. Zwłaszcza ludzie, którzy mówią mniej więcej tym samym językiem co my, nawet jeśli kilka samogłosek sprawia im problemy, a chłopaki mają zlutowane zęby.

Wizyta w Havelock była dziwna z kilku powodów, między innymi dlatego, że znalazłam się w obcym kraju, który nadal traktowałam jak własny i w którym nadal był ten sam krajobraz co kiedyś. Krajobraz miejski się zmieniał, i to dość mocno, ale naturalny krajobraz nadal tworzyły szaroniebieskie góry, zielonoszare liście eukaliptusa i mocne gorące niebo będące tłem mojego życia.

Przynajmniej dzięki potajemnym wypadom za granicę nie była to dla mnie pierwszozna, więc powoli się przyzwyczajałam.

A na widok miasta naprawdę przeżyłam szok. Nigdy wcześniej nie byłam w Havelock, więc mogę tylko snuć domysły, ale nie wydaje mi się, żeby którekolwiek z naszych miast i miasteczek wyglądało przed wojną w ten sposób. Jasne, w największych miastach były dzielnice etniczne, gdzie mogliśmy udawać, że jesteśmy w obcym kraju. Uwielbiałam tam zaglądać, delectować się jedzeniem, zakupami i tętniącą tam energią. Ale gdy inne jest całe miasto, kiedy wiesz, że każdy blok i wszystkie przedmieścia będą właśnie takie, trafiasz do innej przestrzeni. Czujesz, że to ty jesteś obcy, ty jesteś outsiderem, ty jesteś przedstawicielem mniejszości etnicznej. W życiu jesteś skazany na wiele rzeczy, ale jeśli chodzi o większość z nich, na przykład o osobowość, uczucia, fajność albo jej brak, wmawiasz sobie, że w każdej chwili można je zmienić. Nawet wagę. Ale nie możesz sobie wmówić, że masz inny kolor skóry, inny kształt i układ oczu, nosa i ust. Na całe życie jesteś skazany na swoje ciało.

W latach pięćdziesiątych w Ameryce był pewien biały dziennikarz, który zażył jakąś substancję, żeby jego skóra na jakiś czas zrobiła się czarna, a potem napisał książkę o tym, jak to jest być ciemnoskórym człowiekiem w białym społeczeństwie. Sprzedała się w trylionach egzemplarzy, ale gdzieś słyszałam, że autor zmarł młodo na skutek toksyczności tej substancji. Wydało mi się ciekawe, że potrzeba było białego gościa, żeby wyjaśnił innym białym, jak to jest być czarnym. Że nie można było po prostu spytać kogoś czarnego.

W dziewiątej klasie dostałam zadanie: miałam pojechać do Stratton i usiąść na scenie razem z sześcioma uczniami z innych szkół podczas konferencji dla pracowników szkolnych bibliotek. Tworzyliśmy coś w rodzaju panelu i publiczność mogła nam zadawać pytania dotyczące tego, co nam się podoba w szkolnych bibliotekach, a co nie, czemu w ogóle chodzimy do biblioteki, a co nas do tego zniechęca. Pytano nas też o zdanie na temat czytania książek i tego typu spraw. Konferencja od razu się rozkręciła. Nasza dyskusja trwała dwadzieścia minut dłużej, niż planowano, i większość nauczycieli nie zdążyła na podwieczorek. Ale siedząc na scenie i odpowiadając na pytania, cały czas myślałam: „Czemu nie zapytają uczniów w swoich szkołach? Mogli zadać te pytania milion lat temu. Czy naprawdę musieli nas posadzić na scenie, żeby potraktować nas poważnie albo po prostu wysłuchać?”.

Ludziom zdarza się utknąć w rolach i postawach. W zwykły dzień w szkole jesteśmy tylko owcami, nastolatkami zbitymi w stada. Ale jeśli nas posadzić na scenie, stajemy się ekspertami. Na tamtej konferencji byliśmy ekspertami w dziedzinie młodzieży i czytelnictwa. Ludzie nas słuchali. Notowali nasze słowa. Pod koniec bili nam brawo.

Ciągle mamy przypisane jakieś role. Rolę niemowlęcia, dziewczyny, mieszkanki wsi, dziecka, córki Lintonów, nastolatki, bohaterki wojennej, opiekunki Gavina. Białej. Albo czarnej. Azjatki, Hiszpanki albo Polinezyjki. Jeśli chodzi o przydział życiowych ról, kolor skóry jest bardzo ważny. A ja byłam oficjalnie biała. To nawet nie jest precyzyjne określenie, tak samo jak „czarny”, jeśli się nad tym zastanowić. Chodzi mi o to, że istnieją spore różnice między kolorem skóry australijskich Aborygenów, Sudańczyków, Afroamerykanów i mieszkańców Indii Zachodnich. Ja na opalonych kawałkach, czyli na twarzy i rękach (bo przeważnie noszę koszulki z krótkim rękawem), jestem jakby brązoworóżowa, a na pozostałych częściach tak bardzo jasnoróżowa, że w zasadzie biała. Tylko że żyły tworzą niebieskawoszare tło, a ich sieć jest taka duża, że też mają spory wpływ na kolor.

Czytałam książkę Jamesa Michenera pod tytułem *Hawaii*. To naprawdę bardzo, bardzo, bardzo długa książka. Ma ponad tysiąc sto stron.

Tak, aż tyle. Najwidoczniej mi się podobała, bo w przeciwnym razie nie chciałoby mi się jej czytać. W każdym razie pod koniec Michener opisał koncepcję złotego człowieka. Pisał to dawno temu, ale jego pomysł okazał się chyba proroczy. Hawaje były wtedy czymś w rodzaju tygla narodów i Michener napisał, że tworzy się tam nowy rodzaj człowieka, który jest złoty, ale nie przez zmieszanie różnych kolorów skóry: czarnego, białego, azjatyckiego, polinezyjskiego i jakiego tam jeszcze. Napisał, że to ma związek wyłącznie z umysłem, ze sposobem myślenia - a zatem możesz być złotym mężczyzną, złotą kobietą, a nawet złotym dzieckiem, mimo że oficjalnie jesteś Portugalczykiem, Chińczykiem, mieszkańcem Kaukazu albo Hawajów. Według Michenera sekret polega na zrozumieniu tego, co się dzieje wokół człowieka. Tacy ludzie są chyba otwarci na świat.

A dzięki temu mają świadomość przyszłości i - co najważniejsze - umiejętność stania w miejscu, w którym spotykają się wszystkie rzeki.

W zasadzie to nie był pomysł samego Jamesa Michenera. Pochodził od jakichś profesorów i powstał po drugiej wojnie światowej, ale mniejsza z tym.

Dlatego moją życiową ambicją jest być złotą kobietą. Patrząc na swoich przyjaciół, widzę, że niektórzy z nich, a w zasadzie większość, już zmierzają w tym kierunku. Może właśnie dlatego są moimi przyjaciółmi.

Bo kto nie chciałby się przyjaźnić z kimś takim jak Bronte, Jeremy, Lee i Fi? Nie żeby Jeremy albo Lee marzyli o zostaniu złotymi kobietami.

Raczej złotymi mężczyznami. A Homer? Też - i nie mówię tak dlatego, że pewnego dnia może to przeczytać. Jest strasznym seksistą, tępakiem, nie dba o środowisko naturalne i tak dalej, ale jest bardzo świadomy świata. I w głębi serca wcale nie jest uprzedzony ani nieczuły na ochronę środowiska naturalnego. Wie, że pewne działania są słuszne, ale po prostu wolałby, żeby nie były. Nie są mu na rękę. Homer marzy o świecie, w którym przez cały boży dzień obsługiwałyby go piękne niewolnice, karmiąc go, robiąc mu masaże i rozpieszczając go - w zasadzie sama nie miałabym nic przeciwko takiemu światu, najlepiej z niewolnikami płci męskiej - ale wie, że to niemożliwe. Homer marzy o tym, żeby wszystkie pola w jego gospodarstwie były płaskie, a on mógł sobie siedzieć na traktorze i jeździć tam i z powrotem bez konieczności wykonywania skomplikowanych manewrów wokół kęp drzew. Byłby zachwycony, gdyby mógł włączyć telewizor na cały dzień, sterczeć dwadzieścia minut

pod prysznicem i jeździć porsche. Ale jest wystarczająco bystry, żeby wiedzieć, że takie życie byłoby po prostu złe. Czasami ludzie - na przykład nowi nauczyciele - popełniali błąd, biorąc Homera za kolejnego wieśniaka i traktując go zgodnie z tym wyobrażeniem. Nigdy nie miał nic przeciwko temu, dopóki nie zaczęli patrzeć na niego z góry.

W niektórych wypadkach musiało upłynąć sporo czasu, zanim zauważyli swój błąd, a wtedy zawsze przeżywali szok i nie mogli dojść do siebie.

W każdym razie byłam teraz w wielkiej metropolii zwanej Havelock, w której sama przeżyłam szok i nie mogłam dojść do siebie, bo po raz pierwszy czułam, że zupełnie nie pasuję do jakiegoś miejsca. Nie mogłam zrobić nic - oprócz zażycia pewnej substancji albo poddania się radykalnej operacji plastycznej - żeby moja skóra i rysy twarzy zaczęły wyglądać jak u ludzi wokół. Mój wygląd nie miał znaczenia podczas nielegalnych wypadów za granicę, bo po każdej akcji jak najszybciej się wycofywaliśmy, starając się wcześniej zadać wrogom jak największe straty. Ale teraz stałam się częścią ich społeczeństwa, próbowałam się dopasować, a to zupełnie co innego.

Zabawne było to, że kiedy spojrzałam w lustro, nawet samej sobie wydałam się kimś obcym. Przeszłam metamorfozę. Nie taką jak w kolorowych pismach, w których zwykłą dziewczynę zmieniają w olśniewającą supermodelkę. Na coś takiego potrzeba by o wiele więcej czasu. Lat. Ale Bronte doradziła mi jak największą zmianę wyglądu w celu zmniejszenia ryzyka rozpoznania. Musiałam to zrobić szybko, żeby zdążyli mi pstryknąć zdjęcia z „nową twarzą” do dokumentów.

Oprócz „spaulizowania” mnie Wyzwolenie zrobiło coś jeszcze. Przed moim wyjazdem Jeremy wyjął z torby na komputer plik banknotów i rzucił go na stół w kuchni. Wyglądało to tak, jakbyśmy dobijali jakiegoś narkotykowego targu albo grali w filmie gangsterskim.

- Co to? - spytałam, sięgając po pieniądze.

W przeciwieństwie do naszej waluty, wszystkie banknoty miały ten sam kolor. Ktoś starannie podzielił je na pliki po dziesięć sztuk, owijając dziewięć dziesiątym. Takich małych plików było w sumie dziesięć.

- Ma to jakąś wartość czy mogę najwyżej zagrać w monopoli?

- To równowartość mniej więcej dwóch tysięcy dolarów australijskich. Ta waluta jest tam bardzo popularna.

- Wow. Mogę sobie kupić trochę płyt DVD?

- Wydaje mi się, że jeśli ich nie wydasz, Wyzwolenie chciałoby je dostać z powrotem. Są głównie na łapówki. I na wszystkie inne niezbędne wydatki.

Przyjrzałam się banknotom i zdałam sobie sprawę, że to amerykańskie dolary. Dziesięciodolarówki.

- Jeremy, czy całe Wyzwolenie jest tak dobrze zorganizowane, czy tylko ta jego część, do której należycie? Bo mam wrażenie, że ci ludzie myślą o wszystkim. A w dodatku potrafią na zawołanie zdobyć tysiąc amerykańskich dolców...

- To zasługa dobrego przywództwa - powiedział Jeremy.

- Szkarłatnego Pryszczu?

- Właśnie. - W oczach Jeremy'ego nagle pojawił się błysk. - Nawet nie masz pojęcia, Ellie. Szkarłatny Pryszcz jest niesamowity. Ta inteligencja. I, jak sama zauważyłaś, dobra organizacja. Jesteśmy najlepszym oddziałem Wyzwolenia w promieniu setek kilometrów.

Wszyscy o tym wiedzą, nawet wojsko. Ale zawdzięczamy to jednej osobie.

Nagle poczułam się zazdrosna o człowieka, który potrafi wzbudzić u Jeremy'ego taki podziw. Niełatwo było zaimponować Jeremy'emu.

Wyglądało na to, że albo Jeremy nie jest Szkarłatnym Pryszczem, albo ma bardzo wysokie mniemanie o sobie. Baaardzo wysokie.

- Może po tym wszystkim powinnam się przyłączyć - powiedziałam. - Chciałabym współpracować z kimś takim.

- Wiesz, że przyjęliby cię bez wahania - zapewnił mnie Jeremy. - Byłabyś najlepszym nabytkiem. Nowym wystrzałowym rekrutem.

Lee pojechał do Stratton, bo u Pang podejrzewano zapalenie wyrostka robaczkowego, ale kilka minut po jego wyjeździe zjawiała się Bronte. Wyglądało na to, że i tym razem mnie pożegna. Dobra stara Bronte. Nie nazwałabym jej kobietą akcji, ale była spokojna i niezawodna.

Zastanawiałam się, jak by zniosła prawdziwy stres. Jess i Jeremy dali radę podczas pierwszych wypadów za granicę, więc Bronte pewnie też stanęłaby na wysokości zadania, zwłaszcza że psychicznie wydawała się silniejsza niż Jess. Ale nie umiałam jej sobie wyobrazić w akcji. To nie była jej bajka. Bronte kojarzyła się raczej z paniami z koła gospodyń wiejskich, które w razie pożarów podają herbatę i kanapki, albo z sumiennymi robotnikami wylewającymi solidny fundament.

Postanowiła poobozować u mnie w domu, w razie gdyby znowu zadzwonili porywacze. Bronte była stworzona do takich rzeczy. Nie przychodził mi do głowy nikt inny, kogo mogłabym zostawić w domu z takim zadaniem.

Dotarcie do Havelock zajęło mi około sześciu godzin. Wyzwolenie było przekonane, że będę mogła spokojnie chodzić ulicami tego miasta, ale z drugiej strony nie miało wątpliwości, że jeśli zostanę zauważona gdzieś indziej, będzie po mnie. Dlatego musieli mnie tam dowieźć tak, żeby nikt mnie nie widział. Nawet pierwsza część tego zadania nie była łatwa. Dojechałam z Homerem do granicy, wzdłuż której postawiono wysoki płot z siatki obwieszony tabliczkami z napisem „Zakaz wstępu” w języku angielskim. W oddali było jeszcze więcej takich tabliczek i choć tamte napisy nie były po angielsku, od razu poczułam, że też są tam po to, żeby zakazywać wstępu.

Mimo swojej słynnej skuteczności Wyzwolenie nie ostrzegło nas przed tym płotem. Spojrzeliśmy z Homerem na siebie.

- I co teraz? - spytałam.

- Mam obcęgi. Chyba uda się zrobić dziurę.

- A jeśli płot jest podłączony do dziesięciu tysięcy woltów?

- Właśnie się nad tym zastanawiałem.

Sięgnął po torbę z narzędziami, wyjął z niej kombinerki i podał mi je.

- Trzymaj.

- Nie, nie, naprawdę, przecież jestem tylko dziewczyną. Do tego potrzeba dużego, silnego faceta.

- Połamałbym sobie paznokcie. Chyba sama powinnaś to zrobić.

- Kamień, papier, nożyce?

- Okej.

Obydwoje pokazaliśmy kamień, a potem ja zdecydowałam się na nożyce, a Homer znowu na kamień. Niech to szlag. Wzięłam kombinerki i podeszłam do płotu. Kiedy ściszałam kombinerki, Homer przeprowadził test ze źdźbłem trawy, sprawdzając, czy płot jest podłączony do prądu.

Źdźbło nie zapłakało i nie krzyknęło. No jasne. Gdyby płot był pod napięciem, umieszczono by tu tabliczki ostrzegawcze. Bardziej martwiło mnie to, że mogli go podłączyć do jakiegoś elektronicznego gadżetu, który miał ostrzegać władze o próbach przedostania się na drugą stronę.

Cięcie drutu szło mi opornie, bo kombinerki nie były odpowiednim narzędziem do takiej roboty, więc moje ręce zaraz zrobiły się czerwone i piekące od ciągłego ściskania. Po jakimś czasie zmienił mnie Homer.

Razem zrobiliśmy otwór wystarczająco duży na motor. Całe szczęście, że przyjechaliśmy jednośladem, a nie quadem, bo pewnie nadal byśmy tam tkwili.

Przedostaliśmy się na drugą stronę i ruszyliśmy w drogę, znacznie ostrożniejsi niż dotychczas. Skoro zbudowali płot, co jeszcze mogli mieć w zanadrzu? Ale bez problemu

dotarliśmy na miejsce spotkania, mniej więcej pół godziny przed czasem. Punktem orientacyjnym był wiatrak.

Stał sto metrów od skrzyżowania, w cieniu akacji.

- Lepiej od razu wracaj - poradziłam Homerowi. - Ktoś może zauważyć dziurę w płocie.

- Racja - powiedział. - Też o tym pomyślałem. No to powodzenia.

Cześć.

Odpalił silnik, wsiadł na motor, wrzucił bieg, zawrócił i ruszył, żegnając się krótkim machnięciem ręką. Patrzyłam, jak odjeżdża, i czułam się trochę przybita. Wiedziałam, że jeśli któreś z nas zginie w najbliższej przyszłości - a prawdopodobnie byłabym to ja - tak będą brzmiały ostatnie słowa, które ze sobą zamienimy.

Siedziałam, gapiąc się na pobliskie pole. Jakie miałam szanse na odnalezienie Gavina? To wszystko było takie zagmatwane i niezaplanowane. Jedynym powodem, dla którego Wyzwolenie i Szkarłatny Pryszech uznali, że warto spróbować, było... no, właściwie to istniały dwa powody. Po pierwsze, nie mieliśmy innych możliwości, innych nadziei. Był plan A, ale brakowało planu B.

A po drugie, doszli do wniosku, że „w terenie” mogę zgromadzić cenne poufne informacje. „W terenie”, czyli w samym sercu Havelock.

Wiadomość od Pryszcza brzmiała tak: „Ci ludzie ufają tylko tym, których widzą. Przez telefon niewiele się od nich dowiemy, a na piśmie nic nam nie dadzą. Wszystko wskazuje na to, że banda, która porwała Gavina, to zbuntowani żołnierze, którzy wymknęli się spod kontroli i nie mają żadnych przyjaciół. Wszyscy się ich boją. Ale myślimy, że w terenie będzie można zdobyć trochę cennych informacji”.

To niewiele, ale niczego poza tym nie miałam, a szukając Gavina na własną rękę, skończyłabym jak te posokowce, które tropią, póki nie padną.

Dosłownie. Obrałam je sobie za wzór. Byłam taka spragniona jego towarzystwa, tak bardzo chciałam go odzyskać, że koszty nie grały roli.

Psycholog powiedziałaby pewnie, że to skutek straty rodziców i ten jeden powód w

zupełności by mi wystarczył. Tak naprawdę nie interesowały mnie jednak powody. Zresztą to uczucie różniło się od tamtego, którym darzyłam rodziców. Uczucie? Co ja wygaduję? Jak mogę używać liczby pojedynczej, skoro mój smutek po śmierci rodziców obejmował poczucie winy, które czułam na widok Pakistańczyków oplakujących swoich najbliższych porwanych przez powódź, poczucie straty związane z tym, że nie zdążyłam wziąć przepisów od mamy (zakładałam, że będę je poznawała w naturalnym trybie), wdzięczność za miłość i wsparcie, które dostałam od takich ludzi jak rodzice Homera, niepewność związaną z ciągłym zastanawianiem się, czy dam sobie radę, siłę pochodzącą ze wspomnień o sile charakteru moich rodziców... Wojna ciężko doświadczyła moją mamę, która jednak powoli poskładała swoje życie z powrotem i przywróciła wapń swoim kościom, doświadczając przy tym sporo bólu, ale ostatecznie jej się udało i nastały dni, w których mogła tańczyć do *Yellow Submarine*, robiąc surówkę z kapusty, namiętnie całować mego tatę, kupować kolorowe ubrania, pić kawę ze starymi przyjaciółmi z Wirrawee i czytać trudne książki napisane przez laureatów Nagrody Nobla. A niedługo potem jakaś banda obcych ludzi wtargnęła do naszego domu i pozbawiła ją życia. No więc tak, utrata rodziców budziła we mnie silne emocje, inne niż te, które czułam teraz w związku z Gavinem, ale być może wszystko sprowadza się do tego samego. Jeśli dodasz dwa do dwóch, otrzymasz cztery, lecz po dodaniu trzech do jednego też wychodzi cztery, więc może ze mną jest podobnie. Wynik końcowy pozostaje bez zmian.

Ciemne kształty w oddali powoli poruszały się w przód i w tył.

Wyglądały jak bydło i miałam nadzieję, że nim są oraz że nie trenowano go w zakresie szpiegowania wrogów z zagranicy. Od czasu do czasu przejeżdżała z warkotem jakaś ciężarówka. Nie wiedziałam, czy czekam na ciężarówkę, czy na jakiś inny pojazd. Równie dobrze mogłam czekać na wóz z wielbłędami. Nie zauważyłam żadnego samochodu osobowego, ale przejechał motor wiozący dwóch młodych ludzi, prawdopodobnie mężczyzn. Mimo braku kasków jechali szybko i nie zwolnili.

Byłam dobrze schowana za kępą młodych akacji - bezpieczna, pod warunkiem że nikt nie przyjdzie mnie szukać i nie będę miała żadnego okropnego pecha. Ale pora spotkania przyszła i minęła. Trochę za późno zdałam sobie sprawę, że powinnam była się umówić z Homerem na podróż powrotną, w razie gdyby nikt się nie zjawił. Może obydwójce za bardzo wierzyliśmy w Szkarłatnego Pyszcza i Wyzwolenie.

Dziesięciominutowe spóźnienie mnie nie zmartwiło, dwudziestominutowe wywołało

lekki niepokój, a półgodzinne - stres. W zasadzie dopiero godzinę i pięć minut po czasie pięćdziesiąt metrów od wiatraka zatrzymała się stara ciężarówka i kierowca wyłączył silnik. W ciszy słyszałam tylko skrzypienie starego wiatraka. Zaszło mi w gardle i wyęczałam wszystkie zmysły, żeby zobaczyć i usłyszeć, co się dzieje. Chwilę wcześniej zastanawiałam się, jak mogłabym wrócić do domu. Uznałam, że zanim się poddam, lepiej odczekać dwie pełne godziny. Miałam za dużo do stracenia. Facet mógł złapać gumę albo coś w tym rodzaju. Ale pomysł czekania dwóch godzin wcale mi się nie podobał.

Gdy cichnie głośny hałas, cisza staje się dość przytłaczająca. Już od jakiegoś czasu słyszałam warkot zbliżającej się ciężarówki, który stopniowo zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Teraz nie pozostało nic oprócz zawodzenia mozolnie pracującego wiatraka. Po chwili usłyszałam odgłos kroków dobiegający od strony ciężarówki i ciche wołanie:

- Hej, dziewczyno. Hej! Jesteś tu?

Nie było czasu na zabawę w chowanego. Wyszłam na drogę.

- Jestem! - zawołałam.

Mężczyzna natychmiast zawrócił w stronę ciężarówki. Wszystkie światła były wyłączone, więc za dobrze go nie widziałam.

- Szybko - zawołał przez ramię. - Bardzo późno.

Jakbym nie wiedziała! Pobiegłam za nim drogą. Wzięłam ze sobą tylko lekki plecak, więc jego ciężar mnie nie spowalniał. Ale kiedy stanęłam obok ciężarówki, okazało się, że i tak muszę użyć mięśni.

Ciężarówka była wyładowana kostkami siana, tymi mniejszymi. Facet zaczął je zrzucać. Zrozumiałam, co mnie czeka. Miałam zostać schowana w środku tego ruchomego stogu. Całe szczęście, że nigdy nie miałam kataru siennego.

Wskoczyłam na górę i zaczęłam zrzucać kostki. Facet znieruchomiał i wbił we mnie wzrok. Widziałam jego wytrzeszczone oczy. Był człowiekiem w średnim wieku, miał okrągłą twarz i krótko ostrzyżone włosy.

- Ty bardzo silna - powiedział ze zdziwieniem.

Uśmiechnęłam się do niego i dalej zrzucałam kostki na drogę.

Wiedziałam, że przez jakiś czas ziemia będzie usiana żdźbłami, a przecież ktoś mógł mnie tropić. Pozostawało mieć nadzieję, że silny wiatr załatwi sprawę.

Z lewej strony usłyszałam jakieś pomruki i spojrzałam w stronę pastwiska. Bydło, zwabione słodkim zapachem siana, zaczęło się ustawiać wzdłuż ogrodzenia. O mało nie parsknęłam śmiechem. Gdyby nadjechał jakiś pojazd, byłibyśmy w prawdziwych tarapatach. Ale kierowca wydawał się zadowolony, bo udało mu się zrobić dla mnie wystarczająco głębokie miejsce. Ułożyłam się tam razem z plecakiem, a mężczyzna zaczął mnie przykrywać kostkami siana. Jak na faceta o tak szczupłej budowie też był całkiem silny. Wrzucanie siana na pakę jest o wiele trudniejsze niż zrzucanie go stamtąd. Dziesięć razy trudniejsze.

Sterna kostek szybko urosła, a potem kierowca podsunął mi kawałek plastikowej rury. Zrozumiałam, że ma mi to zapewnić dopływ powietrza, ale takie rozwiązanie jakoś nie przypadło mi do gustu. Facet zwinął lewą dłoń i pokazał, jak można przez coś takiego oddychać.

- Jest pan pewien, że to zadziała? - zawołałam.

- Tak, tak, nie problem - powiedział.

Jakoś mnie to nie uspokoiło, ale zanim zdążyłam zadać następne pytanie, facet zniknął i po chwili na stercie zaczęły lądować kolejne kostki siana, aż w końcu już niczego nie widziałam i tylko słyszałam głuche stuknięcie każdej nowej cegły w moim murze. Potem zapadła cisza.

Całkowita cisza. Cisza, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Cisza i ciemność. Poczulałam lekkie kołysanie, kiedy kierowca wsiadał do kabiny, a potem zawarczał silnik i pojazdem wstrząsnął dreszcz - mną też.

Wibracje okazały się dość uspokajające. I całe szczęście, bo nic poza tym nie było uspokajające. Jasne, nie miałam alergii na siano, ale mogłam cierpieć na klaustrofobię. Dawno temu, kiedy ja i Corrie byliśmy małe i świat był zupełnie innym miejscem,

czołgałyśmy się w tunelach w sianie zgromadzonym w stodole jej rodziców. Dotarliśmy głęboko, udając odkrywców i ciągle chichocząc. Co chwila wołałam: „W prawo!”, „W lewo!”, i nagle Corrie dostała ataku paniki na myśl o tym, że nie zdołamy wrócić. Sam środek stogu siana w olbrzymiej stodole nie był najlepszym miejscem na atak paniki, więc ja też się zdenerwowałam. Zaczęłam się jak najszybciej wycofywać, ale i tak robiłam to wolniej, niżbyśmy chciały, a wycofująca się przede mną Corrie coraz bardziej wariowała. Podczas tego odwrotu dostałam od niej z osiem kopniaków. Kiedy wyszła, była kompletnie roztrzęsiona. Mnie nic nie dolegało, po prostu się wystraszyłam, gdy tak szybko postradała zmysły, więc pobiegłyśmy do domu oglądać telewizję, żeby Corrie mogła dojść do siebie.

Oczywiście musiałam to sobie przypomnieć właśnie teraz, kiedy leżałam w innym stogu siana, tym razem naprawdę uwięziona. Nie było szans, żebym zdołała się stamtąd wydostać, i musiałam czekać, aż kierowca albo ktoś inny postanowi mnie wypuścić. Pewnie mogłabym użyć plastikowej rury jako didgeridoo i narobić hałasu, ale nie wiązałam większych nadziei z takim przyrządem do ratowania życia. A co, jeśli na siano spadnie kilka iskier i kostki zajmą się ogniem? Nikt nie zdoła podejść na tyle blisko, żeby usłyszeć moje didgeridoo. Upiekłabym się.

I to bynajmniej nie powoli. Raczej bym się uflambirowała. Ale chyba lepsze flambirowanie niż powolne pieczenie. Gdzieś czytałam o Kanadyjczyku, który udowodnił, że gotowane żywcem homary nie czują bólu. Jasne, kim ja jestem, żeby się spierać z genialnym naukowcem, ale jakoś trudno mi uwierzyć, że żywa istota wrzucona do wrzątku nie cierpi.

A jeśli facet zapomni, że mnie wiezie, umrze albo coś, a ciężarówkę postawią w jakiejś stodole albo garażu na kilka miesięcy, zanim komuś przyjdzie do głowy wyładować siano? W ramach eksperymentu spróbowałam się podźwignąć, najpierw na jednej ręce, a potem na dwóch, i osiągnęłam spodziewany wynik. Nic. Siano ani drgnęło. Ta świnka z bajki, która zbudowała dom ze słomy, nie była taka głupia. Zanim zdołałabym przesunąć te kostki, połamałabym sobie rękę.

Zaczynałam wpadać w panikę, ale jednocześnie wiedziałam, że sama się nakręcłam. To nie była prawdziwa histeria, taka jak u Corrie, najwyżej parę dreszczy. Ale nawet one mi wystarczyły. Uznałam, że lepiej odzyskać kontrolę nad umysłem, bo inaczej naprawdę mi odbije. Zaczęłam śpiewać, a właściwie nucić, usiłując sobie przypomnieć słowa piosenki ze szkolnego musicalu, w którym dwa lata temu grała Fi.

Znowu mnie spotykasz

Tam gdzie zawsze,

W najfajniejszym miejscu w mieście.

Widzisz la, la, la, la, la...

Potem, kawałek dalej, było coś takiego:

Wokół światło płonie,

Wszyscy patrzą w twoją stronę...

Ale reszta składała się głównie z „la, la, la”. Śpiewanie jakoś mi nie szło i z całą pewnością nie byłam w najfajniejszym miejscu w mieście. Za to jeśli chodzi o odwrócenie mojej uwagi, śpiewanie zdało egzamin.

Zacząłam śpiewać *Time of Your Life*, które znam o wiele lepiej i które bardziej pasowało do nastroju i do tego, co akurat robiłam.

Musiałam się czymś zająć. Wokół panowała taka ciemność, że nawet nie chciało mi się machać ręką przed nosem. Wiedziałam, że mogłabym sobie wsadzić palec w oko, a i tak bym go nie zobaczyła. Pozostał mi tylko umysł i musiałam go czymś zająć. Zacząłam wymieniać wszystkie kraje świata. Zrobiła się z tego straszna gmatwanina, więc zastosowałam porządek alfabetyczny i dotarłam do czterdziestu trzech, a potem postanowiłam dobić do pięćdziesięciu. Portugalia. Czterdzieści cztery. O, jasne, wyspy na Pacyfiku. Tonga, Fidzi, Samoa. Czterdzieści siedem. Czy Nowa Kaledonia jest odrębnym krajem, czy tylko częścią Francji? Nie byłam pewna, więc ją pominęłam. Malezja - no pewnie, ale ze mnie kretynka. Czterdzieści osiem. Islandia, czterdzieści dziewięć. Dotarcie do pięćdziesięciu zajęło mi kolejne, bo ja wiem, sześć albo osiem minut. Czas traci znaczenie, kiedy siedzisz w całkowitej ciemności, a twoje zmysły nie odbierają prawie żadnych bodźców, jeśli nie liczyć wibracji ciężarówka oraz słodkiego zapachu i klucia siana. Aaa, Szwajcaria! Objęłam się rękami i poczułam się jak zwyciężczyni. Jak mogłam zapomnieć o Szwajcarii? Może dlatego,

że nigdy nie brała udziału w wojnie. Jeśli historia świata jest jedną długą serią wojen przeplataną krótkimi chwilami pokoju, to łatwo zrozumieć, czemu przeoczyłam Szwajcarię. Mimo to długa chwila pokoju bardzo by mi się teraz przydała.

Zaczęłam rozwiązywać w głowie długie i złożone działania matematyczne. Trzysta szesnaście razy osiem. To nie takie trudne. Ja robię to tak: najpierw mnożę trzysta razy osiem i wychodzi dwa tysiące czterysta. Później dziesięć razy osiem, dodaję i mam dwa tysiące czterysta osiemdziesiąt. Osiem razy sześć jest czterdzieści osiem, dodaję i wychodzi dwa tysiące pięćset dwadzieścia osiem.

Potem zasnęłam.

Rozdział 10

Kiedy się obudziłam, ciężarówka już stała. Nie wiedziałam, kiedy się zatrzymała. Ani dlaczego. Ciągle myślałam o *Szkarłatnym Pimpernelu*, o tej książce, mniej więcej tak starej jak Biblia. Jej bohaterowie wywozili ludzi z Paryża wozami podczas rewolucji francuskiej, żołnierze zatrzymywali wozy, żeby je przeszukać... Czy właśnie to mnie teraz czekało?

Byłam zgrzana i bardzo chciało mi się pić, a poza tym czułam smród własnego potu. Marzyłam o tym, żeby rozprostować nogi, zanim złapie mnie skurcz. Plastikowa rura nie za bardzo nadawała się na peryskop, bo nie mogłam jej obrócić, żeby coś zobaczyć. Widziałam tylko niebo. Ale na zewnątrz nadal było ciemno. Pomasowałam tylną część nóg, próbując przywrócić krążenie. Im dłużej o tym myślałam, tym gorzej się czułam, jak zwykle. Potem poczułam, że ciężarówka się trzęsie, jakby ktoś na nią wszedł. Zaczęto zrzucać kostki siana. Nie wiedziałam, co za chwilę zobaczę - ani kogo. To wszystko trochę przypominało narodziny. Długo siedziałam w tej małej macicy i miałam tego dość, chciałam się wydostać, ale nie miałam pojęcia, kto na mnie czeka i jak wygląda świat. Może chwycą mnie za nogi, podniosą do góry i dadzą klapsa w tyłek? Albo zrobią coś jeszcze gorszego? W każdym razie to było cesarskie cięcie, a nie poród siłami natury. Nie musiałam nic robić, wystarczyło zwinąć się w kłębek i czekać, aż pan doktor pozwoli mi wyjść.

Kiedy zniknęła leżąca nade mną kostka, wślizgnęło się zimno, które bardziej przypominało miły chłód, orzeźwiająca falę wspaniałego powietrza dotykającego mnie ze wszystkich stron. Jego podmuch mnie otoczył, połaskotał i pokrzepił. Boże, jak ja tego potrzebowałam!

Spojrzałam w górę. Zobaczyłam tylko nocne niebo i parę gwiazd. Zniknęła następna kostka siana. Facet zdejmował jedną po drugiej, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi. Wygramoliłam się i zeskoczyłam z paki, ale tym razem nie próbowałam mu pomagać. Bezczylność bywa wyczerpująca.

Długo nic nie robiłam i byłam kompletnie wykończona.

Znajdowaliśmy się w jakiejś stodole i kierowca układał kostki siana, tworząc nową stertę obok tych, które już tam były. Łącznie miał w tej stodole z tysiąc kostek całkiem

dobrego siana, chyba wczesnej lucerny, ale było w niej widać mnóstwo koniczyny. W dalszym ciągu nie zwracał na mnie uwagi, a ja w dalszym ciągu nie zwracałam uwagi na niego.

Chodziłam tam i z powrotem, próbując zmusić nogi do pracy i - co ważniejsze - próbując zmusić do pracy mózg. Dziwnie się czułam, nie mając pojęcia, gdzie jestem, a naprawdę nie wiedziałam, co to za miejsce.

Gospodarstwo czy miasto, w górach czy na pustyni, na wybrzeżu czy w głębi lądu, w niebie czy w piekle - wybierzcie sami. Oczywiście wiele wskazywało na to, że jesteśmy na farmie, i nie przypominałam sobie, żebyśmy jechali po pagórkach, ale przecież mogliśmy być w spichlerzu jakiegoś handlarza paszą. Zbliżyłam się do drzwi, myśląc, że warto by wyjrzeć na zewnątrz, a poza tym byłam ciekawa, czy kierowca zwróci na mnie uwagę, jeśli wykonam trochę bardziej radykalny ruch. I rzeczywiście - gdy tylko podeszłam do drzwi, syknął na mnie jak gęś i dał znak, żebym wracała. Odsunęłam się od drzwi, uśmiechając się pod nosem. Miło było wiedzieć, że żyję, że jestem prawdziwa, że widzą mnie inni ludzie. Skoro ktoś zwraca na mnie uwagę, to muszę być prawdziwa. Widzą mnie, więc jestem.

Najwyraźniej istnieli też inni ludzie - nie byliśmy sami na świecie - bo w tej samej chwili usłyszałam warkot zbliżającego się motoru. Brzmiał, bo ja wiem, jak cykada podczas orgazmu. No dobra, jasne, nigdy nie słyszałam cykady podczas... mniejsza z tym, w każdym razie ten motor bardzo potrzebował regulacji. Spojrzałam na kierowcę, myśląc, że zacznie wymachiwać rękami i pokazywać, żebym się schowała, ale on dalej zrzucał kostki siana z ciężarówki. Teraz, kiedy jego sverta urosła, stał na pace i starał się kłaść kostki na górze. Najwidoczniej motor nie oznaczał zagrożenia.

Mimo wszystko zaczęłam się denerwować i odsunęłam się na bok, chowając się za czymś, co wyglądało na bardzo starą młockarnię. Silnik motoru ucichł i po chwili ktoś gwałtownie otworzył drzwi. Za wchodzącym do środka mężczyzną zobaczyłam szarość poranka. Facet był duży, młody, a kiedy zdjął kask, zobaczyłam olbrzymi rząd idealnie białych zębów i usłyszałam głośny śmiech. Przemówił do kierowcy w obcym języku, ale byłam gotowa się założyć, że spytał: „Gdzie ona jest?”.

Kierowca sam już nie był tego pewny, więc rozejrzał się wokół.

Wyszłam zza młockarni. Młodszy facet usłyszał mnie, odwrócił się, przyjrzał mi się i powiedział prawie idealną angielszczyzną z leciutkim obcym akcentem:

- O, fajnie, dostała nam się ładna. Najwyższy czas.

Starszy mężczyzna nie zareagował. Ja niepewnie się uśmiechnęłam.

- Żałuj, że nie widziałaś ostatniej dziewczyny, której pomagaliśmy - powiedział motocyklista. - Była taka brzydka, że o mało jej nie oddaliśmy w ręce policji.

Nie mogłam się powstrzymać i szeroko się uśmiechnęłam.

Spodziewałam się tajemniczości i terroru, a spotkałam inną wersję Homera, przesadzoną, oburzającą i szczerze mówiącą, przystojniejszą. Oraz poczucie humoru, z jakim dorastałam, do jakiego przywykłam, i dowcipy, jakie rozśmieszały mnie i dobijały przez całe życie. W zasadzie głównie dobijały, ale to już inna historia.

- Cześć - powiedział. - Jestem Toddy.

- Cześć. Ellie.

- Nie mamy czasu do stracenia. Trzymaj, zasłoń tym swoją śliczną buzię. - Podał mi czarną perukę i białą maskę, dodając: - Mną się nie przejmuj, przyzwyczaisz się, prędzej czy później wszyscy się przyzwyczajają.

Ostrożnie włożyłam perukę, wsuwając pod nią wszystkie kosmyki własnych włosów. Te sztuczne sięgały mi poniżej ramion, dosyć daleko, jakieś piętnaście, dwadzieścia centymetrów. Czulałam się dziwnie. Nigdy nie miałam długich włosów. Ale uwielbiam czarne włosy i bardzo się ucieszyłam, że nagle takie dostałam. Maską przypominała te, jakie widuje się w telewizji, kiedy wybucha jakaś epidemia albo pokazują pielęgniarki pracujące na skażonym terenie. Zwyczajna papierowa maska ze sznureczkiem. Sprytne przebranie. Dwie łatwe do zdobycia rzeczy kompletnie zmieniły mój wygląd.

W każdym razie taką miałam nadzieję. Nie wzięłam ze sobą lusterka i choć przeszłam się po stodole w poszukiwaniu powierzchni, w której mogłabym zobaczyć swoje odbicie, niczego takiego nie znalazłam.

Stodoła była stara i mocno zakurzona, a większość metalowych powierzchni okazała

się poplamiona i zniszczona. Kurz i rdza - w tych dwóch słowach streszczała się historia tego miejsca.

- Chodź - ponaglił mnie Toddy. - Nie ma czasu na przeglądanie się w lusterkach. Wy, kobiety, wszystkie takie same. Nieważne, jak wyglądacie, faceci lecą na osobowość, nie rozumiesz?

Roześmiałam się. Trudno było zachować powagę, nawet w tak obcej i niebezpiecznej sytuacji. Sięgnęłam po plecak i wyszłam za tym gościem ze stodoły, dziękując kierowcy ciężarówki i machając mu na pożegnanie.

Tak jak wcześniej, kierowca nie odezwał się słowem, nawet na mnie nie spojrział, w ogóle nie zareagował. Chyba chciał jak najszybciej wymazać mnie z pamięci. I pewnie właśnie to mi przypomniało, w jak wielkim znajduję się niebezpieczeństwie i jak wielkie ryzyko podejmują ci dwaj mężczyźni.

Było chłodno i dość mgliście. Znajdowaliśmy się na jakimś złomowisku. Po lewej zobaczyłam stertę blachy falistej, a po prawej górę śrub, nakrętek i tego typu rzeczy. Niektóre były całkiem duże. Toddy zaprowadził mnie do swojego motoru marki Ducati, wypolerowanego na wysoki połysk. Wiecie, jest takie słowo: „nęący”, które znaczy tyle co atrakcyjny, choć wcale nie powinno. Nęcący? Litości! Czy coś takiego kojarzy się z urokiem i powabem? Powinno raczej oznaczać coś szarego, przytłaczającego i ponurego. No więc jak dla mnie to złomowisko było nęcące, a w tak nęcącym miejscu ducati lśnił jak motyl w sklepie mięsny. Szkoda, że tak fatalnie brzmiał. Gdy Toddy odpalił silnik - za trzecim razem - miałam ochotę zatkać uszy palcami i błagać, żeby go zgasił.

Ale zamiast tego przejrzałam się w lusterku. Najpierw bez maski.

Zmiana była radykalna. I niesamowita. Wyglądałam dojrzej i szczerze mówiąc, chyba lepiej. Jakoś tak, bo ja wiem, dostojniej czy coś. Bardziej jak dziewczyna z miasta. No i dobrze. Przez chwilę mogłam pobyć dziewczyną z miasta. Włożyłam maskę. Zmieniłam się nie do poznania.

Zniknęłam, ulotniłam się, moja tożsamość została usunięta przez zwyczajne dodanie włosów i zasłonięcie twarzy. Pozostał tylko jeden problem: oczy. Zanim zdążyłam się odezwać, Toddy dał mi okulary przeciwsłoneczne.

- Trzymaj, królewno - powiedział.

Królewno? Boże, on był gorszy niż Homer. Ale dobrze się przygotował. Może robił to codziennie: odbierał dziewczyny z naszej strony granicy i wioził je na niebezpieczne misje. Tak, to byłaby niezwykła praca.

Pojechaliśmy drogą gruntową, która prowadziła na złomowisko, a potem skręciliśmy w lewo. Teraz już miałam jakieś pojęcie na temat tego, gdzie jestem. Prawdopodobnie znajdowałam się w mieście, tyle że na peryferiach. Całkiem możliwe, że w Havelock. Przynajmniej taką miałam nadzieję. W każdym razie to musiała być biedniejsza część miasta: nudne budynki, drętwe fabryki, zero piękna, zero stylu.

- Jesteśmy w Havelock? - zawałam do Toddy'ego.

- Na pewno nie w Nowym Jorku! - krzyknął w odpowiedzi. - Koniec gadania.

Zrozumiałam, o co mu chodzi. Nigdy nie wiadomo, jak daleko niesie się głos, a nie chciałam, żeby ktokolwiek usłyszał, jak dwoje ludzi na motorze rozmawia po angielsku.

Na motorze było zimno, więc wykorzystywałam Toddy'ego jako owiewkę. Chciałam mu zadać miliony pytań. Dokąd mnie wiezie? Czy dowiedział się czegoś o Gavinie? Jak zamierzaliśmy go znaleźć? Jak udało się to wszystko zorganizować? I kim właściwie był Toddy? Czy mogłam mu zaufać? Skąd miałam mieć pewność? Przecież równie dobrze mógł mnie zawieźć prosto na najbliższy posterunek policji.

Wkrótce przestałam się skupiać na tych pytaniach, bo moją uwagę przyciągnęło zbyt wiele innych rzeczy. Na ulicach było coraz więcej samochodów i z każdym mijanym skrzyżowaniem zbliżaliśmy się chyba do centrum miasta. Wyglądało na to, że ludzie dość wcześnie zaczynają tu pracę. Było wiele motorów, ale czułam się coraz bardziej widoczna, coraz bardziej bezbronna. Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle i po chwili stanął obok nas inny motor. Jechała nim jakaś dziewczyna. Dzielił nas od niej mniej więcej metr, wcisnęła się między dwa pasy na jezdni.

Mogłybyśmy się potrzeć nosami. Spojrzała prosto na mnie. A ja na nią.

Peruka, okulary przeciwsłoneczne, papierowa maska... niczego więcej nie miałam.

Pod spodem była tylko Ellie. Wydawało mi się, że stoimy na tych światłach całą wieczność. Dziewczyna nawet na chwilę nie oderwała ode mnie wzroku. Ducati Toddy'ego szarpnął do przodu i znowu ruszyliśmy przed siebie. Dziewczyna pojechała za nami. Trzy przecznice dalej nadal czułam, że mamy ją tuż za sobą. Nie odważyłam się obejrzeć. Nic nie świadczy o poczuciu winy dobitniej niż obejrzenie się do tyłu. Ale za jazgotem ducati słyszałam warkot jej motoru. Był niski i donośny. Gdzieś przed czwartą przecznicą ucichł. Wtedy się obejrzałam. Po dziewczynie nie było śladu. Miałam nadzieję, że nie pojechała prosto na najbliższy komisariat, żeby donieść o podejrzanej dziewczynie na lśniąącym motocyklu.

Podróżując przez obce miasto - bo takie teraz było - czułam się dziwnie, ale jednocześnie byłam podekscytowana. Szkoda, że nie mogłam być zwyczajną turystką chodzącą tymi ulicami zupełnie swobodnie.

Szkoda, że nie mogłam wyruszyć w podróż do miejsc o egzotycznych nazwach, takich jak Pekin, Uttar Pradeś i Ułan Bator. A, tak, Mongolia - kolejny kraj, o którym zapomniałam, kiedy tkwiłam uwięziona pod stertą siana. No więc dobiłam do pięćdziesięciu jeden.

Szkoda, że mój umysł gnębiły myśli o Gavinie leżącym w jakiejś celi i ogarniętym rozpaczą. Szkoda, że nie wiedziałam, czy żyje i czy nic mu się nie stało. Szkoda, że w każdej sekundzie mojej obecności po tej stronie granicy byłam w wielkim niebezpieczeństwie. No tak, gdyby życzenia były rybami, wszyscy zarzucalibyśmy sieci w morzu. Albo jak kiedyś powiedziała moja babcia ze Stratton: „Gdyby życzenia były talerzami, wszyscy mielibyśmy szafki pełne porcelany Royal Doulton”. „Przecież ty masz, babciu” - odpowiedziałam wtedy i chyba jeden jedyny raz mojej babci na chwilę odebrało mowę.

Gdyby nie strach o Gavina - i o siebie - pewnie cieszyłby mnie widok motorów załadowanych czajnikami elektrycznymi w pudełkach, klatkami pełnymi kurczaków i wielkimi butlami wody dla pracowników biurowych. Sklepy, z których wylewały się owoce, części samochodowe, buty albo ubranka dla dzieci. Chaos drogowy na co drugim skrzyżowaniu, nieustanne trąbienie klaksonów, małe stoiska ustawione wzdłuż chodników i oferujące jedzenie, schludne i ładne dzieci w drodze do szkoły. Ale ilekroć zaczynałam się trochę odprężyć, zauważałam coś innego, coś złowrogiego. Żołnierzy. Byli wszędzie. Sześciu maszerowało w luźnym szyku chodnikiem, grupka stała przy skrzyżowaniu, paląc papierosy i rozmawiając, kolejni wypełniali pakę jadącej przed nami ciężarówki. Nigdzie nie widziałam całej armii, ale zanim dotarliśmy do domu Toddy'ego, zdążyliśmy zobaczyć jej sporą część

porozrzucaną po mieście, w którym nie można było od nich uciec, bo pojawiali się prawie na każdej ulicy i w każdym parku: żołnierze, żołnierze, żołnierze.

Czułam się tak, jakbym była w zupełnie innym mieście, nie w tym widocznym, pełnym sklepów, szkół, dziadków, babć, dzieci i ludzi załatwiających swoje sprawy, ale w innym, mroczniejszym, w którym przestępcy przemykają z miejsca na miejsce, ścigani przez żołnierzy, w mieście, które zabrania wstępu pomocy i przyjaźni, oferując tylko pościg, zemstę i śmierć. Podobnie jak pajęczyny nad ogrodem, prawie niewidoczne w mocnym świetle, ludzie z tego drugiego miasta byli powiązani, ale te powiązania nie byłyby w stanie przetrwać ataku zdeterminowanego i nieustępliwego wroga. Żołnierze uzbrojeni w karabiny, noże i pewność siebie mogli przeciąć te pajęczyny. Miałam wizję umożliwiającą wstęp do tego mrocznego miasta, ale tamto normalne miasto nigdy by się przede mną nie otworzyło. Rzeczy, które robiłam, życie, jakie wiodłam, oznaczały, że bez względu na to, jak długo bym żyła, nigdy nie zostałabym zaproszona do jasnego, otwartego miasta, gdzie normalni ludzie zajmowali się swoimi normalnymi sprawami.

Dojechaliśmy do innej, mniej zabudowanej części Havelock. Były tam większe sklepy. Dwa parki. Olbrzymi kościół, który dawniej był pewnie katedrą. Za starych dobrych czasów. Jeszcze nie skończyłam liceum, a już mówiłam o starych dobrych czasach. Po raz pierwszy zobaczyłam cudzoziemców, takich ludzi jak ja. W saabie stojącym przed nami na światłach siedziała jakaś blondynka. Po drugiej stronie ulicy zauważyłam dwóch chłopaków, mniej więcej trzynastoletnich. Jeden z nich miał rude włosy i jasną cerę. Ku swojemu zdumieniu zobaczyłam, że jest ubrany w koszulkę Fremantle Dockers. Drugi włożył koszulkę brazylijskiej drużyny piłkarskiej. Ten w brazylijskiej koszulce wyglądał jak dziecko dwóch kontynentów, chyba Ameryki Południowej i Azji.

Wychodzili z kawiarni i szli ulicą, jakby byli w swoim rodzinnym mieście.

Ten widok dodał mi pewności siebie. Nikt do nich nie doskoczył, żądając dokumentów i pytając o panińskie nazwisko matki. Żołnierze nie zwracali na nich uwagi.

W tej dzielnicy było też więcej znaków drogowych po angielsku, więc się domyśliłam, że jesteśmy w części miasta zamieszkiwanej przez obcokrajowców - w tej, o której wspominał Lee. To tutaj pracowali ludzie z ONZ.

Wjechaliśmy na małe podwórko. Toddy zeskokczył z motoru i zatrzasnął bramę, która

odgrodziła nas od spojrzeń sąsiadów. Poszłam za nim do wąskiego wysokiego budynku mogącego być domem albo biurowcem. Weszliśmy po schodach przeciwpożarowych do małego pomieszczenia, w którym stały dwa krzesła, stół, lodówka i niewiele więcej. Toddy podał mi szklanę wody. Wypiłam jednym haustem.

Potwornie chciało mi się pić. Napełnił ją jeszcze raz, a ja zanotowałam w pamięci, żeby na następną przejażdżkę w stogu siana zabrać ze sobą butelkę wody.

- Okej - powiedział - tutaj się zatrzymasz. W tej dzielnicy możesz się poruszać bez problemu, pod warunkiem że nie zapomnisz o przykrywce. Masz na imię Paula, prawda?

- Tak, nazywam się Paula McClure, jestem córką Jerry'ego McClure'a i doktor Suzanne Spring. Mieszkam pod numerem sto dwadzieścia siedem w bloku D zasiedlonym przez służby ONZ, urodziłam się 31 października i mam siostrę o imieniu Laura.

- Pokaż mi swoje papiery.

Wyjęłam bordowy portfel, który dawniej należał do mojej mamy, i podałam Toddy'emu mały paszport dorównujący wielkością karcie kredytowej. Było na nim moje zdjęcie, data urodzenia, adres i tak dalej, a poza tym dużo napisów, których nie potrafiłam odczytać. Toddy uważnie go obejrzał, z obu stron, a potem pokiwał głową.

- Tak, wszystko w porządku - powiedział. - Dobrze się spisali. Nikt się nie przyczepi.

Pomyślałam, że chyba nie od dziś współpracuje z Wyzwoleniem.

Wyciągnął rękę po drugi dokument: „Pozwolenie na zamieszkanie w Havelock”. Na nim też było moje zdjęcie i całe mnóstwo szczegółów po lewej stronie, a do tego instrukcje po francusku i angielsku dotyczące ograniczeń podróży oraz zasad wyrabiania nowych dokumentów, gdyby ktoś okazał się niezdarą i zgubił aktualne. Tym razem Toddy też był zadowolony, choć chyba nieczęsto miał do czynienia z takimi pozwoleniami. Podejrzewam, że jako „miejscowy” niczego takiego nie potrzebował.

- No dobrze - podjął. - Jak już mówiłem, możesz wychodzić, ale jeśli nie ma takiej potrzeby, lepiej się powstrzymaj. Siedź tutaj, jest bezpieczniej. A sytuacja wygląda tak: mam kontakty i staram się dowiedzieć, gdzie jest chłopak. Dobrze, że przyjechałaś, będą się starali

jak najszybciej go znaleźć. Jeśli się uda i uznasz, że dasz radę go stamtąd wydostać, decyzja będzie należała do ciebie. Pomożemy ci do tej chwili, ale nie licz na nic więcej. Nie jesteśmy żołnierzami, nie jesteśmy bohaterami, po prostu próbujemy zarobić na chleb. To twoja wojna, nie nasza. Chcesz być jak Rambo, nie ma sprawy, bądź sobie, ale ja jestem tylko zwykłym chłopakiem, który woli uniknąć kłopotów.

- Ja też jestem tylko zwykłą dziewczyną, która wolałaby uniknąć kłopotów. Ale kiedy ktoś przychodzi do mojego domu, zabija mi rodziców, a potem, jakby mu było mało, wraca i porywa mi młodszego brata...

Toddy podniósł rękę.

- W porządku, w porządku, wiem, że to nic dobrego, ale na wojnie dzieją się złe rzeczy, no nie? Lepiej zrobmy ci jakieś śniadanie. Dobrze gotuję. Powiedz, co chcesz zjeść, a ja się tym zajmę.

Szeroko się uśmiechnęłam.

- Nie przypuszczałam, że ktoś będzie mi tu robił śniadania.

- No wiesz, takie jest życie. Ciągłe nas zaskakuje. Chcesz grzanek?
A może jajka?

Rozdział 11

Chociaż siedzenie w tym wąskim małym budynku było niczym w porównaniu z podróżą w stogu siana, i tak dostawałam świra. Toddy wyszedł prawie cztery godziny temu, mówiąc, żebym nigdzie się nie ruszała, dopóki nie wróci, ale skoro dzieciak w koszulce Dockersów mógł spokojnie chodzić po tym mieście, to ja chyba też, no nie? Gdybym zabrała ze sobą koszulkę Bulldogsów, od razu bym ją włożyła, bo to o niebo lepsze niż Dockersi, ale nie wiedziałam, do jakiego stopnia tutejsi mieszkańcy są zaznajomieni z futbolowymi niuansami. Szczerze mówiąc, mnie też za bardzo one nie interesują, ale na widok tego fioletu, zieleni i czerwieni z białą kotwicą zrobiło mi się ciepłej na sercu.

Postanowiłam dać Toddy'emu pełne cztery godziny, ale gdy minęło pięć minut więcej, a on nadal się nie zjawiał, zostawiłam mu liścik o treści

„14.05”. Doszłam do wniosku, że lepiej nie dodawać żadnych szczegółów na temat tego, kim jestem ani dokąd poszłam, na wypadek gdyby liścik wpadł w niepowołane ręce. Potem wzięłam głęboki oddech, zeszłam po schodach i wyostałam się tylnymi drzwiami na podwórko.

Wąska uliczka doprowadziła mnie do szerokiej i gdy tylko padły na mnie jasne promienie słońca, zaczęłam robić wszystko, żeby wyglądać na kogoś odprężonego i zadomowionego, kto chodzi tą ulicą przez całe życie co drugi dzień. O tak, to Wirrawee, to Stratton, to tylko ja, ludzie, nie zwracajcie na mnie uwagi, stara poczciwa Ellie, to znaczy Paula, wybrała się na spacer.

Takie podejście działało mniej więcej jedną milisekundę.

Skręciłam w prawo, zrobiłam ze trzy kroki, rozejrzałam się i o mało nie spanikowałam. Na ulicy nie było ani jednego obcokrajowca oprócz mnie, ale za to roiło się od ludzi wyglądających na prawowitych mieszkańców. Dawno, dawno temu też czułabym się tu jak w domu - w sumie wcale nie aż tak dawno temu - ale teraz to nie miało już chyba znaczenia.

Zmusiłam się do tego, żeby iść dalej, ale jednocześnie pożałowałam, że nie jestem znowu w stogu siana. Moje zmysły były przeciążone. Oczy dostawały baty, patrząc na setki ludzi, którzy w tak oczywisty sposób różnili się ode mnie. Kiedy przyjechaliśmy, na ulicy było całkiem cicho i spokojnie, ale teraz temperatura wzrosła i wszędzie roiło się od ludzi.

Moje uszy dostawały baty od otaczających mnie głosów, które wydawały się szorstkie, piskliwe i mówiły tak szybko, że czułam się jak w pralce dźwięków. Co dwadzieścia sekund rozmowy przerywało długie buczenie albo seria z klaksonu, bo taksówki, samochody i motory rywalizowały o pierwszeństwo. Mój nos dostawał baty od dziwnego, lekko spleśniałego zapachu, który mógł się wydobywać z wadliwej instalacji kanalizacyjnej albo po prostu był typowym obiadowym aromatem dolatującym z restauracji.

Nie wiedziałam, bo moje ograniczone życie nie dostarczyło mi niczego, z czym mogłabym to porównać.

Przynajmniej zmysły smaku i dotyku wychodziły z tego bez szwanku, choć tutejsi mieszkańcy wpadali na siebie o wiele częściej niż ludzie w mojej ojczyźnie. Na początku przepraszałam, ale zauważyłam, że nikt oprócz mnie się tym nie przejmuje, więc dałam sobie spokój.

Oczywiście ludzie mi się przyglądali, ale nie świdrowali mnie wzrokiem jak tamta dziewczyna na motorze. Spoglądali na mnie, odwracali się, a potem często patrzyli jeszcze raz. Nie z podejrzliwością - a przynajmniej taką miałam nadzieję - ale raczej jakby zadawali sobie pytanie: „Hmm, kto to taki? Pierwszy raz ją tu widzę”.

Jasne, nie chciałam przyciągać takich spojrzeń. Za każdym razem, kiedy ktoś na mnie patrzył, robiłam się czerwona, a zdarzało się to tak często, że właściwie byłam czerwona bez przerwy.

Miałam taki mętlik w głowie, że nie potrafiłam się skupić. Zamiast myśleć, brnęłam przed siebie, nie będąc w stanie zdecydować, czy lepiej iść dalej, przejść na drugą stronę, wrócić czy może wskoczyć na któryś z kawiarnianych stolików na chodniku i zatańczyć irlandzki taniec ludowy.

Zmusiłam się do tego, żeby dojść do skrzyżowania i przejść przez ulicę, a potem na

drugą stronę. Minęło sporo czasu, zanim moje serce zaczęło bić trochę wolniej, a oddech się ustabilizował. Nadal miałam wrażenie, że jestem w centrum uwagi i wcale się nie myliłam. Ale jak na razie nie działo się nic strasznego, a uwaga otoczenia w dalszym ciągu składała się z ciekawości, a nie z agresji.

I wtedy stało się coś strasznego. Szłam w stronę otwartych drzwi czegoś, co wyglądało na supermarket, i zwalniałam kroku, myśląc, że warto zajrzeć do środka, a może nawet zebrać się na odwagę, wejść i coś kupić. Jeremy powiedział, że wszyscy tu uwielbiają amerykańskie dolary i że mogę nimi płacić nawet na ulicznych straganach. Pomyślałam, że zyskam trochę pewności siebie, jeśli wejdę do środka i kupię gumę do żucia, pepsi albo banany - coś uniwersalnego, nieskomplikowanego i niebudzącego kontrowersji. Nie miałam w planie pytać, w jakich pojemnościach sprzedają tu butelki absolutu.

Kiedy się zatrzymałam, grzebiąc ręką w kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy i zastanawiając się, czy powinnam się na to odważyć, po mojej prawej niespodziewanie wyrosli dwaj młodzi goście w mundurach. Chyba wcześniej stali oparci o ścianę budynku, ale zasłaniała ich kobieta sprzedająca papierosy i zapalki z małego wózka. Jeden z mężczyzn pstryknął przede mną palcami i wyciągnął rękę. Jeremy mnie ostrzegł, że coś takiego może się zdarzyć, bo był to sygnał oznaczający żądanie okazania dowodu tożsamości. Wysunęłam rękę z kieszeni z pieniędzmi i pogmerałam w drugiej, a następnie wyjęłam portfel mamy i pokazałam dokumenty, które wcześniej obejrzał Toddy.

Ludzie w mundurach mają w sobie to coś. Nie wiem, co to jest, ale nie dotyczy wyłącznie gliniarzy i żołnierzy. Osobiście zauważam to też u sędziów na meczach, u ekspedientów za ladą i u kierowców autobusów.

Pewnie między innymi właśnie dlatego firmy ubierają swoich pracowników w uniformy. Natychmiast dodaje im to władczości i peszy takich ludzi jak ja. A już i tak byłam mocno podenerwowana. Na mojej liście figurowało wystarczająco dużo stresorów. Dlatego choć wiele razy przerabiałam taki scenariusz w głowie - przed wyjściem z domu, podczas jazdy ciężarówką i u Toddy'ego - ćwicząc zachowanie w tego typu sytuacji, nie umiałam zachowywać się spokojnie i zwyczajnie, gdy ci goście mi się przyglądali. Wiem, że znowu zrobiłam się czerwona. Nie byłam w stanie spojrzeć na żadnego z nich i lekko spuściłam głowę, jakbym czuła, że jestem winna, i była gotowa spokojnie pójść do każdej celi, jaką dla mnie przygotowali.

Nie odezwali się słowem. Jeden z nich, ten, który pstryknął palcami, chyba czytał moje dokumenty, i robił to naprawdę powoli. Drugi też czytał, patrząc koledze przez ramię. Ruch pieszy wokół nas trwał dalej, rozstępując się jak rzeka wokół skały, ale nawet jeśli wcześniej przyciągałam ciekawskie spojrzenia, to teraz było ich sto razy więcej.

Podejrzewam, że na widok kogoś zatrzymanego albo przepytywanego ludzie natychmiast zakładają, że ta osoba popełniła co najmniej dwa morderstwa. Minęło mnóstwo czasu. Miałam wrażenie, że całe lata.

Jeszcze pięć minut, a weszłabym w okres przekwitania. Pierwszy żołnierz coś powiedział, ale nie zrozumiałam co.

- Słucham? - wychrypiałam, spoglądając na niego.

Po raz pierwszy patrzyliśmy sobie w oczy. Zrobiłam się jeszcze bardziej czerwona. Wydawał się niewiele starszy ode mnie, ale sprawiał wrażenie bardzo inteligentnego, chociaż możliwe, że była to zasługa ciemnych okularów.

- Gdzie mieszkasz, Paula? - spytał.

Wtedy zrozumiałam, czemu niektórzy ludzie tak łatwo wszystko wyznają podczas aresztowania. Byłam gotowa zaszlochać i powiedzieć:

„Nie jestem Paula, przecież wiecie, mam na imię Ellie i po tym, co zrobiłam w czasie wojny, po wszystkich żołnierzach, których wtedy zabiłam, prawdopodobnie figuruję na waszej liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców”.

Na szczęście zostało mi jeszcze na tyle zdrowego rozsądku, żeby zachrypieć jeszcze raz i podać im adres Pauli.

Jedyną myślą, jaką zdołałam wykrzesać w swoim mózgu, było imię Gavina. Starłam się je sobie powtarzać, żeby nie zapomnieć, po co tu przyjechałam i że jestem po stronie dobra, po stronie pozytywnych fajnych rzeczy, takich jak ocalenie kogoś, kto mimo młodego wieku przeżył już tyle, że zasługuje na odpoczynek. Kiedy podałam adres, żołnierz zrobił tak sceptyczną minę, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie wie o czymś, o czym mnie nie powiedziano, na przykład o tym, że ten dom został zburzony albo że trzęsienie ziemi

zmiotło całą ulicę. Jakiś chory impuls nakazywał mi uciekać i pewnie bym uciekła, gdybym tylko wiedziała dokąd. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko wpychać stopy w chodnik, żeby stać prosto, i mocno wbijać paznokcie w zaciśnięte dłonie.

Żołnierz długo milczał. Po prostu stał, uderzając moimi dokumentami o pięść i przyglądając mi się. Wreszcie, kiedy już miałam pęknąć, oddał mi przepustkę i powiedział:

- Okej, idź.

Straciłam zainteresowanie zakupami. Ruszyłam, starając się trzymać głowę wysoko i mając nadzieję, że wyglądam na spokojną przynajmniej z tyłu. Bo wiedziałam, że z przodu nie. Kierując się ku następnemu skrzyżowaniu, minęłam dom Toddy'ego po drugiej stronie ulicy. Za nic w świecie nie mogłam tam teraz wrócić, bo dwie pary oczu prawdopodobnie wierciły mi właśnie dziury w plecach. Dotarłam do skrzyżowania i skręciłam w prawo. Na tej ulicy było o wiele mniej ludzi.

Czując przyływ nadziei, zauważyłam dwóch chłopaków, których widziałam wcześniej. Byli jakieś trzydzieści metrów przede mną.

Wyglądało na to, że po prostu włóczą się po mieście. Przyspieszyłam kroku i zrównałam się z nimi.

- Cześć, chłopaki! - zawołałam.

Odwrócili się. Wyglądali przyjaźnie. Miałam nadzieję, że nie wpakuję ich w kłopoty.

- Moglibyście mi wyświadczyć wielką przysługę?

- To zależy - odpowiedział ten z czarnymi włosami, ale nadal wydawał się przyjaźnie nastawiony.

Poczułam, że mam do czynienia z luzakami, którzy potrafią się kumplować ze starszymi dziewczynami, z młodszymi dziewczynami, ze starszymi chłopakami, z młodszymi chłopakami... a także ze starszymi paniami, z dziadkami, ze sprzedawcami, z imigrantami nieznającymi angielskiego, z nauczycielami i z niemowlętami... Boże, uwielbiam takich ludzi: nie czują się wiecznie zagrożeni, tak jak na przykład Gavin. Gavin traktuje wszystkich tak,

jakby trzymali za plecami samurajskie miecze i zamierzali go nimi poszatkować. Problem w tym, że faktycznie bez przerwy spotykają go tego typu przykrości.

- Dokuczają mi jacyś dwaj żołnierze i boję się, że mogą mnie śledzić. - Zamilkłam.

Spojrzeli na siebie.

- Zastanawiałam się, czy nie zechcielibyście wyjrzeć za róg i zobaczyć, czy za mną idą.

Jeszcze raz na siebie spojrzeli, a potem ten rudy wzruszył ramionami i powiedział:

- Okej.

Nie widzieli w tym najmniejszego problemu. Zawrócili bez ceregieli, dość szybko. Gdy dotarli do skrzyżowania, o mało nie zderzyli się z dwoma żołnierzami, którzy właśnie wychodzili zza rogu.

Czy mnie śledzili? Podejrzewam, że tak. I wtedy też tak podejrzewałam. Przez moment wszyscy pięcioro staliśmy jak wryci.

Żołnierze musieli zejść z chodnika, jeśli chcieli wyminąć chłopaków. Ci drudzy mogli się tylko cofnąć. Ja mogłam iść gdziekolwiek, ale miałam być niewinną Paulą, która wyszła na spacer, a nie zbiegiem.

Ciemnowłosy chłopak odwrócił się i pomachał do mnie.

- Nie zapomnij powiedzieć mamie! - zawołał.

Mamie? Skąd on się urwał? Wtedy ten chłopak i jego przyjaciel lekko się przesunęli, jakby też chcieli zejść na ulicę, i zagrodzili drogę żołnierzom. Piękny układ choreograficzny. Rudzielec splótł ręce na piersi i powiedział coś do żołnierzy, jakby zadawał bardzo poważne pytanie. Na przykład o drogę. Niczego więcej nie widziałam. Pomachałam im na pożegnanie i szybko się oddaliłam. Po prawej zauważyłam kawiarnię. Nad drzwiami widniał angielski napis: „American coffee, 20. We take cards.

Relax with friend". Weszłam do środka. Kawiarnia była maleńka. Przy komputerze siedziała bardzo modnie ubrana młoda kobieta z długimi czarnymi włosami. Na mój widok wstała. Zauważyłam mały bar, ale przysięgam, miejsca było najwyżej dla czterech klientów. Zobaczyła moje zmieszanie i pokazała na schody, które też były bardzo modne, ale wąskie.

Ze stali nierdzewnej.

- Na górze - powiedziała. - Kawa na górze.

- Mogę skorzystać z toalety? - spytałam.

Od razu ruszyłam w stronę drzwi za barem. Dziewczyna zrobiła się czerwona i złapała się za gardło.

- Nie, nie wolno - powiedziała.

- Przepraszam, naprawdę muszę - odparłam.

Wyglądało na to, że Paula nie jest za dobrze wychowana.

Otworzyłam drzwi i wślizgnęłam się do środka, a potem je za sobą zamknęłam. Znalazłam się w bardzo wąskim korytarzu, który stał się jeszcze węższy za sprawą ustawionych wzdłuż pudeł i puszek.

Zauważyłam dużą stertę kawy Lavazza. Jak na taką maleńką kawiarenkę musieli mieć spore obroty. Może tworzyli całą sieć kawiarni i tutaj mieli siedzibę główną? Dotarłam do końca korytarza i otworzyłam następne drzwi. Wtedy tamta dziewczyna otworzyła pierwsze. Słyszałam, że zaczyna coś mówić, ale już kiedy nabierała powietrza, żeby wypowiedzieć te słowa, zamykałam za sobą następne drzwi.

Znalazłam się w salonie. Boże, jaki wstyd. Zauważyłam drugą modnie ubraną dziewczynę i chudego bladego faceta wyglądającego na Brytyjczyka. Kto to był, do diabła?

- Przepraszam, szukam toalety - powiedziałam i poszłam dalej, a oni patrzyli na mnie jak na kompletną wariatkę.

Cała ta sytuacja robiła się naprawdę surrealistyczna. Przeszłam następnym korytarzem

i w końcu znalazłam się na - no, może nie do końca na świeżym powietrzu, ale najbliższej niego, jak można się było znaleźć w Havelock.

Podwórko było mniej więcej tej wielkości co salon. Pobiełam prosto do tylnej bramy i wyszłam przez nią, zanim ktokolwiek wyłonił się z budynku. Skręciłam w lewo i ruszyłam uliczką w stronę większej ulicy, gdzie zaczęłam długą okrężną drogę przez przedmieścia. Nie słyszałam policyjnych syren ani psów tropiących, ale zachowywałam się bardzo ostrożnie, więc pokonałam sześć przecznic więcej, niż było trzeba.

Zaniknęła pewność, z jaką jeszcze niedawno chciałam iść główną ulicą, i trzymałam się na ogół bocznych uliczek i alejek, choć w pewnej chwili przeszłam przez duży park. Jedynym sposobem, żeby wyjść z tego bez szwanku, było sprawianie wrażenia osoby pewnej siebie, ale miałam poczucie, że zmieniałam się w tarty ser i w każdej chwili mogę się stopić.

Kiedy wróciłam do mieszkania, Toddy już tam był i nie wyglądał na zbyt zadowolonego. Widząc, jak wchodzę tylnymi drzwiami, praktycznie zeskoczył ze schodów jednym susem i chwycił mnie za ramiona.

- Gdzie się podziewałaś? Wszystko w porządku? Stało się coś złego?

Wszystko mu opowiedziałam, niezbyt dumna z siebie. Raczej się nie ucieszył.

- Jesteś pewna, że nikt cię nie śledził? - pytał trzy razy i w końcu sama już nie wiedziałam, czy jestem pewna, czy nie.

Jeszcze niedawno mnie zapewniał, że na ulicach jest bezpiecznie, ale postanowiłam o tym nie wspominać - podobnie jak o tym, że odradzał mi wychodzenie z domu bez wyraźnej potrzeby - i dość długo go przeproszałam. Minęło sporo czasu, zanim zakończyliśmy ten temat. Cała sprawa była krępująca i wprawiała mnie w zakłopotanie. Teraz Toddy uważał, że nie można na mnie polegać i jestem nieodpowiedzialna.

Wiedziałam, że trudno będzie odzyskać dobrą opinię. Całkiem jak w szkole - bardzo łatwo jest sobie wyrobić złą markę i bardzo trudno odzyskać dobrą. Homer mógłby o tym zaświadczyć. Sporo nauczycieli nadal uważało go za skończonego kretyna, mimo że moje książki pomogły mu trochę podreperować reputację. Problem w tym, że sam niewiele robił we własnej sprawie. Poza tym zjawiało się wielu nowych nauczycieli, a większość tych,

którzy przeczytali moje książki, już odeszła.

Toddy powiedział, że chce mnie skontaktować z jakimiś ludźmi.

Dodał, że mają informacje, ale nie spieszą się z ich przekazaniem. Uznał, że moja obecność może ich trochę ponaglić, zachęcić. Teraz jednak najwidoczniej miał wątpliwości, czy po wyjściu z domu nie zrobię niczego głupiego, czy przypadkiem nie zacznę śpiewać *Waltzing Matilda* na środku ulicy.

- Wiem, że wychodząc na spacer, zachowałam się jak kretynka - powiedziałam, coraz bardziej rozżalona niekończącym się przeproszaniem.

Zabawna sprawa: nawet kiedy zupełnie się mylisz, po chwili zaczynasz mieć żal do osoby, która ma rację. - Ale co właściwie się stało? Szkoda mi prawdziwej Pauli, jeśli ci żołnierze zapamiętali jej nazwisko z moich dokumentów. Pewnie jej teraz szukają. Ale rodzice Pauli będą musieli po prostu wyjaśnić, że zaszło nieporozumienie. Najgorsze, co może nas spotkać, co może spotkać mnie, to to, że po rozmowie z jej rodzicami gliny mogą zacząć szukać nastolatki z fałszywym paszportem. To niedobrze, tyle że zanim do tego dojdzie, upłynie trochę czasu.

Postanowiliśmy wybrać się z wizytą, ale dopiero po zmroku. Czyli dość późno, bo dni robiły się coraz dłuższe. Tymczasem nie miałam nic do roboty, mogłam najwyżej kręcić się po budynku. Pożyczyłam od Toddy'ego parę kartek i trochę popisałam. Z jakiegoś powodu przelewanie wydarzeń na papier działa na mnie uspokajająco. Ale w końcu mi się to znudziło i zaczęłam przeglądać jakiś magazyn o modzie w języku tak odmiennym od mojego, że nie rozumiałam nawet tytułu.

Toddy zachowywał się jak te ómy widywane rano - te, które przylatują do domu wieczór wcześniej, kiedy światło jest jeszcze włączone, a jakiś czas po wschodzie słońca zdają sobie sprawę, że popełniły błąd, i reszta ich krótkiego, tragicznego życia upływa im na trzepotaniu skrzydełkami o okno i próbach wydostania się na zewnątrz.

Toddy chciał ruszać w drogę, wchodził do pokoju dziesięć razy w ciągu godziny, ale wiedział, że musimy poczekać.

Próbowałam go wypytywać o jego życie, ale nie palił się do odpowiedzi na moje pytania. Przede wszystkim chciałam się dowiedzieć, dlaczego to robi. Czemu zdradza własny

kraj, pomaga wrogowi? Dla pieniędzy? Raczej nie. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie bardzo przejmuje się pieniędzmi, chociaż jego motor musiał trochę kosztować.

Może jego motywacja sięgała głębiej? Tylko że w takim razie musiałby przyznać, że inwazja była błędem i nie powinno ich być w miastach, które przed wojną należały do nas. A Toddy sprawiał wrażenie zadowolonego z pobytu w Havelock.

Chyba nie chciał mi zdradzać żadnych szczegółów swojego życia osobistego, bo mogłam zostać złapana. To całkiem zrozumiałe, zwłaszcza że teraz najwidoczniej podejrzewał, że dam się schwytać przy pierwszej okazji. Mimo to jego skrytość trochę mnie drażniła, bo lubię wiedzieć wszystko o wszystkich. Ostatecznie udało mi się dowiedzieć, że ma dwie starsze siostry, a jego mama jest krawcową. I niewiele więcej.

Gdy się ściemniło, zbiegł po schodach.

- Chodź, idziemy - powiedział.

Myślałam, że znowu wsiądziemy na motor, że będę miała perukę i okulary przeciwsłoneczne, ale zaprowadził mnie na ulicę za swoim domem i polecił, żebym szła przed nim i minęła trzy przecznice, następnie skręciła w lewo, przeszła jeszcze dwie przecznice, a w połowie drogi między drugą i trzecią zaczęła na niego przy hydrancie.

- Minę cię, potem zawrócę, a wtedy pójdziesz za mną.

Trochę trwało, zanim doszliśmy do tego, że ma na myśli hydrant, bo Toddy nie znał właściwego słowa, ale w końcu zrozumiałam, o co mu chodzi.

Ruszyłam. Dwa spojrzenia przez ramię uświadomiły mi, że Toddy zachowuje bezpieczną odległość. Bardzo bezpieczną odległość. Trzymał się ze sto pięćdziesiąt metrów za mną. Nie miałam złudzeń. Wiedziałam, że gdyby mnie schwytano, mogłabym liczyć na Toddy'ego nie bardziej niż na złudzenie. „Ellie? Paula? Tak powiedziała? Nikogo takiego nie znam.

Daj spokój, człowieku, to jakaś wariatka!”

Jego zachowanie - i to, co zaszło po południu - strasznie mnie zestresowało. Szłam

takim krokiem, jakbym w każdej chwili spodziewała się kulki. Jakby na drzewach i dachach budynków siedzieli snajperzy.

Toddy wybrał spokojną ulicę, z czego bardzo się ucieszyłam, i zanim kogokolwiek minęłam, zdążyłam pokonać jedną przecznicę. Jakiś mężczyzna w ciemnym ubraniu szedł w tym samym kierunku co ja, a kiedy się zbliżył, usłyszałam, że tuż za nim bardzo cicho idzie druga osoba. Zaryzykowałam, obejrzałam się i zobaczyłam drugiego człowieka w ciemnym garniturze. „Już po mnie - pomyślałam. - Gra skończona”.

Naprawdę spodziewałam się aresztowania. Spojrzałam ponownie, tym razem na drugą stronę ulicy, i pomyślałam, że jeśli któryś z nich mnie dotknie, będę uciekać.

Gdy mężczyzna podszedł bliżej, lekko się odwrócił, jakby szykował się do złapania mnie. Potem znów się wyprostował i zwyczajnie mnie wyprzedził. Po chwili mężczyzna idący za nim zrobił to samo.

Czy dali sobie jakiś sygnał? Odkąd rano przyglądała mi się tamta dziewczyna na motorze, czułam się obserwowana, podejrzana, zagrożona.

Szłam dalej, ale nie odrywałam wzroku od mężczyzny z przodu, który dalej przyspieszał. Może był agentem policji albo rządu? Albo po prostu pracownikiem jakiegoś biura wracającym do domu po nadgodzinach? Toddy był daleko w tyle i czułam się bardzo osamotniona.

Widziałam się od tyłu jego oczami: samotną postać idącą w ciemności, od czasu do czasu pokrywaną cętkami słabego światła nielicznych działających lamp. Szłam trochę szybciej niż zwykle, instynkt i ciało pragnęły przyspieszyć jeszcze bardziej, ale umysł wciskał hamulce.

Chciałam już być na miejscu, zawsze chciałam już być na miejscu.

I zawsze był jakiś Toddy w tle, który mnie powściągał, oraz niewidoczni obserwatorzy wokół mówiący: „Hej, co to za jedna? Wygląda niebezpiecznie, zatrzymajmy ją, nie pozwólmy jej dalej iść”.

Skreśliłam w lewo zgodnie z instrukcjami. Przechodząc dalej ulica znowu krzyżowała się z główną drogą. I nadal panował tam duży ruch. Ta część miasta była bardzo jasna, pełna sklepów. Zauważyłam neony: pomarańczowe, czerwone, niebieskie, żółte, różowe.

Większości z nich nie potrafiłam przeczytać, ale niektóre miały też angielskie wersje. „Best Chinese Food”. „Handy Supermart”. „American Hamburgers”. „National Security Bank”. „Top Indian Food”.

Dziwnie było przechodzić przez tę rzekę światła, samochodów, kolorów i ludzi. Wydawała się daleka od pastwiska pełnego bydła. Cztery kobiety w średnim wieku minęły mnie szybkim krokiem, żadna z nich się nie odzywała. Wyglądały tak, jakby były za bardzo zmęczone, żeby mówić. Wydawały się smutne. Może była wśród nich matka jednego z mężczyzn, którym ja i Lee zgotowaliśmy śmierć z rąk byka? Z kopyt i rogów byka. Przejście przez ulicę było naprawdę dość dziwnym przeżyciem. Wyglądało na to, że przepisy drogowe mają tam niewielkie znaczenie. Zabawna biała taksóweczka ominęła inny samochód, z radością przecinając podwójną ciągłą. Kawalek dalej na środku przejścia dla pieszych stał jakiś mężczyzna i czekał, aż ktoś się zatrzyma albo przynajmniej trochę przyhamuje i pozwoli mu kontynuować tę odważną przeprawę. Sądząc po reakcji kierowców, mógł tam stać do rana.

Zdecydowałam się na małe prześlizgiwanie się i lawirowanie wśród samochodów: ten przepuściłam, przed tamtym przebiegłam, dałam nura między dwa inne i dotarłam na chodnik w stanie, który w zasadzie nie różnił się od emocji towarzyszących ocieraniu się o śmierć podczas wojny.

Dotarłam do półmetka. Na ruchliwej ulicy nikt nie zwracał na mnie większej uwagi. Zaszyłam się z powrotem w spokojnym półmroku bocznej uliczki. Unosił się tam inny zapach, słodki, ale nieprzyjemny. Był to ten rodzaj słodczy, który wywołuje lekkie mdłości. Coś fermentującego, coś na skraju gnicia. Z lewej zaskrzeczała jakaś kobieta. Zaskoczyła mnie.

Dźwięk dobiegł z jednego z domów. Kobieta była na kogoś zła.

Wykrzyczała wiązkę przekleństw, które mogły dotyczyć pijanego męża, pyskującej nastoletniej córki albo tego, że nikt nie chciał wynieść śmieci i wszystko zostawało na jej głowie. Przyspieszyłam kroku. Minęłam kościół, zamknięty i spowity ciemnością. Potem blok i mężczyznę wystukującego kod na domofonie. Sklep z olbrzymimi glinianymi wazonami stłoczonymi na niewielkiej przestrzeni i stojącymi jak tępi ludzie, którzy czekają, aż ktoś im powie, co robić.

Wreszcie dotarłam do hydrantu. Usunęłam się w cień, korzystając ze zwisających

gałęzi drzewa. Kilka minut później usłyszałam kroki Toddy'ego. W prawdziwym życiu odgłos kroków nigdy nie brzmi tak, jak go opisują w książkach, chyba że ktoś idzie po drewnianej podłodze.

Słyszy się coś więcej niż stąpanie. Czuje się czyjąś obecność i nie tylko dźwięki wydawane przez stopy, ale również te związane z ubraniem i chyba nawet z rękami. Do człowieka zbliża się cała gama dźwięków. Jak na dużego faceta, Toddy wydawał ciche dźwięki i sprawiał wrażenie zdenerwowanego, ale biorąc pod uwagę grożące nam niebezpieczeństwo, wcale nie byłam zaskoczona. Czułam się tak, jakbym grała w „Zaufaj Toddy'emu”. Zaufaj zupełnie obcemu człowiekowi, którego poznałaś zaledwie rano. Skoro zdradzał własny kraj za pieniądze, równie dobrze mógł zdradzić mnie za jeszcze więcej pieniędzy.

Ciemny kształt minął mnie, nie rozglądając się na boki. Oparłam się o ścianę, czekając, aż wróci. Nad głową usłyszałam jakiś dźwięk i spojrzawszy w górę, zobaczyłam zarys oposa odznaczający się na jasnym tle małego bloku po drugiej stronie drogi. Zwierzak próbował dosięgnąć sąsiedniej gałęzi, ale odległość była trochę za duża. „Przecież oposy są wielkie i ciężkie” - pomyślałam. Nigdy nie widziałam wiewiórki, ale wyobrażałam sobie, że są o wiele zwinniejsze. Opos dosięgnął gałęzi i podciągnął się na nią.

- Dobra robota - pochwaliłam go cicho.

Potem znowu skupiłam się na ulicy. Od lewej strony, czyli stamtąd, dokąd poszedł Toddy, ktoś się zbliżał. Miałam nadzieję, że to on. Ale odgłos kroków był cięższy. Powoli minął mnie jakiś starszy mężczyzna, który być może wybrał się na wieczorny spacer. Znieruchomiałam, mając nadzieję, że mnie nie zauważy, ale przechodząc obok, spojrzął w moją stronę i chyba zauważyłam lekką zmianę na jego twarzy, coś jakby zaskoczenie. Było naprawdę ciemno i mogłam się mylić - taką miałam nadzieję. Wkurzyłam się, że mnie zobaczył. Musiałam wyglądać bardzo podejrzanie. Minęły trzy albo cztery minuty. Gdzie był Toddy? Boże, nie spieszyło mu się. Po chwili się zjawił, nadchodząc lekkim i pospiesznym krokiem.

- Chodź. Ktoś cię widział?

- Tak, starszy mężczyzna, który wyszedł na spacer. Wydawał się trochę zaskoczony.

- A niech to. Nie mogłaś go zatrzymać?

Toddy zaczynał mnie denerwować: ciągle miał do mnie jakieś pretensje.

- Jak? - spytałam. - Miałam go oślepić? Zabić? Zahipnotyzować?

„Nie widzisz dziewczyny, widzisz kurczaka”?

Szybko szliśmy ulicą. Toddy nie odpowiedział. Dotarliśmy do jakiegoś bloku i skręciliśmy w lewo, w boczną uliczkę, a potem ostro w prawo i znaleźliśmy się na klatce schodowej. Była tam winda, z której jednak nie skorzystaliśmy. Weszliśmy po brudnych schodach na trzecie piętro. Z trudem nadążałam. Toddy szybko się ruszał. Cicho zapukał do drzwi z numerem trzydzieści jeden, otworzył je i od razu wszedł do środka. Ja po prostu szłam za nim. Minęliśmy dwa pokoje, małą kuchnię i znaleźliśmy się w salonie.

W środku siedziało trzech mężczyzn, grali w karty. Wszyscy wyglądali na dwudziestoparolatków. Karty wydawały się o wiele starsze od nich. Były poplamione i wygniecione. Zaciągnięto zasłony i w pomieszczeniu panował półmrok. Chyba wszyscy palili i mieszkanie cuchnęło starymi petami.

Uświadomiłam sobie, że ludzie, którzy porwali Gavina, żeby dopaść mnie i Szkarłatnego Prysacza, być może właśnie mnie dostali. Jeśli Toddy się pomylił albo, co gorsza, jeśli Wyzwolenie pomyliło się co do Toddy'ego, właśnie wpadłam w pułapkę. To byłoby im bardzo na rękę. Nie musieli nawet kiwnąć palcem. Sama przyjechałam i oddałam się w ich ręce.

Toddy dużo do nich mówił, ale nie wyglądali na szczególnie zainteresowanych i po prostu dalej grali w karty. Od czasu go czasu któryś z nich rzucał od niechcienia jakąś uwagę albo odpowiedź. Od razu było widać, że to oni są panami sytuacji. Toddy wydawał się jeszcze bardziej zdenerwowany. Zastanawiałam się, kiedy przyjdzie kolej na mnie i czy w ogóle będą chcieli cokolwiek ode mnie usłyszeć.

Po jakimś czasie Toddy odwrócił się w moją stronę. Odchrząknął.

- Ci ludzie wiedzą coś o grupie, która przetrzymuje twojego brata.

Aktualnie są z nią poróżnieni. Toczy się... w Nowym Jorku nazwaliby to pewnie „wojną o wpływy”. Ci ludzie nie wiedzą, kim jesteś ani kim jest twój brat, ale słyszeli, że jakiś chłopiec jest przetrzymywany jako zakładnik. Tylko że nie bardzo mi ufają. Myślą, że działałam na własną rękę.

Przyprowadziłem cię na dowód, że nie gram na dwa ani nawet na trzy fronty.

Czułam się, jakbym wylądowała w gnieździe występku. Nagle nie wiadomo skąd przyszła mi do głowy myśl o łapówce. Nie wiedziałam, czy to odpowiednia chwila, więc spytałam Toddy’ego, czy powinnam im zaproponować pieniądze.

- Masz pieniądze? - zapytał szybko.

Tym razem w ogóle się nie ościągał.

- Niedużo - powiedziałam.

- Nie, na razie o nich nie wspominaj. Opowiedz trochę o sobie i o tym, dlaczego tu jesteś.

To była dziwna sytuacja. Musiałam wygłosić przemówienie w języku, którego ci ludzie nie znali, a od tego mogło zależeć życie dziecka. Próżno było szukać inspiracji w tym paskudnym zakopconym mieszkaniu, w towarzystwie zgrai facetów, którzy najwidoczniej należeli do jakiegoś gangu. Ale musiałam coś wymyślić. Zaczęłam powoli, badając grunt i próbując sklecić parę słów. Na końcu każdego zdania milkłam, żeby Toddy mógł przetłumaczyć, co pod pewnymi względami było dobre, a pod innymi nie. Dobre było to, że miałam czas pomyśleć o następnym zdaniu. Złe to, że nie mogłam się rozkręcić. Szybko stało się jasne, że nie uda mi się porwać publiczności i skłonić jej do tego, by kołysała się na widowni, śpiewając „Alleluja”, podczas gdy ja będę ją raczyła kazaniem na temat słuszności zawierzenia życia Jezusowi.

Mówiłam przede wszystkim o Gavinie, o tym, jak ojczym zamordował mu mamę w ostatnich minutach pokoju albo w pierwszych minutach wojny, o tym, jak Gavin uciekł i zamieszkał na ulicach Stratton wśród innych dzieci, o tym, jak niektóre z nich umierały na

skutek zaniedbania i ran, a jedna dziewczynka dlatego, że zgubiła się w lesie, o tym, jak znalazłam Gavina i jak ze mną został, i jak niedawno o mało nie zginął z rąk ojczyma. O sobie mówiłam niewiele, bo nie chciałam, żeby się domyślili, kim jestem - zakładając, że w ogóle mnie słuchali - ale wspomniałam, że nie mam rodziny, a Gavin jest teraz moim bratem i jedynym człowiekiem, jaki mi pozostał na całym bożym świecie.

Na końcu zapadło krótkie milczenie i powiedziałam do Toddy'ego:

- Jeśli chcą pieniędzy za informację na temat miejsca jego pobytu, mam kilkaset amerykańskich dolarów.

- Zaczekaj jeszcze - poradził.

Ale jeden z mężczyzn usłyszał magiczne słowo i po raz pierwszy spojrzał mi w oczy.

- Tysiąc dolarów - powiedział.

- Nie mam aż tyle - skłamałam.

Nagle wszyscy zapomnieli o kartach i zaczęli ze sobą dyskutować.

Nie miałam pojęcia, co się dzieje, ale byli mocno poruszeni. Spojrzałam na Toddy'ego, a on lekko pokręcił głową. Kiedy temperatura dyskusji wzrosła, szepnął do mnie:

- Kłóć się o pieniądze. Pozostali nie są zadowoleni, że ich zażądał.

Facet siedzący najbliżej mnie odwrócił się na krześle i spojrzał mi w oczy. Wcześniej widziałam tylko tył jego głowy. Teraz zauważyłam, że jest najmłodszy z nich wszystkich, mógł mieć jakieś dziewiętnaście lat i całkiem nieźle wyglądał. Odłożył karty na stół, gdzie wszyscy mogli je zobaczyć. Najwidoczniej nie zamierzał wygrać w tym rozdaniu.

- Powiemy ci, gdzie on jest - powiedział.

Nie mówił po angielsku. Stojący po mojej lewej Toddy przetłumaczył jego słowa, ale zupełnie niepotrzebnie. Jakimś cudem dokładnie wiedziałam, co mówi.

- Powiemy ci, gdzie on jest, ale na nic więcej nie licz. Potem jesteś zdana na siebie. Jeśli postanowisz go stamtąd wydostać, musisz to zrobić sama.

Skinęłam głową, żeby mu podziękować. Pozostali zamilkli i też rzucili karty na stół. Patrzyli na młodszego kolegę, jakby sami nie mieli z tym już nic wspólnego. Mężczyzna spojrzał na zegarek, odwrócił się do Toddy'ego i zaczął mówić, dość szybko, a Toddy po każdym zdaniu potakująco kiwał głową. Po chwili było już po wszystkim. Mężczyźni wzięli karty, najmłodszy z nich odwrócił się z powrotem do stolika, a Toddy dał mi znak, że pora iść.

- Bardzo dziękuję - powiedziałam skrepowana do karku młodego faceta.

Nie odpowiedział. Poszłam za Toddym korytarzem, minęłam pokoje i wyszliśmy na klatkę schodową. Bez słowa ruszyliśmy na dół. Potem wyszliśmy na ulicę i znowu skierowaliśmy się w stronę świateł. Szliśmy bardzo szybko, Toddy był tuż obok mnie i praktycznie ciągnął mnie za sobą. Sto metrów od głównej ulicy gwałtownie się zatrzymał i pociągnął mnie w prawo, na teren kościoła.

- Okej - zaczął. - Słuchaj uważnie. Powiedzieli mi, gdzie on jest, i teraz pokażę ci to miejsce. Zostawię cię tam i zrobisz, co będziesz chciała. - Pod wpływem stresu jego angielski zaczął kuleć. - Żyjesz, umierasz, nie wiem, ja tylko Toddy, nie walczę. Chcesz mały, bierzesz mały, ja nie robię nic.

Domyśliłam się, że ma na myśli „małego”, ale nic nie powiedziałam.

- Jak go weźmiesz, nie przychodź do mnie do domu, idź tam, gdzie ci powiem. Jak cię znajdę, pomogę, okej? Nigdy nie przychodź do mnie do domu, rozumiesz? Nie przychodź do mnie do domu.

- W porządku - powiedziałam.

Miałam do niego żal, ale starałam się go zrozumieć. To nie była jego wojna. Musiał przetrwać. Nie chciał zapłacić życiem za pomoc dwojgu obcym ludziom.

- W porządku - powtórzył za mną. - W porządku. Zostań tutaj.

Przyprowadzę motor. Wezmę twoje rzeczy. Potem nie będziesz musiała do mnie przychodzić.

- Więc zawieziesz mnie teraz do Gavina?

Na myśl o tym, co miałam niedługo zrobić, na myśl o sytuacji, w którą się pakowałam, o mało nie zakrztusiłam się ze strachu.

- Tak, tak - zniecierpliwiał się. - Ci ludzie ciągle się przenoszą.

Jedźmy szybko, zanim znowu to zrobią. Bo wtedy nigdy ich nie znajdziemy.

- Okej - powiedziałam. - Przyprowadź motor. Zaczekam tu.

Rozdział 12

Toddy budził teraz we mnie bardzo mieszane uczucia, ale jadąc z nim motorem, mocno się go trzymałam. Wiedziałam, że może być ostatnim człowiekiem, którego się trzymam. Gdy wrócił, powiedział tylko, że nie powinnam była wspominać o pieniądzach, ale wcale się tym nie przejęłam. Może i popełniłam błąd, lecz dzięki temu zmieniła się atmosfera w tamtym mieszkaniu i jakimś cudem akcja nabrała tempa.

Podaję, że Toddy po prostu lubił kontrolować sytuację, nie spodobało mu się, że zignorowałam jego zalecenia. Teraz wcale nie wydawał mi się podobny do Homera. Homer miał więcej... bo ja wiem, no, w zasadzie nie więcej, tylko mniej... mniej próżności, mniej strachu, mniej się rządził.

Jechaliśmy przez uroczą chłodną noc, więc nie mogłam zrozumieć, czemu pot cieknie mi po karku. Czemu mam taką rozgrzaną twarz. Na obrzeżach miasta Toddy się zatrzymał, żeby mi pokazać kryjówkę, w której obiecał mnie szukać nazajutrz. „Mnie i Gavina” - poprawił go, na co powiedział tylko: „A tak, racja, jasne”, i wtedy coś zrozumiałam: był przekonany, że nigdy więcej mnie nie zobaczy, a już z pewnością nie będzie miał przyjemności poznać Gavina. Dlatego postanowiłam zrobić wszystko, żeby mi się udało, choćby tylko z tak głupiego powodu jak chęć udowodnienia Toddy’emu, że nie jestem bezradna ani beznadziejna.

Kryjówka była na skraju starego cmentarza, co wydało mi się bardzo trafnym wyborem. Tak czy siak, miałam duże szanse, że nazajutrz wyląduję na cmentarzu. Szybko się rozejrzałam, a potem wsiadłam z powrotem na motor. Ruszyliśmy ku nieznanemu i prawdopodobnie niemożliwemu do osiągnięcia celowi. Ku mojemu zdziwieniu, zawróciliśmy w stronę miasta. Wcześniej ciągle sobie wyobrażałam, że ci kolesie ukrywają się gdzieś na wsi, w jakimś odległym miejscu, do którego będę się musiała skradać przez pola i lasy. W czasie wojny często działaliśmy w ten sposób. Ale teraz jechaliśmy prosto ku dzielnicy handlowej, a Toddy od czasu do czasu pokazywał coś, co miało mi ułatwić dotarcie na cmentarz.

Dwadzieścia minut później znaleźliśmy się w miejscu wyglądającym na najstarszą

dzielnicę Havelock. Było to coś w rodzaju szacownych przedmieść, na których obowiązują wysokie ceny, zamieszkaną przez dentystów i architektów. Powoli jechaliśmy szeroką ulicą z mnóstwem progów zwalniających. Jej koniec zamknięto, żeby paskudne hałaśliwe stare ciężarówki i autobusy nie mogły zakłócać snu stomatologom. Teddy spoglądał na numery domów. Trzy przecznice od końca zatrzymał się i wyłączył silnik.

- To tam - szepnął.

- Okej.

- Numer pięćset trzy.

- Okej.

- Powodzenia.

Nie zadałam sobie trudu, żeby podziękować, po prostu zsiadłam z motoru. Toddy'emu chyba było trochę głupio, że mnie tak porzuca.

A może od początku planował to zrobić. Tak czy inaczej, sięgnął do sakwy, wyjął z niej skórzany woreczek, otworzył go i pokazał mi pistolet.

Jak wszystko, co dotyczyło Toddy'ego, był trochę efekciarski, miał srebrną rękojeść i długą lufę.

- Wiesz, jak się z tym obchodzić?

Wzięłam od niego pistolet, przesunęłam bezpiecznik, sprawdziłam zamek, a potem magazynek. Był pełny. Broń wydawała się całkiem niezła: ciężkawa, ale pięknie wyważona. Widziałam, że moje umiejętności robią wrażenie na Toddym, i przyznaję, że trochę się popisywałam. Najchętniej okręciłabym pistolet na palcu i ustrzeliła wróbla z odległości stu metrów, żeby zaimponować mu jeszcze bardziej, ale to chyba nie byłby najlepszy pomysł.

- Dzięki - powiedziałam z wdzięcznością.

Zawahał się. Chyba wolałby usłyszeć, że nie umiem się obchodzić z bronią, nie chcę

jej dotykać albo coś w tym rodzaju. Przełknął ślinę i odparł:

- Nie ma sprawy.

Przynajmniej nie zabrałam mu motoru. Na razie.

- Oddam ci go - obiecałam.

Wyzwolenie zabroniło mi jechać do Havelock z bronią, bo w razie schwytania czekałyby mnie poważne konsekwencje. Obiecano mi, że ludzie w Havelock w coś mnie zaopatrzą i rzeczywiście tak się stało, nawet jeśli dostałam broń w ostatniej chwili.

Ruszyłam naprzód, odpuszczając sobie sentymentalne pożegnania.

Nie byłam w nastroju. Doceniałam pomoc Toddy'ego, ale musiałam się skupić na tym, co mnie czekało, a obcowanie z tym chłopakiem pochłaniało mnóstwo energii. Usłyszałam, jak za moimi plecami odpala motor, a potem zawraca i oddala się ulicą z coraz cichszym warkotem.

Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczę.

Od numeru czterysta dziewięćdziesiąt trzy zaczynały się domki szeregowe, takie, jakie można spotkać w zasadzie wszędzie: dwu - albo trzypiętrowe, niektóre z dobudówką na górze. Każdy miał płot z kutego żelaza i ogródek formatu A4. Niektóre ogródki były zadbane, inne zapuszczone, a w jednym wyrosła widowiskowa plantacja chwastów, które zapewniłyby dwóm bykom tygodniowy przydział paszy. Myślałam, że właśnie tam będzie numer pięćset trzy, ale oczywiście się pomyliłam. Dom podejrzanych terrorystów miał najładniejszy ogródek w okolicy. Minęłam go. Nadal miałam na głowie czarną perukę, ale maskę już zdjęłam. Nie było to żadne wspaniałe przebranie, ale przynajmniej mój widok raczej nie wzbudziłby większego niepokoju u kogoś, kto akurat wyjrzałby przez okno.

Szybko się rozejrzałam i to, co zobaczyłam, bardzo mnie zaniepokoiło. Domki szeregowe są ze sobą zrośnięte, więc nie można się zakraść z boku, żeby się rozejrzeć, wejść przez okno albo bocznymi drzwiami. Szłam dalej i dotarłam aż do rogu. O tej porze na osiedlu panowała zupełna cisza. I to była dobra wiadomość. Jedyna dobra wiadomość. Skręciłam w prawo i przeszłam jeszcze kawałek, aż dotarłam do uliczki biegnącej za domami.

W Stratton też takie były: wąskie brukowane alejki, którymi w dawnych czasach jeździli nocą goście zabierający z wychodków wiadra kup i siuśków. Pewnie uwielbiali tę robotę. Zwłaszcza jeśli któryś z nich potknął się z wiadrem w rękę i wyłożył się na bruku. Po czymś takim z pewnością mogło ucierpieć jego życie towarzyskie.

Cicho szłam alejką wzdłuż wysokich ogrodzeń i tylnych bram. Nie można było zajrzeć do środka, ale domyśliłam się, gdzie jest numer pięćset trzy, bo numer pięćset jeden niezdarnie namalowano żółtą farbą. Tym razem też poszłam dalej. Gdyby z przodu i z tyłu stał ktoś na warcie, na pewno by się mną zainteresował. Ale wokół było bardzo cicho.

Zastanawiałam się, czy to na pewno ten dom, czy tamci goście powiedzieli nam prawdę i czy Toddy niczego nie przekręcił. Bo kiedy tamten facet do niego mówił, Toddy nie robił żadnych notatek.

Podeszłam do następnego skrzyżowania i skręciłam w prawo, a na kolejnym przeszłam na drugą stronę ulicy i znalazłam się w małym parku.

Boże, to nie było łatwe. Nie wiedziałam, co robić. Toddy podkreślił, że to moja jedyna szansa: dziś w nocy albo nigdy. Musiałam stanąć na wysokości zadania. Innych rad nie usłyszałam. Ani innych opinii.

Musiałam się jakoś włamać do tego domu, bo gdyby się nie udało... No dobra, po co się straszyć konsekwencjami?

Przynajmniej kiedy jest tylko jedno wyjście, łatwiej się skupić.

Usiadłam i przestałam się zastanawiać, czy powinnam to zrobić, czy może lepiej będzie się przyzaić do następnego wieczoru i spróbować jeszcze raz. Powinnam była myśleć tylko o tym, jak się dostać do tego domku szeregowego. Albo od frontu, albo od tyłu. Teoretycznie mogłam też wejść przez dach albo od dołu, ale żadna z tych opcji nie wydawała się wykonalna. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to po prostu podejść i sprawdzić frontowe drzwi. Przecież była szansa, że nie zamknęli ich na zamek. Ludzie bardzo często postępują głupio i bezmyślnie. Jeśli to zawiedzie i nikt nie będzie stał na warcie, nic się nie stanie. Jeśli napotkam wartownika, będę miała bardzo duży problem.

Ustawiłam się w innym miejscu, skąd wyraźniej widziałam dom z numerem pięćset trzy. Może ktoś wejdzie albo wyjdzie, dając mi lepsze pojęcie o tym, co się dzieje? Zajęłam się obserwacją, tak jak gliny.

Innym rozwiązaniem było podejście od tyłu. Musiałabym wleźć na płot, a nie wiedziałam, co zastanę po drugiej stronie. Na przykład wesolą gromadkę uzbrojonych gości sączących piwo w zaciszu ogródka. Chyba że wcześniej zajrzałabym przez dziurę w ogrodzeniu. Może tylne drzwi nie były zamknięte na klucz?

Mogłam też podejść do frontowych drzwi, zapukać i udawać, że zbieram datki dla Czerwonego Krzyża albo że jestem świadkiem Jehowy... ale było trochę późno. Poza tym obcokrajowcom nie wolno robić takich rzeczy. Pokręciłam głową i wróciłam do punktu wyjścia.

Jak już powiedziałam, front budynku pod wieloma względami był podobny do innych domów w szeregu. Między innymi miał najróżniejsze uduwienienia. Ktoś na przykład zabudował werandę na piętrze, a jedno z okien na parterze było lekko wysunięte. Poza tym rosło tam mnóstwo bluszczu. Kiedy kucnęłam, wydało mi się, że widzę prowadzącą po fasadzie budynku drogę, którą mógłby przebyć ktoś w miarę sprawny i wysportowany. A przecież nie tak dawno temu zniosłam Gavina z urwiska na Szwie Krawca. W porównaniu ze Szwem Krawca fasada domku szeregowego nie wyglądała najgorzej. Największa różnica polegała na tym, że na Szwie Krawca nie było okien i raczej mi nie groziło, że ktoś się przez nie wychyli i spokojnie mnie zastrzeli.

Nie wiedziałam, jakie prawo obowiązuje w tym mieście. Czy gdyby mnie przyłapali na wspinaniu się po fasadzie, mogliby mnie zabić z zimną krwią? Pewnie tak. A nawet jeśli nie, raczej nie miałiby oporów przed załatwieniem mnie w jakimś ustronnym miejscu za miastem.

Od czasu do czasu ulicą przejeżdżał jakiś samochód, ale nie widziałam żadnego pieszego. To oznaczało, że nie powinno mi grozić przyłapanie przez przechodnia. Za to samochody stwarzały pewien problem. Zwykle jechały powoli z uwagi na progi spowalniające, a ponieważ uliczka była ślepa, ludzie prawdopodobnie wracali do domu, więc nie pędzili z prędkością stu kilometrów na godzinę. Gdyby zobaczyli mnie przytuloną do fasady jak Spiderman, nie mogłabym liczyć na litość.

Było już wpół do drugiej. Pomyślałam, że pora coś zrobić.

Wiedziałam, że jeśli będę za długo zwlekała, stracę niezbędną siłę i energię. A jeśli jakimś niesamowitym fuksem mi się uda, będę potrzebowała czasu, żeby wynieść się z Gavinem z miasta i dotrzeć na cmentarz. Czekał nas mniej więcej godzinny marsz. Bóg jeden wie, jak mieliśmy to wszystko zrobić. Pozostawało po prostu zaczekać i się przekonać.

Wyszłam z parku i powoli przeszłam na drugą stronę ulicy, dość daleko od domu. Nie chciałam, by jakiś czujny wartownik zauważył, że zmierzam prosto w jego stronę. Znowu zaczęłam się zastanawiać, czy nie pomyliłam budynku. Jeśli tak, byłoby to jedno z najbardziej żenujących doświadczeń w moim życiu. Nie wspominając o tym, że znowu wróciłabym do punktu wyjścia i miała jeszcze mniejsze szanse na uratowanie Gavina.

Kiedy znów dotarłam pod dom z numerem pięćset trzy, była mniej więcej za dwadzieścia druga. Teraz nie udawałam niewinnego przechodnia. Nie było sensu. Lepiej było się starać, żeby nikt mnie nie zauważył. Już dwa domy wcześniej zaczęłam się skradać wzdłuż ogrodzenia, najciszej, jak umiałam. Akurat to nie było trudne. Szłam po asfaltowym chodniku i nie było tam żadnych suchych liści, gałęzi ani kory, które tak bardzo utrudniają sprawę w lesie.

Obok domu przystanęłam tylko na chwilę. Wydawał się całkiem niewinny. Przemknęłam w stronę furtki i otworzyłam ją. Niech to szlag, czy oni nigdy nie słyszeli o oliwieniu zawiasów? Zapiszczały jak ranny królik. Wstrzymałam oddech i wślizgnęłam się do ładnego ogródeczka. Co mi podpowiadał instynkt? Czy ktoś mnie obserwował? Czy za chwilę mnie załatwią? I wtedy stało się coś dziwnego. Nie wiedziałam, czy jestem obserwowana, ale byłam przerażona. Nie wiedziałam, czy za chwilę ktoś na mnie nie skoczy, ale nagle poczułam absolutną pewność, że Gavin jest bardzo blisko. Poczułam mrowienie wzdłuż całego kręgosłupa, aż do kości ogonowej. Ten miły domek w Havelock, obrośnięty żonkilami, pąkami róż i wielkimi hortensjami, skrywał osobę, którą lubiłam najbardziej na świecie. Byłam tego pewna.

To mnie zmotywowało. Nawet mruknęłam pod nosem jakiś drętwy tekst w rodzaju: „Okej, mały, idę po ciebie”. Skręciłam w prawo, stanęłam pod ścianą i spojrzałam w górę, żeby zobaczyć, co mnie tam czeka. Moje palce zacisnęły się na górnej krawędzi okna i wspięłam się na parapet.

Postanowiłam unikać okien, ale to miało przynajmniej zaciągnięte zasłony.

W tym miejscu wspinaczka natychmiast się skomplikowała.

Musiałam polegać na bluszczu i nie byłam z tego zbyt zadowolona, bo nie trzymał się muru tak mocno, jak bym chciała. Był dość gęsty i dość mocny, bo najwidoczniej rósł tam od dawna, ale kiedy tylko się go łąpałam, od razu odchodził od ściany. Bez większych problemów dotarłam nad okno na parterze, co bardzo mnie ucieszyło, bo oznaczało, że jestem już spory kawałek nad ziemią. Ale wcale nie czułam się bezpieczna.

Pomyślałam, że moje szanse wzrosną, jeśli dotrę do wystającego okna, a stamtąd wespnę się po rynnie na zabudowaną werandę.

Sięgnęłam w lewo i dokładnie w tym samym momencie ulicą wolno nadjechał samochód. Zakląłam. To się nazywa wycucie chwili. Jeśli ci ludzie chcieli mi pomóc, to musieli się trochę bardziej postarać. Czekałam w zawieszaniu, wiedząc, że człowiek, który się nie rusza, może być zadziwiająco niewidzialny. Równocześnie wystarczy lekkie drżenie rzęs i widać go z odległości kilometra. W każdym razie tak to działało w lesie, więc musiałam mieć nadzieję, że tu będzie podobnie. I wtedy bluszcz odzepił się od ściany, a ja runęłam plecami do ogródka.

Wylądowałam na hortensji. Normalnie nie mam nic przeciwko hortensjom, ale tym razem zdałam sobie sprawę, jak silne i twarde gałęzie mają te rośliny. Wręcz kłujące. Bluszcz wylądował na mnie i leżałam tak przez chwilę, zbyt wstrząśnięta, żeby się poruszyć. Ten upadek mnie sparaliżował. Zastanawiałam się, kto mnie złapie pierwszy: ci w samochodzie czy ci w domu. Zaczęłam się szamotać. W takich sytuacjach ludzie zachowują się naprawdę głupio - no, przynajmniej ja.

Stojąc przed wyborem: lekki ból związany z kluciem przez hortensję czy duży ból towarzyszący rozprysnięciu się na kawałki pod gradem kul o dużej prędkości, w zasadzie dawałam sześć głosów na pierwszą opcję i pół tuzina na drugą. Przeklinając hortensje i czując naprawdę ostry, potworny ból w różnych częściach ciała, usiłując zleźć z krzaka i jednocześnie nasłuchując odgłosu otwieranych drzwi, kroków biegnących ludzi, ostrzegawczych okrzyków, przeładowywanych karabinów... jednym okiem patrzyłam na lewą rękę, żeby sprawdzić, czy nie krwawię, a drugim na dom, żeby sprawdzić, czy w środku nie zapalają się światła.

To zadziwiające, ale nikt się nie zjawił: ani biegiem, ani spacerem; ani z pytaniami,

ani z wrzaskiem; ani z bronią ani bez niej. Na osiedlu nadal panowała niezmacona cisza. Usłyszałam warkot samochodu jadącego ulicą i zgrzyt zmienianych biegów w jakiejś ciężarówce w oddali, a do tego ciche trzeszczenie i szelest, prawdopodobnie typowe dla hortensji, z której próbuje się podnieść ktoś, kto przed chwilą na niej wylądował. Ale poza tym było cicho.

Nie mogłam w to uwierzyć, lecz nie traciłam czasu na rozmyślanie o tym wszystkim i w pełni skorzystałam z drugiej szansy, jaką mi dano.

Próbując zignorować obolałe części ciała, pokuśtykałam w stronę najmroczniejszego zakątka ogródka i na chwilę zastygłam bez ruchu, próbując opracować nowy plan.

Mimo pewności, że Gavin jest blisko, nadal się zastanawiałam, czy nie pomyliłam domu. Czyżby nikt nie stał na warcie? To miejsce wydawało się takie normalne, takie spokojne, takie zaciszne. Ale jeśli wojna mnie czegoś nauczyła - o ile nie wiedziałam o tym już wcześniej - to z pewnością tego, że po jakimś czasie ludzie popełniają błędy. Mnie zdarzało się to dość często. Nieważne, jak dobrze jesteście zorganizowani ani jak istotne rzeczy robicie. Nieważne, że mój tata starannie oddzielał wszystkie zapłodnione owce od niezapłodnionych i że przez wiele lat wszystko szło, jak należy. W końcu znalazł się jakiś kretyn, który zostawił otwartą bramę i mieliśmy poważny problem. Znałam tego kretyna aż za dobrze.

Prędzej czy później wartownik zasypia, urywa się na papierosa lub do toalety. Albo w ogóle zapomina się postawić wartownika. Albo wypożyczyło się super film na DVD, który wszyscy chcą oglądać, i obiecujesz, że zaraz po nim wrócisz na wartę. Albo wisisz na telefonie.

Albo rozmawiasz z dziewczyną. Albo jesteś pijany.

Mieli Gavina już od jakiegoś czasu, więc być może czuli się coraz swobodniej. Żaden człowiek w historii naszej planety nie był czujny i skupiony dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu - chyba raczej przez trzy godziny dziennie. Ale to wcale mi nie pomagało w ułożeniu planu. Nie miałam pojęcia, jak mogłabym się dostać do domu.

Tylko desperacja i coś w rodzaju montypythonowego poczucia, że wszystkie szaleństwa są dozwolone, sprawiły, że zrobiłam to, co przemknęło mi przez myśl jakiś czas wcześniej. Zakradłam się do frontowych drzwi i przekręciłam gałkę.

Obracała się lekko i gładko. To nadal o niczym nie świadczyło.

Przekreśliłam ją do końca i lekko popchnęłam. Pieczęć stworzona przez zamknięte drzwi i framugę pęka z charakterystycznym poszeptem.

Usłyszałam go i poczułam, a w półmroku nawet zobaczyłam. Nadal nie mogłam w to uwierzyć. Może drzwi zostały zabezpieczone luźnym zamkiem, który da o sobie znać po kilku najbliższych centymetrach?

Lekko popchnęłam, żeby się przekonać. Nic. Zero oporu.

Ból, jaki czułam po równoczesnych i wielokrotnych ukłuciach hortensji, nagle zniknął. Zrobiło mi się strasznie gorąco i pomyślałam, że za chwilę moja skóra pokryje się pęcherzami. Miałam nadzieję, że z drzwiami będzie mi szło tak gładko jak dotąd, że nie zaskrzypią ani nie zatrzeszczą, kiedy je bardziej otworzę. Miałam nadzieję, że osoba, do której należało oliwienie furtki, nie opiekuje się także tymi drzwiami.

Miałam nadzieję, że te zawiasy są oliwione często, najlepiej codziennie.

A przede wszystkim miałam nadzieję, że po drugiej stronie nikt na mnie nie czeka. Przestałam oddychać. Drzwi stały się moim sercem. Cała energia odpłynęła ze mnie w ich stronę. Popchnęłam.

Otworzyły się dość cicho i to była dobra wiadomość. Uchyliłam je na mniej więcej sześćdziesiąt stopni i spojrzałam na korytarz. Był długi, chyba bladopomarańczowy, z kwadratowym stolikiem w połowie i słabym światelkiem na drugim końcu. Muszę powiedzieć, że nie wyglądał zbyt atrakcyjnie. Światło dobiegało gdzieś zza rogu, a lampy w korytarzu były wyłączone. Zauważyłam co najmniej dwoje drzwi, ale mogły być i trzecie.

Na końcu korytarza można było albo skręcić w prawo, albo wejść po schodach. Druga dobra wiadomość brzmiała tak, że nie czekali na mnie żadni żołnierze. W ogóle nikogo tam nie było.

Zrobiłam jedyną rzecz, jaką mogłam zrobić: weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Jezu, kiedy o tym piszę, włosy na czubku głowy stają mi dęba, jakbym ostrzygła się na jeża. Nie będę się nad tym rozwodziła, ale nie było mi łatwo wejść do tego domu. A najtrudniejsza chwila nastąpiła po zamknięciu drzwi, Musiałam je zamknąć, żeby nikt w środku nie poczuł przeciągu i nie nabrał podejrzeń, ale ten gest miał w sobie coś tak nieodwracalnego, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie zbliża się kres mojej

podróży.

Podróży mojego życia.

Kiedy weszłam do środka, wyjęłam rzecz, która ciążyła mi w kieszeni od chwili pożegnania z Toddym. Nie obchodzi mnie, co mówią ludzie - czasem broń działa bardzo pokrzepiająco. Pistolety mają w sobie coś zimnego, złowrogiego i okrutnego, ale nie zamierzałam chodzić po tym domu nieuzbrojona.

Zrobiłam sześć kroków i zdałam sobie sprawę, że coś stoi oparte o kwadratowy stół z drewna. W pewnym sensie ucieszyłam się na ten widok, ale z drugiej strony poczułam przerażenie. Być może istnieją rodziny, które lubią zostawiać w korytarzu broń palną, żeby dzieci miały się czym bawić, ale jakoś nie wydawało mi się to prawdopodobne. Nie zostawiałyby karabinu automatycznego o dużym zasięgu, tak nowego, że wyglądał, jakby przed chwilą go rozpakowano.

Przez chwilę się zastanawiałam, czy lepiej go ominąć, czy raczej coś z nim zrobić. Każda sekunda zmarnowana w korytarzu zwiększała ryzyko, że ktoś mnie znajdzie. Z drugiej strony, jeśli broń była naładowana i gotowa do strzału, na dłuższą metę pomajstrowanie przy niej mogło mi się bardzo przydać. Dlatego przykucnęłam, położyłam pistolet na podłodze i najdelikatniej, jak umiałam, wyjęłam magazynek. Sądząc po jego ciężarze, był naładowany po brzegi. Nie miałam go gdzie schować, więc wsunęłam go za pasek dzinsów.

Wzięłam pistolet Toddy'ego i wesoło ruszyłam w dalszą drogę.

Drzwi były pozamykane i spod żadnych nie wyciekało światło. Możliwe, że gdzieś tam był Gavin, ale z jakiegoś powodu założyłam, że jest na górze. Bo chyba właśnie w takich miejscach przetrzymuje się zakładników - ze względów bezpieczeństwa.

Dotarłam na koniec korytarza, lecz nadal nie byłam w stanie zlokalizować źródła światła po prawej stronie. Założyłam, że jest tam kuchnia i prawdopodobnie jadalnia. Ale słyszałam czyjeś pomruki i szuranie krzesła, więc wyglądało na to, że mimo późnej pory domownicy jeszcze nie śpią. Musiałam pokonać strach i wejść po schodach. Nie wiem, skąd się to bierze, ale schody zawsze skrzypią, i czułam, że nie uda mi się dotrzeć na górę, nie robiąc odrobiny hałasu. Chociaż i tak wydawało się to lepsze od alternatywnego scenariusza,

czyli zaskoczenia paru terrorystów popijających nocną kawkę.

No więc ruszyłam po schodach. Robiłam to naprawdę ciężkim, powolnym krokiem, przygniatając każdy stopień całym swoim ciężarem i próbując zdusić każdy dźwięk, jaki te schody miałyby ochotę wydać.

Wyglądało na to, że takie podejście zdaje egzamin. Stopnie trochę skrzypiały, ale bez przesady, więc nie przypuszczałam, żeby te dźwięki miały przyciągnąć kogoś z kuchni albo z głębi domu.

Wejście na górę zajęło mi jakieś dziesięć minut, a przynajmniej takie miałam wrażenie. Wiedziałam, że muszę iść powoli, żeby zachować ciszę, ale mój problem polegał na tym, że coraz trudniej było mi się zmusić do ruchu. Im wyżej wchodziłam, tym wolniej szłam, bo toczyłam umysłową walkę, żeby przenieść się na następny stopień. Nigdy się nie wspinałam na Mount Everest i w najbliższym czasie tego nie planuję, ale historie ludzi, którzy uparcie prą na szczyt, męcząc się metr po metrze, gdy śnieżyce chłostają ich ciała śniegiem, gradem i lodem, chyba dość dobrze współgrają z tym, co wtedy czułam. Tylko że w moim wypadku walka toczyła się w umyśle. Nie było prawdziwej śnieżycy, tylko ta w mojej głowie bombardowała mnie strasznymi pomysłami. Dotarcie na szczyt nie wzbudziło dumy ani radości, lecz tylko pogłębiło strach, tak że stałam na najwyższym stopniu chora z przerażenia. Na górze nie paliło się światło, ale stanęłam przed trudnym wyborem. Następny ciąg schodów prowadził na jeszcze wyższe piętro, a stopnie z tyłu wiodły do dwóch pokoi mniej więcej na tym samym poziomie. Był też korytarz po prawej, który - jak mi się zdawało - biegł do sąsiedniego domu, jakby budynki były połączone.

Instynkt podpowiadał, żeby iść jeszcze wyżej, jak najdalej od głosów na dole. Próbując wnikać w umysły tych gości i zastanawiając się, gdzie sama ukryłabym porwane dziecko, uznałam, że wejście wyżej jest chyba najmądrzejszym rozwiązaniem.

Wydawało mi się, że schody z tyłu są mniej ważne, mniej imponujące. Wyglądały tak, jakby prowadziły do jakiegoś kąta na uboczu.

Znając Gavina, pomyślałam, że chcieliby go trzymać jak najdalej od siebie, więc wybrałam właśnie te schody.

Były węższe i strasznie skrzypiące. Pierwszy stopień zapiszczał i jęknął, jakby grał piosenkę w piekielnych płomieniach. O mało nie ugryzłam się w wargę ze strachu, usiłując

stać i nie wydawać żadnego dźwięku. Oczekałam pełną minutę, a potem spróbowałam wejść na następny stopień. Był jeszcze gorszy. W gardle zaschło mi jak na Antarktydzie. Nie mogłam uwierzyć, że nikt nie wybiegł z pokoju, trzymając broń i rozglądając się w poszukiwaniu intruza. Postanowiłam pójść na całość i podniosłam nogę najwyżej, jak się dało, czyli niezbyt wysoko, zdołałam ominąć dwa kolejne stopnie i postawić stopę na piątym.

Taki ruch narobił jeszcze więcej hałasu, ale miałam nadzieję, że jeden bardzo głośny dźwięk jest lepszy niż trzy głośnie. Potem podniosłam lewą nogę i stałam w takiej pozycji, strasznie się trzęsąc, zлана potem. Szkoda, że nie pociłam się tak od wewnątrz, bo wtedy moje gardło na pewno by aż tak nie wyschło, a język nie przykleiłby się do podniebienia.

Nadal nikt się nie zjawiał, a ja pokonałam ostatnie dwa stopnie jednym ruchem. No, właściwie dwoma, bo musiałam podnieść obie nogi.

Wokół było naprawdę ciemno. Po prawej zauważyłam jakiś kształt, który skojarzył mi się z dużą kserokopiarką, co trochę mnie zaskoczyło.

Wygląda na to, że terroryści też potrzebują odbitek. Z drugiej strony, to mogło być coś innego niż kserokopiarka - na przykład reaktor jądrowy albo jakaś superbroń. Nigdy nie widziałam reaktora jądrowego, więc bym go nie poznała.

Po lewej, tuż obok mnie, były drzwi i wydawało mi się, że oprócz nich jest jeszcze dwoje: jedno dalej po lewej, a drugie dokładnie naprzeciwko mnie. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, utwierdziłam się w przekonaniu, że mam przed sobą kserokopiarkę.

Najgorsze było to, że nie wiedziałam, co robić. Wybrałam najgłupszą metodę ze wszystkich i zaczęłam wyliczać:

- Ene, due, rike, fake...

Zwyciężyły drzwi na wprost. Więc ruszyłam w ich stronę, tym razem na paluszkach.

Już prawie dotykałam klamki, kiedy usłyszałam, jak ktoś wchodzi po schodach. Była to kolejna pozycja na liście niepożądanych dźwięków.

Oblałam się potem, przy którym moje wcześniejsze wysiłki wydały się leciutką

mżawką w porównaniu z ulewnym deszczem. Odgłos kroków był ciężki i zdecydowany, jakby ten ktoś wchodził po tych schodach wiele razy i czuł się na nich jak w domu. Przykucnęłam po lewej stronie i wcisnęłam się między kserokopiarkę a ścianę, mając nadzieję, że nikt nie idzie tu po to, żeby w środku nocy zrobić kilka kopii swojego ulubionego wiersza.

Facet dotarł na niższy podest i przystanął. Przesunęłam się lekko, żeby było wygodniej, choć to dość głupie słowo, bo w mojej sytuacji wygoda nie miała najmniejszego znaczenia. Ale wolałam uniknąć skurczu.

Mężczyzna wszedł na drugie schody. Kiedy odgłos jego kroków zaczął cichnąć i poczułam, że jeszcze przez chwilę będę bezpieczna, wyrzłam zza kserokopiarki. Facet otworzył drzwi, które były najbardziej oddalone ode mnie, co jednak zobaczyłam, dopiero kiedy włączył światło w pokoju. Z tego, co zauważyłam, wchodził do zwyczajnej sypialni, tyle że wypełnionej mnóstwem rzeczy - samych ubrań - porozrzucanych na podłodze. Potem zatrzasnął drzwi i został mi tylko wąski pasek światła na poziomie wykładziny.

Po cichu odsunęłam się od kserokopiarki. Z ostrożnością włamywacza przekręciłam gałkę drzwi z tyłu, a potem delikatnie je uchyliłam. Nic się nie stało, więc otworzyłam je trochę szerzej. Powietrze wydawało się zimne i suche. Z jakiegoś powodu - choć nigdy wcześniej tego nie zauważyłam ani się nad tym nie zastanawiałam - powietrze w pokoju, w którym ktoś śpi, mieszka albo po prostu przebywa, jest wilgotne. Jeszcze bardziej otworzyłam drzwi i wślizgnęłam się do środka.

Cisza i pustka znowu mi podpowiedziały, że nikogo tam nie ma.

Zamknęłam za sobą drzwi, pomacałam w poszukiwaniu przełącznika i na chwilę włączyłam światło, a potem szybko je zgasiałam. To wcale nie była sypialnia, lecz składzik.

W większości składzików można znaleźć, bo ja wiem, stare ręczniki, walizki, owoce w puszkach. Sterty kartek, stare zeznania podatkowe rodziców. Ale nie w tym. Na widok jego zawartości znowu przeszły mnie ciarki. W tym schowku była broń, więcej broni, niż kiedykolwiek widziałam w jednym miejscu. Więcej broni, niż można zobaczyć w hollywoodzkim filmie. Na dodatek większość była w dobrym stanie - a przynajmniej tak mi się wydawało po krótkim spojrzeniu, na jakie sobie pozwoliłam.

No więc wszystko stało się jasne. Nie pomyliłam domów. Nie byłam pewna, czy jest tutaj Gavin, ale właśnie w takim domu spodziewałam się go znaleźć i właśnie u takich ludzi musiałam szukać informacji na jego temat.

Przynajmniej ta świadomość dodała mi pewności siebie. Wróciłam do drzwi, jeszcze raz je otworzyłam i wyjrzałam na korytarz. Był ciemny i opuszczony tak jak wcześniej. Zniknął wąski pasek światła pod drzwiami naprzeciwko. Facet albo wyszedł z pokoju, albo - co bardziej prawdopodobne - położył się spać.

Po omacku doszłam do okna i odsunęłam zasłony. Potem zdjęłam kurtkę i położyłam ją na podłodze przy drzwiach, żeby nikt nie zauważył światła. Dopiero wtedy uznałam, że mogę je bezpiecznie włączyć po raz drugi. Tak, w składziku było mnóstwo broni, ale za pierwszym razem trochę przeszacowałam jej ilość. Zgromadzili mniej więcej czterdzieści sztuk. Aż nadto, żeby podziurkować jak sito Ellie, Gavina i jeszcze parę osób. Chciałam przeprowadzić jakiś sabotaż, ale nie miałam pomysłu jak.

Otworzyłam kilka szafek. W środku była amunicja, mnóstwo amunicji. To mi przypomniało o magazynku, więc wysunęłam go z za paska dżinsów i wcisnęłam za pudełko. Potem zauważyłam inne rzeczy, bardziej pasujące do składzików. Kartony z konserwami. Na ich widok zrobiłam się strasznie głodna. Zgrzewki coli. Cola. Wróciło do mnie pewne wspomnienie: kiedyś, wiele lat temu, włożyłam ząb do szklanki coli, żeby sprawdzić, czy zgnije i rozpuści się, tak jak wszyscy twierdzili. Wtedy zjawił się tata i zanim zdołałam go powstrzymać, wypił colę razem z zębem i nigdy nie poznałam wyniku swojego eksperymentu. Zamiast tego wzięłam udział w innym naukowym przedsięwzięciu: obserwowaniu wrażenia, jakie robi na ojcu wiadomość, że właśnie połknął jeden z mleczaków swojego dziecka.

„Tak - pomyślałam - cola powinna zadziałać. Napełnię nią wszystkie lufy i zniszczenia będą raczej nieodwracalne”. Otworzyłam puszkę, pociągnęłam łyk i zabrałam się do pracy.

Rozdział 13

Misja „Cola” zajęła sporo czasu. Każdą sztukę broni poczęstowałam napojem kilka razy. W zasadzie nie miało znaczenia, że czas płynie, bo uznałam, że im dłużej przebywam w domu, tym jestem bezpieczniejsza.

Im później, tym mniejsze szanse, że spotkam kogoś na korytarzu. Miałam nadzieję, że facet, którego widziałam, poszedł spać i że nie ma tu zbyt wielu kolegów.

Poza tym trochę się bałam znowu otwierać drzwi. To zabrzmia niewiarygodnie, ale przez jakieś pół godziny czułam się całkiem bezpieczna. W tym krótkim czasie składzik prawie stał się moim pokojem.

Małym światem, w którym mogłam po cichu pracować, nieniekajona przez nikogo, i zapomnieć, co czeka za drzwiami - a nawet po co w ogóle weszłam do tego domu.

Ale rzeczywistość czeka na nas cierpliwie. Nawet kiedy myślisz, że bardzo sprytnie się przed nią ukryłeś, prędzej czy później wpadasz w jej pułapkę. W końcu z westchnieniem wyłączyłam światło, rozsunęłam zasłony i podeszłam do drzwi. „No to jedziemy” - pomyślałam, tylko że nie było żadnych „nas”, jedynie słabe „ja”. Zaczepnęłam powietrza, wspomniałam wszystkich ludzi, którzy trzymali za mnie kciuki - Bronte, Jeremy’ego, Homera, Lee, Fi, a nawet Jess oraz duchy Robyn i Corrie - po czym znowu wymknęłam się na korytarz.

Tym razem zauważyłam pasek światła pod drzwiami sąsiadującymi z sypialnią tamtego faceta. Zignorowałam to i odwróciłam się w stronę drzwi kawałek dalej po prawej. Wizja otwierania wszystkich drzwi w tym domu bardzo mnie niepokoiła, ale nie potrafiłam wymyślić innego sposobu. Ścisnęłam gałkę i przekręciłam ją, uważnie nasłuchując.

Natychmiast zdecydowałam się na inną metodę. Postanowiłam, że będę uchylała drzwi i próbowała wyczuć vibracje Gavina. Jeśli ich nie poczuję, wycofam się i pójdę dalej. Po prostu musiałam uwierzyć, że gdy otworzę właściwe drzwi, będę o tym wiedziała.

W tym pokoju było o wiele ciemniej niż w tamtym. Nie miałam pojęcia, co jest w środku, ale chyba byłam w stanie powiedzieć, czego tam nie ma - nie było Gavina.

Podeszłam do jedynych drzwi, jakie mi pozostały w tej części budynku. Modliłam się, żeby po drugiej stronie był Gavin. Naprawdę nie chciałam dłużej przebywać w tym domu. Miałam nadzieję, że nie obowiązują tu prawa Murphy'ego czy jak tam je zwać i że poszukiwany zakładnik nie znajduje się w ostatnim z pokoiów, do których zaglądam.

Ale w tym pomieszczeniu było zimno, jakby od dawna nikt nie wchodził do środka. Przyszła pora na inną część domu.

Światło w drugim pokoju też już zgasło. Nie miałam ochoty zaglądać do tych pomieszczeń, bo wiedziałam, że co najmniej dwa są zajęte - w tym co najmniej jedno przez kogoś innego niż Gavin. Byłoby śmiesznie, gdyby porywacz też miał na imię Gavin. Śmiesznie, ale bez związku.

Odgoniłam od siebie tę myśl i zesłam po schodach. Miałam wrażenie, że w drodze na dół skrzypią bardziej niż w drodze na górę, czyli naprawdę głośno. Znowu starałam się stawiać duże kroki i długo czekałam między jednym a drugim, w nadziei że jeśli ktoś zaczął nasłuchiwać, zaśnie z powrotem, zanim znowu rozlegnie się ten paskudny dźwięk kojarzący się z zardzewiałymi zawiasami.

Na skrzyżowaniu zajrzałam w korytarz po prawej stronie. Niczego nie zobaczyłam. Bez większego wysiłku dotarłam do trojga drzwi na końcu następnych schodów. Te stopnie nie skrzypiały aż tak bardzo.

Oczywiście Gavin mógł być w jednym z pokoiów, w których widziałam światło. Ale zaryzykowałam i założyłam, że jednak go tam nie ma. Nie chciałam dzielić pokoju z Gavinem, więc doszłam do wniosku, że porywacze też woleliby tego unikać.

Pozostawały zatem drzwi naprzeciwko mnie. Na chwilę przystawiłam do nich ucho, ale niczego nie usłyszałam. Wiedziałam, że tak będzie, ale próbowałam odwlec okropną chwilę, w której przyjdzie mi je otworzyć. Tym razem denerwowałam się o wiele bardziej niż przy poprzednich próbach, bo istniało znacznie większe prawdopodobieństwo, że ktoś jest w środku. Skoro dwa z trzech pokoi okazały się zajęte, trzeci też raczej nie był pusty.

Miałam już tak sucho w gardle, że mogłabym po nim jeździć land roverem. Ale nie chodziło wyłącznie o gardło, nagle zaschło mi w ustach, czułam suchość od dziurek w nosie aż do klatki piersiowej. Język wydawał się taki ogromny, gruby i ciężki, że gdyby ktoś się do

mnie odezwał, chyba nie byłabym w stanie odpowiedzieć. Trzymałam już jedną rękę na gałce, a teraz ścisnęłam mocniej, przekręciłam i po raz czwarty tego wieczoru uchyliłam drzwi.

Ktoś tam był. Od razu to poczułam. Przede wszystkim poznałam to po powietrzu, które było ciężkie i wilgotne. Taką atmosferę może stworzyć jedynie człowiek. Poza tym wydawało mi się, że słyszę czyjś oddech. Ale nie jestem pewna - może to był tylko mój szósty zmysł, który pracował już na pełnych obrotach.

Teraz miałam jeszcze większy problem. Jasne, odkryłam, że w pokoju ktoś jest, ale poza tym uświadomiłam sobie, że to była najłatwiejsza część zadania. Prawdziwe kłopoty właśnie się zaczynały. Kto to był? Raczej nie Gavin. Skoro postanowiłam polegać na zmysłach, musiałam im zaufać. W jakimś sensie atmosfera w pokoju wydawała się zbyt ciężka. Coś mi mówiło, że w wypadku takiego małego dziecka jak Gavin powietrze byłoby lżejsze. Ale musiałam mieć pewność. Wolałam nie przychodzić do tego pokoju po raz drugi. Nie do końca ufałam swojemu instynktowi.

Nie mogłam liczyć na to, że uda mi się wiele zobaczyć, bo byłam teraz w trzewiach domu, a raczej w jego klatce piersiowej, i wszystkie światła zostały tu pogaszone. Ale to zadziwiające, jak wiele można zauważyć, nawet o tym nie wiedząc. Teraz byłam już pewna, że słyszę coś w rodzaju oddechu, i równie przekonana, że ten dźwięk dochodzi z lewej strony. Zaczęłam się powoli przesuwac, ostrożnie badając grunt stopami i jednocześnie trzymając rękę przed twarzą, na wypadek gdyby z sufitu zwiisał żyrandol albo jakaś inna niespodziewana przeszkoda. Lewa stopa, macając ostrożnie, natrafiła na coś miękkiego, być może na jakieś ubrania, więc zrobiłam mały objazd, żeby znowu znaleźć się na dywanie.

Obecność w tym pokoju przyprawiała mnie o lekkie mdłości. Byłam bardzo blisko zupełnie obcego człowieka i wszystko wskazywało na to, że trącam czubkiem buta jego bieliznę. Ale musiałam iść dalej. Natrafiłam ręką na jakiś regularny kształt, inny niż miękkie rzeczy na podłodze.

Przesunęłam dłoń w lewo, a potem w prawo i warstwowa struktura podpowiedziała mi, że to łóżko z materacem i co najmniej jednym kocem.

Moje oczy zdążyły już trochę przywyknąć do ciemności, mimo że w pokoju panował

prawie całkowity mrok. Zauważyłam jakiś kształt pod kocem. Wydawał się dość duży, ale Gavin też szybko rósł, więc zaczęłam podejrzewać, że to jednak mógłby być on. Teraz musiałam zostawić poszukiwania palcom. Przechyliwszy się trochę do przodu, zmusiłam się do podniesienia koca i wsunęłam pod niego lewą rękę. Pełzła po prześcieradle, aż w końcu dotknęła skóry. W tym momencie ścisnęło mnie w żołądku i o mało nie zwymiotowałam. Wydałam nawet odgłos torsji i musiałam zatkać usta, żeby nic się z nich nie wydostało. Zrozumiałam, że dotknęłam ręki i z przerażeniem pomyślałam, że ten mężczyzna nagle mnie złapie i pociągnie. Tak, to był mężczyzna. Wyczułam jego paznokiec i knykiec kciuka albo innego palca - nie wiem. W każdym razie okazały się zdecydowanie za duże jak na Gavina.

Wycofałam się tą samą drogą, którą przyszedłam, pamiętając o tym, żeby ominąć stertę miękkich rzeczy na podłodze. Gdy znowu znalazłam się na korytarzu, zamknęłam drzwi. Było mi naprawdę słabo i musiałam na chwilę oprzeć się o ścianę. Te okropne minuty w pokoju naprawdę mnie wykończyły. Wiedziałam, że nie zdołam tego powtórzyć we wszystkich pomieszczeniach domu.

Zabrakło mi pomysłów, ale ruszyłam korytarzem, który prowadził chyba do sąsiedniego budynku. Był dość długi, pozbawiony drzwi i okien i na końcu miałam już pewność, że jestem w sąsiednim domu. Skręciłam w lewo. Było tam dwoje drzwi: te po prawej wyglądały jak drzwi do jakiegoś bardzo małego pomieszczenia, a za drugimi, na wprost, mogło się kryć praktycznie wszystko.

Za to po lewej zauważyłam coś innego. Małą drabinę. I kiedy na nią spojrzałam, mój gavinometr nagle się ożywił. Czułam, że w końcu jestem blisko.

Nie wahałam się i od razu zaczęłam wspinaczkę po drabinie. Nie widziałam, co jest na górze, ale gdy tylko tam dotarłam, zrozumiałam, że to dziwna mała sypialnia na podeście zaopatrzona w ustawione pod kątem drzwi. Pachniało świeżymi wiórami. Znalazłam gałkę i obróciłam ją, całkowicie pewna, że po drugiej stronie jest Gavin. Ale musiałam się zatrzymać. Drzwi były zamknięte. No jasne. To zrozumiałe. Milion przekleństw przebiegło mi przez głowę. Wtedy coś mi się przypomniało i pomacałam ręką wokół gałki. Odetchnęłam z ulgą, kiedy moje palce natrafiły na klucz tkwiący w zamku. Przekręciłam go, obróciłam gałkę i popchnęłam drzwi.

W środku dość mocno śmierdziało. Obok mnie przetoczyła się fala smrodu, który zakłuł w oczy. Zamrugałam i weszłam. Znałam ten zapach.

Potem, metr za progiem, usłyszałam czyjś oddech. Myślę, że dźwięki wydawane przez śpiących ludzi są równie charakterystyczne jak ich głos, bo od razu poznałam ten oddech i wiedziałam, że moja długa wyprawa zakończyła się sukcesem. Jakimś cudem udało mi się tutaj dotrzeć i znaleźć - na strychu tego starego domu, w mieście, w którym nigdy wcześniej nie byłam, w samym środku nocy - mojego młodszego brata.

Rozdział 14

Trzymając go w objęciach, czułam dziką radość. Przytulaliśmy się, ściskając się mocno, kołysząc się trochę, bujając i - przynajmniej w moim wypadku - nie mając ochoty już nigdy się od siebie odsunąć.

Szczerze mówiąc, czułam się jak ptasia mama, która wyrwała swoje pisklę z paszczy lisa. Przepęłniały mnie: radość, że go ocaliłam, niedowierzanie, że mi się udało, i pragnienie, by już nigdy nie ujrzeć go w niebezpieczeństwie.

Zabawne, obudził się w tej samej chwili, w której go dotknęłam, i chyba od razu wiedział, kim jestem i co się dzieje. Poczulałam, jak jego ciało sztywnieje, jakby przebiegł przez nie prąd, a po chwili Gavin odrzucił pościel albo koce, pod którymi leżał, i uścisnęliśmy się mocno jak dwóch zapaśników, kiedy do końca meczu zostało dziesięć sekund, a złoty medal wciąż jest do wzięcia. Przytulanki w wykonaniu Gavina faktycznie kojarzą się z zapaśnikiem szykującym się do uduszenia rywala.

Problem w tym, że mieliśmy do dyspozycji najwyżej dziesięć sekund. Z oporami, które ledwo udało mi się przełamać, wreszcie trochę odsunęłam Gavina od siebie. Złapałam go za rękę i napisałam mu na dłoni słowo „chodź”. Już wcześniej używaliśmy takiego sposobu komunikacji, a w tych ciemnościach nie mieliśmy innego wyjścia. Ale nie musiałam długo stosować takiej metody. Gavin odsunął się, podszedł do drzwi i po chwili rozblęskło światło.

- Gavin! - powiedziałaam przerażona, bezgłośnie ruszając ustami. - Wyłącz to!

Wzruszył ramionami, szeroko się uśmiechnął i machnął ręką.

- To nic - powiedział. - Oni tego nie widzą.

Miał rację - kiedy się rozejrzałam, zauważyłam, że na poddaszu brakuje okien. Nie wiedziałam tylko, czy światło przypadkiem nie wyziera spod drzwi. Wydawały się dość

dobrze dopasowane. A może Gavin palił światło całymi dniami i nocami i zdążyli już do tego przywyknąć?

Podejrzewam, że nawet gdyby zauważyli włączone światło, wcale by się nie przejęli.

Przestałam się rozglądać i skupiłam się na Gavinie. Wyglądał okropnie. Umieszczenie go w pokoju bez okien prawdopodobnie nie było najgorszą rzeczą, jaką zrobiły mu te dranie, ale i tak dość paskudną.

Wydawał się wyższy, niż zapamiętałam. Może po prostu nie zauważyłam, że ciągle rośnie? Poza tym mocno schudł. Jednak najbardziej zszokowała mnie jego blada twarz. Nie trzymali go aż tak długo, żeby zupełnie stracił opaleniznę, ale może stres trwający dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu, związany z przebywaniem w ich towarzystwie, ograbił go z koloru i wybielił. Zauważyłam też nerwowość, drżenie, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Drżały mu usta, ręce lekko się trzęsły i ciągle nerwowo krzyżował palce. Zastanawiałam się, czy nie złamali w nim ducha. Bóg mi świadkiem, że coś takiego wymagałoby nie lada wysiłku. Jeśli im się udało, na pewno byli specjalistami w swoim fachu. Założę się, że po przejechaniu rowerem przez tornado, po przepłynięciu przez tsunami w dmuchanych rękawkach, po ucieczce z Titanica w lodówce turystycznej Gavin nadal wyśpiewywałby rymowanki. Ale tym razem zaczęłam się o niego martwić i miałam nadzieję, że zdołam go wyciągnąć z tego budynku i z miasta, zanim kompletnie się załamie.

- Co robimy? - spytałam go. - Którędy najlepiej stąd uciec?

Możemy ruszać od razu?

Patrzył na mnie osłupiały, jakby nie zrozumiał ani słowa. Ale wiedziałam, że nie na tym polega problem. Chyba siedział tam tak długo, że zwyczajnie nie mógł myśleć o działaniu. Jeszcze raz spytałam, czy możemy już ruszać, ale on tylko zadrżał i przecząco pokręcił głową.

Dlatego podjęłam decyzję za nas dwoje.

- Idziemy - zarządziłam.

Wyłączyłam światło i otworzyłam drzwi. To niesamowite, ale na zewnątrz nic się nie zmieniło: w pokoju nastąpiło coś w rodzaju radosnej rewolucji, ale na korytarzu nadal było równie spokojnie, ciemno i cicho jak wtedy, kiedy wchodziłam po drabinie. Nie traciłam

czasu i od razu zaczęłam schodzić. Kiedy dotarłam na dół, uświadomiłam sobie, że Gavin może nie chcieć iść za mną, ale gdy tylko spojrzałam w górę, poczułam lekkie drzenie drabiny towarzyszące schodzeniu drugiej osoby.

Zrobiłam kilka kroków, wyjęłam pistolet, a potem zczekałam na Gavina. Zjawił się już po chwili, ale nadal wyglądał i czuł się niewyraźnie, jakby był zaledwie jedną czwartą dawnego Gavina. Bardzo mnie to niepokoiło, nie tylko z oczywistego powodu, ale także dlatego, że gdyby nam przyszło walczyć o wyjście z tego domu, chciałam mieć u boku kogoś solidnego i silnego.

W każdym razie nic nie mogłam na to poradzić. Przesunęłam się do miejsca, w którym krzyżowały się korytarze, Gavin szedł za mną. Potem skręciłam w prawo, tam, skąd przyszłam. Skradaliśmy się na palcach.

„Działo się to w Wigilię, gdy wśród nocnej ciszy nie słyhać nawet skrobienia myszy”.

Daleko nam było do Bożego Narodzenia, ale reszta chyba się zgadzała.

Ponoszę wyłączną winę za to, co wydarzyło się później. Za mało uwagi poświęciłam kondycji Gavina. Znając jego twardość i wytrzymałość, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo opadł z sił, jaki był zrozpaczony, skołowany, a nawet oszołomiony, ile potrzebował pomocy. Dotarliśmy na szczyt schodów. Przystanęłam, spoglądając w dół i próbując wy badać sytuację. Gavin został parę metrów z tyłu. Po chwili podszedł, ale zaczął czubkiem buta o krawędź wykładziny. Wcześniej ja też o niego zaczęłam i lekko się potknęłam, ale nie pomyślałam o tym, żeby ostrzec Gavina. Runął do przodu, upadając mi na plecy i tyłek. Ja też polecałam na twarz i odruchowo pociągnęłam za spust. Świat rozbłysł i grzmotnął w tej samej chwili. Huk wystrzału sprawił, że ogłuchłam tak jak Gavin, ale zanim zdążyłam o tym pomyśleć, padłam na schody i zaczęłam się po nich zsuwać, rozpaczliwie próbując wyswobodzić ręce, żeby pistolet nie wypalił po raz drugi, a jednocześnie usiłując uniknąć rozbicia czaszki.

Spadłam pięć albo sześć schodów w dół i wylądowałam na podeście, nadal machając prawą ręką, w której trzymałam pistolet. Byłam zszokowana i poobijana. Chciałam sprawdzić, ile połamałam kości, ale wiedziałam, że nie ma na to czasu. Przewróciłam się na drugą stronę i podzwignęłam na nogi. Gavin zatrzymał się mniej więcej w połowie schodów.

Przez chwilę miałam nadzieję, że porywacze nadal głęboko śpią, śniąc miłe sny o seryjnych morderstwach, uprowadzeniach i zamachach.

Ale nie było na to szans. Nade mną, pode mną, a potem także na schodach rozbłysło światło, więc nagle staliśmy się widoczni jak królik na nagim wzgórzu. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi, dudnienie kroków, krzyki mężczyzn. Gorączkowo pomachałam do Gavina, dając mu znaki, żeby biegł za mną. Stał, ale zareagował bez przekonania, ograniczając się do postawienia nogi na następnym stopniu. Ruszyłam po niego. Wtedy na szczycie schodów pojawili się dwaj mężczyźni. Oni też wydawali się dość mocno oszołomieni, ale obaj mieli broń. Spojrzałam w dół i zobaczyłam jeszcze więcej ludzi. Miałam ochotę zaryzykować i liczyć na to, że posługują się bronią, którą zatrulałam colą, ale byłoby to zbyt duże ryzyko.

Ostrożnie położyłam pistolet na stopniu, na którym stałam, a potem włożyłam całą energię w przytulenie Gavina, próbując mu przekazać trochę siły.

Na początku kompletnie ich zatkało. Patrzyli na mnie, jakbym przypominała wilka workowatego albo Zębową Wrózkę. Potem jeden z nich wykrzyknął moje nazwisko i wtedy już wiedziałam, że jestem ugotowana. Po chwili wszyscy się śmiali i krzyczeli, a moje nazwisko zaczynało się zużywać od częstego powtarzania. Chyba po prostu strasznie ich bawiło, że weszłam prosto do ich kwatery głównej i nie muszą sobie zawracać głowy szukaniem mnie w Wirrawee. Najwidoczniej niewiele było trzeba, żeby ich rozbawić. Gdyby im puścić DVD z Austinem Powersem, pewnie wylądowaliby w szpitalu.

Ale ich śmiech szybko przestał być wesoły. Jeden z tych gości podszedł, wrzasnął i dał mi w twarz. Staliśmy wtedy z powrotem na górze schodów, czyli w miejscu, którego miałam nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć. Kiedy jeden z nich przełamał lody - jeśli można to tak ująć - uderzając mnie w twarz, pozostali zrozumieli, że zabawa się zaczęła. Ktoś kopnął mnie od tyłu. Nie był to zabójczy kop, ale i tak dość mocny, a w dodatku w tylną część kolan. Później ktoś inny uderzył mnie w głowę, a pierwszy gość zrobił poprawkę, tym razem uderzając mnie w drugi policzek. Pomyślałam, że za wszelką cenę muszę uniknąć upadku.

Oczyma duszy zobaczyłam, jak leżę na podłodze zwinięta w kłębek, a ci kolesie biorą mnie na kopy. Miałam przecucie, że jeśli upadnę, mogę się już nie podnieść.

Gavin obudził się do życia i próbował ich powstrzymać, ale zabrakło mu woli walki i bez problemu go odciągnęli. Jego zryw zmienił jednak dynamikę sytuacji i choć porywacze nadal kopali i tłukli, zaczęli mnie popychać w głąb korytarza. Jeden z nich wykręcił mi rękę,

jakby chciał mi założyć kajdanki. Rozluźniłam mięśnie najbardziej, jak umiałam, w nadziei że on rozluźni swoje i będę miała szansę go odepchnąć. Ale uścisk nie zelżał nawet na chwilę.

Byłam teraz jak ruchomy cel: trzech z nich popychało mnie korytarzem, a pozostali bili przy każdej okazji. Z zimną krwią pomyślałam, że gdybym miała szansę ich zabić, zrobiłabym to bez wahania. I tylko moc tej myśli dawała mi siłę. Potknęłam się z sześć razy, ale na szczęście się nie przewróciłam.

Od razu było wiadomo, dokąd mnie prowadzą. Z powrotem na strych Gavina. Zrozumiałam, że raczej nie zabiją mnie od razu. Najbardziej prawdopodobny scenariusz wyglądał tak, że zamkną nas - przynajmniej na trochę - w tym samym pomieszczeniu. Ogarnęła mnie rozpacz, ale najbardziej bałam się o Gavina. Czas, który tam spędził, już i tak mocno go nadwyrężył. Nie podobało mi się to, co nas czekało. Trudno było myśleć, kiedy ciągle mnie popychali, bili i kopali. Ale w jakiejś małej, jasnej części mózgu zastanawiałam się, czy jesteśmy już bardzo bliscy śmierci. Teraz mogli nas trzymać jedynie po to, żeby dopaść Szkarłatnego Pyszcza. Uznałam jednak, że równie dobrze mogli się nas pozbyć, a potem wyruszyć na poszukiwania Pyszcza z jakąś nową strategią.

Przynajmniej mogłam trochę pomóc Gavinowi, dodać mu sił, żeby zniósł to, co nas czekało.

Tak czy inaczej, nie było sensu stać obok drabiny i dać się stłuc do nieprzytomności. Gavin wszedł pierwszy, za nim ruszył jeden z nich, a potem ja. Żołnierz wepchnął mnie do pomieszczenia i zatrzasnął za mną drzwi. Usłyszałam zgrzyt klucza obracanego w zamku. Włączyłam światło i ponuro spojrzałam na Gavina. Nie płakał, ale wydawał się jeszcze bardziej kruchy i roztrzęsiony. Całkiem jakby rozpływał się na moich oczach.

Obejrzałam swoje siniaki. Na tym etapie miałam głównie czerwone ślady i zadrapania, ale wiedziałam, że niedługo zmienię się w galerię sztuki utrzymaną w barwach czerwieni, fioleto, szarości i brązu. Na szczęście w pokoju brakowało lustra. Byłam obolała, zmęczona, wystraszona i przybita. Powoli docierałam do dna swojego wewnętrznego rezerwuaru sił, do kałuż i wodorostów, z których niewiele można wycisnąć.

Ale musiałam znaleźć wystarczająco dużo siły, żeby starczyło dla nas obojga.

Wiedziałam, że Gavin tysiąc razy przetrząsnął ten pokój w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale i tak musiałam to zrobić, na wszelki wypadek. Przesunęłam rękami po ścianach, szukając słabych punktów.

Gavin tylko pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „To strata czasu”.

Pomacałam drzwi i trochę nimi potrząsnęłam, żeby sprawdzić, czy nie udałoby się ich wyważyć. Były dość mocne, ale uznałam, że nie wszystko stracone. Sam Gavin nie miałby żadnych szans, ale we dwoje chyba zdołalibyśmy je trochę naruszyć.

Jedynymi meblami na strychu były składane łóżko, stolik na krzywych nogach i zielony, dość wysoki taboret. Stałam na nim i popchnęłam sufit, a potem przesunęłam się w inne miejsce i spróbowałam jeszcze raz. Świadomość, że Gavin jest za niski, żeby to zrobić, dała mi nadzieję na znalezienie czegoś, co jemu umknęło.

Przesuwałam taboret z dziesięć razy, próbując w różnych miejscach sufitu.

W tym wypadku szanse też wydawały się małe, ale uznałam, że znalezienie drogi ucieczki przez dach jest co najmniej możliwe.

Zeszłam z taboretu i spytałam Gavina:

- Co oni robią w ciągu dnia? Jak często tu przychodzą?

Miałam świadomość, że to, jak go traktowali wcześniej, może się teraz zmienić, ale wiedza to siła, a moje zasoby wiedzy były bardzo skąpe.

Gdy usłyszałam jego odpowiedź, zrobiło mi się słabo. Jeśli już wcześniej nie znosiłam tych ludzi i bałam się ich - tych terrorystów i porywaczy dzieci - to teraz naprawdę zaczęłam ich nienawidzić.

Wyglądało na to, że Gavin miał szczęście, jeśli dostał dwa posiłki dziennie i tylko przy okazji dostaw jedzenia składano mu wizyty. Cztery razy wyprowadzili go na podwórko, żeby zaczerpnął świeżego powietrza, ale kiedy znalazł się w tym domu, nawet takie wyjścia się skończyły.

Potrafię zrozumieć, że ludzie zabijają się nawzajem pod wpływem emocji, na przykład na wojnie, kiedy łapiesz broń i do kogoś strzelasz, bo jest twoim wrogiem, groził ci albo coś w tym rodzaju. Potrafię nawet zrozumieć, że w czasie pokoju ludzie zabijają się z zazdrości

albo w przyływie furii. Ale nie rozumiem, jak ktokolwiek może gnębić dziecko w tak powolny, metodyczny, stopniowo wykańczający i bezwzględnie okrutny sposób. W jakiejś książce - nie pamiętam tytułu - przeczytałam słowa pewnej dziewczyny o tym, że niektórzy z jej przyjaciół zabijają swoje matki na raty. Ci ludzie też zabijali Gavina, ale zgotowali mu śmierć w tysiącu kroków. Umieszczenie Gavina w takich warunkach było jak wsadzenie niedźwiedzia do kojca, królika do pudełka albo kakadu do klatki. Chyba już łatwiej było mi zrozumieć okrucieństwo, z jakim Gavin potraktował kota Marka, niż to, że ci ludzie zamknęli go na strychu.

Było jeszcze inne pytanie, którego nie chciałam zadać, ale musiałam to zrobić i otrzymałam spodziewaną odpowiedź. Gavin pokazał na wiadro w kącie. Już wcześniej zauważyłam leżącą obok rolkę papieru toaletowego. Opróżniali wiadro, kiedy im się podobało - zazwyczaj wtedy, kiedy przynosili wieczorny posiłek. Przynajmniej teraz było puste, ale nie pozostało takie zbyt długo, bo pęcherz pękał mi w szwach. Najwidoczniej Gavinowi też, bo po chwili poszedł za moim przykładem. Szczerze mówiąc, to było krępujące, mimo że mieszkaliśmy ze sobą już tyle czasu.

Zabawne, mimo wszystko bardzo szybko przystosowujemy się do zastanej sytuacji. W lesie w samym środku wojny, kiedy jest ci zimno i umierasz z głodu, nie masz nic przeciwko wylizywaniu resztek z dna plecaka. Ale siedząc w drogiej restauracji, narzekasz, jeśli frytki są za zimne. Chyba.

Nigdy nie byłam w drogiej, takiej naprawdę eleganckiej restauracji.

Szybko przestałam się przejmować toaletowymi problemami, które pomogły mi zrozumieć, czemu na strychu tak śmierdzi. Biedny Gavin, trudno było mieć do niego pretensje.

Musiałam się zmierzyć z większymi problemami. Trzeba było zdecydować, czy przypuścić zmasowany atak na strych, czy też lepiej się na chwilę wstrzymać. Gdybym uznała, że mogą nas zabić w najbliższej przyszłości, na przykład jeszcze tej nocy, mądrzej byłoby zacząć działać od razu. Nie miałabym nic do stracenia. Ale gdybym doszła do wniosku, że najprawdopodobniej przez jakiś czas zachowają nas przy życiu, lepiej byłoby trochę odczekać, poświęcić czas na rekonesans, odzyskać siły, pozwolić, żeby się odprężyli, i spróbować wymyślić lepszy plan niż zwyczajne wyważenie drzwi.

W tej sytuacji musiałam dokonać wyboru, który mógł oznaczać życie albo śmierć dla nas obojga, ale miałam zdecydowanie za mało danych.

Trzeba było wniknąć w umysły obcych ludzi, które funkcjonowały w jakiś tajemniczy sposób i posiadały informacje, jakich ja nie miałam. Zupełnie jakbym dostała puzzle liczące sześćset elementów bez obrazka na pudełku i z zaledwie dziesięcioma elementami w środku. Zrozpaczona siedziałam na łóżku, a Gavin siedział obok mnie i opierał mi głowę na ramieniu.

Objęłam go ręką, ale bałam się, że jeśli podejmę złą decyzję, zaufanie, jakim mnie darzy, może mu się odbić czkawką. Cały świat odbiłby się czkawką nam obojgu, gdybym podjęła złą decyzję. Ale być może za bardzo komplikowałam sprawę. Bo co mieliby z nami zrobić, jeśli nie zabić? Nie mogli nas trzymać wiecznie. Nie mogli nas wypuścić. Część mnie wierząca w to, że będę żyła wiecznie, że jestem silna, sprawna, zdrowa i młoda, w związku z czym nie mogę jeszcze umrzeć, nie potrafiła zmierzyć się z tym, że moje życie może dobiegać końca, że muszę się pogodzić ze stojącym przede mną Uluru rzeczywistości. Podłamałam się.

Odsunęłam się od Gavina i znowu wstałam. Jeśli mieliśmy coś zrobić, musiałam zacząć działać już teraz i przynajmniej spróbować znaleźć sposób, który pozwoli nam się wydostać z tego pomieszczenia. Złapałam zielony taboret i zaniiosłam go w miejsce, gdzie sufit wisiał najniżej.

Podniosłam obie ręce i uderzyłam z całej siły. Ale zabrakło mi energii.

A mogłam korzystać tylko z siły rąk, bo w takim wypadku ciężar ciała był nieprzydatny. Zmęczenie oraz brak energii fizycznej i umysłowej, którą tak nieroztropnie roztrwoniałam w ciągu kilku ostatnich godzin i dni, na pewno mi nie sprzyjały.

Podjęłam tylko sześć prób, a potem się poddałam. Zmierzyłam wzrokiem drzwi, ale uznałam, że lepiej je zostawić na koniec, bo próba ich wyważenia narobiłaby najwięcej hałasu. Miałam potworne przeczucie, że trzask odbiłby się echem w całym domu.

Wtedy Gavin mnie zaskoczył: sięgnął pod łóżko i wyjął szczotkę.

Wręczył mi ją ze spojrzeniem, które mówiło: „Nie daję ci jej po to, żebyś zamiatała”. Chociaż gdyby oczekiwał sprzątanania, wcale bym się nie dziwiła. Ale on przeniósł wzrok ze szczotki na sufit, a potem z powrotem na mnie i od razu zrozumiałam, o co mu chodzi.

Głośno przełknęłam ślinę, wiedząc, że coś takiego narobi hałasu, a potem złapałam szczotkę obiema rękami tuż przy nasadzie kija i najmocniej, jak umiałam, rąbnęłam drugim

końcem w sufit.

Rzeczywiście, narobiłam hałasu. Huk odbił się echem na małym strychu, ale nie miałam pojęcia, jak daleko dotarł. Jedno było pewne. Sufit zrobiono z dość lekkiego materiału. Z taniej płyty pilśniowej albo czegoś w tym rodzaju. Postanowiłam stłumić wszystkie myśli o hałasie i zaatakowałam z całej siły. Bum, bum, bum. Za piątym razem się przebiłam. Cofnęłam kij od miotły, który zostawił śliczną okrągłą dziurę z poszarpaną krawędzią wokół. Zeskoczyłam i przesunęłam taboret o niespełna metr, a potem znowu na niego weszłam i zaczęłam od początku. Cztery uderzenia i zrobiłam następną dziurę.

Zaczęłam się nakręcać. Zauważyłam błysk w oczach Gavina i życie powracające na jego twarz. Jeszcze raz przesunęłam taboret i znowu przypuściłam atak. Pot ciekł mi po czole i szczypał w oczy. Starłam się uderzać w sufit i jednocześnie myśleć. Wiedziałam, że jeśli uda mi się zrobić przyzwoity otwór, będziemy mogli wyjść. Dach na pewno nas utrzyma. A potem trzeba będzie znaleźć jakąś drogę ucieczki. Włosy miałam już mokre od potu, a moje ręce opadały z sił. Zrobiłam cztery dziury tworzące krzywy kwadrat, a teraz mogłam zaatakować przestrzeń między dwiema z nich, w nadziei że uda mi się wybić duży kawałek.

Tylko że moje ręce nie miały już siły. Opuściłam je na chwilę, a potem opuściłam głowę, próbując odzyskać energię. Szkoda, że Gavin nie był trochę wyższy, bo wtedy moglibyśmy to robić na zmianę. Wtedy usłyszałam jakieś szuranie za drzwiami. Gavin spojrzał na nie z przerażoną miną i po chwili drzwi gwałtownie się otworzyły. Do środka wpadło dwóch facetów, a za nimi był jeszcze co najmniej jeden.

W przypiływie strachu zrozumiałam, że nasza próba ucieczki właśnie dobiegła końca.

Znowu dostałam lanie i już na początku czułam, że to ponad moje siły. Czułam, jak po każdym ciosie ulatuje ze mnie wola walki. Skuliłam się na ziemi, przyjmując pozycję płodową, którą wyobrażałam sobie nie tak dawno temu, zasłoniłam twarz i starałam się przyjmować ciosy. Nawet nie wiem, czym mnie bili. Nie jestem pewna, co się działo z Gavinem, ale chyba jeden z nich odciągnął go na bok.

W pewnej chwili znowu wyszli. Upłynęło sporo czasu, zanim się poruszyłam i spróbowałam wstać. Gavin leżał na mnie i płakał, więc w końcu postanowiłam to zrobić ze względu na niego. Próbowałam sobie przypomnieć początek tego wieczoru - byłam wtedy taką optymistką, miałam takie pozytywne nastawienie i czułam się jak wielka bohaterka,

przemykając po ich domu, psując im broń i tak dalej. Niewiele było trzeba, żeby doprowadzić mnie do obecnego stanu. Przypomniały mi się namowy chłopaków, którzy chcieli, żebym dołączyła do Wyzwolenia, i pomyślałam: „Nie ma szans”. Doszłam do wniosku, że jeśli to przeżyję - co wydawało się dość mało prawdopodobne - pora skończyć z tą całą walką. Pod warunkiem, że inni mi na to pozwolą.

Rozdział 15

Czas mijał. Przez lanie, które dostałam na schodach, zgubiłam zegarek. Zrozumiałam, jak szybko Gavin musiał wpaść w odrętwienie, skoro czas nie miał tu żadnego znaczenia. Czy ciało podpowiada, która jest godzina, jeśli brakuje wskazówek? Chyba gdzieś czytałam, że w świecie bez zegarków ludzie wpadają w dwudziestosześciodzinny cykl dobowy.

Na szczęście mieliśmy trochę wskazówek, bo gdy ktoś otwierał drzwi, mogliśmy podejrzeć, czy jest widno, czy jasno. Tylko że byłam za bardzo obolała i potłuczona, żeby zwracać na to uwagę. Od czasu do czasu przychodziło mi do głowy, żeby spróbować wyważyć drzwi, ale bałam się, że mogliby mnie wtedy pobić na śmierć i z tego logicznego powodu (albo z czystego tchórzostwa) postanowiłam zachować resztki energii na lepszą okazję. O ile taka okazja kiedykolwiek miała się nadarzyć.

Dostaliśmy kilka posiłków, ale nie jestem pewna ile.

Powiedziałabym, że z siedem albo osiem. Jak można się było spodziewać, okazały się dość paskudne. Przeważnie składały się z ryżu, który na ogół był zimny, stary i okropny. Chwilami smakował jak karma dla ptaków.

Podjeżdżałam, że jeśli nikt się nie zainteresował resztkami wstawionymi do lodówki i przeleżały tam kilka dni, w końcu któryś z tych mężczyzn wpadał na wspaniałą myśl, żeby zanieść je na górę i podzucić do naszego pokoju. Bo trudno było uwierzyć, że ktokolwiek zadawał sobie więcej trudu.

Jadłam tyle, ile mogłam zmieścić. Czasem musiałam zmuszać żołądek do przyjęcia jedzenia, ale wiedziałam, że potrzebuję energii, a to był jeden z nielicznych sposobów, w jakie mogłam ją zgromadzić.

Wszystko mnie bolało i nie mogłam liczyć na worki z lodem. Dzień po tym, jak dostałam w skórę za podziurawienie dachu, parę razy zauważyłam krew w moczu i o mało, że tak powiem, nie posikałam się ze strachu, ale wszystko wskazywało na to, że później moje nerki doszły do siebie.

Kiedy z pokoju zniknął taboret i zabrano szczotkę, niewiele nam zostało. Ci ludzie

wykręcili nawet nogi łóżka, tak że rama i materac leżały teraz na podłodze. Dwa razy próbowałam wziąć Gavina na ramiona i go podnieść, ale był za ciężki i nie mogłam wytrzymać z bólu.

Gdy w końcu udało mi się zmusić umysł do pracy, zaczęliśmy grać w różne głupie gry, na przykład w szpiega albo w dwadzieścia pytań, ale żadne z nas nie było tym zbyt zainteresowane. Inne zabawy, takie jak w chowanego albo w gorące krzesła, oczywiście nie wchodziły w grę.

Wtedy przyszedł mi do głowy świetny pomysł i stworzyłam zestaw do gry w szachy. Wykorzystałam to, co mi zostało w kieszeniach, oraz inne drobiazgi znalezione w pokoju, a pionki zrobiłam z oderwanych kawałków prześcieradła. Dlatego funkcję królów pełniły dwie połówki spinki do włosów, królowymi były gumki, a końmi kawałki papieru toaletowego, które poskręcałam, nadając im najlepsze kształty, jakie udało mi się osiągnąć. Miałam długopis, którym pokolorowałam czarne figury wymagające pokolorowania. Szachownicę narysowaliśmy w kurzu na podłodze. Oczywiście linie nie przetrwały długo, ale zawsze mogliśmy je poprawić.

Już kilka razy wcześniej próbowałam zainteresować Gavina szachami, ale bez większych sukcesów. Za to teraz zaczął grać z zapałem.

Pokonał mnie kilka razy, kiedy byłam obolała, zmęczona i rozkojarzona, ale gdy poczułam się lepiej, znowu zaczęłam regularnie zwyciężać, aż w końcu, po rozegraniu mniej więcej pięćdziesięciu partii, los powoli się odwrócił. Musiałam bardzo zaciekle walczyć, żeby dwa razy wygrać, potem znowu dwa razy wygrał Gavin, potem dwa razy ja, aż wreszcie zaczęłam przegrywać osiem partii na dziesięć. Nie wiedziałam, czy mam się wkurzyć, czy ucieszyć.

„Jakie to dziwne - pomyślałam - ostatnie dni upływają nam na grze w szachy”. Ale podejrzewam, że istnieją gorsze sposoby na zakończenie życia.

Kiedy czas przestał wyłącznie mijać i nagle znowu nabrał wagi, odkryłam, że jest środek nocy. Wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze mnie olśniło. Nie mogłam uwierzyć, że w swojej głupocie nie wpadłam na to wcześniej. Obydwoje leżeliśmy na łóżku, Gavin spał, a ja żałowałam, że nie mogę zasnąć. Zupełnie spontanicznie znaleźliśmy własne miejsca na materacu, dzięki czemu nam obojgu mogło być wygodnie i w dodatku pokrzepialiśmy się

nawzajem ciepłem swoich ciał. Tylko że teraz Gavinowi śnił się koszmar, który zmuszał go do krzyku i miotania się na łóżku. Nagle Gavin zamachnął się i uderzył mnie prawą ręką w policzek, wołając: „Uważaj na niego!”, po czym zrobił coś w rodzaju salta w bok i wylądował na mnie.

Wyglądało na to, że nadal śpi. Zdołałam się spod niego wydostać, a potem go objęłam, próbując go uspokoić, próbując sprawić, żeby spał przynajmniej z odrobiną poczucia bezpieczeństwa. Leżałam obok i co chwilę zapadałam w coś, co lekko przypominało sen, a potem znów się budziłam. Nawiedzały mnie różne myśli, śniło mi się, że Gavin znowu na mnie wylądował i zarwało się łóżko. Zupełnie jakby w mojej głowie rozegrał się stary niemy film, w którym on, ja i łóżko bezładnie wylądowaliśmy na podłodze. Wtedy przez mózg przebiegł mi impuls elektryczny. Usiadłam prosto, a przynajmniej na tyle prosto, na ile pozwoliła mi głowa Gavina. Łóżko! No jasne! Łóżko!

Wygramoliłam się spod Gavina i zaczęłam go ściągać na podłogę razem z materacem. Przestałam się przejmować, że zakłócę mu sen.

Zresztą w naszej małej celi i tak mieliśmy mnóstwo czasu na spanie. Na podłodze Gavin zaczął mamrotać, narzekać i burczeć, więc włączyłam światło, żeby zobaczyć, co zamierzam zrobić. W dwie minuty rozmontowałam ramę łóżka. Na podłodze zostały dwa krótsze elementy, które na niewiele mogły mi się przydać. Oprócz tego był jeszcze duży i ciężki kawał płyty wiórowej, który też nie był mi potrzebny. Zależało mi na dwóch długich prętach. Nagle sobie uświadomiłam, że to najlepsza broń, jaką mamy. Jeśli nie liczyć paznokci, były również jedyną bronią, jaką mieliśmy. Za to skrywały w sobie prawdziwy potencjał. Miały mniej więcej dwa metry długości i trochę mniej niż piętnaście centymetrów szerokości, były z twardego, ciężkiego metalu, a na ich końcach tkwiły kulki pasujące do elementów poprzecznych. Mogły bez najmniejszego problemu wybić dziury w suficie. Prawdopodobnie byłyby w stanie wyważyć drzwi. Gdyby ci goście zjawili się z bronią, żeby nas zastrzelić, przed śmiercią dalibyśmy im trochę popalić. Byłoby miło.

Gavin się przyglądał, z początku naburmuszony, potem z większym zaciekawieniem, a na końcu, kiedy podniosłam jeden z prętów i pokazałam mu moc tego narzędzia, trochę się nawet ucieszył. Nie licząc wygrywania ze mną w szachy, odkąd przyłapano mnie na forsowaniu sufitu szczotką, nic nie wzbudziło jego entuzjazmu. Ulżyło mi, kiedy zobaczyłam, jak w jego oczach pojawia się odrobina dawnego błysku.

- Kiedy to zrobimy? - spytał. - Chyba nie chcesz, żeby znowu cię przyłapali?

- Dobrze to ująłeś - powiedziałam. - Nie wiem, jaka pora będzie najlepsza. I nie wiem, którą drogę powinniśmy wybrać: przez sufit czy przez drzwi.

Spojrzałam na sufit, roztrzaskując dostępne możliwości. Pomyślałam, że w mgnieniu oka mogłabym w nim wybić sporą dziurę - mniej więcej w pół minuty. Ale musielibyśmy jeszcze wydostać się przez otwór.

Gdybyśmy oparli stelaż i wykorzystali go jako drabinę, prawdopodobnie by się udało. Zakładając, że zrobimy to w środku nocy i że hałas ich obudzi, mielibyśmy ze dwie minuty, zanim do nas wpadną. W sąsiednim pomieszczeniu musielibyśmy znaleźć włącz, czy jak tam je nazywają, otworzyć go i zeskoczyć na coś, co mogło się okazać siedliskiem uzbrojonych terrorystów. Jeśli sufit wisiał wysoko, czekałby nas spory skok. Cała ta perspektywa nie wydawała się zbyt kusząca. Na przykład trudno uciekać, kiedy we dwójkę macie łącznie cztery złamane nogi.

Oprócz tego pozostawało nam tylko wydostanie się przez drzwi.

Oceeniłam, że mogłabym je wyważyć sześcioma ciosami, zwłaszcza gdybym się cofnęła i wzięła rozbieg. Jasne, narobiłabym hałasu, ale cała akcja dość szybko dobiegłaby końca. Potem musielibyśmy zejść po drabinie i zaryzykować ucieczkę. Niebezpieczeństwo mroziło krew w żyłach, ale i tak czułabym się pewniejsza, biegnąc korytarzem, niż gdyby nam przyszło uciekać po dachu.

Wyjaśniłam to wszystko Gavinowi, stosując kombinację słów i gry aktorskiej. Obserwował mnie w milczeniu. Nie wydawał się zbyt uradowany. I wcale mu się nie dziwię. Pewnie miał nadzieję, że osobie w jego wieku życie ma do zaoferowania coś więcej. Do diabła, ja też miałam nadzieję, że osobie w moim wieku życie ma do zaoferowania coś więcej.

- Chyba lepiej drzwiami - powiedział w końcu z miną człowieka, który musi wybrać między komorą gazową a krzesłem elektrycznym.

- Okej - zgodziłam się. - W takim razie drzwiami.

- Już teraz? - spytał z nagłym przerażeniem.

- Nie - uspokoiłam go. - Zaczekamy, aż będzie wiadomo, jaką mamy porę. Musimy spróbować w środku nocy.

Na wszelki wypadek zdecydowaliśmy się jednak na sufit. Zrobiłam kilka otworów w płycie wiórowej, żeby było łatwiej się po niej wspinać, jeśli będziemy potrzebowali drabiny. Potem jak najszybciej złożyłam łóżko.

Z jakiegoś powodu odkrycie prętów tchnęło w nas sporo energii. To była drobnostka, o wiele za mała, żeby móc w niej pokładać wielkie nadzieje, ale dała nam poczucie, że znowu - choć tylko w niewielkim stopniu - jesteśmy panami swojego losu, a przynajmniej, że mamy na niego jakiś wpływ. Wyłączyłam światło i obydwójce wróciliśmy do łóżka, ale czułam, że Gavin tryska energią.

To zabawne, ale zaledwie czterdzieści minut później znowu zdarzyło się coś pozytywnego. W samą porę. Zazwyczaj jest inaczej: „Gotowi... do startu... start... oj, cześć, Ellie, może lepiej się przebierz, a potem spróbuj dogonić resztę?”. Ale tej nocy wszystko działo się punktualnie. Może, rozkręcając łóżko, wprawiłam w ruch jakąś kosmiczną siłę?

Gdy tylko obydwójce trochę się uspokoiiliśmy, coś tak mnie zszokowało, że o mało nie wyskoczyłam z łóżka. Nagle wokół zaczął się szalony koncert wystrzałów. Najpierw rozległ się tylko jeden huk, ale tuż po nim rozbrzmiało ich o wiele więcej, jakby ten pierwszy był tylko sygnałem, iskrą. Od pierwszego strzału do dzikiego chaosu, który się po nim rozpętał, minęły mniej więcej dwie sekundy. Po pierwszym zerwałam się z łóżka i zaczęłam biegać w kółko jak wariatka. Gdy strzelanina rozkręciła się na dobre, zrobiło się tak głośno, że usłyszał ją nawet Gavin.

Skoczył w ślad za mną i rozmontowaliśmy łóżko. Przyszła mi do głowy okropna myśl, że to tylko pokaz sztucznych ogni z okazji mistrzostw świata, chińskiego Nowego Roku albo czegoś w tym rodzaju, ale musiałam zaryzykować. Zresztą nawet gdyby to był pokaz sztucznych ogni, przynajmniej odciągnąłby uwagę porywaczy.

Zawsze kiedy się spieszysz, coś knocisz. Chyba nigdy się tego nie nauczę. Upuściłam

płyte wiórową, która rąbnęła mnie krawędzią w palec, a potem nie mogłam wyjąć pręta, bo za mocno szarpałam. Próbowałam się uspokoić, opanować, skupić. W końcu mi się udało. Pręt wydawał się cięższy niż wcześniej, ale uniosłam go jak oszczep i trzymając w jednej ręce, natarłam prosto na drzwi.

W ostatniej chwili pomyślałam: „Jeśli te drzwi są takie twarde jak eukaliptus, to mam przechlapane”. Obejrzałam je wcześniej i nie wydawały się zbyt solidne. Wymierzyłam w gałkę i zamek, ale trafiłam o wiele dalej, w miejsce po lewej, gdzieś między framugą a ścianą.

- Aua! - zawołałam, wypuszczając pręt i potrząsając rękami.

Ale już po chwili był przy mnie Gavin, który podniósł pręt i próbował mi go włożyć z powrotem do ręki. On miał rację, a ja byłam w błędzie. Brakowało czasu na przejmowanie się nadwyrężonymi rękami.

Czas był dla nas największym luksusem na świecie.

Przeszłam na drugi koniec pokoju i znowu wzięłam rozpęd.

Ruszyłam naprzód, bardziej jak tyczkarka niż oszczepniczka. Starłam się skupić na zamku i wkładałam w to wszystkie siły. „Boże - modliłam się - nie pozwól, żeby ktokolwiek przyszedł. Proszę cię, Boże, nie pozwól, żeby ktokolwiek usłyszał ten hałas”. Tym razem uderzyłam prawie idealnie, mniej więcej centymetr z prawej. Pręt przeszedł na wylot, wrywając drzazgi z drewna i wypaczając zamek, który ustawił się prawie bokiem.

Gavin podbiegł do drzwi i próbował je wyważyć, ale nie chciały ustąpić.

Uznałam, że potrzebujemy jeszcze jednego uderzenia. Wyciągnęłam pręt z dziury i cofnęłam się, mając nadzieję, że to będzie ostatni raz. Natarłam na drzwi z całą siłą, jaką zdołałam z siebie wykrzesać. Gdyby w tamtej chwili ktoś je otworzył, ta scena zmieniłaby się we wspaniały skecz komediowy. Zrobiłabym mu dziurę w brzuchu. Ale do niczego takiego nie doszło. Kulka na końcu pręta uderzyła w drewno i drzwi gwałtownie ustąpiły, otwierając się z takim impetem, że odbiły się od ściany i o mało nie zatrzasnęły z powrotem. Ale na szczęście dla nas zamek był za bardzo zniszczony, żeby do tego dopuścić. Dostaliśmy szansę. Ostatnią szansę.

Huk wystrzałów stał się głośniejszy. Nie był tak zmasowany jak pierwsze natarcie, strzelano sporadycznie, ale wokół latało całkiem sporo kul. Nie miałam jednak czasu, żeby się

nad tym zastanawiać, bo zsuwałam się po drabinie, a za mną zsuwał się Gavin. Jak na dwoje ludzi, którzy byli głodzeni, bici i zaniedbywani, nagle wykazaliśmy się sporą ruchliwością.

Nie wiedziałam, co znajdziemy na dole drabiny. Ale nie znaleźliśmy niczego. W każdym razie na początku. Oczekiwałam najróżniejszych niespodzianek, więc w pewnym sensie nic mnie nie zaskoczyło. Ale po chwili w miejscu, w którym przecinały się korytarze, tuż przed nami przebiegł jakiś człowiek. Trzymał karabin i właśnie go przeładowywał.

Nie zauważył nas. Zastanawiałam się, ile karabinów w domu nadal działa.

Bo wyglądało na to, że niektóre są sprawne. Co za szkoda! Z drugiej strony, sprawny karabin bardzo by nam pomógł. Powzięłam ponure postanowienie, że go zdobędę. Jedyne karabin, jaki widziałam, był w rękach mężczyzny, który właśnie przebiegł obok nas, a ponieważ założyłam, że broń działa, postanowiłam spróbować mu ją odebrać.

Ruszyłam za porywaczem. Pewnie brzmi to jak szaleństwo, ale wątpiłam, by udało nam się wydostać z tego domu bez broni. Spojrzałam w lewo, nikogo nie zauważyłam, więc skręciłam w lewo i ruszyłam korytarzem, a Gavin pobiegł za mną. Na ścianie wisiała gaśnica.

Chwyciłam ją i zdjęłam z uchwyty. Dotarłam do otwartych drzwi.

Trzymając gaśnicę od góry, zajrzałam do pokoju. Zobaczyłam tego gościa.

Stał przy oknie i ostrożnie przez nie wyglądał. Sądząc po sposobie, w jaki trzymał karabin, próbował kogoś wypatrzeć. Uświadomiłam sobie, że nie tylko chcę zdobyć jego broń, ale z radością pomogę ludziom, do których zamierza strzelać. Wszyscy wrogowie tych gości byli moimi przyjaciółmi.

Spokojnie do niego podeszłam, manipulując zawleczką gaśnicy.

Wcześniej korzystałam z gaśnicy tylko raz, na zajęciach w terenie podczas pokazu wiejskiej straży pożarnej, ale każdy głupi umie uruchomić gaśnicę, więc założyłam, że będzie dobrze. Okazało się jednak, że zawleczka jest dość sztywna. Zaczęłam się zastanawiać, czy projektując gaśnicę, biorą pod uwagę takich głupków jak ja. Na szczęście po chwili zawleczka ustąpiła ze zgrzytem.

To wystarczyło, żeby zwrócić uwagę tego faceta. Odwrócił się.

Chyba jeszcze nie był zaniepokojony, ale zwyczajnie ciekawy. Na mój widok zareagował dość szybko. Zaczął się odwracać, odsuwając jednocześnie karabin od okna. Nie zwlekałam ani chwili dłużej, pociągnęłam za dźwignię i dałam czadu.

Już zapomniałam, jak gwałtownie działają gaśnice. Efekt jest nie tylko natychmiastowy, ale i potężny. Biała piana wystrzeliwuje z nie mniejszą siłą niż pocisk. To niekończące się uderzenie chemii o dużej mocy. Piana wydaje się prawie twarda w środku, ale wokół niej unosi się mnóstwo białej mgły albo jakichś oparów. Nie widziałam, jak podziałała na tego faceta, bo natychmiast został unicestwiony. Zobaczyłam karabin, którym szaleńczo wymachiwał, a potem Gavina, który ominął mnie biegiem, dopadł do gościa z boku i wyrwał mu broń. Gdy tylko to zrobił, wycofał się i ustawił karabin w pozycji do strzału. Dalej pryskałam pianą z gaśnicy. Facet kaszlał, charczał i krzyczał, ale wątpię, żeby ta biała substancja była bardzo toksyczna. Bo przecież nie nabijaliby gaśnic czymś niebezpiecznym, prawda? Chyba chodziło o to, że całkowicie go zaskoczyłam - pokrycie twarzy, nosa, oczu i ust jakąś białą substancją chemiczną musiało być szokujące, przynajmniej przez jakiś czas.

Facet zatoczył się na bok. Przesunęłam gaśnicę, żeby mi się nie wymknął, ale była już coraz lżejsza i strumień piany słabł. Rzuciłam gaśnicę i chwyciłam karabin. Sprawdziłam, czy jest odbezpieczony, i zaczęłam się wycofywać, mierząc do faceta wyłaniającego się z mgły.

Przecierał oczy, kaszlał i nawet nie podniósł głowy. Kiedy tak krążył po omacku, szybko spojrzałam przez ramię. Gavin był o krok przede mną - zdążył już otworzyć drzwi do szafy i machał do mnie, pokazując na migi, żebyśmy wsadzili tego faceta do środka. Bardzo mi ulżyło, widząc, że Gavin tak się ożywił, bo wiedziałam, przez co przeszedł. Dało mi to zastrzyk energii. Krzyknęłam do porywacza, a wtedy on na mnie spojrzał i zrozumiał, że rozkazuję mu wejść do szafy. Ruszył całkiem potulnie.

Zatrzasnęliśmy za nim drzwi i przekręciliśmy klucz w zamku, ale nie byłam pewna, czy gość długo tam posiedzi. Przyciągnęłam krzesło, którym podparłam klamkę, a potem zaklinowałam drzwi cienką książką znaną na gzymsie kominka. To niewiele, ale musiało wystarczyć. Nie mogłam zabić tego faceta z zimną krwią, choć nie trzeba było wiele, żebym wpakowała w niego kulkę. Uważałam tych ludzi za najgorsze szumowiny, jakie kiedykolwiek spotkałam.

W każdym razie miałam nadzieję, że jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, nie zabawimy w tym domu długo. Nadal nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje i czemu trwa strzelanina. Ale obydwójce wybiegliśmy z powrotem na korytarz. Trzymałam karabin w pogotowiu, żeby w każdej chwili móc oddać strzał. Od szczytu schodów dzieliła nas daleka droga.

Jednak już po chwili go zobaczyłam, a gdy do niego dobiegaliśmy, wszystko rozegrało się jak w zwolnionym tempie. Już czułam zapach wolności, już sobie wyobrażałam, jak zbiegamy po schodach, kiedy nagle usłyszałam krzyk Gavina i na stopniach po lewej stronie pojawił się jakiś mężczyzna. On miał broń, ja miałam broń, obydwójce byliśmy gotowi strzelać bez zastanowienia, więc wyglądało na to, że za chwilę jedno z nas zginie. Szybko uniosłam karabin i pociągnęłam za spust. On też podnosił karabin i widziałam, jak palec jego prawej ręki zaczyna się zginać. Ale facet był ode mnie dwa razy starszy i chyba to przeważało. Krrakk. Czy taki dźwięk wydają karabiny? Słyszałam go już wiele razy i to najtrafniejszy sposób oddania go na papierze. Całe ciało tego faceta jakby się przygarbiło, zadrżało, a potem porywacz cofnął się o pół kroku, skulił i zaczął podnosić ręce do klatki piersiowej, by w końcu runąć w bok, naprawdę niezdarnie, naprawdę niezgrabnie. I ciągle w zwolnionym tempie.

Chwyciłam karabin, który upadł razem z nim, i podałam go Gavinowi, co bez wątpienia było jedną z największych uciech jego życia.

Tak, przypuszczałam, że to najbardziej ryzykowna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Nagle prawdopodobieństwo, że zarobię kulkę w plecy, wyraźnie wzrosło, ale jeśli zamierzaliśmy się stąd wydostać, musieliśmy podejmować duże ryzyko.

Przyszła pora na schody. Zacerpnęłam powietrza i pokonałam kilka pierwszych stopni. Na dole pojawił się jakiś człowiek. Znowu szybko uniosłam karabin i wymierzyłam prosto w niego. Zanim zdążyłam zrobić coś więcej, usłyszałam huk wystrzału i facet runął do tyłu, uderzając głową w najniższy stopień. Towarzyszył temu taki trzask, że gdyby już nie był martwy, pewnie to by go wykończyło. Zabity dwa razy. Kiedy spotyka cię coś takiego, wiesz, że miałeś pecha.

Strzał oddano gdzieś na dole. Ktoś wbiegł w moje pole widzenia, poruszając się po skosie, jakby robił albo zyg, albo zak. Miał karabin automatyczny i wyglądał jak prawdziwy zawodowiec. Nie tylko ze względu na broń - wystarczyło spojrzeć, jak się przemieszcza po tej niewielkiej powierzchni. Mieliśmy do czynienia z czymś nowym. Ten ktoś mógł być dobry albo zły, mógł być po naszej stronie albo przeciwko nam.

Obydwójce z Gavinem szybko unieśliśmy karabiny i wymierzyliśmy do niego. Gavin stał już na stopniu obok mnie. Wstrzymałam się ze strzelaniem i czekałam. Gavin nie był aż taki ostrożny. Nie zastanawiał się.

Zanim zdążyłam go powstrzymać, zastygł i pociągnął za spust.

- Gavin! - zawołałam.

Ale nie rozległ się żaden huk. Tylko coś w rodzaju chlupotu. Gavin naciskał spust, ale nic się nie działo. Domyśliłam się, że to karabin unieszkodliwiony colą. Nie było mu pisane zabijać. Facet, który po niego sięgnął, na pewno nie oddał próbnego strzału, bo sam by się o tym przekonał. No tak, ocaliłam komuś życie. Miałam tylko nadzieję, że nie przypłacimy tego własnym.

Żołnierz na dole schodów schował się i zniknął mi z oczu. Ale po chwili zobaczyłam, jak daje komuś znak ręką. Przybiegł następny. To był Lee.

Rozdział 16

- Lee! - krzyknęliśmy razem.

Lee podniósł głowę i szeroko się do nas uśmiechnął, a potem szybko skinął ręką. Ruszyliśmy po schodach. Lee odwrócił się w prawo, żeby coś krzyknąć, a potem do nas podbiegł. Jego towarzysz wyszedł z ukrycia i zaczął go osłaniać, odwrócony do nas plecami. Nagle mina Lee gwałtownie się zmieniła. Zobaczył coś albo kogoś za nami. Szybko się odwróciłam i jednocześnie zaczęłam ciągnąć Gavina w dół. To znaczy na podłogę, a nie ze schodów. Całość była prawie na granicy wykonalności, bo przez karabiny, które trzymaliśmy, zrobiła się z tego straszna plątanina.

Musiałam polegać na Lee, wierząc, że poradzi sobie z tym, co mamy za plecami, ale sama też zaczęłam się odwracać, próbując ustawić karabin w pozycji, w której mogłabym go użyć.

Myślę, że w takich sytuacjach jak wymiana ognia ufanie Lee jest całkiem dobrym rozwiązaniem. Szkoda tylko, że nie mogę powiedzieć tego samego, gdy chodzi o związki i inne dziewczyny.

Lee przykląkł, szybciej niż ja i Gavin, i jednocześnie uniósł karabin, oddając strzał.

Wiesz, że naprawdę komuś ufasz, kiedy pozwalasz, żeby wymierzył tuż nad twoją głową i pociągnął za spust, zwłaszcza gdy stoicie przy tym twarzą w twarz. Nie żebyśmy mieli inne wyjście. To jedno z tych licznych doświadczeń, których za nic w świecie nie chciałabym powtarzać. Nie tylko ze względu na huk, błysk i dziwne uczucie towarzyszące eksplozji powietrza wokół nas - ważny był także efekt psychologiczny, bo spojrzeliśmy prosto w lufę karabinu, wiedząc, że za chwilę padnie strzał.

Czasami się zastanawiam, jak się czują ludzie ginący od kuli. Co myślą, kiedy zaglądną w ten otworek w lufie i uświadamiają sobie, że to ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek zobaczą, ich ostatni obraz ze świata, ostatni widok, jaki oczy przekażą mózgowi. W dawnych czasach wierzono, że oczy zamordowanego zachowują obraz mordercy, więc aby rozwiązać zagadkę zbrodni, wystarczyło otworzyć ofierze oczy i spojrzeć na maleńkie zdjęcie

winowajcy. Usłyszałam o tym od pana Kassara, który dawniej prowadził kółko teatralne, więc to na pewno prawda... Chociaż może lepiej to sprawdzić.

Gdyby życie było sprawiedliwe, na ostatnim obrazie przed śmiercią byłyby krągłe białe chmurki, potok z krystalicznie czystą wodą, jagniątko hasające na pastwisku albo inne tego rodzaju ckliwe pierdoły. Ale w wypadku wielu osób są to pewnie brudne ściany jakiegoś zapuszczonego budynku, w którym produkują narkotyki, błotniste okopy, po których biegają szczury, albo poskręcana karoseria i strzaskana przednia szyba rozbitego samochodu.

Ostatnim obrazem, jaki widział facet za nami, były schody, Lee, Gavin i ja oraz wykładzina. Może jeszcze jego własna krew.

Prawdopodobnie zauważył ją przed śmiercią. Bo wokół było jej mnóstwo.

Kiedy upadał, spojrzałam na niego. Zachwiał się, pochylił w moją stronę, trzymając się za gardło, i upadł. Jego ciało pokonało odległość jakichś sześciu kroków, bo runął przed siebie i w dodatku był raczej wysoki.

Potem zsunęło się po dwóch schodach i częściowo wylądowało na mnie - największy ciężar, jaki kiedykolwiek czułam. Nie tylko dlatego, że ważyło jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt kilo. Było ciężkie, bo, jak by to ująć, było życiem, śmiercią i całą ludzkością, a ja czułam, że nie podołam takiemu ciężarowi ani chwili dłużej. Chyba właśnie wtedy podświadomie podjęłam pewne ważne decyzje. W moim sercu zamknęły się jakieś olbrzymie drzwi i po cichu zaczęły się otwierać inne, nowe.

Oczywiście brakowało czasu na rozmyślenia. Wokół panował totalny chaos. Byłam cała we krwi, która dalej tryskała z gardła tego człowieka, kiedy się spod niego wygramoliłam. Moje oczy i uszy nadal były oszołomione i zszokowane kulą, która wystrzeliła w moim kierunku z lufy karabinu Lee. Lee wskoczył na schody i pociągnął Gavina na dół.

Jednocześnie osłaniał górną część schodów, wycofując się tyłem, nieustannie obserwując sytuację i trzymając karabin w pogotowiu. Osoba na dole schodów, która osłaniała Lee, znowu zniknęła mi z oczu. Gdzieś w budynku, po mojej lewej stronie, rozległ się donośny łoskot. Z zewnątrz nadal dobiegały strzały. Powoli na schody zaczął się wsączać dym, również dochodzący z zewnątrz. Nie było go wiele, nie aż tyle, żebym pomyślała o pożarze. W zasadzie mogła go wywołać strzelanina, ale przez niego bałam się jeszcze bardziej i byłam jeszcze bardziej skołowana.

Schody zrobiły się śliskie od krwi, ale ominęłam ją i ruszyłam za Lee i Gavinem, którzy pobiegli korytarzem. Wreszcie zobaczyłam światło na końcu tunelu. Dochodziło z ulicy i nie było go za dużo, bo najwyraźniej mieliśmy środek nocy, ale wystarczyło, bym poczuła, że znów mamy realną szansę na wolność i świeże powietrze.

Stolik, który widziałam, kiedy po raz pierwszy weszłam do tego domu, był już przewrócony i z zadowoleniem zauważyłam, że karabin leży na ziemi. Możliwe, że któryś z domowników próbował go użyć i odkrył, że brakuje magazynka. Może to zbieg okoliczności, ale tuż obok stolika leżało ciało bardzo szczupłego młodego żołnierza. Było ułożone na boku, z głową opartą na wyciągniętej ręce, jakby spał, a spod spodu wyciekała strużka krwi.

Kiedy dotarłam do drzwi wejściowych, obejrzałam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie goni, ale Lee już się tym zajął: przyklął za progiem, skierował lufę w stronę korytarza i wypatrywał kłopotów.

„Boże - pomyślałam - on naprawdę zmienił się w superskuteczną maszynę bojową. Myśli o wszystkim, niczego nie zostawia przypadkowi”.

Dał mi znak, żebym szła dalej, więc ostrożnie wynurzyłam się na ulicę, rozglądając się na wszystkie strony, z karabinem gotowym do strzału. Nie byłam pewna, czego się spodziewać. Ktoś pchał Gavina w stronę pojazdu, więc pobiegłam za nimi. Tym pojazdem było stare ciemnozielone volvo.

Pomyślałam: „No dobra, jeśli nie można ufać kierowcy volvo, to komu można?”. Wtedy zauważyłam, że za kółkiem siedzi Homer. I natychmiast zmieniłam zdanie o kierowcach volvo.

Po prawej zobaczyłam osobę, która osłaniała nas na schodach. Tym razem uświadomiłam sobie ze zdziwieniem, że to dziewczyna. Stała odwrócona do mnie plecami, ale pod lekkim kątem, dzięki czemu widziałam kawałek jej profilu. Zdecydowanie była płci żeńskiej. Chwilę po tym, jak to do mnie dotarło, z lewej nadbiegł jakiś facet, minął mnie i krzyknął do niej:

- Teren zabezpieczony, Pryszczu!

Pryszczu! O mało nie upuściłam karabinu. Szkarłatny Pryszcz był dziewczyną? Nigdy

nie brałam takiej możliwości poważnie. To zabawne, że mimo panującego wokół chaosu ta wieść zrobiła na mnie takie wrażenie. Poczułam się tak, jakby wpompowano we mnie suchy lód, przez który nagle zamarłam. Zdołałam się otrząsnąć i odbiłam w prawo, żeby lepiej jej się przyjrzeć. I w nocy szoków doznałam największego szoku ze wszystkich. To była Bronte.

Rozdział 17

- Czyja jest ta cała krew? - spytał Homer, kiedy wsiadłam za Gavinem na tylne siedzenie.

Rzucając to pytanie przez ramię, wciskał pedał gazu. Błyskotliwe teksty Homera zawsze wymagają tłumaczenia. Ten znaczył: „Nic ci nie jest? To twoja krew? Bo jeśli tak, zaraz coś z tym zrobię”.

Pod wielką, twardą, typowo męską powierzchownością Homera bije serce. Całkiem jak w Ziemi: najpierw przedzieras się przez skorupę ziemską, potem przez nieciągłość Mohorovičica, następnie przez górny płaszcz Ziemi, dolny płaszcz Ziemi, przez nieciągłość Gutenberga i w końcu docierasz do najgorętszej części: stopionego jądra zewnętrznego i jądra wewnętrznego. Widzicie, nie próżnowałam na lekcjach geografii.

Trzeba pokonać ponad sześć tysięcy kilometrów, ale w końcu dociera się do serca. Tak, to całkiem dobra analogia dla Homera.

- Płacą ci za kierowanie - odpowiedziałam - więc zamknij się i kieruj.

Uwierzył mi na słowo i pojechaliśmy. Przecieliśmy chodnik i znaleźliśmy się w parku, gdzie trzymaliśmy się betonowej dróżki przeznaczonej chyba dla pojazdów służb miejskich. Gdy tylko na nią wjechaliśmy, Homer przyspieszył i już po kilku sekundach mknęliśmy przez park z prędkością, która byłaby niebezpieczna nawet na autostradzie.

Spojrzałam przez tylną szybę i zobaczyłam ludzi pakujących się do dwóch innych pojazdów przed domem. Jedna z tych osób wyglądała jak Lee, ale w tych ciemnościach nie byłam pewna. Po chwili pierwszy z samochodów ruszył za nami. Uznałam, że są po naszej stronie, bo Homer wydawał się zupełnie zrelaksowany, a słowa: „Teren zabezpieczony, Pryszczu”, podziałały na mnie uspokajająco.

Dotarliśmy na drugą stronę parku, nie uderzając po drodze w fontanny, bezpańskie psy ani amatorów joggingu - na szczęście o tej porze ci ostatni nie stwarzali większego zagrożenia. Ale Homer wypadł z parku z taką prędkością, że kiedy próbowaliśmy

przeskoczyć z dróżki na drogę, zaliczyliśmy dość paskudne lądowanie. Myślę, że volvo miało raczej niskie zawieszenie, co jednak w najmniejszym stopniu nie zniechęciło Homera. Wykonał brawurowy zakręt, którym tak bardzo rozhuśtał samochód, że zaczęłam się obawiać choroby morskiej, ale koła dobrze trzymały się podłoża, nawet jeśli większość gumy została na asfalcie. Homer znowu nadepnął na gaz i włączyło się turbodoładowanie.

Jechaliśmy dalej, ale pod spodem coś było zdecydowanie nie tak, bo słyszeliśmy potworne klekotanie, stukanie i zgrzytanie. Nawet Gavin spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Pochyliłam się nad jego nogami, żeby spojrzeć przez okno, bo miałam wrażenie, że hałas dobiega przede wszystkim z tamtej strony. Trochę się zaniepokoiłam, bo zobaczyłam latające iskry, a pędziliśmy ze sto na godzinę.

- Homer! - zawołałam - Chyba coś zepsułeś!

- Też tak myślę - przyznał.

Nadepnął na hamulec mniej więcej z taką samą siłą, z jaką wcześniej potraktował pedał gazu. Ani Gavin, ani ja nie mieliśmy zapiętych pasów i chcąc uniknąć wypadnięcia przez przednią szybę, musieliśmy się chwycić oparcie przednich siedzeń.

- Zostawmy volvo i złapmy okazję - zaproponował Homer, otwierając drzwi.

Nie potrzebowaliśmy drugiego zaproszenia. Wskoczyliśmy w ślad za nim i pobiegliśmy do drugiego samochodu, który też się zatrzymał. To był granatowy holden kombi. Znowu wsiedliśmy z Gavinem do tyłu, a Homer tym razem wślizgnął się z drugiej strony. Na miejscu pasażera z przodu siedział Lee, za kółkiem zaś zobaczyłam nie kogo innego, jak mojego starego przyjaciela Toddy'ego. To był dla mnie kolejny szok, ale dość mały w porównaniu z nagłym pojawieniem się Lee, Homera i - co najważniejsze - Bronte.

- Cześć, Ellie - powitał mnie serdecznie Toddy, jakbyśmy właśnie mijali się na ulicy w sobotni rano, wracając z zakupów.

- Cześć, Toddy - odpowiedziałam, starając się utrzymać taki sam ton.

Znowu ruszyliśmy w drogę. Z Toddym czułam się bezpieczniej niż z Homerem.

Prowadził szybko i sprawnie, ale nie lekkomyślnie ani brawurowo. Zrobiło się trochę bezpieczniej. Musiało upłynąć dużo czasu, żebym się odprężyła, ale miałam wrażenie, że ja i Gavin znaleźliśmy się w dość dobrych rękach.

- Więc Bronte jest Szkarłatnym Pryszczem? - zagadnęłam Homera i Lee.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał Homer, a Lee tylko się roześmiał.

Nadal byłam w szoku po tym odkryciu.

- Przecież ona jest taka spokojna - powiedziałam i od razu poczułam, że to strasznie głupia uwaga.

- Tak, jasne, przywódca musi wrzeszczeć i rozpychać się łokciami - powiedział Homer, który nigdy nie okazuje litości i nie bierze jeńców, chyba że chodzi o mnie i o Gavina uwięzionych na strychu.

- Jak ona to robi? - spytałam, co było niewiele bardziej inteligentne od mojego pierwszego komentarza.

- Po prostu budzi się rano i już tam jest - odparł Homer.

Nawiązywał do starego dowcipu, z którego śmialiśmy się od dziesięciu lat. Pochodził z jednej z książek mojego taty i brzmiał mniej więcej tak: „Jak pan się odnajduje w te mroźne zimowe poranki?” - spytała generała pewna dama. „Po prostu budzę się rano, odrzucam kołdrę i już tam jestem” - odpowiedział generał.

Wiem, że tak naprawdę to wcale nie jest śmieszne, ale z jakiegoś powodu mnie i Homerowi wydaje się przekomiczne i często wplatamy ten tekst w rozmowy.

- Jak nas znaleźliście? - zapytałam po chwili i chcąc uprzedzić żarcik Homera, szybko dodałam: - Wiem, wiem, po prostu odrzuciliście kołdrę i już tam byliśmy.

- Toddy i Bronte to starzy kumple - wyjaśnił Homer.

Toddy na chwilę się odwrócił i posłał mi szeroki uśmiech przez lewe ramię.

- Ojciec ciągle mi powtarza, że powinienem się z nią ożenić - wtrącił.

- Dzięki, że pomogłeś im nas znaleźć - powiedziałam do Toddy'ego, uświadamiając sobie, że musiał odegrać ważną rolę w tej całej akcji.

Lekko wzruszył ramionami.

- Kiedy weszłaś do tego domu, obserwowałem go, obserwowałem i obserwowałem, ale już z niego nie wyszłaś!

Pokręciłam głową. Wiele dni temu, dowiózłszy mnie na wskazane miejsce, Toddy podkreślił, że od tej pory nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

Pędziliśmy przez miasto. Nie nękałam ich pytaniami, bo wiedziałam, że mamy inne zmartwienia na głowie, a poza tym chciałam, żeby Toddy skupił się na prowadzeniu. Bardzo chciałam, żeby Toddy skupił się na prowadzeniu.

Jechaliśmy. Przez miasto, przez noc. Homer podał mi plastikowy pojemnik. Otworzyłam go i w środku znalazłam sześć krążków sushi.

Stłumiłam pokusę, żeby jęknąć: „O nie, znowu ryż!”. Pomyślałam o głodujących jeńcach pod koniec drugiej wojny światowej, którzy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od odzyskania wolności narzekali na brak sosu pomidorowego albo wybrzydali, mówiąc, że nie lubią ogórka w kanapkach. Skupiłam się na tym, że podczas przygotowań, które musiały pochłaniać bardzo dużo uwagi, ktoś pamiętał o takim szczególe jak pudełko piknikowe.

Gavin łączywie złapał jeden kawałek sushi. Dla niego każde jedzenie jest dobre, a ja muszę przyznać, że też z wdzięcznością włożyłam ten kęs do ust. Wyczułam lekką kleistość i spytałam Lee:

- Ty je zrobiłeś?

Lee prowadził poszukiwania idealnego sushi. Jeszcze nie dotarł do celu, ale zawsze z radością kosztowałam jego najnowszych dzieł. Ciągle mu powtarzałam, żeby używał elektrycznego garnka do gotowania ryżu, ale był takim purystą, że nie chciał go tknąć, mimo że jego rodzice mieli takie garnki w swojej restauracji.

Lee tylko skinął głową na potwierdzenie.

- Dzięki - powiedziałam z wdzięcznością.

- Hej, macie zamiar pożreć to wszystko sami? - spytał Homer.

- Ile czasu upłynęło, odkąd jadłeś porządny posiłek? - odpowiedziałam mu pytaniem.

- Co, chcesz powiedzieć, że byliście na diecie?

- Tak. Pomyślałam, że pora zrzucić parę kilo. Masz, skoro naprawdę chcesz zabrać jedzenie sprzed nosa głodujących dzieci. Udław się.

Podałam mu jeden krążek sushi. Natychmiast wziął się do jedzenia, nie przejawiając najmniejszego poczucia winy.

Kiedy zulałam sushi, energia znów zaczęła krążyć w moim ciele.

Boże, jedzenie jest super. Powinnam częściej odmawiać modlitwę przed posiłkiem. Jedzenie to jeden z najlepszych bożych wynalazków. Ale przypomnijcie mi, żebym przy okazji pogadała ze stwórcą o muchach plujkach, komarach i pijawkach. Że nie wspomnę o karaluchach.

Wyrzałam przez okno samochodu. Nie mogłam uwierzyć, że czuję się aż tak bezpiecznie, biorąc pod uwagę, że jechaliśmy bardzo szybko przez wrogie miasto i w każdej chwili mogliśmy zostać zaatakowani. Ale choć nie zwracałam na to większej uwagi, miałam wrażenie, że Toddy wiezie nas bardzo okrężną drogą. Teraz najwyraźniej byliśmy na jakiejś nudnej ulicy na nudnych przedmieściach i mniej więcej co pięćdziesiąt metrów przejeżdżaliśmy przez próg spowalniający. Czułam, że patrzę na swoją przyszłość. Na szczęście Toddy hamował przed progami. Teraz, kiedy był w grupie, sprawiał wrażenie

bardziej odpowiedzialnego, dojrzałego. Znam wielu takich chłopaków. W pojedynkę brakuje im pewności siebie, bo czerpią ją z grupy.

Mniej więcej dwadzieścia minut później wyjechaliśmy na główną drogę. Byliśmy już poza granicami miasta i woń wolności mocno przybierała na sile. Zapach wolności. Lepszy niż jedzenie. Ale moja radość okazała się przedwczesna. Nie wiem, czy blokadę drogową ustawiono z myślą o nas, czy o kims innym. Może była tam zawsze, w co jednak wątpię, bo napędziła Toddy'emu wielkiego stracha, a wydawał się dość dobrze zorientowany w miejscowej sytuacji.

Może wyłapywali nietrzeźwych kierowców.

W każdym razie nagle się pojawiła, rozświetlając nocne niebo jak jedna z tych olbrzymich stacji benzynowych połączonych z parkingiem dla ciężarówek. I na początku wzięłam ją właśnie za taką stację. Ale migające niebieskie i białe światła od razu pokazują, co się święci, prawdopodobnie w większości krajów. Chwyciłam oparcie przedniego siedzenia i pisnęłam:

- Toddy!

Samochód już zwalniał. Rozejrzałam się, zaniepokojona, próbując znaleźć najlepszą drogę ucieczki albo, gdyby takiej nie było, wymyślić najlepszy plan ataku. Tymczasem Toddy dalej hamował. Nie miałam pojęcia czemu. Nagle zjawiły się dwa samochody, otoczyły nas z obu stron. Zastygłam, myśląc, że to element ataku. Ale jedną z pasażerek była Bronte, która właśnie wysuwała przez okno lufę ogromnego karabinu. Nie widziała mnie. Niesamowicie było ją obserwować w roli tak dalekiej od pieczenia babeczek albo siedzenia pod drzewem na przerwie.

Dwa samochody wyprzedziły nas i zwarły szyk. Toddy znowu przyspieszył, żeby za nimi nadążyć. Z tyłu rozbłysło jakieś światło.

Odwróciłam się i zobaczyłam kolejny samochód. Homer też go zauważył, ale widząc jego spokój, uznałam, że czwarty samochód też jest po naszej stronie. Miło było choć raz znaleźć się pod czyjąś opieką - miło i dziwnie.

Ci ludzie wydawali się tacy profesjonalni. Poczułam zakłopotanie, przypominając

sobie, jak niezdarnie działaliśmy w czasie wojny w porównaniu z czymś takim. Ale jakoś sobie radziliśmy. Może jednak było w tym wszystkim miejsce dla amatorów.

Jechaliśmy w szyku: dwa samochody z przodu, jeden w środku i jeden z tyłu. Ale nagle, zupełnie jakby te cztery pojazdy były tancerzami i miały naprawdę dobrego choreografa, dwa na przedzie rozsunęły się, jeden w lewo, drugi w prawo. Toddy znowu zwolnił, odbił w lewo, a pojazd z tyłu ruszył naprzód jak słoń na olimpiadzie. Nie wiedziałam, co to za marka, ale wyglądał na wojskowy: był duży, silny i prawdopodobnie należało go przebadać na obecność dopingu. Trzy pozostałe samochody zwały szyk z tyłu, a ja ze strachem patrzyłam, jak wojskowa maszyna ściera wszystko na pył.

Kawałki blokady drogowej, w tym elementy dwóch samochodów, które ją tworzyły, nadal fruwały w powietrzu, kiedy pędziliśmy naprzód.

Z dużą prędkością miażdżyliśmy resztki, podskakując na nich, ślizgając się i telepiąc. Jedną ręką chwyciłam siedzenie, a drugą Gavina. Z lewej strony zauważyłam dwóch uciekających gości. Dwaj inni mierzyli do nas i strzelali. Nie miałam czasu, żeby spojrzeć w prawo.

Kule gruchnęły w nasz samochód. Niektóre dźwięki są dwuznaczne.

Huk karabinu w oddali może brzmieć jak rąbanie drewna. Ale kule walące w samochód wydają niezapomniany odgłos. Pojazd zmienia się w małą kabinę pogłosową, a ty czujesz się tak, jakby jakiś olbrzym tłukł w nią dwuręcznym młotem. Nie możesz uwierzyć, że małe kule mogą zrobić coś takiego. Samochód wypełnił się krzykami i muszę przyznać, że część z nich wydobywała się z mojego gardła. Zobaczyłam, że jeden z gości, którzy do nas strzelają, pada jak uderzony młotem olbrzym. Nie widziałam, co było potem, bo oddalaliśmy się od blokady z prędkością, za którą Toddy powinien był stracić prawo jazdy na kilkadziesiąt lat.

Rozdział 18

- Nie mogę uwierzyć, że to ty jesteś Szkarłatnym Pryszczem - powiedziałam.

- Uwierz, to ona jest Szkarłatnym Pryszczem - powiedział Homer. - Czemu mam déjà vu?

- Dlatego że Ellie mówi to czwarty raz? - podsunęła Jess.

Naprawdę grała mi na nerwach. Trochę dlatego, że żarcik Homera wcale nie potrzebował wyjaśniania, a przy Jess wszystko musiało być powiedziane do końca. W jej towarzystwie można było zapomnieć o subtelnościach. W porównaniu z Jess subtelne było nawet RG-31 taranujące blokadę drogową.

Drugi powód był taki, że Jess wiedziała, kto jest Szkarłatnym Pryszczem, a ja nie. Jasne, Jess dołączyła do Wyzwolenia, a ja nie. Ale w Wyzwoleniu działało mnóstwo ludzi, którzy nie znali tożsamości Szkarłatnego Pryszcza. Zresztą nieważne, czy to sprawiedliwe, czy nie. Po prostu byłam potwornie zazdrosna.

Sporo się dowiedziałam w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, na przykład poznałam nazwę pojazdu, który z tak przerażającą siłą sforsował blokadę drogową. Gavin już mi wiercił dziurę w brzuchu, żeby kupić RG-31. Wiedziałam, że taki samochód miałby milion zastosowań, ale mimo to nie znajdował się wysoko na mojej liście zakupów. Takie rzeczy kosztują co najmniej pół miliona. Tylko że w zamian dostajesz pojazd, który może przejechać po dwóch minach i potem zdać z tego relację.

Ta informacja nie była dla mnie aż taka ważna. Ale kilka innych...

Na przykład liczba żołnierzy, którzy po służbie przekroczyli granicę razem ze Szkarłatnym Pryszczem i resztą, żeby uwolnić mnie i Gavina. Odkryto przede mną mechanizmy działania Wyzwolenia. Rząd ani wojsko za nic w świecie nie mogły wesprzeć ani pobłogosławić działań Wyzwolenia, ale wielkość pomocy, jakiej nam udzielono, była... wow, imponująca. Jak powiedział Homer, od zakończenia wojny mnóstwo wojskowych

lekarzy opatrywało mnóstwo świeżych ran odniesionych w boju, co było dziwne, biorąc pod uwagę, że nie powinny się toczyć żadne walki. Czasem żołnierze wracali z przepustki mocno spóźnieni i zamiast wpaść w poważne tarapaty, co w normalnych okolicznościach na pewno by ich spotkało, widzieli pełne uznania kiwnięcie głową dowódcy, który był nawet skłonny zaparzyć im kubek herbaty. Pilnie strzeżono karabinów i amunicji, ale czasami ktoś zostawiał otwarte drzwi, a później pisano w raporcie, że kilkaset magazynków zużyto podczas ćwiczeń na strzelnicy.

Poobijane RG-31 z mnóstwem małych wgnieceń musiało zapewne ucierpieć na skutek burzy gradowej. I to naprawdę dziwnej burzy gradowej, bo kuleczki lodu padały z boku, a nie z góry. Jednak nikt nic nie powiedział i po cichu zaprowadzono pojazd do wojskowego warsztatu na naprawę.

Tak to wyglądało. Najwyraźniej żyłam w kraju, w którym były dwa rządy. Jeden poziom rzeczywistości tworzyło to, co widzieliśmy w telewizji i o czym czytaliśmy w gazetach - to samo widziała i czytała większość ludzi - ale na drugim poziomie działała grupa osób skupiających dużą władzę, które robiły to, co uznawały za najlepsze dla reszty z nas. Czulałam się przez to niepewnie. Myślałam, że żyjemy w systemie demokratycznym. Kto wybrał tych ludzi? Co dało im prawo decydowania o polityce zagranicznej w imieniu nas wszystkich?

Wiedziałam, że jeśli błędnie zinterpretują sytuację, jeśli wszystko sknocą, będziemy musieli ponieść konsekwencje, nawet jeśli nie mamy pojęcia, co robili za naszymi plecami! Czy podobnie było przed wojną? Na pewno nie. A może?

Zaczęły mnie gnębić wyrzuty sumienia w związku z tym, co robiłam dla Wyzwolenia. Nie było tego dużo, ale mimo wszystko... Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, choć z drugiej strony nie miałam pojęcia o skali tych działań albo raczej o tym, w jak wielkim stopniu są nieoficjalnie oficjalne.

A tego dnia z pewnością nie zaprzętałam sobie tym głowy. To nie był odpowiedni czas ani odpowiednie miejsce. Ja i Gavin zostaliśmy uratowani dzięki brawurowej akcji całej chmary ludzi, którzy zareagowali na wiadomość od Toddy'ego, że najwyraźniej wpadłam w tarapaty. To były czas i miejsce na wdzięczność, wdzięczność, wdzięczność. Dlatego byłam wdzięczna, i to bardzo. Nie zostało we mnie nic oprócz wdzięczności i rozdawałam ją z radością. Siła, energia, odwaga, wytrzymałość, determinacja... nie miałam już nic z tych

rzeczy. Zostałam wypatroszona. Potrafiłam tylko bez końca wszystkim dziękować.

Dziękować, a potem być pod wrażeniem tego, czego się dowiedziałam. Bronte. No jasne, Bronte. No jasne! Cichy człowiek czynu.

Stworzony do bycia Szkarłatnym Pryszczem. Podczas długiego „raportu” zdanego u mnie w domu zdążyła trzy razy wspomnieć o swoim ojcu. Za działalnością Wyzwolenia stały tęgie głowy. Doskonale pamiętałam jej ojca, prawnika, majora, oraz to, jaki mi się wydał spokojny, skuteczny i bezkompromisowy. Uświadomiłam sobie, że prawdopodobnie był ważną siłą napędową całej organizacji. I jeszcze coś: bez wahania wykraczał poza ustalone ramy, żeby znaleźć inne rozwiązania problemu. Dał mi to nawet na piśmie, kiedy zмагаłam się z panem Roddem i panem Sayle’em, z upiornym duetem, który chciał przejąć nade mną pieczę, a potem ukraść mi ziemię: „Zapomnij o drodze sądowej. Wiesz, jak skuteczne są akcje bezpośrednie. Udowodniłaś to wystarczająco wiele razy. Rusz głową i użyj wyobraźni, a znajdziesz lepsze rozwiązanie”.

Cholera, nawet nie wzięłam tego pod uwagę, kiedy próbowałam odgadnąć, kto jest Szkarłatnym Pryszczem. Nagle poraziło mnie coś jeszcze, następny element układanki trafił na swoje miejsce: sposób, w jaki major dostarczył mi ten liścik. Najpierw przysłał Bronte z oficjalną wersją, ze wszystkimi oficjalnymi poradami prawnymi, a potem kazał jej podrzucić niepodpisaną wiadomość, która też była od niego. Teraz zobaczyłam, że ta drobna transakcja doskonale go charakteryzuje.

Szanowny pan prawnik z wojska, pracujący od dziewiątej do piątej, ups, przepraszam, od 0900 do 1700, ale równocześnie prowadzący potajemną działalność, do której wykorzystuje własną córkę. Kiedyś Bronte nazwała go majorem Action Manem i tę wskazówkę też przeoczyłam. Bo zdecydowanie był człowiekiem czynu. I jeśli się nad tym zastanowić, jego córka też. Nie wiedziałam, jak duża część tego wszystkiego pochodzi od jej ojca, a jak duża z samej Bronte, ale teraz sobie przypomniałam, jak mówiła o boksie, a potem, kiedy narzekałam na pana Sayle’a, poradziła, żebyśmy wysadziła jego kancelarię w powietrze. Skąd w ogóle przyszło mi do głowy, że jest spokojna i łagodna? No tak, zgoda, to również jej cechy.

Ale wyłącznie dlatego, że była od nas o rok młodsza i mówiła cichym głosem, przypięłam jej łątkę Beth z *Małych kobietek*. Nie wyobrażam sobie, żeby Beth mogła zasugerować podłożenie bomby jako rozwiązanie problemu albo trenować po szkole boks.

- Szkarłatny Prysacz - powiedziałam po raz piąty, kręcąc głową i patrząc na Bronte, choć teraz robiłam to przede wszystkim po to, żeby rozdrażnić Jess i Homera.

- Tak, ostatnio kilka mi wyskoczyło - odparła, pokazując wypryski na lewym policzku.

- Bardzo śmieszne.

Przyszli Lee i Gavin, a ja wstałam, sięgnęłam po deskę do krojenia i zaczęłam szykować kolację. Gdyby życie było sprawiedliwe, mielibyśmy z Gavinem trzy miesiące na dojście do siebie po tym, przez co przeszliśmy. Ale życie nigdy nie było sprawiedliwe, nie jest sprawiedliwe i nigdy takie nie będzie. To pierwsze prawo Ellie. Dziewięćdziesiąt procent wściekłości na świecie bierze się stąd, że większość ludzi tego nie rozumie. Nie mam pojęcia, skąd im przyszło do głowy, że życie powinno być sprawiedliwe, ale to przekonanie na pewno nikomu nie wychodzi na dobre. Kiedy już wiesz, że sprawiedliwość nie jest wymagana, nie jest obowiązkowa, a na dodatek często nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, możesz spokojnie żyć dalej.

Gdyby życie było sprawiedliwe, nie doszłoby do inwazji na nasz kraj, Lee, Gavin i ja nadal mielibyśmy rodziców, Robyn, Corrie i Chris byłiby wśród żywych, a Wirrawee pokonałoby Risdon w ostatnim wielkim finale ligi netballu Wirrawee-Holloway, zamiast dać się okantować przez sędziego, którego pies przewodnik sam potrzebuje psa przewodnika.

No więc czekały mnie obowiązki domowe, a nie wakacje w jakimś tropikalnym kurorcie, gdzie mogłabym wracać do zdrowia po jednym z najpaskudniejszych dni mojego życia.

Na szczęście przez te wszystkie lata dość dobrze wyszkoliłam chłopaków, którzy teraz wykonywali różne pożyteczne czynności, takie jak siekanie cebuli, obieranie ziemniaków i łuskanie groszku, a Gavin nakrywał do stołu. Nadal był blady, chudy, a pod jego oczami widniały cienie, których nigdy wcześniej nie widziałam - i miałam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę. Najbardziej martwiłam się o to, że pewnego dnia te cienie zostaną tam na zawsze.

Mieszając sos, myślałam o czymś, co w tamtej chwili liczyło się dla mnie i dla Gavina najbardziej. O przyszłości.

Leżąc na schodach pod ciałem zabitego żołnierza, podjęłam pewną decyzję, ale nie wiedziałam, jak ją zakomunikować pozostałym - zwłaszcza Gavinowi - ani jak się zabrać do jej wykonania. Tymczasem członkowie Wyzwolenia ochraniali farmę dwadzieścia cztery godziny na dobę, a tacy ludzie jak Toddy informowali takich ludzi jak Bronte o sytuacji w Havelock. Jak na razie sytuacja wyglądała dobrze, a wieść głosiła, że straty zadane pewnej szajce oprychów, którzy porwali Gavina i trzymali mnie pod kluczem, okazały się w zasadzie nie do odrobienia.

Niewielu przeżyło nalot na dom, a ci, którym się udało, uciekli w popłochu. Wolałam jednak nie pytać towarzystwa ubezpieczeniowego, jak ocenia bezpieczeństwo na farmie w dłuższej perspektywie. Równie dobrze mogłabym pytać o ocenę bezpieczeństwa kurczaka na farmie krokodyli.

Na razie musieliśmy żyć dalej. Gdy tylko byłam w stanie wywlec swoje zmęczone ciało z domu, zrobiłam obchód gospodarstwa. Teraz każda jego część miała dla mnie szczególne znaczenie. Jasne, zawsze ceniłam farmę. Nigdy jej nie lekceważyłam. Ale nagle poczułam się tak, jakbym patrzyła na nią po raz pierwszy. Na wisterię odradzającą się po tym, jak olbrzymia gałąź przygwoździła ją do ziemi. Na zaschnięte krople farby na betonie przed warsztatem, gdzie trochę niezdarnie pomagałam tacie w malowaniu. Na dwie róże, które mama wyhodowała z sadzonek niedaleko szopy do strzyżenia owiec, gdzie krzewy wreszcie nabrały zdrowego wyglądu po latach przebywania na oddziale intensywnej terapii, choć większość z nas nie dawała im szans. Kiedyś, kiedy byłam pewna, że róże padną, zażartowałam, mówiąc mamie, że powinnyśmy zanieść kwiatom kwiaty. No wiecie, leżały w szpitalu, więc wypadało im zanieść kwiaty... A, nieważne. W każdym razie nie doceniłam tych róż.

Cokolwiek zasiała mama, w końcu rośło. Wystarczy spojrzeć na mnie.

Poszłam nad staw i znowu zwróciłam uwagę na dbałość, z jakim odtworzył go mój tata. Ustawił ogrodzenie, skrzynki lęgowe nad brzegiem, posadził drzewa, wyrównał buldożerem cały północny koniec, żeby stawek mógł być większy i bardziej gościnnie. Był ojcem godnym galerii sław. Zastanawiałam się, co by powiedział o tym, co zrobiłam, co robię i co zamierzałam zrobić.

Mijając wysypisko, zastanawiałam się, czy nie powinnam wyjąć stamtąd fotela. Może warto by było go naprawić. I stół z szopy do strzyżenia owiec. I te wszystkie sidła. I dużą klatkę dla ptaków. Jasne, była zniszczona, ale mogła się przydać, jeśli znowu znajdziemy jakiegoś rannego ptaka, zwłaszcza gdy będzie drapieżny. Nad wysypiskiem ciągle snułam takie myśli. To wielki minus posiadania własnego wysypiska śmieci. Zawsze można coś przynieść z powrotem. Kiedy coś zniknie z twojego życia na zawsze, kiedy już pocałujesz to na dobranoc i pewien rozdział w końcu zostanie zamknięty - no cóż, nadal wiesz, że tak naprawdę to coś leży tuż za pagórkiem i jeśli zmienisz zdanie, zawsze możesz to odzyskać. Gavin był w tym mistrzem. Ilekroć wyrzucałam coś, co do niego należało, w końcu zawsze maszerował na wysypisko i przynosił to z powrotem.

W tym miejscu tata zabił brązowego węża. I całe szczęście. Tym razem wąż przypelzł o wiele za blisko. Brązowe węże bywają bardzo agresywne i mają śmiertelnie trujący jad. Według Jeremy'ego figuruje on w pierwszej dziesiątce najbardziej trujących jądów na świecie.

Widywaliśmy mnóstwo węży, ale zabijaliśmy je, tylko jeśli za bardzo zbliżyły się do domu albo budynków gospodarczych. Mimo to straciliśmy przez nie kilka sztuk bydła i kilka owiec. Nie wspominając o psach - nie mogę sobie przypomnieć, jak się wabił ten pies pasterski, który skonał na moich oczach, nadymając się jak pompowana opona. To był straszny widok, a ja czułam się zupełnie bezradna.

Minęłam warsztat, pod którego dachem co roku gnieździły się jaskółki. Teraz miały tam już całe osiedle pełne gniazd, błota i odchodów.

Były bardziej oswojone niż na początku. Oczywiście nadal odfruwały, kiedy za blisko podchodziliśmy, niespodziewanie śmigaly koło ucha, ale dość dobrze znosiły naszą obecność. Nigdy nie mogłam się napatrzeć na ich pisklęta w gniazdach - małe puchate kuleczki, wciąż za małe, żeby fruwać.

Farma to prawdziwa skarbnica historii. Tak jak ludzie. W tym miejscu tata ustrzelił lisa, który nadal trzymał w pysku kaczkę. To się nazywa przyłapanie na gorącym uczynku! Przeszłam niedaleko szopy do strzyżenia owiec, tam gdzie trzymaliśmy jagniątka, kiedy jeszcze hodowaliśmy owce. Jako mała dziewczynka częstowałam je dosłownie wszystkim. Arbuzem, chlebem, ciastem, morelami prosto z drzewa, herbatnikami. Zjadały to ze smakiem

i chyba bardzo im służyło. Potem przecięłam Coopera, przypominając sobie o sianokosach. Cooper to trudne pastwisko, bo nie ma konkretnego kształtu, więc owce nie mogą obrać wyraźnego kursu. Trzeba zwołać apel, wystosować imienne zaproszenia i odprowadzić każdą z osobna. Przeprowadzenie jagniąt przez strumień też wymaga indywidualnego podejścia. Najlepiej po prostu przerzucać jedno po drugim, tyle że najpierw trzeba je złapać. Jagnię przebiega ci przed nosem, wystraszone bliskością psów, rzucasz się na nie i albo pudłujesz, fundując sobie kolejną ranę, siniaka i zadrapanie, albo - jeśli ci się poszczęści - chwytasz je za nogę, przyciągasz, przerzucasz na drugą stronę i zaczynasz się rozglądać za następnym.

Szłam przez pola. „Kroki farmera to najlepszy nawóz” - mawiał kiedyś tata, co oznacza mniej więcej tyle, że im więcej chodzisz po swojej ziemi, tym lepiej wszystko rośnie i prosperuje. Z zadowoleniem zobaczyłam, że ogólnie rzecz biorąc, jest całkiem dobrze. Bydło pana Younga wyglądało dość porządnie, a mojemu też niczego nie brakowało.

Postanowiłam, że później obejrzę je dokładniej i sprawdzę, czy nie było żadnych ofiar, kiedy siedziałam zamknięta na strychu w Havelock, ale już teraz widziałam, że moje pastwiska wyglądają na całkiem zadbane.

Poczułam dumę. Odziedziczyłam sporą spuściznę i byłam pewna, że duchy przodków patrzą mi przez ramię. To były przyjazne duchy, ale gdybym dopuściła się lenistwa albo zaniedbania, cholernie szybko dałyby mi o tym znać i wtedy raczej nie byłyby zbyt miłe.

Rozdział 19

- Jakim cudem trafiłaś do Wyzwolenia? - spytałam Szkarłatnego Pryszcza, kiedy siedzieliśmy na trawniku z widokiem na boisko i trzęsąc się z zimna, jadliśmy lunch.

Był jeden z tych niebieskoszarych dni, bardziej szarych niż niebieskich, a wiatr przenikał nam przez ubrania i w końcu czuliśmy się tak, jakbyśmy w ogóle ich na sobie nie miały. W zasadzie nie wiem, czemu nie zostałyśmy w szkole. Chyba chciałyśmy się odizolować od chłopaków. Że nie wspomnę o nauczycielach.

Bronte się roześmiała.

- Nie planowałam tego. Uświadomiłam sobie, że moi rodzice prowadzą jakąś konfidencjonalną działalność, przede wszystkim tata...

- Co to znaczy konfidencjonalna? - spytałam, denerwując się, że Bronte używa słowa, którego nie znam, zwłaszcza że była ode mnie o rok młodsza.

- Oj, no wiesz: tajna, potajemna, poufna. Więc naturalnie zaczęłam słuchać uważniej i zadawać pytania, węszyć. Myśl, że mój tata jest kimś w rodzaju szpiega, bardzo mnie fascynowała. Sporą częścią tych spraw rodzice zajmowali się w domu. Szli na spacer do pobliskiego parku i czasami pozwalali mi się przyłączyć. Dobrą cechą moich rodziców jest to, że zawsze mi ufali. Wiedzą, że niczego nie powtórzę. I przy okazji dowiedziałam się, jak to wszystko działa, zauważyłam, że ludzie z Wyzwolenia to w większości osoby niewiele starsze ode mnie. Myślę, że wojna zmieniła nam wszystkim metryki. No więc po jakimś czasie zaprzyjaźniłam się z niektórymi z nich i rozmawiali ze mną całkiem otwarcie, bo zakładali, że o wszystkim wiem. Potem zaczęli mnie prosić o drobne przysługi, na przykład o przekazanie komuś wiadomości, odebranie paczki, spotkanie się z kimś w kawiarni i zaopiekowanie się nim do chwili, aż zjawi się ktoś z Wyzwolenia. Pewnego razu... werble... zaczęły się poważne problemy. Rodzice wyjechali, a do domu zadzwonił Oliver, młody facet dowodzący jedną z naszych grup. Za wszelką cenę powinni unikać dzwonienia do domu, więc wiedziałam, że jest zdesperowany. Kazałam mu zadzwonić za dziesięć minut, a sama

pobiegłam do budki telefonicznej na rogu, zapisałam jej numer, a kiedy zadzwonił jeszcze raz, kazałam mu zadzwonić pod ten numer za pięć minut. Potem znowu pobiegłam do tej budki i odebrałam telefon, a kiedy wyjaśnił, co się stało, podsunęłam mu parę pomysłów. Przez całą noc wisiałam na telefonie, organizując mnóstwo ludzi i sprzętu, żeby mu pomóc. Rodzice byli poza zasięgiem. Kiedy wrócili do domu o pierwszej w nocy, dalej tkwiłam w budce telefonicznej na rogu, zużywając wszystkie monety, jakie udało mi się znaleźć, ale sytuacja była pod kontrolą. Tak się szczęśliwie złożyło, że część pomysłów, które podsunęłam Oliverowi, dała dość dobre rezultaty, więc nagle zostałam gwiazdą miesiąca. Oliver chciał, żebym była jego zastępczynią, a kiedy przeniósł się do Stratton, zaczęłam dowodzić jego dawną grupą. Wtedy było nas niewielu, ale szybko zaczęło nas przybywać. Mojego tatę trochę to niepokoi. Podejrzewam, że ustąpił Oliverowi i pozwolił mi na to wszystko, bo myślał, że będzie w stanie kontrolować sytuację, ale sprawy potoczyły się inaczej. Zostaliśmy jednym z największych oddziałów, a ponieważ wiele naszych misji zakończyło się sukcesem, ciągle zwracają się do nas o pomoc. Większość rozkazów nie przechodzi już nawet przez mojego tatę. To wszystko jest ekscytujące, ale jednocześnie mnie przeraża.

Wcale nie wyglądała na przerażoną. Uznałam, że żeby wystraszyć Bronte, potrzeba by erupcji wulkanu - i to nie dalej jak na jej podwórku.

- Twój tata prowadzi niebezpieczną grę, prawda? - spytałam.

W dalszym ciągu nękała mnie myśl o ludziach uczestniczących w potajemnej wojnie, która może mieć poważne konsekwencje dla nas wszystkich, mimo że wcale za nią nie głosowaliśmy i nie mieliśmy w tej sprawie nic do powiedzenia. Jak już wspomniałam, wcześniej nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ale nie sądzę, żeby Bronte miała podobne rozterki. Pewnie gdy chodzi o rodziców, człowiek wspiera ich bez zastanowienia, w każdym razie do pewnego stopnia. Chyba właśnie stąd się biorą te mafijne rodziny, które od sześciu pokoleń są na bakier z prawem.

- Mama też. - Bronte zmarszczyła brwi. - Prędzej czy później to wszystko się wyda, wybuchnie skandal i będą musieli przejść na wcześniejszą emeryturę. Ale tata jest na to przygotowany. Paru jego przyjaciół już tak skończyło. Mimo wszystko podoba mu się postawa premiera. Nigdy nikogo nie wyrzucać ani do niczego się nie przyznawać, nawet jeśli

dopuszcili się pobicia dziecka albo porwania samolotu, bo za rok o tej porze wybuchnie pożar lasu, jakaś staruszka wygra milion na loterii albo świnia urodzi dwugłowe prosię czy coś w tym rodzaju i wszystko pójdzie w zapomnienie.

- No tak, racja.

Trudno było się z tym nie zgodzić.

- Ale wiesz co, Ellie - powiedziała Bronte, świdrując mnie wzrokiem znad swojej kanapki z kurczakiem i awokado - chyba nie powinnaś wstępować do Wyzwolenia. Wręcz przeciwnie. Moim zdaniem powinnaś od tego wszystkiego odpocząć. W czasie wojny pilotom zezwala się tylko na określoną liczbę wypadów, a potem muszą odpocząć. Zdaje się, że robią dwadzieścia rundek, zanim poczują zapach urlopu. I nawet nie widują wroga, w każdym razie większość z nich. Ty działałaś na lądzie, z bliska, twarzą w twarz. Widziałaś za dużo krwi.

Potaknęłam. Do oczu napłynęły mi łzy. Ostatnio zbyt często mi się to zdarzało. Bronte poklepała mnie po plecach, a potem przytuliła i przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. W oddali rozległ się dzwonek, jak zwykle. Uścisnęła mnie, wstałyśmy, pozbierałyśmy swoje rzeczy i poszłyśmy: ja na angielski, ona na wuef.

Bronte była niesamowita, nie tylko ze względu na swoją siłę i mądrość, ale także dlatego, że rozumiała ludzi i potrafiła... bo ja wiem... zamierzałam napisać „współczuć”, ale czasami to słowo wydaje się jakieś słabe. Chyba lepiej zabrzmiałoby „współodczuwać”. Nie byłam pewna, czy jej ojciec też jest do tego zdolny. Może jej matka tak, ale ją widziałam tylko parę razy. Domyślałam się, że bez zdolności współodczuwania też można być naprawdę dobrym przywódcą, pod warunkiem że jest się świetnym strategiem, analitykiem i tak dalej, ale by znaleźć się w gronie tych najlepszych, trzeba chyba dodać do repertuaru współodczuwanie.

W ostatecznym rozrachunku to przecież tylko wyobraźnia.

Następnego dnia, prawie dokładnie w tym samym miejscu, przeprowadziłam kolejną rozmowę z przyjacielem, ale ta zakończyła się zupełnie inaczej. Chodziło o Jeremy'ego, a rozmowa różniła się od wszystkich, które dotąd prowadziliśmy. Już na samym początku, ignorując lunch, którego i tak nie miałam ochoty jeść, oznajmiłam:

- Bronte uważa, że przez jakiś czas powinnam odpocząć od przemocy.

- Co?

- No wiesz: zamiast wstępować do Wyzwolenia, mam sobie urządzać miłe pikniki. Coś w tym rodzaju.

- Aha! No tak, brzmi nieźle. Dobra rada. - Nie wydawał się zbytnio zainteresowany, ale dodał: - Bronte jest niesamowita.

Już wcześniej słyszałam, jak o niej mówi, tylko że wtedy nie wiedziałam, że ma na myśli właśnie Bronte. Wtedy był to po prostu Szkarłatny Pryszcz, którego zawsze uznawałam - w totalnie seksistowskim stylu - za chłopaka. Teraz trochę się zdenerwowałam, słysząc, ile uczucia Jeremy wkłada w te słowa.

- Ty też potrafisz być niesamowity - powiedziałam, przysuwając się, żeby go połaskotać i podrapać lewą ręką na poprawę humoru.

Miałam wyrzuty sumienia. Od dnia wielkiej ucieczki prawie się nie widywaliśmy. Ale chyba byłam trochę wkurzona, że kiedy wróciłam, jedno z pierwszych pytań, jakie mi zadał, dotyczyło pieniędzy, które dał mi przed wyjazdem. Przez chwilę zachowywał się jak jakiś księgowy.

Nawet Jess, która była z nami w kuchni, powiedziała: „Jezu, Jeremy, daj jej spokój, chyba ma teraz ważniejsze sprawy na głowie”.

Oczywiście nie mogłam mu oddać pieniędzy. Zniknęły podczas mojej pierwszej próby ucieczki, kiedy zostałam przyłapaną i pobita.

Zastanawiałam się, czy Jeremy każe mi wypełnić jakiś formularz podatkowy, wystawić pokwitowanie albo coś w tym rodzaju.

W każdym razie na trawniku obok boiska Jeremy nadal sprawiał wrażenie, jakby myślał o pieniądzach, a nie o mnie. Nagle wyprostował się i powiedział:

- Ellie, muszę ci coś powiedzieć.

Bardzo szybko cofnęłam rękę. Istnieją różne sposoby na wypowiedzenie takiego zdania, ale kiedy chłopak wypowiada je takim tonem, jakiego użył Jeremy, a w dodatku robi się cały czerwony i unika twojego spojrzenia, czujesz, że nie czeka cię rozmowa o tym, jaka jesteś fantastyczna. I jak bardzo się w tobie zakochał. O nie. Po raz pierwszy zaczęłam wątpić w nasz związek. Zmierzyłam Jeremy'ego surowym spojrzeniem, co było łatwe, bo, jak już wspomniałam, nie patrzył mi w oczy. Ale miałam wrażenie, że doskonale wie, co robię.

Myślałam, że powie, że się odkochał, ale to było coś bardziej skomplikowanego. Głosem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszałam, szybko i donośnie oznajmił:

- Mam dość tego, że ciągle szwendasz się z Homerem, że ciągle o nim mówisz, nie odrywasz od niego oczu i słuchasz go uważniej niż mnie. Musisz się zdecydować, Ellie. Podobno jesteś zakochana we mnie, ale każdy widzi, że jedyną ważną rzeczą w twoim życiu jest Homer, to znaczy jedynym ważnym facetem. Mam tego dość.

Poczułam się tak, jakby ktoś mnie ogłuszył workiem z piaskiem. To chyba trafne porównanie. Czułam się jak człowiek, któremu zrzucono na głowę wielki i ciężki worek z piaskiem. Nie tak dawno dostałam ostre lanie, a teraz Jeremy smagał mnie słowami i myślami. Przechyliłam się na bok, jakbym naprawdę dostała cios.

- Jeremy! - zawołałam zduszonym głosem.

- Przecież to prawda. Nie można zjeść ciastka i dalej go mieć.

Musisz się zdecydować, z kim chcesz być. Wiem, że przyjaźnicie się od dziecka i tak dalej, ale teraz pojawiłem się ja i sytuacja wygląda inaczej.

Powinna wyglądać inaczej! Musi wyglądać inaczej.

Gapiłam się na niego bez słowa. Zachowywał się jak zupełnie obcy człowiek. Wcześniej widziałam w nim kogoś spokojnego, inteligentnego, rozważnego i w zasadzie idealnego. Teraz ujrzałam zaborczego samoluba.

Jakbym włożyła nowe okulary. Nie wszystko wydawało mi się czarnobiałe - nie od razu się odkochałam i nie uznałam go za kompletnego palanta - ale zdałam sobie sprawę, że

kryje się w nim znacznie więcej, niż przypuszczałam.

- Jeremy, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie Kocham się w Homerze, ale nie zamierzam przestać się z nim przyjaźnić tylko dlatego, że tobie się to nie podoba. Bo niby czemu miałabym to zrobić?

- Musisz wybrać - upierał się. - Ja tak dłużej nie mogę.

- Jak? Przecież nic się nie zmieniło!

- Nic oprócz tego, że zaczęło do mnie docierać, że na twojej liście jestem numerem drugim, trzecim albo i czwartym. A chcę być numerem jeden. Chcę być jedyny. Proponuję ci coś naprawdę niezłego, Ellie, całkowitą miłość, a takie propozycje nie padają zbyt często.

Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem. Gapiłam się na niego, zachodząc w głowę, co go ugryzło. Jednego byłam pewna, nie miałam zamiaru powierzyć mu kontroli nad swoim życiem. Nie byłam żadną rzeczą, którą można kupić na letniej wyprzedaży, by potem nią rozporządzać wedle własnego widzimisię. Wręcz przeciwnie. Zakochał się w osobie, którą byłam, więc postąpiłby co najmniej głupio, zmieniając mnie w kogoś innego - a ja postąpiłabym głupio, próbując się zmienić w kogoś, z kim rzekomo chciał być.

A jeśli się co do mnie pomylił, jeśli za każdym razem, kiedy na mnie patrzył, widział kogoś innego, to kij mu w oko.

- Jeremy, za chwilę zadzwoni dzwonek i nie wiem, co ci odpowiedzieć, ale mój związek z Homerem nie jest czymś, co możesz kontrolować, a jeśli wydaje ci się, że tak, to nie rozumiesz ani mnie, ani związków. Teraz jestem za bardzo zdołowana, żeby o tym rozmawiać. Może lepiej zadzwoń do mnie wieczorem albo coś.

A potem sobie poszłam, czując się tak, jakby właśnie otwarto mi w głowie wstrząśniętą butelkę coli. Potrafiłam myśleć tylko o jednym:

„Mam nadzieję, że nie zadzwoni. Chyba nie będę dzisiaj w stanie znieść dalszego ciągu”.

Rozdział 20

Czy ja jestem piorunochronem? Czy przyciągam burze? Czy gwałtowne siły natury lawirują na niebie, szukając sposobu, żeby dostać się na ziemię, i na mój widok myślą: „O, super, jest Ellie, teraz nam się uda”?

Minęły dopiero dwa tygodnie, odkąd wróciliśmy z Havelock, posiniaczeni i bardziej poobijani niż kotlety schabowe. Stałam w kuchni, szykując sałatkę owocową, gdy w krótkofalówce odezwali się żołnierze obserwujący drogę - aktualnie mieliśmy zaszczyt korzystać z nieustannych patroli w całym okręgu - i powiedzieli, że jedzie do mnie jakaś pani z takiego czy innego urzędu.

Nie widziałam w tym nic dziwnego. Ciągłe zjawiali się u nas przedstawiciele różnych państwowych instytucji. Sprawdzali wodę, szukali upraw modyfikowanych genetycznie, sprawdzali drogę, sprawdzali zabezpieczenia przeciwpożarowe, emisje spalin w traktorach, sposób przechowywania substancji chemicznych, sprawdzali, czy trzymamy strzelby i śrutówki w sejfach zabezpieczonych przed dziećmi... Po wojnie długo panował chaos i właściwie mogliśmy robić, co nam się podobało - nie, w zasadzie to nieprawda, niektóre procesy, na przykład redystrybucja ziemi, odbyły się dość szybko, ale ogólnie żyliśmy w kraju bezprawia.

Czasem mi się to nawet podobało, bo gdy coś szło nie tak, mogliśmy powiedzieć: „Czemu rząd czegoś z tym nie zrobi? Jak to możliwe, że tym ludziom wszystko uchodzi na sucho?”.

Ale powoli w naszym świecie znowu zapanował porządek i wróciły dawne urzędowe procedury, tyle że teraz było gorzej, bo mieliśmy o wiele mniej ziemi i panował większy tłok, w związku z czym przybyło przepisów i wszyscy czuliśmy się tak, jakby urzędnicy nieustannie zaglądali nam przez ramię. Poddawano inspekcji każdy skrawek rzeczywistości, każdy szczegół.

Pewna część mojego życia została jednak zupełnie zlekceważona.

Rzadko się nad tym zastanawiałam i nie chciałam o tym myśleć, bo wiedziałam, że

sprawy potrafią się mocno skomplikować, jeśli zaczniesz wokół nich węszyć jakiś urząd. Dlatego mimo że nazwa „Wydział Odpowiedzialności Społecznej” niewiele mi mówiła, przygotowując sałatkę owocową, czułam dziwny ucisk w żołądku. Usłyszałam, jak przed domem zatrzymuje się samochód i przez chwilę nie miałam ochoty sprawdzać, kto to taki i czego chce. W końcu zmusiłam się jednak do odłożenia noża i podeszłam do drzwi.

Kobieta zaparkowała falconą obok mojego pikapa i kiedy otworzyłam kuchenne drzwi, właśnie się prostowała po krótkiej inspekcji kabiny mojego samochodu. Miała mniej więcej trzydzieści lat, choć jestem beznadziejna, jeśli chodzi o szacowanie czyjś wieku. Twarz tej kobiety przypominała - nie chcę być niegrzeczna, ale będę - pysk pewnego gatunku ryby, tylko że nie znam jego nazwy. Była okrągła, miała małe oczka i małe usta oraz uszy przylegające do głowy. A do tego gęstwinę jasnych loków. W ręku trzymała niebieską teczkę. Podeszła do domu, jakby była jego właścicielką i zamierzała przejąć nad nim kontrolę. Nie mówię tego wszystkiego z perspektywy czasu: dokładnie tak pomyślałam, patrząc, jak się zbliża. Od razu ją zniechęciłam.

- Ellie Linton, prawda? - spytała. Nie wyciągnęła ręki na powitanie.

- Nazywam się Madeleine Randall. Jestem z Wydziału Odpowiedzialności Społecznej. Zauważyłam, że kluczyk od tego samochodu tkwi w stacyjce?

- Eee, tak, chyba tak - wydukałam, zupełnie wytrącona z równowagi.

Już czułam się paskudnie, jak podczas rozmowy z Jeremym.

Zupełnie mnie zatkało, kiedy kobieta otworzyła teczkę i zaczęła coś zapisywać, jakby notowała fakt, że w stacyjce pikapa tkwi kluczyk. Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy może od razu ją pogonić.

Rozejrzała się i powiodła wzrokiem wzdłuż ściany domu. Dość spory kawałek dalej Marmie zrobiła kupę. Madeleine to zauważyła, zmarszczyła brwi i zatrzęsa lokami.

- Psie odchody? - spytała.

- Co panią sprowadza? - odpowiedziałam pytaniem. - I co to ma wspólnego z tym, czy pies zrobił kupę?

Trochę poczerwieniała i zmierzyła mnie chłodnym spojrzeniem.

- Z tego, co nam wiadomo, w tym domu przebywa dziecko, które nie znajduje się pod opieką swoich rodziców.

„O Boże - pomyślałam. - W końcu się połapali”.

To była jedyna obawa, o której wcześniej wolałam nie myśleć.

Czasami nie mogłam uwierzyć, że jeszcze nikt nie zainteresował się Gavinem, ale szybko o tym zapomniałam.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Trudno było się spierać o wypróżnienia Marmie. Podejrzewam, że kiedy znowu spojrzałam na tę kobietę, sama też byłam trochę czerwona.

- Zajrzyjmy do domu - powiedziała, ruszając w kierunku tylnych drzwi.

Miałam ochotę zapytać: „Kto dał pani prawo wchodzić do mojego domu bez zaproszenia?”, ale choć bez wahania stawałam przeciwko wrogim żołnierzom, angażowałam się w wymianę ognia i walczyłam w partyzantce, nigdy nie spotkałam nikogo równie mrozącego krew w żyłach jak ta kobieta. Dlatego nic nie powiedziałam i potulnie poszłam za nią.

Nagle ujrzałam wszystkie bolesne szczegóły naszej niezadowolającej sytuacji. Zupełnie jakbym na nie spojrzała jej oczami. A one bez wątpienia widziały wszystkie niedociągnięcia. Chodząc po kuchni, Madeleine komentowała je na głos i jednocześnie coś zapisywała - a podejrzewam, że o wielu notowanych sprawach nie wspomniała. Przeważnie w zasadzie mówiła do siebie.

- W mikrofalówce są plamy po jedzeniu... Deska do krojenia wygląda na starą i niehigieniczną...

Spojrzała w kąt spiżarni i wyszła stamtąd, mamrocząc coś o trutce na szczury, którą wsypałam do miseczki.

- Gavin nie jest taki głupi, żeby częstować się trutką na szczury - powiedziałam.

To samo tyczyło się Marmie, ale pomyślałam, że lepiej nie wspominać o wizytach Marmie w spiżarni.

Kobieta w ogóle tego nie skomentowała. Podeszła do lodówki i powiedziała:

- Zajrzyjmy do środka.

Mysłałam, że nie wytrzymam.

- Jak to? - spytałam. - Naprawdę ma pani prawo wchodzić do cudzych domów i zaglądać ludziom do lodówek?

- Jestem z jednostki do spraw opieki nad dziećmi - odparła. - Wolno nam wchodzić do wszelkich lokali, co do których mamy powody przypuszczać, że stwarzają dziecku niezadowalające warunki życia.

W środku płonęłam z wściekłości i starałam się nie otwierać ust, żeby ogień nie wydostał się na zewnątrz. Wiedziałam, że jeśli wybuchnę, zaszkodzę Gavinowi. I sobie. Nie chciałam go stracić. Czułam, że żadne z nas tego nie zniesie. Cieszyłam się, że Gavin spędza popołudnie u Homera, ale miał wrócić lada chwila, a gdyby wszedł do domu i zdał sobie sprawę, po co przyjechała ta pani... Wolałam nie myśleć, co mógłby zrobić i powiedzieć.

Z drugiej strony, nie wiedziałam, jak długo jeszcze wytrzymam z tą wiedźmą - i nie jestem pewna, czy nie przydałoby się tu mocniejsze określenie - zanim doszczętnie postradam zmysły. Ale możliwe, że między innymi na tym polegał sprawdzian: może chciała zobaczyć, czy jestem spokojną, kompetentną osobą. Mimo to bardzo mocno podejrzewałam, że tej kobiety zupełnie nie interesuje to, co robię. Byłam niepełnoletnia, sama miałam opiekunów prawnych, więc za nic w świecie nie można mi było oficjalnie powierzyć opieki nad dzieckiem. Mogłam być Matką Teresą, Joanną d'Arc albo i samą Najświętszą Marią Panną, a Wydział Odpowiedzialności Społecznej i tak zasypałby mnie kilogramami papierów, a potem zostawił nieprzytomną i zabrał Gavina do rodziny zastępczej, domu dziecka albo czegoś w

tym rodzaju.

Mimo wszystko zachowywałam się najgrzeczniej, jak potrafię, kiedy ta pani studiowała zawartość lodówki, obwąchiwała kurczaka i wysuwała szuflady na warzywa. Potem przyszło najgorsze:

- A teraz chciałabym zobaczyć jego pokój.

- No, wie pani, jest tam lekki bałagan - wydukałam nerwowo z nadzieją, że usłyszę: „Aha, dobrze, w takim razie nie dzisiaj, wrócę kiedy indziej, jak znajdziesz chwilkę, żeby tam posprzątać”.

Marzenia. Urzędniczka stała i świdrowała mnie wzrokiem, czekając, aż pęknę. Pękłam i poprowadziłam ją korytarzem, przeklinając siebie i Gavina za to, że rano nie mieliśmy czasu na zaścielenie łóżek i posprzątanie. Przeważnie pokój Gavina był w całkiem dobrym stanie.

Niestety, nie tym razem. Narzuta leżała na podłodze, a wokół niej walało się z piętnaście różnych części garderoby oraz klocki Lego, połowa puzzli (druga połowa była w salonie), łańcuch rowerowy, sterta wybielonych kości, z których Gavin układał szkielet jakiegoś stworzenia wedle własnego pomysłu, i pudełko po brutalnym filmie DVD dozwolonym od piętnastego roku życia i zatytułowanym *Gospoda trzynastu zwłok* czy jakoś tak.

Z radością zauważyłam leżącą obok łóżka książkę, otwartą i odłożoną okładką do góry, jakby Gavin rzeczywiście ją czytał. Nieczęsto mu się to zdarza. Lubiłam tę książkę. Opowiadała o krowie i chyba mogła go zainteresować, mimo że była dość stara. Podniosłam ją i powiedziałam do pani Madeleine Randall:

- Zawsze go zachęcam do czytania, żeby lepiej szło mu w szkole.

Wiem, kiepsko to zabrzmiało.

Dokładnie w tej samej chwili zauważyłam Marmie na środku gruzowiska, które miało przypominać łóżko Gavina. Uwiła tam sobie przytulne gniazdko z pościeli i poduszki i patrząc na mnie z poczuciem winy, próbowała być niewidzialna. Wiedziała, że nie pozwalałam

jej tu wchodzić, ale z drugiej strony Gavin korzystał z każdej okazji, żeby ją do siebie przemycić.

- Mam nadzieję, że pies nie śpi w łóżku - powiedziała Madeleine, co było jednym z najgłupszych zdań, jakie słyszałam w życiu, jeśli wziąć pod uwagę, że obie patrzyłyśmy na rozwaloną na łóżku Marmie.

Miałam ochotę powiedzieć: „Och, nie, to tylko hologram”, albo:

„Myśli pani, że to pies?”, albo: „W łóżku? Tak to państwo nazywają w Wydziale?”.

Ale znowu zdołałam ugryźć się w język i zamiast tego wypowiedziałam zdanie równie głupie jak ona:

- Nie, nie, nie mam pojęcia, co ona tu robi. Marmie! MARMIE!

Wynoś się stąd, ale już!

Wygoniłam Marmie z domu i wróciłam do pokoju Gavina. W tym krótkim czasie Madeleine zdążyła zrobić co najmniej jedną stronę notatek.

Poczułam ucisk w gardle. Nie wiedziałam, co jeszcze mnie czeka.

Przynajmniej nie chciała oglądać mojego pokoju. Zastanawiałam się, czy jej nieuprzejmość ma jakieś granice, bo chyba właśnie dotarliśmy do najdalszych rubieży. Okazało się jednak, że są jeszcze inne obszary do zbadania: na początek łazienka. Jeśli pokój Gavina przypominał obszar klęski żywiołowej, to nasza łazienka mogła się kojarzyć z łazienkami na Titanicu, po tym jak już spoczęły na dnie oceanu i przeleżały tam ze sto lat.

Nawet nie zadałam sobie trudu, żeby cokolwiek powiedzieć. Nie było sensu. A zostało mi wystarczająco dużo godności, by wiedzieć, że cokolwiek powiem, zabrzmiałoby żałośnie.

Kiedy wycieczka koszmarnym korytarzem dobiegła końca, marzyłam tylko o tym, żeby zobaczyć, jak samochód tej kobiety oddala się od mojego domu, i móc przeanalizować to, co się stało - co się działo. Ale to jeszcze nie był koniec. Gdy wróciłyśmy do kuchni, miała czelność spytać:

- Czy mogę liczyć na kubek kawy?

Zatkało mnie. Przez chwilę gapiłam się na nią bez słowa, ale rozsądek znowu wziął górę i pomyślałam, że może jeśli poczęstuję ją kawą, potraktuje nas łagodniej. Albo, inaczej mówiąc, że jeśli odmówię poczęstowania jej kawą, prawdopodobnie nie przyjmie tego najlepiej.

Dlatego rozdziawiłam usta, zaczęłam się jąkać i krztusić, ale zaparzyłam jej kawy. Potem, kiedy już odsapnęła, oczywiście poruszyła temat porwania.

Siedziałam tam blada i próbowałam coś wymyślić. Po powrocie mocno mydliliśmy oczy policji, korzystając ze scenariusza podsuniętego przez Bronte, który prawdopodobnie pochodził od jednego z jej rodziców.

Ogólnie rzecz biorąc, powiedzieliśmy, że Gavin uciekł porywaczom i został znaleziony przez jakiegoś faceta, a ten odwiózł go do granicy i pomógł się przedostać na drugą stronę. Gavin wiedział, że musi siedzieć cicho, bo ja i członkowie Wyzwolenia złamaliśmy z dziesięć tysięcy przepisów. Na szczęście miał osobowość, która czyniła go mistrzem lekceważenia wszystkich, których chciał lekceważyć. W tym wypadku jego głuchota była zaletą. Jeśli chciał, mógł mówić całkiem dobrze, ale jeśli nie chciał, wydawał z siebie całe mnóstwo nieartykułowanych dźwięków. Rozmawiając z policją - trzy razy - w zasadzie tylko pomrukiwał, rzucał jakieś nieskładne uwagi i wydawał się skołowany.

Henry, gliniarz prowadzący dochodzenie, odwiedził nas dwukrotnie.

Niewiele mówił, ale jego obecność zawsze mnie stresowała. Przyglądał mi się, marszcząc brwi, jakby o wszystkim wiedział, i miałam wrażenie, że faktycznie bardzo dużo wie, a nawet jeśli nie, to się domyśla. Mnóstwo ludzi wspominało mi o dwóch mężczyznach zabitych przez byka Cola McCanna, ale nikt niczego nie podejrzewał i nikt im nie współczuł. Henry też o nich mówił, lecz nie miałam pojęcia, co o tym myśli.

Podczas ostatniego przesłuchania powiedział do mnie:

- Ludzie, którzy traktują nas jak głupków, prędzej czy później tego żałują.

Zrobiłam się czerwona jak burak, ale nic nie odpowiedziałam. Bo co mogłam powiedzieć? Miałam świadomość, że nie jesteśmy w porządku wobec niego i całej policji, ale nie mogłam przyznać, że zaangażowałam się w prywatne wojny po obu stronach granicy. Całe szczęście, że nie miałam żadnych widocznych obrażeń.

Teraz zaczęłam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie on nakablował na nas w Wydziale. Założę się, że tak.

Nie sądzę, by pani Randall przeszło przez myśl, że zaledwie kilka tygodni wcześniej gramoliłam się spod czyichś zwłok na schodach, próbując ocalić Gavina, ale oczywiście wiedziała, że został porwany. Na ten temat też miałam niewiele do powiedzenia. Nie mogłam zaprzeczyć, że padł ofiarą poważnego przestępstwa. Według niej świadczyło to o tym, że Gavin nie jest bezpieczny u mnie w domu, że niewłaściwie się nim opiekuję. Tak, cała ta sprawa rzeczywiście brzmiała nieciekawie.

Najwyraźniej pani Randall uważała, że zaniedbałam Gavina, bo nie zapewniłam mu opieki psychologa ani niczego w tym rodzaju, ale Gavin za nic w świecie nie chciałby z nim rozmawiać, a szczerze mówiąc, po tym, co przeszedł wcześniej, co obydwójce wcześniej przeszliśmy, raczej nie potrzebował psychologa. Ze mną było podobnie. Znaleźliśmy własne sposoby rozwiązywania problemów i radziliśmy sobie sami - pewnie tak, jak radzili sobie ludzie przez tysiące lat. Oprócz tych, którzy się załamują.

Mam dla nich wiele współczucia. Ale tak się składa, że ja i Gavin reagujemy inaczej. On po prostu cieszył się z powrotu do domu. Trzymał się jeszcze bliżej mnie niż kiedyś, zwłaszcza w nocy, ale naprawdę był w dobrej formie.

Chyba tylko my dwoje i nasi najbliżsi przyjaciele mogliśmy zrozumieć mechanizm działania naszego związku i to, że idealnie do siebie pasowaliśmy. Gavin potrzebował mnie, ja potrzebowałam Gavina i dogadywaliśmy się w jakiś dziwny sposób, który stworzyliśmy sami i który działał, mimo że - jestem tego pewna - łamał wszelkie zasady.

Byłam przekonana, że w podręczniku Wydziału Odpowiedzialności Społecznej nie było podobnego przypadku. Pozostawała mi nadzieja, że napiszą nowy rozdział.

- To zupełnie nieodpowiednie środowisko dla tego chłopca - powiedziała urzędniczka.
- Nie może mieszkać w domu, gdzie zamordowano twoich rodziców i z którego go porwano.

- Wiem - przyznałam. Wzięłam głęboki oddech i wyznałam jej to, co postanowiłam na tamtych schodach w Havelock. Dowiedziała się o tym jako pierwsza. Ale skoro czekała mnie walka o Gavina, musiałam oddać pierwszy strzał. - Postanowiłam sprzedać gospodarstwo. Za uzyskane pieniądze kupię w mieście dom, w którym Gavin będzie bezpieczny.

Rozdział 21

Madeleine Randall nigdy by nie zgadła, ile mnie kosztowały te słowa. Bo niby czemu miałoby ją to interesować? Po powrocie z Havelock, tamtego dnia, kiedy przespacerowałam się po gospodarstwie, docierając aż do jego granic, tamtego dnia, kiedy stałam, patrząc na wisterię, róże, staw, wysypisko i jaskółki, tamtego dnia, kiedy przypominałam sobie brązowego węża, ukąszonego psa, jagnięta i sianokosy na Cooperze - no cóż, tamtego dnia wspominałam to wszystko z pewnego powodu. Chciałam napchać głowę wspomnieniami, żeby móc je zachować na zawsze. W zasadzie wątpiłam, żeby to podziało - przynajmniej tak mi podpowiadała logiczna część mojego mózgu - podobnie jak nie miałyby sensu zjedzenie trzech kilogramów kielbasy tylko dlatego, że za tydzień będziesz głodował. Wspomnienia albo już były, albo nie, a przedawkowanie ich teraz niewiele by zmieniło.

Ale nie chodziło tylko o wspomnienia. Chciałam też uzyskać pozwolenie rodziców, dziadków i pradziadków na sprzedaż gospodarstwa.

Najpierw musiałam sobie zapewnić coś w rodzaju spokoju sumienia. Ta farma była dziełem mojej rodziny i każdy kołek w ogrodzeniu, każde posadzone drzewo, każdy metr rynny na każdej szopie zawdzięczał swoje istnienie któremuś z członków mojej rodziny i godzinom, dniom albo tygodniom jego pracy. Myśleli o tym, wychodzili z domu, żeby to zrobić, pracowali w gorącym słońcu albo na zimnym wietrze, wracali na lunch, a potem znowu wychodzili, żeby pracować dalej... Skupiali się na gospodarstwie, poświęcali mu swoje umiejętności, energię i wyobraźnię...

A teraz ja miałam to wszystko przekreślić.

Rodzina ma dla nas ogromne znaczenie. Czasami zbyt ogromne.

Daje nam korzenie i skrzydła. Niektóre rodziny dają zbyt płytkie korzenie, a inne podcinają skrzydła. Moja rodzina dała mi korzenie sięgające tak głęboko, że nie byłam pewna, czy kiedykolwiek zdołam je wyrwać.

W pewnym sensie to chyba oznacza, że nie dostałam skrzydeł. Zawsze wydawało nam się oczywiste, że pewnego dnia zostanę właścicielką farmy. Gdyby rodzice żyli i w pewnym momencie usłyszeli ode mnie, że nie chcę się zajmować rolnictwem, nie mieliby absolutnie

nic przeciwko temu - oczywiście pod warunkiem że znalazłabym inny dobry pomysł na życie. Wylegiwanie się w hamaku na Fidzi raczej by ich nie zachwyciło.

Ale gdybym powiedziała, że chcę zostać lekarzem, stolarzem, programistką komputerową albo otworzyć własną firmę, zgodziliby się bez problemu, zwłaszcza mama. Tata też, tylko że on po cichu trochę by rozpaczał, może nawet uroniłby łzę za zagrodą dla bydła. Ale nigdy by mi o tym nie wspomniał.

Zastanawiałam się teraz, co by było, gdyby nadal prowadzili farmę, a ja skończyłabym dwadzieścia, dwadzieścia pięć albo ileś tam lat i prysnęłabym ze wsi. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale pewnie zostaliby tu tak długo, że w końcu dreptaliby z balkonikami, a potem sprzedaliby farmę i przenieśli się do Wirrawee. Na tym polega problem, kiedy wychowuje się tylko jedno dziecko. Za dużo się w nie inwestuje, a jeśli nie spełni oczekiwań, rodzice mają przechlapane.

No więc wyszło na to, że moje życie znalazło się pod kontrolą umarłych. To brutalne słowa, ale musiałam je sobie powtarzać, by przekonać samą siebie, że postępuję w porządku. „Tradycja to rządy umarłych” - powiedział mi Jeremy kilka miesięcy temu, kiedy rozmawialiśmy o decyzji o wyburzeniu hali sportowej i biblioteki liceum w Wirrawee. Przypuszczam, że nie wymyślił tego sam, ale jego słowa zapadły mi w pamięć.

Choć przekazanie kontroli nad swoim życiem zmarłym ludziom nie miało sensu, chciałam uszanować ich, ich pracę, energię oraz to, że dzięki nim mogłam wieść takie życie, jakie wiodłam. Gdyby nie oni, mieszkałabym w jakimś domku na przedmieściach i po obu stronach miałabym widok na ścianę domu sąsiadów. Za oknem mojego pokoju byłoby widać cegły i jeszcze więcej cegieł, a nie olbrzymi eukaliptus i bujną rabatę w ogrodzie porośniętą stokrotkami, różami, malwami i wiesiołkami. Nie pogardzałam mieszkańcami przedmieść, bo wkrótce miałam do nich dołączyć, ale cieszyłam się, że przez tyle lat mogłam doświadczać przestrzeni, wolności i świeżego powietrza tylko dlatego, że kilka osób, których nawet nie znałam, i kilka innych, które znałam bardzo dobrze, urabiało sobie ręce po łokcie, żeby mi to umożliwić.

Wiedziałam, że jedną z najtrudniejszych rzeczy będzie powiedzenie o tym przyjaciołom i sąsiadom oraz stawienie czoła wszystkim komentarzom i radom. Ale najbardziej obawiałam się rozmowy z Gavinem.

Homer odprowadził go do domu około wpół do piątej.

Zastanawiałam się, czy powinnam cokolwiek mówić o pani Madeleine Randall i uznałam, że owszem. Prędzej czy później i tak by się o tym dowiedział, a ja nigdy nie byłam wielką fanką sekretów. Jasne, w czasie wojny i po niej musiałam dochowywać wielu sekretów, ale jeśli miałam wybór, zawsze głosowałam za szczerością. A gdy Gavin wszedł do kuchni i tuż za nim zjawił się Homer, pomyślałam, że to dobra okazja, żeby zasięgnąć opinii Homera.

Zaczęłam opowiadać. Kiedy dotarłam do fragmentu o Marmie na łóżku, Homer posiniał ze złości. Chyba nigdy nie widziałam, żeby był aż tak wściekły, a to mówi samo za siebie. Wierzcie mi. Cieszyłam się, że Madeleine nie ma już w moim domu. Za to Gavin - no cóż, Gavin mnie zaskoczył. Oczywiście nie po raz pierwszy. Ale patrząc na nich, przez chwilę naprawdę się zastanawiałam, kto jest starszy. Homer zrzucił wszystko ze stołu, łącznie z telefonem, i zaczął wściekle krążyć po kuchni, przysięgając, że rozwali granatem każdego, kto spróbuje zabrać Gavina.

Naprawdę wpadł w furję. Ale w końcu klapnął na stary fotel, który przywlekłam dla Marmie, i powiedział:

- No dobra, Ellie, pora na kolejny błyskotliwy pomysł.

Ograniczyłam się do wzruszenia ramionami, więc Homer podsunął mi własny błyskotliwy pomysł.

- Wróćmy do Pieła. Możemy się tam ukrywać latami, tak jak pustelnik. Nigdy nas nie znajdą.

Uznałam, że to żart, choć muszę przyznać, że pewne elementy tego pomysłu do mnie przemawiały.

Gavin przez cały czas stał, obserwował Homera i marszczył brwi, a teraz powiedział:

- Nie. Musimy im powiedzieć, że Ellie dobrze się mną opiekuje.

Pójdę tam i powiem, jaka jest wspaniała.

Łzy napłynęły mi do oczu. Gavin bardzo rzadko okazywał czułość - za to wyklócał się ze mną o mnóstwo spraw oraz narzekał z goryczą, że jestem niesprawiedliwa, okropna i okrutna. Wiedziałam, że w głębi serca kocha mnie równie mocno jak ja jego, ale miło było od czasu do czasu to od niego usłyszeć.

- Podejrzewam, że najlepiej będzie poszukać adwokata - powiedział Homer, uspokajając się trochę w obliczu wzorcowego spokoju Gavina w stresującej sytuacji.

- Chyba tak. Boże, po ostatnim razie mam dość prawników.

Bitwa o wyznaczenie moich opiekunów prawnych była paskudnym doświadczeniem. Jak już wspomniałam, jeden z miejscowych adwokatów, pan Sayle, próbował zdobyć prawo do rozporządzania moimi pieniędzmi, przede wszystkim po to, żeby jak najbardziej mnie oskubać. Wygrałam tę sprawę i w końcu rodzice Homera zgodzili się zostać moimi opiekunami prawnymi, ale nie mogłam ich prosić, żeby wzięli pod opiekę także Gavina. Szczerze mówiąc, nie należeli do jego największych wielbicieli.

Byli bardzo surowi i staromodni, a już i tak mieli dwóch niesfornych synów. Znosili Gavina ze względu na mnie, ale narzekali, ilekroć wpadał do nich z wizytą. Pomysł, żeby Gavin się do nich wprowadził - nie wspominając o mnie - raczej nie był najlepszy.

Powiedziałam Homerowi i Gavinowi, że według pani Randall mieszkanie w moim gospodarstwie jest dla nas zbyt niebezpieczne. Nie wspomniałam natomiast o swoim postanowieniu. Jednak umysł Homera pracował i w końcu usłyszałam pytanie:

- Co zamierzasz zrobić, żeby było bezpieczniej?

Spojrzał na mnie i od razu poczułam, że od jakiegoś czasu myślał o tym samym co ja - a mówiąc konkretniej, o przeprowadzeniu ze mną tej rozmowy. Pewnie się zastanawiał, jak mi powiedzieć, że taki układ już nie działa.

Dlatego postanowiłam nie trzymać go dłużej w niepewności, wzięłam głęboki oddech i powiedziałam:

- Sprzedaję gospodarstwo. Podjęłam decyzję jeszcze przed wizytą tej urzędniczki. Za uzyskane pieniądze kupię w mieście dom, w którym będziemy mogli zamieszkać.

Homer przestał oddychać i tylko się we mnie wpatrywał. Gavin spuścił głowę. Usiłowałam zachować zimną krew. Wiedziałam, że przez najbliższe parę miesięcy muszę być naprawdę silna. W końcu Homer pokiwał głową i podsumował:

- Koniec epoki.

Przez resztę dnia Gavin nie odezwał się słowem. I nie podniósł głowy. Po krótkiej kolacji Homer poszedł do domu, a my położyliśmy się spać. Później, leżąc w swoim pokoju, usłyszałam płacz Gavina - płakał tak, jakby pękło mu serce. Ale do niego nie poszłam. Nie dałam rady. Mój bank emocji już od jakiegoś czasu był pusty. Potrzebowałam nowych depozytów, ale nie wiedziałam, skąd je wezmę w najbliższej i w dalszej przyszłości.

Rozdział 22

Wydział Odpowiedzialności Społecznej

L/21376 PODEJRZENIE ZANIEDBANIA OSOBY NIEPEŁNOLETNIEJ

ZALECENIE SKIEROWANIA DO RODZINY ZASTĘPCZEJ

Obiektem postępowania jest chłopiec rasy kaukaskiej (dane osobowe i opinia lekarska w załączniku 1). Należy zwrócić uwagę, że cierpi on na poważne upośledzenie słuchu i choć obecnie jest zdrowy, ma liczne blizny i ślady świadczące zarówno o dawnych, jak i o świeższych obrażeniach. Pochodzenie wielu z nich pozostaje niewyjaśnione.

Od zakończenia wojny Gavin mieszka w gospodarstwie zajmującym się hodowlą owiec i bydła niedaleko Wirrawee. Początkowo znajdował się pod opieką państwa Lintonów, których córka Ellie poznała Gavina w czasie wojny, gdy obydwójce „żyli dziko” na ulicach Stratton. Po wojnie Lintonowie najwyraźniej zgodzili się zostać przybranymi rodzicami chłopca, nie zawiadamiając o tym Wydziału.

Atak terrorystyczny na gospodarstwo doprowadził do śmierci państwa Lintonów i choć sprawcy tego czynu nie zostali wykryci (zob. raport policji, załącznik 2), możliwe, że wspomniany atak był reakcją na działalność Ellie Linton w czasie wojny, opisaną w kilku książkach, które zostały wydane i zyskały pewien rozgłos.

Po śmierci państwa Linton i mieszkającej z nimi kobiety dzieci przebywały w gospodarstwie same, a Ellie Linton musiała stanąć przed sądem rodzinnym, który powierzył ją opiece sąsiadów, państwa Yannosów (zob. decyzja sądu, załącznik 3). Wydaje się jednak co najmniej prawdopodobne, że decyzja ta nie została właściwie wykonana, a związek między Ellie Linton i jej opiekunami prawnymi został ustalony wyłącznie dla wygody. Wyniki mojego dochodzenia wskazują na to, że w rzeczywistości dwoje niepełnoletnich mieszka bez jakiegokolwiek nadzoru i ma minimalny kontakt z osobami dorosłymi.

Ustalono, że Gavin nie ma rodziców. Jego ojciec zginął przed wojną w wypadku przy pracy. Ojczym chłopca rzekomo zamordował jego matkę w pierwszych dniach inwazji. Mężczyźnie nie postawiono w związku z tym zarzutów, lecz został skazany za napaść na dwoje niepełnoletnich, Ellie i Gavina, i obecnie odsiadyuje wyrok więzienia. Będzie mógł się ubiegać o zwolnienie warunkowe za nieco ponad siedem lat (zob. załącznik 4).

Oprócz ataku ze strony ojczyma, który zadał obojgu dzieciom dość poważne rany klute, Gavin niedawno padł ofiarą porwania przeprowadzonego prawdopodobnie przez organizację terrorystyczną. Nie było go ponad trzy tygodnie, w czasie których podejmowano energiczne starania o jego uwolnienie, ale wszystko wskazuje na to, że wrócił do domu sam dzięki pomocy nieznanym osobom. Cała ta sprawa budzi poważne wątpliwości, związane między innymi z udziałem Ellie Linton w nielegalnej działalności paramilitarnej za granicą (zob. notatka inspektora Henry'ego Bucklanda, załącznik 5). Bez względu na to, czy tak jest w istocie, już samo porwanie wskazuje, że Gavin przebywa w niebezpiecznym środowisku, gdzie nie można mu zagwarantować bezpieczeństwa.

Mamy dostęp do kilku informacji na temat życia, jakie prowadził Gavin w czasie wojny, ale wszystko wskazuje na to, że nie był więziony.

Wiódł życie bezdomnego dziecka na obszarze Stratton, co - jak można przypuszczać - naraziło go na bardzo szkodliwe oddziaływania, które mogły niekorzystnie wpłynąć na jego psychikę. Zespół stresu pourazowego to jedna ze spraw, które wymagają dalszego dochodzenia i z dużą dozą prawdopodobieństwa występuje u dziecka z takim bagażem doświadczeń.

Oględziny aktualnych warunków życia Gavina wskazały na następujące niedociągnięcia: psie odchody w pobliżu domu niewłaściwa odległość psa od posłania dziecka niezaścielone łóżka i ogólny bałagan w pokojach wspólna łazienka dla dwojga dzieci (sedes wyglądał na czysty, ale wanna i prysznic były zaniedbane; w pojemniku na mydło pod prysznicem brakowało mydła) podłoga w kuchni była czysta, ale za lodówką zaobserwowano odchody gryzoni mikrofalówka była czysta, ale produkty spożywcze w lodówce przechowywano w niewłaściwy sposób

(surowe produkty mięsne umieszczono nad warzywami) w lodówce zaobserwowano więcej napojów gazowanych niż mleka nie zaobserwowano owoców, ale w spiżarni oraz w lodówce były warzywa na stole stała otwarta puszką miło, wokół której leżały drobinki miło i

krople mleka w pralce zaobserwowano mokre pranie, które mogło tam leżeć od jakiegoś czasu w pokoju Gavina znajdował się film DVD przeznaczony dla widzów od piętnastego roku życia z jednego z piecyków zdjęto osłonę i położono ją obok na dywanie, stwarzając zagrożenie w wypadku włączenia piecyka Na zewnątrz: pojazdy silnikowe, zarówno motocykle, jak i samochody, stały zaparkowane w warsztacie i na podwórku z kluczykami w stacyjkach obok motocykla stał kanister z benzyną, co narusza przepisy bezpieczeństwa z zakresu przechowywania substancji chemicznych weranda była niezamieciona pękniętą szybę w oknie jadalni sklejoną taśmą, przez co stwarzała zagrożenie w otworach wentylacyjnych zaobserwowano kolejne dowody świadczące o aktywności gryzoni

Ellie uczęszcza do liceum w Wirrawee, a Gavin do tamtejszej szkoły podstawowej. W załączniku znajdują się kserokopie list obecności obojga dzieci oraz oświadczenia dyrektorów i - w wypadku Gavina - wychowawczynie, pani Eleanor Rosedale (załącznik 6). Jak można zauważyć, frekwencja obojga dzieci w szkole jest nieregularna i niezadowolająca. Ponadto zachowanie Gavina na lekcjach jest nieodpowiedzialne i czasami prowadzi do zakłócenia lekcji, za co uczeń jest zatrzymywany po lekcjach. Jego nauczycielka zaznacza, że sprawowanie Gavina, choć w ciągu ostatnich miesięcy zdawało się ulegać poprawie, obecnie znowu się pogorszyło i że Gavinowi zdarza się bić inne dzieci. Jest impulsywny i agresywny oraz najwyraźniej posiada znikomą umiejętność panowania nad swoimi emocjami. Choć zalecono mu farmakoterapię, nikt nie podjął próby zbadania dziecka. Wydaje się oczywiste, że Ellie Linton brakuje dojrzałości, by szukać wsparcia w tym zakresie.

Na skali IQ Stanforda-Bineta Gavin uzyskał 111 punktów. Na skali Neale jego umiejętność czytania odpowiada normie dla dziecka w wieku 9,2 lat. Ponadto w szkole ma on problemy na wszystkich przedmiotach oprócz plastyki i wuefu. Nie zapewniono mu żadnej pomocy na lekcjach w związku z upośledzeniem słuchu, choć przed wojną prawdopodobnie z takiej korzystał. Z nieznanых powodów odmawia jednak ujawnienia nazwy swojej dawnej szkoły, a brakuje środków, które umożliwiłyby nam dotarcie do stosownych akt.

Dzieci były przesłuchiwane osobno i zarówno jedno, jak i drugie wykazało brak woli współpracy. Jak na dziewczynę w jej wieku, Ellie Linton wydaje się mieć zbyt wysokie mniemanie o sobie. Chwilami zachowywała się dość niegrzecznie i agresywnie. Najwyraźniej uważa, że nie musi się przed nikim tłumaczyć. Udzielała wymijających i wprowadzających w błąd odpowiedzi, na przykład w odniesieniu do frekwencji w szkole. Co się tyczy jej postawy,

rozsądne wydaje się przypuszczenie, że pod tym względem nie byłaby dobrym wzorcem dla Gavina. Jej postawa wobec szkoły wydawała się lekceważąca („Z tego, co zauważyłam, Gavin więcej uczy się w domu niż w szkole”) i może zostać uznana za szkodliwą dla zaangażowania Gavina w proces kształcenia.

Gavin nie odpowiedział prawie na żadne pytanie. Bez przerwy pytał, czy może już iść, czym zapewne chciał nas urazić i co wydaje się zgodne z opiniami dostarczonymi przez jego nauczycieli. Niechęć dzieci wobec pomysłu ewentualnego „zabrania” Gavina graniczyła z paranoją.

ZALECENIE

Ustawa o opiece społecznej z 2007 roku ustanawia odpowiedzialność Wydziału za „opiekę, dobrostan, bezpieczeństwo i ochronę osób niepełnoletnich ze szczególnym uwzględnieniem tych, które przebywają w warunkach budzących uzasadnione obawy o ich zdrowie fizyczne, psychiczne lub społeczne, są zagrożone przemocą lub nie otrzymują właściwej opieki”. W takich sytuacjach ustawa nakłada na nas obowiązek podjęcia „szybkiego i pilnego działania w interesie dziecka” i daje nam prawo do wkroczenia tam, gdzie istnieją uzasadnione powody, by przypuszczać, że zdrowiu i dobrostanowi dziecka grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo; a ponadto do ochrony tego dziecka przed niebezpieczeństwem oraz do zwrócenia się do sądu przy najbliższej możliwej okazji z wnioskiem o wydanie decyzji zapewniającej dziecku trwałe bezpieczeństwo. Statut Wydziału zobowiązuje nas do tego, abyśmy zawsze stawiali dobro dziecka na pierwszym miejscu, a przy tym należycie uwzględniali interesy innych zainteresowanych stron, w szczególności rodziców. W tym miejscu należy zaznaczyć, że Gavin ma młodszą siostrę, która obecnie przebywa u rodziny zastępczej w Stratton, ale rodzeństwo utrzymuje sporadyczne kontakty. Zważywszy na ograniczenia czasowe i brak odpowiednich środków, nie uznano za konieczne przesłuchania siostry chłopca ani członków jej rodziny zastępczej.

Wobec faktu, że obecna sytuacja najwyraźniej nie służy interesom Gavina, zalecam Wydziałowi bezzwłoczne podjęcie działania w odniesieniu do tego dziecka. Byłoby najlepiej, gdyby został umieszczony w rodzinie, w której mógłby doświadczyć normalnego życia oraz gdyby lepiej monitorowano jego frekwencję w szkole. Być może zasadne byłoby umieszczenie chłopca w szkole specjalnej. Zważywszy jednak na niedobór rodzin zastępczych i adopcyjnych po wojnie, a także w świetle trudnego zachowania chłopca i jego

niepełnosprawności wydaje się mało prawdopodobne, by w najbliższym czasie udało się z naleźć rodzinę zastępczą. Lepszym rozwiązaniem jest skorzystanie z działalności socjalnej Świętego Krzyża w Stratton, który prowadzi dawny Dom Dziecka imienia Świętego Bedy. Budynek został wyremontowany i teraz mieści się w nim placówka opiekuńczo-wychowawcza pod wezwaniem świętego Bedy. Jest ona czysta i dobrze zarządzana oraz odnosi wyraźne sukcesy w wychowaniu dzieci z problemami będących w wieku Gavina.

Są tam dwa korty tenisowe, basen i boisko do piłki nożnej, a dzieci z problemami w nauce mają zapewnioną pomoc (zob. załącznik 7, w którym znajdują się dalsze informacje na temat proponowanej placówki).

Dodatkową zaletą placówki jest możliwość ułatwienia kontaktów Gavina z siostrą i zwiększenie ich częstotliwości po przeprowadzce chłopca do Stratton.

Aktualnie nie mieszkają tam żadne niesłyszące dzieci, ale w przeszłości było ich kilkoro i personel posiada doświadczenie niezbędne w pracy z osobami z tym rodzajem niepełnosprawności. U Świętego Bedy jest osiem domków dla dzieci, w których żyją one jak w rodzinie, i choć aktualnie placówka nie dysponuje zbyt dużymi środkami, jej kierownictwo wyraziło gotowość przyjęcia Gavina na okres próbny. Uznaje się, że takie rozwiązanie leży w interesie chłopca.

Jestem gotowa udzielić odpowiedzi na dalsze pytania dotyczące tej sprawy.

inspektor Madeleine Randall

Rozdział 23

I nagle rzeczywistość zapukała do moich drzwi. W zasadzie nie wiem, skąd się wzięło to wyrażenie. Bo jak coś takiego jak rzeczywistość może pukać? Czy tak brzmią pytania retoryczne, o których uczyłam się podczas jednej ze swoich sporadycznych wizyt w szkole? Czy to też było pytanie retoryczne? Czy zadawanie pytania retorycznego o to, czy pytanie retoryczne jest pytaniem retorycznym, można nazwać paradoksem? Chyba lepiej przestanę, zanim rozboli mnie głowa.

Za chwilę wrócę do rzeczywistości. W ciągu paru następnych dni i w ciągu całego miesiąca tyle się działo, że przeważnie czułam się tak, jakbym siedziała w suszarce nastawionej na wysoką temperaturę. Trudno mi było zapanować nad własnym życiem, a czasami okazywało się to niemożliwe. Najgorszą i najmniej spodziewaną rzeczą była szybkość, z jaką działali urzędnicy. Wszyscy ciągle powtarzają, że państwowe urzędy są powolne i ten też taki był przez wiele, wiele miesięcy, ale nagle nabrał szybkości błyskawicy. Dwa dni później, kiedy byłam w warsztacie, przyjechało szare commodore. Kiedy wyszłam na zewnątrz, z pojazdu wysiadła pani Randall i dwóch tyczkowatych gości, którzy trochę przypominali Blues Brothers i nawet byli podobnie ubrani. Nagle zrozumiałam, co się dzieje, i szybko ruszyłam w stronę domu, myśląc: „O Boże, Gavin, tylko się teraz nie zjawiaj, zauważ ich, zanim oni zauważą ciebie, uciekaj do lasu, uciekaj do Homera, uciekaj do Piekła, uciekaj dokądkolwiek”, ale Gavinowi zawsze brakowało wyczucia czasu i zawsze był mistrzem pojawiania się dokładnie w tym miejscu, w którym nie chciałam go widzieć, więc nic dziwnego, że wybrał akurat tę chwilę, by wyjść z domu, zjadając jabłko z miną dzieciaka, który nie ma żadnych zmartwień.

Dlatego został porwany po raz drugi, i to chyba w jeszcze gorszy sposób, bo przez ludzi, którzy przecież nie byli żadnymi oprychami. Nie mogliśmy z nimi walczyć. Jasne, i tak walczyliśmy. Gavin wyrywał się, krzyczał i błagał mnie o pomoc, ale choć w pierwszym odruchu chciałam się na nich rzucić, z łatwością mnie przytrzymali, a bełkot wydobywający się z ust pani Randall poinformował mnie, że to ona ma rację i jeśli będziemy stawiali opór, tylko sobie zaszkodzimy.

Po raz pierwszy nie byłam w stanie pomóc Gavinowi.

No więc przekonałam go, żeby się uspokoił. Żeby zaczął współpracować z porywaczami, pozwolił sobie narzucić inny rodzaj niewoli. Zgodzili się, żeby spakował kilka rzeczy, a potem go zabrali.

Błedego i roztrzęsionego, przypominającego pomnik na cmentarzu.

Zabrali go.

Nie mogłam pojąć tego, co się stało, i choć Madeleine zostawiła kopertę z całym mnóstwem papierów, choć opatrzyła ją całym mnóstwem dopisków i choć po odjeździe commodore'a kilka razy próbowałam to wszystko przeczytać, nic nie rozumiałam. Siedziałam na podwórku mniej więcej metr od miejsca, w którym wcześniej parkował ich samochód, metr od miejsca, w którym pożegnałam się z Gavinem, i nie byłam w stanie się ruszyć. Jakby udało im się to, co nie udało się żołnierzom, broni, materiałom wybuchowym, więzieniom, morderstwom i laniu - jakby udało im się mnie pokonać.

Ale, jak głoszą słowa starej piosenki, od czego są przyjaciele? To takie oklepane pytanie, że wstydzę się je przytaczać, ale przecież spisuję tu fakty, a pierwszym faktem było to, że do moich drzwi zapukali także przyjaciele. Najpierw mieszkający po sąsiedzku wielki brzydki Grek, następnie Wietnamczyk ze Stratton, potem Bronte alias Szkarłatny Pyszcz, a na końcu Jess i - na jej widok zrobiło mi się cieplej na sercu - Fi. Jeremy nadal był na mnie obrażony, ale kiedy Homer o niego spytał - bo Homerowi wydawało się oczywiste, że kiedy twoja dziewczyna jest w tarapatkach, zjawiasz się u niej natychmiast, gotowy nieść wszelką pomoc, poczynając od zupy, przez broń aż po blackberry - Bronte powiedziała, że Jeremy jest chory. Homer spytał na co.

- Na depresję czy coś w tym rodzaju - odparła.

Przestraszyłam się, bo nie byłam pewna, czy przypadkiem nie zachorował przeze mnie. Podejrzewałam, że prędzej czy później będę musiała coś zrobić w tej sprawie. Ale wiedziałam, że w tej chwili nic na to nie poradzę, bo mam jeszcze pilniejszy problem na głowie.

Po przyjaciółkach przyszli dorośli. Oczywiście rodzice Homera - w końcu byli moimi

opiekunami prawnymi - potem mama Fi i, ku mojemu zdziwieniu, tata Bronte. Ku mojemu jeszcze większemu zdziwieniu z Wirrawee przyjechała Rosie i jej przybrani rodzice. Gościli na farmie już ze trzy, cztery razy i Rosie była nią zachwycona. Ale tym razem przybyli z poważną misją. Nie mogli długo zabawić, ale chyba chcieli dać mi znać, że są po naszej stronie.

Gdy odjechali, a państwo Yannos wrócili do siebie, mama Fi i tata Bronte zniknęli w dawnym gabinecie taty, żeby odbyć naradę prawną.

Reszta z nas została w kuchni i dyskutowała o taktyce, ale miałam wrażenie, że najważniejszymi osobami w domu są teraz dwaj prawnicy i część moich myśli była przy nich. Zastanawiałam się, o czym rozmawiają, co wymyślą. Potrzebowałam dobrego rozwiązania.

Tymczasem, kiedy już odrzuciliśmy takie pomysły jak wykorzystanie Wyzwolenia do przypuszczenia szturm na siedzibę Wydziału i wzięcia Madeleine jako zakładniczki albo wyrwanie Gavina z jej szponów podczas śmiałego nalotu o trzeciej w nocy, skupiliśmy się na poważnych sprawach.

Powiedziałam, że zamierzam sprzedać gospodarstwo. Pana Younga poinformowałam o tym dzień wcześniej, bo choć czułam, że w gruncie rzeczy wypasa u mnie bydło, dlatego że ma u mnie dług wdzięczności, trzymał na moim pastwisku trzysta sztuk i musiał mieć czas na znalezienie im nowego domu. Oczywiście w zależności od tego, kto kupi moje gospodarstwo. Podejrzewałam, że mogą to być rodzice Homera. Homer przyznał, że chcieliby to zrobić, ale wątpił, czy ich na to stać. Już i tak byli mocno zadłużeni, pewnie jak my wszyscy. Zwłaszcza ja.

Liczyłam też na Sandersonów, ludzi, którzy dostali część naszego gospodarstwa po wojnie, kiedy wszystkie duże farmy zostały podzielone przez rząd. Dobrze sobie radzili, w przeciwieństwie do innych rodzin, które łącznie otrzymały połowę naszych gruntów i po jakimś czasie zaczęły nam je dzierżawić. Byłabym całkiem zadowolona, gdyby Sandersonowie kupili całość. To fajni ludzie, uprzejmi i pracowici. Gdyby zdołali zebrać wystarczająco dużo pieniędzy, byłaby to dla nich wielka szansa.

Największą zagadką pozostawało jednak to, co się stanie ze mną, gdzie zamieszkam, gdzie zamieszkamy - bo miałam nadzieję, że ja i Gavin znów będziemy razem, jeśli jakimś cudem zdołam go wydrzeć ze szponów Wydziału. Oczywistym rozwiązaniem wydawało się

kupno domu w Wirrawee, żebyśmy mogli chodzić do tych samych szkół co dotychczas, przyjaźnić się z tymi samymi ludźmi i tak dalej. To by było w porządku i chyba nawet ucieszyłabym się z takiego obrotu sprawy. Ale w głębi serca marzyło mi się coś innego. Coś nowego. Coś wyjątkowego. Nowy etap, nowa epoka.

Fi poddała mnie zabawnemu przesłuchaniu. Widocznie uczyła się od mamy.

- Ellie, chcesz nadal pracować na roli? Bo przecież mogłabyś kupić kawałek ziemi, na przykład kilka akrów.

- Nie, nie, chyba naprawdę wolę od tego odpocząć. Prowadząc gospodarstwo, człowiek ciągle jest uwiązany. Skoro mam się wyprowadzić, to równie dobrze mogę się wyprowadzić do miasta.

- Chcesz zdać do następnej klasy?

- No, chyba tak, ale nie wiem, czy nie jest za późno. Mam tyle zaległości i opuściłam tyle lekcji...

- Uzasadnij to wyjątkowymi okolicznościami - podsunął Lee. - Już kiedyś ci to doradzałem. Nie wiem, czemu tak się przed tym bronisz.

- Boże, ja bym się nie wahała - powiedziała Jess. - Zrobiłabym to w trzydzieści sekund. Mówię ci.

- No, może i powinnam... Chyba zbyt uparcie się przed tym broniłam.

- Ty? Uparcie? Skąd taki pomysł? - wtrącił się Homer, rozglądając się tak, jakby właśnie zjawił się mój najgorszy wróg. - Nie, na pewno nie ty! Nigdy!

Fi nie zwracała na niego uwagi.

- Co chcesz robić w przyszłym roku? - spytała.

Trudno było się skupić na jej pytaniach. Czułam się tak, jakby bolała mnie głowa, chociaż nie bolała.

- Oj, nie wiem, nie potrafię sobie wyobrazić, że w ogóle będziemy mogli o czymś swobodnie decydować. Brak mi sił. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby na jakiś czas wrócić do przedszkola.

- Pójdiesz na uniwersytet?

- W końcu pewnie tak. Chyba. To takie nudne: wszyscy studiują i zakładają, że my też będziemy. Wolałabym się zająć czymś innym.

Założyć firmę, podróżować albo coś w tym rodzaju.

- Pojadę z tobą - zaproponowała Fi.

- Nie będziesz mogła podróżować, jeśli weźmiesz Gavina pod opiekę - zauważył Lee.

- Myślisz o zamieszkaniu w większym mieście? - ciągnęła Fi.

- W zasadzie czemu nie? Na jakiś czas.

Po raz pierwszy ten pomysł wydał mi się interesujący. Poczułam coś w rodzaju dreszczyku emocji. Zobaczyłam światełko w tunelu.

- Możemy się podzielić domem i dziećmi - zaproponował Lee. - W sumie Stratton nie jest aż takie złe.

Tylko się roześmiałam, ale Fi podchwyciła:

- Wiesz, to naprawdę niezła myśl.

- Zaraz, zaraz, nie jesteście przypadkiem w zмовie? - spytałam, od razu nabierając podejrzeń.

- Nie, nie - zapewniła Fi. - Nigdy wcześniej o tym nie myślałam.

Ale to mogłoby być całkiem dobre rozwiązanie dla was obojga. Wspólna opieka nad dziećmi.

- A co z Jeremym? - spytał Homer.

- No tak, nie mam pojęcia, co z Jeremym - powiedziałam.

Zjawili się mama Fi i tata Bronte i w najbardziej uprzejmy sposób, na jaki potrafili się zdobyć, zażądali kawy. Major Gisborne spytał, czy nie wolałabym z nimi porozmawiać na osobności, ale powiedziałam, że nie, i wszyscy usiedliśmy przy stole w kuchni.

- Trzy sprawy - zaczął. - Po pierwsze, żeby odzyskać Gavina, będziesz potrzebowała decyzji sądu. W najbliższym czasie to jedyny możliwy sposób, ale jeśli sąd odrzuci wniosek, spróbujemy zmobilizować opinię publiczną i wywrzeć nacisk z innej strony.

- Nadawałabyś się do tego lepiej niż większość ludzi, Ellie - dorzuciła pani Maxwell - ale to śliska sprawa i mogłoby się nie udać.

A nawet ci zaszkodzić. Ale jeśli nic więcej ci nie pozostanie, no cóż, po wyczerpaniu innych dróg prawnych zawsze będzie taka możliwość.

- Też o tym myślałem - wtrącił Homer.

- Okej, druga sprawa - podjął major Gisborne. - Będziesz potrzebowała tak zwanego radcy królewskiego. Lepiej nie zadowalać się półśrodkami. Taki adwokat będzie cię kosztował krocie, ale jeśli uda mi się namówić faceta, o którym myślę, być może dostaniesz zniżkę. Jest mi winny parę przysług. Mimo to powinnaś przeznaczyć na ten cel co najmniej trzydzieści tysięcy dolarów.

Homer zagwizdał, ale major nie zwrócił na niego uwagi.

- Bronte twierdzi, że na sprzedaży gospodarstwa mocno się wzbogacisz, ale jeśli przewidujesz problemy z uezbieraniem takiej sumy, powiedz od razu.

Głośno przełknęłam ślinę.

- Nie, mogę sprzedać część bydła. I tak będę musiała to zrobić.

Tylko kto to jest radca królewski?

- Taki tytuł noszą honorowi członkowie palestry. Najlepsi adwokaci prowadzący duże, słynne sprawy. Ważne sprawy, takie jak twoja.

Uważamy, że powinnaś pójść na całość i zażądać prawa do opieki nad Gavinem.

Byłam w szoku. Nie miałam pojęcia, jak ktoś w moim wieku mógłby żądać czegoś takiego od sądu. Ale pani Maxwell wyjaśniła, dlaczego jej zdaniem mogłoby mi się udać.

- Ellie, po pierwsze, gdybyś sama urodziła dziecko, powiedzmy w wieku szesnastu lat, bez wątplenia byłabyś matką i żaden sąd nie odebrałby ci prawa do opiekowania się dzieckiem, chronienia go, wychowywania i podejmowania decyzji w jego imieniu. Twoja sytuacja jest inna z uwagi na wiek Gavina, ale obydwójce wiemy, że po wojnie wydano więcej decyzji w sprawie przyznania prawnej opieki nad dziećmi niż kiedykolwiek wcześniej. Na przykład, jak być może czytałaś w gazetach, jakieś dwa miesiące temu upośledzonej umysłowo kobiecie przyznano prawo do opieki nad nastolatkiem, bo zajmowała się nim już w czasie wojny i obojgu wychodziło to na dobre. Sąd narzucił różne warunki co do kontroli, nadzoru i tak dalej i jeśli przyzna ci prawo do opieki nad Gavinem, możesz się spodziewać tego samego. W każdym razie uważamy, że jest szansa, żeby skłonić sąd do wydania innej decyzji niż ta, której można by się spodziewać parę lat temu. Byłby to dla was najlepszy scenariusz.

- Wiesz, radca królewski może się z nami nie zgodzić - wtrącił major Gisborne - ale wkrótce poznamy jego opinię. Jeśli chcesz pójść tą drogą, jeśli dasz nam zielone światło, zadzwonię do niego i zobaczę, czy znajdzie trochę czasu. Domyślam się, że chcesz, byśmy jak najszybciej umówili cię na spotkanie.

- Tak, najlepiej jeszcze dzisiaj po południu - powiedziałam.

Rozdział 24

Pan Neil Blaine, o przepraszam, radca królewski Neil Blaine, okazał się nieprzeciętny. Tydzień później byłam w Stratton i czekałam na niego w zaniedbanym mrocznym pomieszczeniu. Drżałam po stresie ostatniego tygodnia i ze strachu przed tym, co mnie czekało. Utrata Gavina byłaby dla mnie utratą wszystkiego. Oczywiście nadal miałam przyjaciół, i to dobrych, ale między rodziną a przyjaciółmi jest taka różnica jak między psem a kotem. Rodziny są chyba kotami.

Trzy razy wybrałam się z wizytą do Świętego Bedy i codziennie tam dzwoniłam, ale oczywiście Gavin nie był w stanie rozmawiać przez telefon. Podczas naszych spotkań wyglądał w porządku, ale nie mogliśmy zachowywać się swobodnie: przypominaliśmy dwoje grzecznych kuzynów na rodzinnym zjeździe. Wokół kręciło się za dużo innych ludzi, za dużo personelu i dzieciaków.

W każdym razie jakoś nie bardzo mnie interesowały sfatygowane kolorowe pisma na stoliku pana Blaine'a, każde z lalkowatą aktorką na okładce i z artykułami o tym, że jakiś nudziarz zmienia partnerki, schudł albo wdał się w bójkę z takim samym nudziarzem jak on. Siedziałam, patrzyłam na okładki i zastanawiałam się, jak kiedykolwiek mogłam czytać ten chłam. Dziwna sprawa, bo gdy jestem w nastroju, przepadam za kolorowymi pismami.

Później zostałam zaproszona do tak wąskiego pokoju, że niektóre anorektyczne modelki z tych kolorowych pism z pewnością poczułyby się w nim jak ryba w wodzie. W środku siedział mały koleś przypominający dżokeja. Ukłonił się i wskazał mi krzesło. Musiałam się bardzo powstrzymywać, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Spodziewałam się wytwornego mężczyzny o siwych włosach, być może w musze, mówiącego powolnym, pompatycznym tonem, a zamiast tego ujrzałam ogrodowego krasnala w T-shircie i szortach.

- Niech pani usiądzie, pani Linton - powiedział. - Najmocniej przepraszam za strój, ale nie zamierzałem dzisiaj pracować, dopóki nie zadzwonił mój bardzo dobry przyjaciel major Gisborne.

- Nie ma sprawy - wymamrotałam. - I proszę mi mówić Ellie.

Nie zareagował - a już z pewnością nie poprosił, żebym mówiła mu Neil. Zamiast tego usiadł przy biurku i przez co najmniej pięć minut czytał stos papierów z teczki przewiązanej różową wstążką. To było urocze - te wszystkie dokumenty przewiązane różowymi wstążkami i zajmujące całą długość jednej ze ścian. Siedziałam i czułam ucisk w żołądku, kojarzący się ze zjedzoną tydzień temu twardą grudą metalu, która właśnie próbuje się wydostać. Ciągłe się zastanawiałam, za co mam zapłacić temu człowiekowi tak olbrzymią sumę. Czy ktokolwiek może być aż tyle wart?

Nagle adwokat odłożył dokumenty i spytał:

- Skąd pani w ogóle przyszło do głowy, że powinniście razem mieszkać bez opieki jakiejś odpowiedzialnej osoby?

Jego ton mnie zszokował. Zupełnie się zmienił: wypełnił cały wąski pokój i sprawił, że tynk zaczął odpadać z sufitu płatami. No, w każdym razie to był mocny głos. Neil Blaine nie krzyczał - wręcz przeciwnie - ale gdzieś z głębi tej drobnej postaci wydobywał się naprawdę potężny głos.

Gapiąc się na adwokata, wydukałam:

- Sami jesteśmy odpowiedzialni. Ja jestem odpowiedzialna.

Wcześniej nie byłam pewna, co o nim myśleć, ale teraz wydawał mi się dość przerażający.

- O, wszyscy uważają się za odpowiedzialnych ludzi. Każdy pani powie, jaki to jest odpowiedzialny, a potem pójdzie, zabije najlepszego przyjaciela w wypadku drogowym i wydmucha 0,15 promila.

- Nie ja - odparłam ze złością. - Prowadzę duże gospodarstwo, w którym hoduję trzysta pięćdziesiąt sztuk bydła. Nie mam czasu na picie i rozbijanie się samochodem.

- Jest pani nastolatką i nie pije alkoholu?

- Nie, nie piję - powiedziałam, uznając, że jeśli chcę odzyskać Gavina, lepiej się nie przyznawać do picia przed osiągnięciem pełnoletności.

- Daj spokój, Ellie, chcesz mi wmówić, że nie wiesz, jak smakuje alkohol?

- Nie, tego bym nie powiedziała. Po prostu teraz w ogóle nie piję, a wcześniej też nie zdarzało się to często. Nie tak często jak u niektórych osób w moim wieku.

- Więc jednak piłaś alkohol?

- No tak, trochę, oczywiście całe wieki temu, ale teraz nie piję.

Plątałam się. Już zdążył mnie przyłapać na żenującym kłamstwie.

Zastanawiałam się, po czyjej stoi stronie. Wydawał się bardzo wrogo nastawiony. Doszłam do wniosku, że ani trochę go nie lubię.

„Napoje alkoholowe” - zapisał w małym żółtym notesie, wypowiadając te słowa na głos.

- To nie w porządku! - zaprotestowałam. - Nie piję alkoholu. Przed wojną i w czasie wojny od czasu do czasu robiłam coś głupiego, ale to było wieki temu. Nie piję!

Zupełnie mnie zignorował.

- Ile dni nauki w szkole odpuściliście sobie z Gavinem w tym roku?

- Nie odpuszczamy sobie szkoły. Jeśli nie możemy być na lekcjach, to nas na nich nie ma. Zgoda, to się zdarza dość często, częściej, niżbym chciała, ale robię wszystko, żeby zdarzało się jak najrzadziej. Tylko że to trochę trudne, kiedy pikap nie chce odpalić, krowy wyleżą na drogę albo przyjedzie dyrektor banku, żeby sprawdzić, jak wydajemy pożyczone pieniądze.

- Ile dni w szkole opuściliście w tym roku?

Z jeszcze większym zażenowaniem zdałam sobie sprawę, o co mu chodzi: nie odpowiedziałam na zadane pytanie. Przygarbiłam się i odparłam:

- Mniej więcej piętnaście, najwyżej dwadzieścia.

- Z tego, co wyczytałam w dziennikach, ty opuściłaś dwadzieścia trzy dni, a Gavin dwadzieścia jeden.

Miałam ochotę powiedzieć: „Skoro pan wie, to po co pan pyta?”, ale widocznie lubił tyranizować ludzi, więc się nie odezwałam.

- Czy kiedykolwiek uderzyłaś Gavina?

- Co?

Znowu się wyprostowałam. Czyżby teraz miał zamiar mnie oskarżyć o znęcanie się nad dzieckiem? To ja czułam się gnębiona przez radcę królewskiego Neila Blaine'a!

- Zadałem proste pytanie. Czy kiedykolwiek uderzyłaś Gavina?

- Raczej czy on kiedykolwiek uderzył mnie. Bo przeważnie tak to wygląda. Urządzamy sobie zapasy i tego typu rozrywki, po prostu się wygłupiamy.

- Zdarzyło ci się go uderzyć ze złości albo po wpływem frustracji, kiedy nie chciał zrobić tego, co mu kazałaś, kiedy spóźnialiście się do szkoły, a on nie chciał wyłączyć telewizora, kiedy nie nakarmił psa, chociaż go o to prosiłaś, kiedy nie chciał się ruszyć, mimo że prosiłaś go dziesięć razy, kiedy marudził, mazał się albo godzinami ci dokuczał?

„Boże - pomyślałam - facet rozmawiał z Gavinem”. Potem, z jeszcze większym zażenowaniem i myśląc, że przegram bitwę o prawo do opieki nad Gavinem, zanim ją w ogóle zacznę, bąknęłam:

- Tak.

- Jak często?

- Przecież nie znęcam się nad dziećmi! Po prostu czasem puszcza mi nerwy, a wtedy zdarza mi się nim potrząsnąć, pacnąć go w głowę czy coś w tym rodzaju. Ale nie mocno! Albo ściągam go z krzesła i wypycham z domu, żeby w końcu poszedł zrobić, co do niego należy.

- Jak często?

Oooh, ten facet był taki dobijający.

- Raz na jakiś czas. Raz na dwa miesiące.

- Może raczej raz w tygodniu?

- Skąd! - Z kim on rozmawiał? Bo chyba nie usłyszałby czegoś takiego od Gavina? - Może raz w miesiącu. Nawet nie. Gavin potrafi być naprawdę wkurzający, ale dobrze się rozumiemy. Zgoda, czasem mam ochotę go spruć, nawet dość często, ale wiem, że gdybym to zrobiła, postąpiłabym okropnie. I bez tego dostaje w skórę. Chcę go nauczyć, że istnieją inne sposoby rozwiązywania problemów.

Rozmowa trwała dalej. Wolałabym stanąć twarzą w twarz z dziesięcioma wrogimi żołnierzami uzbrojonymi w AK-47, niż być przesłuchiwana przez radcę królewskiego Neila Blaine'a. W ciągu następnych dziesięciu minut zmusił mnie do przyznania, że zdarzało nam się oglądać filmy dozwolone od piętnastego roku życia, choć nigdy nie pozwoliłam Gavinowi obejrzeć filmu dla dorosłych, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy dość często kupowałam jedzenie na wynos, przywoziłam je do domu i odgrzewałam na kolację, że domowi było bardzo daleko do schludności i porządku, jakie w nim panowały za życia mojej mamy, i że Marmie praktycznie mieszkała w pokoju Gavina.

Po takiej rozmowie nie powierzyłabym swojej opiece nawet bezgłowego karalucha, a co dopiero dziecka z problemami emocjonalnymi.

Nagle adwokat zerwał się z miejsca, podszedł do drzwi, otworzył je i zaczął czekać, aż wstanę. Myślałam, że mnie spławia: oblałam test i postanowił mnie wyrzucić z biura. A raczej z kancelarii, bo tak to się nazywa. Ale kiedy nieśmiało wstałam i podeszłam do niego chwiejnym krokiem, wyciągnął rękę i powiedział:

- Odbierzemy go tym rottweilerom, Ellie. Trzymają go mocno, ale jak dostaną kopa w jaja, dość szybko zmiękną.

Gapiałam się na niego bez słowa. Nagle doznałam olśnienia: zrozumiałam, co zrobił. Zafundował mi takie wrażenia, jakich mogłam się spodziewać w sądzie. Ostatecznie był po mojej stronie.

- Więc przyjmie pan tę sprawę? - spytałam słabym głosem.

- Oczywiście. Czeka nas trudna walka, ale mamy szansę. Musimy skłonić sąd, żeby użył wyobraźni, co czasem wcale nie jest takie trudne, jak mogłoby ci się wydawać. Niedługo się z tobą skontaktuję i przekażesz mi niezbędne informacje. A teraz do widzenia, Ellie. Po drodze możesz porozmawiać z moją sekretarką o pierwszej racie. Wiesz, nie jestem tani.

Cześć.

Kompletnie oszołomiona, znalazłam się na korytarzu, a za mną cicho zamknęły się drzwi.

Rozdział 25

SĄD RODZINNY: PRZESŁUCHANIE PANI MADELEINE RANDALL PRZEZ
RADCĘ KRÓLEWSKIEGO NEILA BLAINE'A

Czy może się pani przedstawić, tak dla porządku?

Oczywiście. Nazywam się Madeleine Randall i jestem inspektorem w Wydziale Odpowiedzialności Społecznej. Mieszkam w siedzibie Wydziału przy Russell Street 249 w Stratton.

Od kiedy pracuje pani w Wydziale jako inspektor?

Od ośmiu miesięcy, ale wcześniej pracowałam w sądzie rodzinnym jako inspektor do spraw kontaktów z rodziną, gdzie pod wieloma względami pełniłam podobne obowiązki. Spędziłam tam także dwa lata przed wojną.

Dziękuję. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciała się pani ograniczyć do udzielania odpowiedzi na zadawane pytania. Dzięki temu zaoszczędzimy mnóstwo czasu. Więc jest pani inspektorem w Wydziale od ośmiu miesięcy. Pani Randall, poinformowano panią, że w Wirrawee przy drodze do Holloway przebywa dziecko, które może wzbudzić zainteresowanie pani Wydziału, zgadza się?

Tak.

A kiedy została pani zawiadomiona, że wspomniane dziecko może mieszkać w nieodpowiednich warunkach?

Jeśli wolno, Wysoki Sądzie, muszę zajrzeć do notatek. Aha, wygląda na to, że 11 sierpnia otrzymaliśmy telefon od...

A więc 11 sierpnia. A kiedy faktycznie pojechała pani coś zrobić w tej sprawie?

No cóż, pierwszą wizytę w gospodarstwie złożyłam 14 października.

W tej chwili, jak większość państwowych urzędów, borykamy się z bardzo ograniczonymi środkami, brakuje nam nawet pojazdów, więc wbrew temu, co może sądzić społeczeństwo...

Proszę wybaczyć, nie jestem orłem z matematyki, ale wydaje mi się, że od otrzymania informacji o tym, że jakiegoś dziecku może grozić poważne niebezpieczeństwo, do podjęcia działań w tej sprawie upłynęły dwa miesiące.

Tak, przyznaję. A przynajmniej zgadzam się z tym, co pan sugeruje.

Nie jest to idealna sytuacja, ale moim zdaniem „poważne niebezpieczeństwo” to trochę zbyt mocne określenie. Mamy mnóstwo pracy i zajmujemy się innymi przypadkami, w których dzieci są zagrożone w bardziej bezpośredni sposób. Oczywiście wszystko jest kwestią priorytetów.

A jednak po wizycie w gospodarstwie najwyraźniej doszła pani do wniosku, że to dziecko faktycznie znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie. Po dwóch miesiącach znikomego zainteresowania jego losem zabrała pani chłopca i w ciągu czterdziestu ośmiu godzin umieściła go u Świętego Bedy. Musiała się pani naprawdę zaniepokoić.

Och, niezupełnie, gdyby dziecku faktycznie groziło poważne niebezpieczeństwo, naturalnie zaczęłabym, aż wróci do domu i zabrała go ze sobą od razu. Nic nie wskazywało na to, że chłopiec jest bity. To raczej przypadek umiarkowanego zaniedbania niż bezpośredniej przemocy. W zasadzie uważam, że ta dziewczyna dość dobrze się spisała, jeśli wziąć pod uwagę jej wiek i brak doświadczenia.

W którym miejscu raportu można to przeczytać? Czy może je pani wskazać Wysokiemu Sądowi?

No cóż, chyba nigdzie o tym nie napisałam, nie w tylu słowach.

W zasadzie nie było sensu.

Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, proponuję przeanalizować raport. Czy może

pani spojrzeć na dokument podawany przez woźnego?

Czy to pani raport?

Tak.

Czy zgodzi się pani, że jest on krzywdzący dla dwojga młodych ludzi uczestniczących w sprawie, nie tylko dla Gavina, lecz także dla pani Ellie Linton?

Nie, zdecydowanie się z tym nie zgadzam. Zawsze staram się zachować obiektywizm. To ważna część naszej pracy.

A jednak przed chwilą powiedziała pani, że Ellie dobrze się spisała, opiekując się Gavinem. Jeszcze raz proszę o wskazanie nam miejsca, w którym pani o tym wspomniała.

No cóż, jak już mówiłam, właściwie nigdzie o tym nie wspomniałam...

Sugeruje pani, że blizny i siniaki, o których napisała pani w raporcie, mogą być wynikiem znęcania się Ellie Linton nad chłopcem?

Nie, nie, nie ma na to dowodów. Nie było siniaków, ale nadzwyczaj liczne otarcia i blizny, które uświadomiły mi, że chłopiec był ofiarą przemocy fizycznej. Nawet lekarz był mocno wstrząśnięty, kiedy zobaczył...

Ojczym chłopca zamordował jego matkę, przyznaje pani?

Cóż, nie postawiono mu zarzutów, ale po rozmowie z policją muszę przyznać, że to bardzo prawdopodobne.

I przyznaje pani, że zaledwie kilka miesięcy temu ten sam ojczym przypuścił bezwzględny atak na Gavina?

Tak, oczywiście. Siedzi za to w więzieniu, o czym wspomniałam w raporcie.

Jak pani myśli, czy ojczym o morderczych skłonnościach może mieć związek z

częścią blizn Gavina?

No cóż, może. Ale jakim cudem doszło do tego, że dziecko znalazło się w sytuacji, w której ten mężczyzna o mało go nie zamordował? Według mnie świadczy to o niewłaściwej opiece.

Chce pani powiedzieć, że wszystkie ofiary morderców są winne zaniedbania? Czy tylko okropnie nieostrożni ludzie są narażeni na podobne ataki?

Oczywiście, że nie, ale przecież szukamy tu pewnego wzorca zachowań.

Dwoje młodych ludzi spacerowało w publicznym parku w sobotni poranek, w biały dzień, więc jeśli to jest zaniedbanie, obawiam się, że narażam się na ataki morderców, ilekroć wychodzę na spacer z psem.

(śmiech) Moim zdaniem jest pani uprzedzona i zamierzam to udowodnić.

Jest pani psychologiem?

Nie, nie w ścisłym znaczeniu tego słowa. Wszyscy odbywamy szkolenie, na którym...

Nie jest pani psychologiem, a mimo to operuje pani takimi terminami jak zespół stresu pourazowego, jakby była pani doskonale zaznajomiona z tak poważnymi zaburzeniami. Jakie są objawy zespołu stresu pourazowego?

Kłopoty ze snem, ogólne zakłócenia zachowania, nadmierna lękliwość, trudności w kontaktach społecznych - tego rodzaju rzeczy.

Czy nieuzasadnione poczucie zagrożenia jest objawem stresu pourazowego?

Nie jestem pewna, o czym pan mówi.

Zna pani takie pojęcia jak objawy intruzywne, objawy pobudzeniowe i objawy unikowe?

Nie, nie w ścisłym sensie.

To znaczy tak czy nie?

Nie, nie znam tych pojęć. Ale ostatnie z nich prawdopodobnie ma jakiś związek z unikaniem bodźców budzących niepokój. Sama też zaczynam tego doświadczać, siedząc teraz na miejscu dla świadka.

A nastrój dysforyczny? Czy pani zdaniem też jest objawem zespołu stresu pourazowego?

Naprawdę nie mam pojęcia.

U ilu procent ludzi, którzy doświadczyli przemocy albo innego rodzaju traumy, może się rozwinąć zespół stresu pourazowego?

Podejrzewam, że u około dwudziestu.

Więc przyznaje pani, że bycie ofiarą przemocy nie musi prowadzić do zachorowania? Może nawet u osiemdziesięciu procent takich ludzi?

Zdecydowanie tak.

Zatem mamy osiemdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że Gavin nie cierpi na tę przypadłość. Idźmy dalej. Twierdzi pani, że ci młodzi ludzie mieli paranoję?

Nie, napisałam, że byli wystraszeni... O, właśnie znalazłam ten fragment: „Niechęć dzieci wobec pomysłu ewentualnego »zabrania«

Gavina graniczyła z paranoją”.

Więc ich niechęć była paranoją?

No cóż, nie użyłam tego słowa w ściśle medycznym sensie, raczej w sensie potocznym, do którego nawiązuje się na co dzień. Wie pan równie dobrze jak ja, że ludzie bez przerwy używają tego słowa, mając na myśli przesadną reakcję, niepotrzebną agresję albo

niechęć. Być może powinnam była znaleźć inne słowo.

Pozwolę sobie zauważyć, że użycie takiego sformułowania w raporcie, od którego w zasadzie zależy dalszy los tych młodych ludzi, jest bardzo krzywdzące. Szafuje pani pojęciem sugerującym zachowanie, które należy do klinicznych objawów schizofrenii. A ironia polega na tym, że ta tak zwana paranoja była całkowicie uzasadniona, prawda?

Nie jestem pewna, co pan ma na myśli.

Przypisała pani tym dzieciom nieuzasadnioną obawę o to, że Gavin zostanie zabrany przez pani Wydział?

(milczenie)

Czy w rzeczywistości pani Wydział zabrał Gavina?

Tak, przecież doskonale pan wie, że go zabraliśmy i mieliśmy ku temu bardzo dobre powody.

Zatem czy to, co nazwała pani paranoją, nie było raczej przejawem ich inteligencji? Szybko i trafnie ocenili złożoną sytuację i zrozumieli, że odmowa współpracy z ludźmi chcącymi zerwać stworzone z powodzeniem więzi rodzinne nie leży w ich interesie?

Mam na ten temat zupełnie inne zdanie.

Pani Randall, zauważyłem, że kiedy pani mówi, często zasłania pani usta. Czy ten gest to jakiś tik nerwowy?

Naprawdę? Możliwe. Pamiętam, że kiedy byłam nastolatką, mama też zwracała mi na to uwagę. W zasadzie robiła to dosyć często. *(śmiech)* Wygląda na to, że nasze matki chodziły do tej samej szkoły *(śmiech)*.

Jak wiadomo, Gavin nie słyszy i większość informacji zdobywa dzięki umiejętności czytania z ruchu warg. Przyszło pani do głowy, że to, co postanowiła pani potraktować jako brak chęci współpracy, może być wynikiem niemożności zrozumienia pani słów? Że

postawiła go pani w niezręcznej sytuacji, w której osoba czytająca z ruchu warg nie była w stanie obserwować pani ust?

Myszę, że doskonale rozumiał moje pytania, ale postanowił na nie nie odpowiadać.

Czy podczas rozmowy z chłopcem korzystała pani z usług tłumacza?

Nie, uznałam, że nie ma takiej potrzeby.

Czy Gavin posługuje się językiem migowym?

W zasadzie nie jestem pewna.

Nawet pani nie wie, jakim językiem posługuje się chłopiec? Przyzna pani, że auslan to język?

O tak, zdecydowanie. Po prostu teraz nie pamiętam, czy...

Jakie podjęła pani działania, żeby stwierdzić, czy chłopiec rzeczywiście ma poważne problemy psychiczne?

Cóż, przebadali go eksperci w placówce opiekuńczo-wychowawczej Świętego Krzyża i zgodnie uznali, że Gavin jest dzieckiem wymagającym...

To było przed czy po tym, jak go pani zabrała z domu?

Potem, ale bardzo krótko potem.

A więc w chwili, w której go pani zabierała, nie mogła pani wiedzieć, czy stan psychiczny chłopca wymaga leczenia albo uzasadnia zabranie go z domu. Na marginesie wspomnę - i wrócę do tego później, Wysoki Sądzie - że Wydział nie podjął żadnych działań w celu ustalenia, czy Gavin był w lepszym, czy w gorszym stanie psychicznym niż, powiedzmy, trzy, sześć albo dziewięć miesięcy temu. Nie ma tu żadnej daty granicznej. Zatem możliwe, że pod opieką pani Linton jego stan uległ znacznej poprawie.

Zebraliśmy opinie nauczycieli.

Jeśli złe zachowanie w szkole jest powodem zabierania dzieci rodzinom, pani Wydział musi mieć pełne ręce roboty. A teraz przeanalizujemy pani raport trochę dokładniej. Jeśli można, proszę Wysoki Sąd o spojrzenie na stronę trzecią. Twierdzi pani, że w pobliżu domu leżały psie odchody. Ile kup tam było?

Tylko ta jedna. To znaczy tylko tę zauważyłam.

Mogła się tam pojawić na chwilę przed pani przyjazdem?

Aż tak się nie przyglądałam. *(śmiech)*

„Niewłaściwa odległość psa od posłania dziecka”. Co to dokładnie oznacza?

Kiedy weszłam do pokoju, pies spał na łóżku chłopca.

Myśli pani, że to powszechne zjawisko?

Nie wiem, ale jest zdecydowanie niezdrowe.

Nie wie pani, czy psy śpiące na łóżkach to częste zjawisko. Czy tak mamy to rozumieć?

Nie prowadziłam badań na ten temat. Wiem tylko, że to niezdrowe.

Nie oczekuje się ode mnie formułowania osobistych opinii na takie tematy.

Mam jedynie zdawać sprawozdanie z tego, co widzę.

Tak, właśnie do tego zmierzamy. „Niezaścielone łóżka i ogólny bałagan w pokojach”. „Nie zaobserwowano owoców”. „Na stole stała otwarta puszką miło”. „W pralce zaobserwowano mokre pranie”. Pani Randall, tak mógłby wyglądać mój dom, kiedy mam dużo pracy. Mój albo czyjkolwiek. Postanowiłaby pani przyjechać i odebrać mi dzieci tylko dlatego, że wczoraj w nocy w naszej kuchni grasowała mysz?

Interesuje nas pełen obraz.

Bo nie spodobałaby się pani liczba puszek pepsi w naszej lodówce?

Bo właśnie naprawiam piecyk i dlatego zdjąłem z niego osłonę?

Nie, oczywiście, że nie. Ale gdy pełen obraz przedstawia...

„Sedes wyglądał na czysty, ale wanna i prysznic były zaniedbane”.

„Wyglądał”, zupełnie jak w całej reszcie pani raportu: „możliwe, że”, „jest co najmniej prawdopodobne”, „istnieją uzasadnione powody, by przypuszczać”... Pani raport to jedynie zbiór domysłów i hipotez oraz - jak wykazałem - odzwierciedlenie pani uprzedzeń.

Ten raport nie jest po to... nie pisze się go z myślą o tym, że później zostanie poddany szczegółowej analizie przez prawnika, a co dopiero przez prawnika pańskiej rangi... Jest przeznaczony wyłącznie na potrzeby Wydziału, jest dla nas wskazówką. My... oni zazwyczaj nie przeprowadzają tak złożonej analizy jak pan...

(Sędzia) Pani Randall, ostrzegam. Chyba powinna pani bardziej uważać na słowa.

Przepraszam, Wysoki Sądzie, chodzi o to, że zajmujemy się bardzo wieloma przypadkami i być może nie wszystkie raporty są dopięte na ostatni guzik. Wiem, że pan Blaine bardzo dobrze wypełnia swoje zadanie, ale według mnie sytuacja tego dziecka, mieszkającego z kimś, kto w świetle prawa sam jest jeszcze dzieckiem, naprawdę mówi sama za siebie. Może i raport nie jest tak szczegółowy jak inne nasze raporty...

(Sędzia) Na tym etapie powiem tylko tyle, że gdy rozważamy ingerencję państwa w życie dziecka, gdy zabieramy dziecko z otoczenia, do którego przywykło, w którym prawdopodobnie czuje się bezpieczne i w którym jest mu wygodnie, powinniśmy mieć absolutną pewność, że nasze raporty są dopięte na ostatni guzik i że wszystkie pozostałe guziki też są na swoim miejscu.

(Pan Blaine) Jeszcze tylko chwila, pani Randall. Może zechciałaby pani napić się wody...?

Nie, nie trzeba, proszę kontynuować.

Pozwoli pani, że poruszę inną kwestię. Ustawa wymaga od państwa reagowania w razie znęcania się nad dzieckiem. W tym kontekście mówi o bezpośrednim zagrożeniu dziecka, o jego zdrowiu psychicznym, fizycznym i tak dalej...

Tak, zgadza się.

A jednak zgodnie z pani raportem - i już widzę po pani minie, że czuje pani, do czego zmierzam - Gavin znajdował się w sytuacji, która

„najwyraźniej nie służyła jego interesom”. Daleka od tego droga do znęcania się, zaniedbania i niebezpieczeństwa, prawda?

Tak, muszę przyznać, że w ubiegłym tygodniu mój przełożony też zwrócił uwagę na to niefortunne sformułowanie. Teraz ujęłabym to inaczej. Odradzono mi używania takich sformułowań w przyszłości.

Bo gdyby Wydział miał się zajmować dziećmi, których „obecna sytuacja najwyraźniej nie służy ich interesom”, potrzebowałby stu tysięcy dodatkowych pracowników, prawda?

No cóż, to, że Gavin powinien dorastać w zupełnie innym środowisku, pozostaje faktem.

Nazywa pani faktem coś, co wcale nim nie jest. To tylko pani opinia, a ponieważ ją pani wyraziła - mimo że nie jest pani w stanie jej uzasadnić - życie tego dziecka po raz kolejny zostało zakłócone i dlatego tu dzisiaj jesteśmy. Proszę pozwolić, że zadam jeszcze kilka pytań i będziemy kończyli. Czy Gavin kiedykolwiek dopuścił się jakiegoś przestępstwa?

Nie, nic mi na ten temat nie wiadomo.

A więc nie?

Zgadza się. Z tego, co wiem, nie.

Czy ma kartotekę policyjną?

Nie sądzę. Nie, nie, oczywiście to sprawdziliśmy. Nie ma.

Czy kiedykolwiek brał narkotyki?

Nic mi na ten temat nie wiadomo. Nie.

Więc tę odpowiedź także uznaję za negatywną, dobrze? Czy kiedykolwiek prosił o jakąkolwiek pomoc ze strony państwa?

Nic mi o tym nie wiadomo. Nie. Oczywiście nie licząc porwania.

Zatem od chwili zamieszkania z panią Linton to osierocone, niesłyszące dziecko nie złożyło żadnego wniosku o jakąkolwiek specjalną pomoc ze strony państwa? Nie kierowało do niego żadnych żądań, nie prosiło o wsparcie? Pod opieką pani Linton było całkowicie samowystarczalne?

Nic mi nie wiadomo o wnioskach, o których pan mówi. Oczywiście mogły zostać złożone.

Zebrane przeze mnie informacje wskazują na to, że nie zostały. I pani Wydział nie otrzymywał dotąd żadnych skarg w sprawie Gavina?

O ile mi wiadomo, w naszych aktach niczego takiego nie ma.

Krótko mówiąc, jeśli pominąć wagarowanie i przepychanki typowe dla chłopców w tym wieku, wygląda na to, że Gavin prowadził całkowicie przykładowe życie. Dobrze, pani Randall, jeśli mój uczony kolega nie ma do pani żadnych pytań, może pani wracać na miejsce. Dziękuję.

(Pan Short) Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

(Sędzia) Dobrze, dziękuję, pani Randall, może pani wrócić na miejsce.

Rozdział 26

Po widowiskowym zmiżdżeniu pani Randall na sali rozpraw poczułam się o wiele lepiej, ale wiedziałam, że to tylko jedna bitwa w tej wojnie. Prawie było mi jej żal, kiedy zmykała z sądu. Wyglądała jak ktoś cierpiący na nerwicę frontową. Mogłabym jej podać chusteczkę, ale aż tak żal to mi jej jednak nie było. Sędzia zarządził przerwę na lunch i od razu podbiegłam do pana Blaine'a, ale adwokat nie chciał ze mną rozmawiać.

Był równie nieuprzejmy jak podczas naszego pierwszego spotkania.

Zabawny facet. Nie mogłam go rozgryźć. Chyba pod wieloma względami przypominał aktora.

Musiało minąć trochę czasu, zanim doszłam do siebie po tym, jak pan Blaine stwierdził, że Gavin „prowadził całkowicie przykładne życie”.

Rany! Gdyby ktokolwiek dotarł do tej okropnej historii z kotem Marka, to byłby koniec mojej walki w sądzie.

Po południu przez salę rozpraw przeszła cała parada świadków i spędziłam dużo czasu, trzymając się za głowę. Podejrzewam, że większość ludzi słyszy opinie na swój temat wyłącznie na pogrzebie - w każdym razie te dobre.

Zawsze myślałam, że to szkoda, a jakiś czas temu, kiedy przeczytałam w gazecie o gościu, któremu zostało tylko parę miesięcy życia i zorganizował coś w rodzaju stypy, żeby wysłuchać przemówień, jakie mieli wygłosić przyszli uczestnicy pogrzebu, zgotowałam mu w myślach wielką owację.

Ale sama byłam jeszcze młoda i zdrowa, a jednak miałam to wszystko usłyszeć już teraz - niezupełnie na pogrzebie, chociaż gdybyśmy przegrali sprawę, okoliczności byłyby bardzo zbliżone. Plan wyglądał tak: jeśli wystarczająco dużo moich znajomych stanie w sądzie i powie, że jestem choć w połowie porządną istotą, szanse na odzyskanie Gavina mocno wzrosną. No więc siedziałam, słuchając rodziców Homera, mamy Fi, taty Kevina, pani Goh i pani Barlow ze szkoły, pana Younga i mieszkającej niedaleko pani Salter, która po zostawieniu męża wyglądała na znacznie pewniejszą siebie. Wszyscy opowiadali sędziemu,

że prawdopodobnie jestem najwspanialszym człowiekiem na tej planecie, że moje nazwisko powinno widnieć na chodniku w Hollywood, że powinnam dostać Oscara, nagrodę Logie, nagrodę Emmy, nagrodę Grammy i Nobla.

I że tylko z jakiegoś tajemniczego powodu papież nie zaprosił mnie do Watykanu na szybką kanonizację. A tak, racja, trzeba umrzeć, zanim to się stanie. Ale słuchając tych ludzi, można było odnieść wrażenie, że papież powinien zrobić dla mnie wyjątek.

Już i tak byłam przemądrzała, naprawdę nie potrzebowałam słuchać takich rzeczy. Mimo to nie miałam zamiaru uronić ani słowa.

Nauczycielka Gavina pani Rosedale wstała i powiedziała, że Gavin to dobre dziecko. Oczywiście psocił i potrafił być trochę krnąbrny, ale po takich przeżyciach to zrozumiałe. Siedziałam, słuchałam i nie mogłam wyjść ze zdumienia. Raczej nie zależało jej na tym, żeby mi pomóc. Nie obchodziło jej, czy Gavin trafi do mnie, czy do kogoś innego - a przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Czyżby nikotyna uderzyła jej do mózgu? Ale nie chodziło tylko o panią Rosedale. Czemu dorośli tak bardzo się zmieniają w tego typu sytuacjach? Zupełnie jak w szkolnych raportach. Czemu dają najwyższe oceny za takie rzeczy jak „pomaganie innym uczniom”, skoro wszyscy doskonale wiedzą, że przez większość czasu dzieciak siedzi rozwalony w ławce i marzy o starych dobrych czasach w nazistowskich Niemczech, gdzie tacy jak on rządzą i mieli klucze do sejfów z bronią? Dziwne.

Chyba największe wrażenie zrobił na mnie generał Finley. Przyleciał aż z Nowej Zelandii. Pewnie - powiedzmy sobie szczerze - przede wszystkim po to, żeby odwiedzić Jeremy'ego. Widząc, jak wchodzi na salę, nie mogłam się opędzić od myśli, że ten facet mógłby być moim teściem.

Lee siedział obok i trzymał mnie za rękę, kiedy akurat nie była mi potrzebna do łapania się za głowę. A dość często używałam obu rąk, gdy kolejni świadkowie zjawiali się, zeznawali i wychodzili. Lee ciągle szeptał jakieś uszczypliwości pod ich adresem, aż w końcu pan Blaine przesłał mi liścik: „Nie rozmawiaj, nie okazuj uczuć swojemu chłopakowi, powstrzymaj się od wszelkich kontaktów”, co oczywiście było tylko żartem. Lee miałby znowu być moim chłopakiem? O nie, dziękuję. Liścik pana Blaine'a kojarzył się z zasadami obowiązującymi w liceum Wirrawee. Ale domyśliłam się, o co mu chodzi: sędzia nie powinien był widzieć, że zachowujemy się jak zakochane nastolatki. Niech Bóg broni, żebym

była w jakimkolwiek związku. Bo przecież nie chcielibyście powierzyć dziecka komuś, kto potrafi kochać, prawda?

Wróćmy do generała Finleya. Przyszedł w mundurze. Wyglądał piekielnie imponująco. Jeremy wspominał, że jego ojciec niedługo przechodzi do rezerwy i zamierza się zająć biznesem. Przypuszczałam, że odniesie sukces. Facet miał klasę.

Wziął Biblię i wypowiedział słowa, które po dwóch dniach w sądzie zdążyłam już dobrze poznać - o tym, że powstrzyma się od kłamania jak najęty - a następnie oznajmił wszystkim, że jestem odpowiedzialna, dojrzała, rozsądna, odważna i tak dalej, i tak dalej. Więc pewnie będzie się smażył w piekle za te łgarstwa. Nie wspomniał, że właśnie zerwałam z jego synem, co mogło doprowadzić Jeremy'ego do głębokiego załamania nerwowego, a później nawet mnie za niego przeprosił i powiedział, że zabiera syna z powrotem do Nowej Zelandii, gdzie zaprowadzi go do psychiatry. Zawsze będę mu wdzięczna za tę lojalność, za to, że przybył z tak daleka.

„Jedynym prawdziwym testem dla przyjaźni jest czas poświęcany ci przez przyjaciela”. Właśnie to wymyśliłam. Bo w sumie nic innego się nie liczy. Ludzie mogą spędzać z tobą czas, ale to nie to samo. Można z kimś spędzać mnóstwo czasu i wcale mu go nie poświęcać. Podobnie jest z wydawaniem na kogoś pieniędzy albo robieniem mu prezentów. Bo największy prezent dostajesz wtedy, kiedy ktoś postanowi ci podarować pół godziny, godzinę albo całe popołudnie i ten czas jest tylko dla ciebie.

Tymczasem rozprawa toczyła się dalej. I dalej. Złożyłam zeznania, ciesząc się, że mam już doświadczenie w tym zakresie dzięki rozprawie pana Manninga, bo dzięki temu było mi trochę łatwiej. Gavin też zeznawał, ale zabroniono mi przebywać w tym czasie w sądzie, żebym mu nie przeszkadzała. Musiał móc swobodnie opowiedzieć o mnie wszystkie okropne, podłe i paskudne rzeczy, jakie chciał. Naprawdę żałowałam, że kilka razy dałam mu lanie, i miałam nadzieję, że pamięta, na czym polega różnica między bójką na niby a tą prawdziwą. I że nie ma do mnie żalu za wielokrotne odciążanie go od komputerowej *Bitwy tytanów*.

Potem było już po wszystkim. Pan Blaine poprosił sędziego o szybkie wydanie decyzji, bo „tych dwoje młodych ludzi wiele przeszło w ciągu swojego krótkiego życia, Wysoki Sądzie, i wydawałoby się okrutne kazać im czekać dłużej, niż to absolutnie

konieczne”. Sędzia wydał się poirytowany.

- Panie Blaine - odburknął. - Dobrze wiem, że ta sprawa wiele dla nich znaczy, podobnie jak dla wszystkich, którzy kierują wnioski do tego sądu.

Zajrzał do kalendarza i ogłosił, że wyda decyzję w poniedziałek.

Później pan Blaine powiedział, że to bardzo dobrze i niezwykle szybko, a ja pojechałam do domu czekać.

Rozdział 27

Szkoła ma jedną zaletę: kiedy coś w twoim życiu idzie nie tak, zawsze możesz tam pójść, bo w szkole tyle się dzieje, że łatwo zapomnieć o problemach. Oczywiście zamartwianie się przez cały dzień nie jest w moim stylu, ale miałam naprawdę dużo na głowie. Dlatego piątkowa wizyta w szkole, gdzie usłyszałam, jak dziewczyna z siódmej klasy podchodzi do przyjaciółki i mówi jednym tchem: „Nie dostaniemy lunchu i przez całą przerwę mamy zbierać papierki ale masakra no nie?” (co z jakiegoś powodu wydało mi się bardzo zabawne), podziałała na mnie orzeźwiająco.

Szczerze mówiąc, byłam chyba o krok od hysterii, więc każdy drobiazg wydawał mi się szalenie zabawny. Pamiętam dziwne spojrzenia przyjaciół, kiedy śmiałam się do łez po tym, jak ktoś upuścił piłkę na wuefie.

- Wiesz, Ellie, to chyba nie było jakoś specjalnie śmieszne - mówili.

W tamtym tygodniu liceum Wirrawee mogłoby zmienić nazwę na szpital psychiatryczny Wirrawee, bo nie tylko ja sfiksowałam. Gdy zobaczyłam Jeremy'ego po raz pierwszy po naszym rozstaniu, niechcący wydałam cichy dźwięk - jeden z takich, które świadczą o szoku albo zdziwieniu i są właściwe chyba tylko ludziom. Nigdy nie słyszałam, żeby krowa reagowała podobnie, kiedy stoi na pastwisku, żuje paszę, gawędząc z sąsiadką o cenach koniczyny, i nagle zauważa, że jestem tuż za nią.

Pewnie między innymi dlatego innym stworzeniom łatwiej przetrwać w dziczy niż nam, ludziom. Te ciche dźwięki za każdym razem nas zdradzają.

Niespecjalnie miałam wtedy ochotę zmagać się z problemami w związkach, chyba że chodziło o związek z Gavinem. Ale musiałam coś zrobić w sprawie Jeremy'ego. Drastyczne zmiany, jakie w nim zaszły, nadal mnie zadziwiałały: w ciągu jednej rozmowy zmienił się z fajnego, skromnego, silnego i inteligentnego faceta w podłego zazdrośnika.

Kiedy wydałam z siebie ten dźwięk zaskoczenia, zmarszczył brwi, a potem się odwrócił. Był na betonowym placu niedaleko stołówki, przed toaletami dla chłopaków, i

opierał się o słupek. Wyglądał strasznie i stąd moja reakcja. Nie mam pojęcia, czy człowiek jest w stanie zrzucić pięć kilo w ciągu tygodnia, ale jeśli tak, chciałabym się dowiedzieć, w czym tkwi sekret. Nie, nie powinnam sobie z tego żartować, bo naprawdę wyglądał mizernie. Ładne słowo: mizernie. Chyba nigdy wcześniej go nie używałam, mimo że w czasie wojny miałam ku temu wiele okazji. Albo nawet po powrocie z Gavinem z tamtego domu w Havelock. Miałam nadzieję, że nie wyglądaliśmy aż tak źle jak Jeremy, chociaż prawdopodobnie wyglądaliśmy. Nie chodziło tylko o to, że stracił na wadze. Normalnie był schludny i czysty, a teraz wyglądał tak, jakby pożyczał ubranie bezdomnemu i właśnie dostał je z powrotem, i jakby w ostatnie święta Bożego Narodzenia skończył mu się szampon, a on nadal czekał na nową butelkę.

Podeszłam do niego, czując, jak złość, którą wcześniej we mnie wzbudził, szybko opuszcza moje ciało. Bo naprawdę kiepsko wyglądał.

Szybko się odwrócił, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na długą przyjacielską pogawędkę.

- Cześć, Jeremy.

- Chcesz pogadać o naszej ostatniej rozmowie?

- Dobrze by było, gdybyśmy mogli o tym pogadać.

- Widzę, że nie jesteś w nastroju na rozmowę.

- Wszystko w porządku?

- Kiedy lecisz z tatą do Nowej Zelandii?

- Będę za tobą tęskniła.

- Twój tata był świetny na sali sądowej. Myślę, że jego zeznania naprawdę coś dały. Sędzia ma ogłosić decyzję w poniedziałek. Nie wiem, jakie mam szanse. A jutro jest aukcja. Powinnam jechać do domu i się do niej przygotować.

Tak, dobrze to ujęłam. Powinnam była siedzieć w domu i przygotowywać się do aukcji. Ale bez Gavina czułam się tam zbyt samotna. Powoli odeszłam od Jeremy'ego, speszona tym, że ludzie przystawali obok, przysłuchiwali się moim próbom nawiązania rozmowy i gapili się na nas jak na interesujące okazy w zoo. Poszłam poszukać Bronte i Homera, żeby spytać, czy nie moglibyśmy się urwać w czasie przerwy na lunch. Obiecali, że pomogą mi w ostatnich przygotowaniach do aukcji, ale Homer chciał pójść na matkę, więc poszłam razem z nim, a potem tego żałowałam, bo tylko sobie uświadomiłam, jak wielkie mam zaległości i jak mało rozumiem. Jeśli chodziło o szkołę, zostały mi dwa wyjścia: albo powtarzać rok, albo starać się zdać na specjalnych warunkach. Albo w ogóle zrezygnować ze szkoły - to było chyba trzecie wyjście.

Po przyjeździe do domu zaczęłyśmy z Bronte małe porządki na podwórzu, a Homer odkurzył w środku. Czułam się zaszczycona, pieląc ze Szkarłatnym Pryszczem. Wyznałam to Bronte, a potem spytałam ją o Jeremy'ego.

- Raczej nie czuje się najlepiej - powiedziała. - Opuszcza mnóstwo lekcji i z nikim nie rozmawia. Z tego, co słyszę, z tobą też nie.

Biedaczysko.

- Jak myślisz, co się z nim dzieje?

- Nie wiem. Chyba ma depresję. Dużo ludzi na nią choruje.

Widocznie jest bardzo zaraźliwa. Powinnaś była włożyć maskę, kiedy z nim rozmawiałaś.

- Ha, ha, bardzo śmieszne - odparłam odruchowo.

- Jak to możliwe, że nie masz depresji po tym wszystkim, co cię spotkało? - zapytała.

- Żartujesz? Ciągle mam depresję. W tej chwili z powodu Gavina.

Ale nie, wiem, o co ci chodzi, nigdy nie chorowałam na prawdziwą depresję. Byłoby okropnie czuć się tak jak Jeremy. Nie wiem, czemu mnie to omija. Chyba niektórzy ludzie są skonstruowani inaczej niż reszta.

- Jestem pewna, że chodzi o coś więcej.

- Tak... może o to, że rodzice dali mi naprawdę dużo siły. Zawsze uważałam, że prędzej czy później dam sobie radę ze wszystkim, co mnie spotka. Jasne, przez jakiś czas czuję ból, nawet konam z bólu, ale zawsze wiem, że zdołam przez to przejść.

- Światelko w tunelu.

- Tak, banał, ale to prawda. A teraz zajmijmy się okrągłym ogrodem.

Gdy wzięłyśmy małe pazurki i zdjęłyśmy rękawiczki, wróciłam do tematu:

- Kiedyś rozmawiałam z jedną dziewczyną o tao, niezła sprawa.

- Tak, opowiadałaś mi. Miałam o tym poczytać, ale zapomniałam.

- Poza tym wiem, że prędzej czy później emocje się zmieniają, więc kiedy mam doła, też staram się o tym pamiętać.

- Jak to?

- No wiesz, inaczej mówiąc, nie da się przepowiedzieć przyszłości na podstawie emocji. Więc jeśli jest piątek i mamy piątą po południu, tak jak teraz, a o szóstej mam biegać, co, nawiasem mówiąc, jest całkiem niezłym pomysłem i możesz się przyłączyć, to na razie nie ma sensu jęczeć i mówić: „Oj, nie chce mi się biegać, jestem taka zmęczona i będzie tak ciężko”, bo nie wiem, jak się będę czuła o szóstej. Może za minutę szósta zaskoczy mnie nagły przypływ energii i uznam, że mała przebieżka to najlepszy pomysł na świecie.

- Ale równie dobrze możesz być zupełnie wyczerpana i uznać, że bieganie to ostatnia rzecz, na jaką masz ochotę.

- Jasne. I w takim razie pewnie nie pójde biegać. Albo pójde, tylko jeśli uznam, że naprawdę powinnam. Bo właśnie tak zrobię. Więc czasami emocje ścierają się z obowiązkami, z logiką albo z tym, czego naprawdę potrzebujesz. Dam ci lepszy przykład.

Aukcja jest jutro o trzeciej i mogłabym mieć teraz straszego doła. Ale powtarzam sobie: „Słuchaj Ellie, nie masz pojęcia, co będziesz czuła, kiedy to się faktycznie zacznie, więc może lepiej zaczekaj z dołowaniem się”.

- Ale na pewno masz świadomość, że niektóre doświadczenia dołują cię bardziej niż inne - powiedziała Bronte. - Oczywiście nie chcę cię teraz dołować, ale chyba są małe szanse, że jutro będziesz skakała z radości.

- Wiesz, nie byłabym tego taka pewna - odparłam. - Mądrość Szkarłatnego Pryszcza jest wielka, ale nawet on czasem się myli. Bo w sumie podejrzewam, że mogłabym poczuć coś zbliżonego do ulgi. Po prostu jestem za młoda, żeby prowadzić gospodarstwo. Nie chodzi o to, że robię mnóstwo błędów, wszyscy je robią, zdarzały się nawet mojemu tacie, a żaden z moich nie był fatalny w skutkach. Pewnie całkiem nieźle sobie radziłam, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności. Ale nie ma we mnie jeszcze tych niezbędnych emocji. Jak już wspomniałam, rodzice dali mi dużo siły, a życie dorzuciło jej jeszcze więcej, ale czegoś wciąż mi brakuje. Nawet nie umiem tego nazwać. To coś w rodzaju umiejętności długotrwałego niesienia dużego ciężaru na własnych barkach. Umiem unieść całkiem sporo i taszczyć duży ciężar na krótki dystans, ale nie jestem jeszcze gotowa, żeby go ciągnąć w pojedynkę przez lata. Pewnego dnia będę gotowa. Zresztą jeśli wygram w sądzie, czeka mnie coś podobnego z Gavinem. Szczerze mówiąc, trochę się boję, ale i tak nie umiem sobie wyobrazić, że moglibyśmy wygrać tę sprawę, więc być może w ogóle nie będę się musiała tym przejmować.

Po mojej długiej przemowie przez jakiś czas pieliliśmy w milczeniu.

Potem wzięliśmy sterty ostu, szczawiu i Bóg wie czego jeszcze i zawiozłyśmy je pikapem na wysypisko. Wysypisko, które pojutrze miało należeć do kogoś innego. Ktoś inny miał patrzeć na wyrzucone opakowanie po naszym życiu. Gdy wymiatałam z paki ostatnie chwasty, Bronte oparła się na grabiach i spojrzała na mnie.

- Dalej jesteś zakochana w Jeremym? - spytała.

- Nie, chyba nie. Ale nie dlatego, że ma problemy psychiczne. Bo ja wiem. Chyba w ogóle nie byłam w nim aż tak zakochana.

- Ale jesteś zakochana.

Zastanowiłam się. Tak, byłam zakochana. Cały czas. Po prostu przez chwilę tego nie zauważałam. Cała Bronte. Była najmądrzejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam. Wiedziała wszystko.

- On też cię kocha - powiedziała.

- Tak myślisz?

- Ja to wiem.

- Mówił ci?

- Nie wprost. Ale kiedy o tobie opowiada, zwłaszcza o tym, co razem przeszliście w czasie wojny, wygląda, jakby rozsadzała go miłość.

On cię ubóstwia.

- Wow. Wow. Jesteś pewna? Wow.

Wsiadłyśmy do samochodu i pojechałyśmy z powrotem. Na szczęście pikap znalazł drogę i nie musiałam nim kierować. Gdybym musiała, pewnie wylądowałybyśmy na Uluru.

Rozdział 28

Obudziłam się skoro świt. No, w każdym razie wcześnie. Bronte u mnie przenocowała, a Lee i Homer zjawili się na śniadanie. Fi przyjechała koło dziesiątej, więc mieliśmy czas, żeby sporo zrobić, mimo że ciągle coś nam przeszkadzało. Wiedziałam, że bez względu na to, jak długo byśmy pracowali, gospodarstwo i tak nie wyglądałoby idealnie. Musiałam się z tym pogodzić.

Fi przywiozła mnóstwo kwiatów, bo w ogrodzie było ich niezbyt dużo w porównaniu z okresem, kiedy dbała o niego moja mama. Fi zaczęła wkładać kwiaty do wazonów i ustawiała je w całym domu. Homer i Lee utknęli w warsztacie, w którym jeszcze trochę poukładali, a ja i Bronte sprzątnęłyśmy po śniadaniu. Potem skosiłam trawnik, a ona przycięła trawę wokół kopców dla psów. Fi zaczęła piec babeczki, żeby podczas ostatniej prezentacji w domu unosił się ładny zapach. Nie każdy potrafi zapanować nad naszym piecem, ale jej przychodziło to z łatwością.

Marmie biegała wokół nas i plątała się pod nogami, a ja starałam się pilnować, żeby nie zostawiła gdzieś niespodzianki.

Po raporcie Madeleine byłam bardzo wyczulona na psy robiące coś, czego nie powinny robić. No, w każdym razie w miejscach, w których nie powinny tego robić.

Przynajmniej aukcja i przygotowania do niej odciągały moje myśli od Gavina. Nie widziałam go od czwartku i zapowiedziałam, że dzisiaj też raczej nie będę w stanie się z nim spotkać, chyba że aukcja szybko się zakończy. Domek, w którym go ulokowali, wyglądał nie najgorzej i inne dzieci były podobno w porządku, lecz zauważyłam, że wszystkie są od niego starsze i Gavin trzyma się na uboczu. Mówił, że jedzenie jest do dupy, ale on zawsze tak mówi, czasem nawet o moich daniach. Choć przyznaję, że nie zawsze są idealne.

Mieliśmy za sobą parę dni otwartych dla potencjalnych nabywców, którzy przyjeżdżali obejrzeć gospodarstwo, a Jerry Parsons prawie codziennie przywoził ludzi na własną rękę, więc tak naprawdę wcale nie było bałaganu. O wpół do drugiej znowu mogli

zacząć się rozglądać, więc do tego czasu musieliśmy się wyrobić. To było takie przykre: ci wszyscy obcy ludzie łączyli po całym gospodarstwie i głośno komentujący twoje dokonania. Ale tak to już jest i wiedziałam, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, nigdy więcej nie będę musiała się tym przejmować.

Pan Parsons był super, zjawił się około południa z synem i córką, którzy zabrali się na przejażdżkę. Przywieźli nawet własny lunch. Justina znałam ze szkoły. Był w porządku, lubił zajęcia na świeżym powietrzu i chciał zostać rolnikiem. Zakasali rękawy i pomogli nam, przenosząc stertę blachy falistej, którą nie zdążyliśmy się zająć. Nie wiem, ile węży pod nią znaleźli, ale parę na pewno. Ludzie zaczęli się zjeżdżać przed czasem, mniej więcej piętnaście po pierwszej. Jerry Parsons ustawił przy bramie asystenta, z którym kontaktował się przez krótkofalówkę, ale w końcu przed bramą urosła taka kolejka, że asystent nie mógł dłużej zwlekać i wpuścił wszystkich do środka. Z daleka wyglądało to jak niekończący się konwój. Nie miałam pojęcia, że w Wirrawee mieszka aż tyle osób. Ale nic tak nie przyciąga jak aukcja. Ludzie uwielbiają aukcje, chyba tylko z wyjątkiem tych dotyczących ich własnego majątku, bo ja jakoś nie byłam zachwycona.

Cieszyłam się, że Gavin nie musi tego oglądać. Dzięki Fi jego pokój jeszcze nigdy nie był tak wysprzątany i Gavin pewnie by go nie poznał.

W ciągu popołudnia przewinęło się przez niego ze trzysta osób. Homer żałował, że nie sprzedajemy biletów. Zachowywał się super i nie odstępowałam go na krok. Lee trzymał się z boku. Nie czuł się najlepiej w takich klimatach.

Zauważałam mnóstwo znajomych - wśród nich także takich, których nie widziałam od lat. Zjawili się rodzice Homera, potencjalni nabywcy i oczywiście moi prawni opiekunowie. Ale faktycznie, jak zauważyła pani Randall, nie poświęcali zbyt wiele czasu tej drugiej roli. Byli też wszyscy pozostali sąsiedzi: państwo Young, których pokochałam jak drugą rodzinę, Lucasowie, Nelsonowie (równie okropni jak pan Rodd), pani Rowntree z Tary wraz z nowym mężem, treserem koni. Właśnie przekształcali swoje gospodarstwo w stadninę. Była młoda Tammie Murdoch, równie szalona jak jej babcia. Niedawno odziedziczyła rodzinne gospodarstwo. Była Jodie Lewis z Wirrawee, która wieki temu wpadła pod samochód, a potem spędziła wieki w szpitalu i nadal nie odzyskała pełni zdrowia, mimo że znowu mogła chodzić. Byli państwo McPhail i ich syn Randall, kawał ćwoka, który dalej mieszkał z rodzicami i na nich pasożytował. Był Col McCann. Miałam okropne poczucie winy w

związku z jego bykiem.

Zastanawiałam się, czy zawiózł go do rzeźni. Nigdy mi nie wspomniał o dwóch martwych mężczyznach, a ja nie pytałam. Był pan Roxburgh z Gowan Brae, jeden z najlepszych rolników w okręgu. Była pani Leung, której mąż poległ na wojnie. Był pan Jay, który miał z dziewięćdziesiąt pięć lat, ale w ciągu pięciu ostatnich nie postarzał się nawet o jeden dzień i teraz był już przekonany, że będzie żył wiecznie. Był Sal Grinaldi, który koniecznie chciał mi opowiedzieć jakiś kawał, pan George Cavendish z żoną Morrie narzekający na deszcz oraz mój dobry kumpel Jack Edgecrobme. Przyjechali nawet Kingowie ze wzgórz.

Jednocześnie zjawilo się tyle obcych ludzi - którzy w zasadzie tworzyli większość tłumu - że z jeszcze większą siłą zdałam sobie sprawę ze zmian, jakie zaszły w okolicy. Stare czasy minęły, to pewne, a po tym dniu miały minąć jeszcze bardziej.

Nie wiem, ile osób naprawdę zastanawiało się nad kupnem gospodarstwa. Możliwe, że żadna. Wcale bym się nie dziwiła.

Niewykluczone, że w ten weekend farma Lintonów była największą atrakcją turystyczną w okręgu Wirrawee i wszyscy zjechali się wyłącznie w celach rozrywkowych.

Koło gospodyń wiejskich smażyło kiełbaski na lunch. Przynajmniej nie musiałam za to płacić.

Aukcja zaczęła się z dziesięciominutowym poślizgiem. Jerry Parsons poradził, żebym zaczekała w domu, ale to było ponad moje siły, więc wspierałam się na najniższą gałąź starego dębu po drugiej stronie podjazdu.

W dzieciństwie spędziłam tam wiele godzin, a teraz, z ręką na głowie stojącego niżej Homera, w napięciu obserwowałam i słuchałam, jak pan Parsons zwołuje ludzi.

Nie pamiętam wszystkiego, co mówił, ale dużo uwagi poświęcił sławie mojego gospodarstwa, podkreślając, że to jedna z najlepszych farm w okręgu, „stworzona z miłością i prowadzona przez kolejne pokolenia rodziny Lintonów”, wzbogacana o udogodnienia obejmujące między innymi „ten piękny dom za moimi plecami, któremu z pewnością już się państwo przyjrzel, oraz bardzo przestronny warsztat i szopę do strzyżenia owiec, jedną z najstarszych w okręgu i uznaną przez National Trust za obiekt o wartości historycznej, a także

ładne nowe zagrody dla bydła, które niedawno zostały ukończone”. Mnóstwo z tych rzeczy przeczytał z broszury.

W końcu nadszedł czas. Supel w moim żołądku zacisnął się jeszcze mocniej. Naprawdę nie miałam pojęcia, ile osób będzie uczestniczyło w aukcji. Jerry Parsons powiedział, że cztery oglądały gospodarstwo co najmniej trzykrotnie, a poza tym byli oczywiście sąsiedzi, którym wystarczyła najwyżej jedna wizyta. Jerry zastrzegł jednak, że może nie być chętnych.

- Nigdy nie wiadomo - powiedział. - Zawsze powtarzam ludziom, żeby nie robili sobie wielkich nadziei.

Duża część mnie byłaby całkiem zadowolona, gdyby nikt nie przystąpił do licytacji, pozwalając mi uniknąć wyprowadzki, ale wiedziałam, że to kiepski pomysł. Zresztą już podjęłam decyzję, a to chyba oznaczało, że pożegnałam się z domem. W głębi serca. Po czymś takim trudno zawrócić.

- A teraz pora, żebyście zrobili to, po co tu przyjechaliśmy! - zawołał pan Parsons. Zaczynał się rozkręcać. - Czyli podnieśli rękę, jeśli chcecie dać sobie szansę na zostanie nowymi właścicielami tego pięknego gospodarstwa. Pierwszymi nowymi właścicielami od blisko wieku. Taka nieruchomość trafia się mniej więcej raz na sto lat.

- Mówi to co tydzień - szepnęła Polly Addams po mojej prawej stronie i kilka osób się roześmiało.

Siedziałam ze spuszczoną głową.

- Jeśli licytujecie, licytujcie dobrze. Nie wstyďte się. Podnoście rękę tak, żebyśmy ją widzieli. A teraz proszę o ofertę, od której będę mógł zacząć. Ile oferujecie, panie i panowie? Ile mi dacie za tę cudowną posiadłość razem z jej wszystkimi udoskonaleniami? Kto zacznie? No, proszę, czy ktoś da milion? Kto da milion? Bo chyba ktoś jest gotów zaproponować milion?

Wyczekiwanie było okropne. Wszyscy patrzyli w ziemię i tylko dzieci rozglądały się

na wszystkie strony, licząc, że zauważą czyjaś uniesioną dłoń. Może dorośli bali się nawiązać kontakt wzrokowy z ludźmi prowadzącymi aukcję, żeby nie potraktowano tego jak oferty kupna?

Nie zauważyłam, żeby ktoś się poruszył albo odezwał, ale nagle Jerry Parsons powiedział:

- Osiemset tysięcy? W porządku, na początek przyjmę osiemset tysięcy. To bardzo mało, ale zgoda. Przyjechaliśmy tu po to, żeby dobić targu, panie i panowie, więc proszę śmiało licytować. Widzę osiemset pięćdziesiąt? Tak, po prawej.

- Dziewięćset - zawołał ktoś niedaleko mnie i aukcja ruszyła z kopyta.

- To był pan Rodd - szepnął Homer.

Poczułam, jak pałą mnie policzki.

- Nie ma mowy!

Za nic w świecie nie zamierzałam sprzedać gospodarstwa panu Roddowi!

Ale aukcja nabrała rozpędu i oferty padały ze wszystkich stron - dosłownie. Doszły do miliona dwustu, potem zwolniły, aż w końcu zauważyłam, że licytują tylko trzy osoby. Trudno było powiedzieć, co się dzieje. Żeby prowadzić aukcję, trzeba mieć oczy dookoła głowy. Potem jedna osoba odpadła i nagle licytacja zaczęła się ślimaczyć. Podbijano cenę o dwadzieścia pięć tysięcy, potem o dziesięć.

- Będziesz milionerką - mruknął Homer.

- Większość zabierze bank. Twoi rodzice też licytują?

- Obserwuję ich. Tata parę razy machnął ręką, ale zauważyli go chyba tylko raz. To dla nas za wysokie progi.

Cena doszła do miliona trzystu osiemdziesięciu tysięcy. Jednym z licytujących był mężczyzna w brązowej marynarce i niebieskim krawacie, a drugim facet w garniturze stojący na skraju tłumu. Nie znałam żadnego z nich, ale nagle zauważyłam, że obok mężczyzny w garniturze stoi Don Murray, jakby mu doradzał. Zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie ten chirurg plastyczny, który jest właścicielem zarządzanego przez Dona gospodarstwa Blackwood Springs. Pewnie miał sporo kasy.

Wcześniej Jerry powiedział, że półtora miliona byłoby dobrą sumą, i poradził, żebym sprzedała, nawet jeśli ktoś zaoferuje milion czterysta, więc wyglądało na to, że gospodarstwo zmieni właściciela.

- Cieszę się, że nie kupujemy twojej farmy - odezwał się nagle Homer. - Byłoby dziwnie. To twój dom. Źle bym się czuł, łącząc po nim.

Nie odpowiedziałam, bo nie miałam pojęcia, jak na to zareagować.

W końcu odparłam tylko:

- Dobrze, że pan Rodd odpadł.

Wyglądało na to, że farma pójdzie za milion trzysta osiemdziesiąt.

Jerry Parsons wymachiwał ręką jak niewyważony wiatrak ramieniem, powtarzając:

- Ostatnia szansa! Jeśli nie ma więcej ofert, sprzedam dzentelmanowi stojącemu pod orzechem. Milion trzysta osiemdziesiąt po raz pierwszy, po raz drugi, za chwilę sprzedam, uczciwie ostrzegam, panie i panowie, milion trzysta osiemdziesiąt po raz trzeci i sprze...

- Milion czterysta! - zawołał pan Rodd.

Młotek zastygł w powietrzu. Pan Parsons spojrział na pana Rodda.

- W ostatniej chwili, Max - powiedział, a potem natychmiast wrócił do zwykłego trybu aukcyjnego, krzyżąc: - Mamy milion czterysta, panie i panowie, od razu lepiej, nowa oferta wynosi milion czterysta i od tej chwili można podbijać o pięć tysięcy, może pan, proszę pana, wystarczy zaledwie pięć tysięcy więcej, żeby zabezpieczyć sobie tę wspianą nieruchomość

w doskonałym stanie, ale dającą jeszcze wielkie pole do dalszych udoskonaleń, byłby z niej fantastyczny pensjonat albo zajazd...

I tak dalej, i tak dalej. Czułam jednak, że z ludzi zesłała para i wygra pan Rodd. Zrobiło mi się słabo. Czy mogłam wycofać nieruchomość z aukcji tylko dlatego, że nie lubiłam pana Rodda? Gdybym to zrobiła, przeprowadzka z Gavinem do miasta jeszcze bardziej odwlekałaby się w czasie. Co było ważniejsze: Gavin czy gospodarstwo? Już odpowiedziałam na to pytanie.

Zsunęłam się z drzewa i odeszłam, nie chcąc na nikogo patrzeć i buntując się przeciwko myśli o panu Roddzie spacerującym w naszym domu, przesiadującym w naszej kuchni i śpiącym w sypialni moich rodziców. Czułam się tak, jakbym połknęła dużą ilość mokrego krowiego łajna.

Kilka kroków dalej dotarłam do zegara słonecznego i spojrzałam przez ogród na leżące dalej pola. Chyba w większości gospodarstw można spotkać taką granicę jak w naszym, gdzie kończy się schludny cywilizowany ogród pełen malw, róż i hortensji, a zaczyna naga australijska wieś. W zasadzie te ogrody są trochę zabawne. Granica wydaje się taka wyraźna. Tutaj jedno, tam drugie. Jakbyś był w domu, tyle że takim bez ścian, a potem nagle wychodził na zewnątrz i stawał naprzeciw popękanej ziemi, żółtej i brązowej trawy, lekko spłowiiałych eukaliptusów i bydła koloru ochry. Przez chwilę próbowałam zapytać rodziców, co powinnam zrobić. Liczyłam na jakąś paranormalną wizję.

Błagałam ich, żeby wyłonili się z doliny i przyfrunęli do mnie ze słowami mądrości: „Let it be” - co ma być, to będzie. Zaraz, zaraz, to nie moi rodzice. To piosenka. Ale jednocześnie zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę nie potrzebuję rodziców, bo odpowiedź już tkwi w mojej głowie.

Dzięki Beatlesom. Jasne, byłoby miło, gdyby rodzice się zjawili i je wypowiedzieli, ale wiedziałam, co chciałabym od nich usłyszeć. „Co ma być, to będzie, poddaj się losowi, niech to minie, ten etap twojego życia dobiegł końca, teraz musisz się zmierzyć z kolejnym, myśl o przyszłości”.

Gdzieś daleko z tyłu słyszałam niewyraźne pokrzykiwanie Jerry'ego.

Wyglądało na to, że aukcja jeszcze nie dobiegła końca. Zawróciłam i ruszyłam na skraj podwórza.

- Półtora miliona! - zawołał pan Parsons. - Półtora miliona. Macie mi coś jeszcze do powiedzenia? Jeśli tak, usłyszmy to. Sprzedam, sprzedam to gospodarstwo. Półtora miliona po raz pierwszy, po raz drugi, nie odchodźcie przepelnieni żalem, panie i panowie, ostatnia szansa, półtora miliona po raz trzeci, uczciwie ostrzegam... Sprzedane! - Rozległo się uderzenie młotka. - Sprzedane za półtora miliona, gratulacje! Nabył pan doskonałą nieruchomość. Dziękuję wszystkim za przybycie...

Gdy na koniec zareklamował swoją następną aukcję, zaczęłam się rozpaczliwie rozglądać. Gdzie się podział Homer? Gdzie była Fi? Bronte?

Lee? Nikomu innemu nie mogłam zadać najważniejszego pytania: kto kupił moje gospodarstwo? Za głupio bym się czuła. Ruszyłam w stronę domu i natknęłam się na Bronte. Kurczowo się jej złapałam.

- Kto wygrał? Kto wygrał?

- Boże, nie wiem, skąd miałabym wiedzieć? Nie znam nazwisk tych wszystkich ludzi.

- Gdzie Homer?

- Nie jestem pewna. Zaczekaj, widzę Lee.

Lee podszedł i wziął mnie za rękę.

- Wiesz, kto wygrał aukcję? - spytałam.

- Tak, tata bliźniaków. Pan Young.

- O, dzięki Bogu. Jesteś pewny?

- Tak. Ten drugi, Rodd, dość ostro licytował, ale pan Young cały czas kiwał ręką, jakby cena nie grała roli, i w końcu Rodd dał za wygraną.

- Co za ulga.

Trochę się odprężyłam, przytuliłam się do Lee i poczułam, jaki jest spięty, ale po chwili on też odetchnął. Wypełniła nas nagła radość - poczułam ją zarówno w nim, jak i w sobie. Ucisnął mnie. Jego napiętość, która tak długo się tliła, była gotowa rozbłysnąć żywym płomieniem, a gdy chodziło o Lee, stawałam się bardzo łatwopalna.

- Hej, ostrożnie - wtrąciła się Bronte. - Zbliża się Homer.

- No i? - zapytałam z szerokim uśmiechem.

- No wiesz, chłopak, w którym się kochasz. Ten, który kocha się w tobie.

- Homer? Chyba żartujesz. To o nim wtedy mówiłaś? O Homerze?!

Nie mogłam uwierzyć, że Szkarłatny Pryszcz aż tak się pomylił.

- Bronte, oszalałaś?! Ja kocham Lee!

Rozdział 29

SĄD RODZINNY: ORZECZENIE WYDANE PRZEZ SĘDZIEGO CULLENA W SPRAWIE LINTON PRZECIWKO WYDZIAŁOWI ODPOWIEDZIALNOŚCI SPOŁECZNEJ

Powódka zwraca się o wydanie orzeczenia przyznającego jej prawo do opieki nad niepełnoletnim, mimo że sama pozostaje pod prawną opieką osób trzecich i jest niepełnoletnia. Wniosek taki w oczywisty sposób skłania do postawienia pytań związanych z dojrzałością i odpowiedzialnością powódki, na które próbowała ona odpowiedzieć na trzy sposoby. Po pierwsze, powódka twierdzi, że jej wiek nie ma znaczenia i że sąd jest uprawniony do rozpatrzenia jej predyspozycji w oparciu o zalety jej charakteru. Wysuwając ten argument, powódka nawiązała do spraw: Grant przeciwko Breadsell, w której Sąd Najwyższy orzekł, że przyznanie szesnastolatce opieki nad żłobkiem samo w sobie nie było dowodem zaniedbania; Ruppy przeciwko uniwersytetowi w Dalby, w której Sąd Najwyższy zobowiązał uniwersytet do przyjęcia czternastolatki na Wydział Lekarski; i na dwóch orzeczeniach wydanych przez ten sąd po wojnie w sprawach Macalister i David, w których zezwolono niepełnoletnim rodzicom na adopcję.

Niemniej jednak w sprawie Macalister powódka była ciotką dziecka, a w sprawie David wniosek skierował starszy brat zmarłej piętnastoletniej matki. Co więcej, w pierwszym wypadku dziecko miało cztery miesiące, a w drugim dziesięć miesięcy.

Adwokat powódki powołuje się na uwagi sformułowane przez sędziego O'Masseya w sprawie Grant przeciwko Breadsell, w której ów uznany prawnik orzekł, że „czasami wiek strony bywa najmniej istotny dla oceny dojrzałości, a odwołanie się do wieku metrykalnego może oznaczać dyskryminację”. Następnie w sprawie David sędzia Chen wyraziła zadowolenie, że siedemnastoletni brat zmarłej matki wykazał w sądzie znacznie większą dojrzałość niż jego rodzice, którym Wydział Odpowiedzialności Społecznej początkowo powierzył opiekę nad dzieckiem, oraz dodała, że „nie ma powodu zakładać, że wiek zawsze wiąże się z mądrością; poczucie odpowiedzialności nie jest wyłączną domeną osób powyżej osiemnastego roku życia, a sędzia ma prawo czerpać z własnego doświadczenia życiowego,

uznając, że sama młodość nie wyklucza dobrego rodzicielstwa”.

Po drugie, powódka twierdzi, że elastyczność, jaką po wojnie wykazują sądy w tego rodzaju sprawach, powinna zostać zastosowana także wobec niej oraz że inne możliwości stwarzane dziecku będącemu obiektem tego postępowania cechują się niską jakością, uprawniając do uznania wniosku powódki za lepszą opcję.

To bez wątpienia prawda, że po wojnie wiele sądów, jeśli nie wszystkie, potrzebuje nowego, kreatywnego i elastycznego podejścia, co odzwierciedlają decyzje podjęte w sprawach Macalister i David. Wojna osierociła wiele dzieci, a gwałtowny wzrost kosztów utrzymania i towarzyszące mu ograniczenie przestrzeni życiowej dostępnej większości ludzi wywierają ogromną presję na urzędy zajmujące się adopcją i opieką zastępczą. Sądy, przynajmniej w opinii tego sądu, zareagowały zarówno właściwie, jak i pomysłowo. Choć według powódki różne możliwości stworzone przez państwo z myślą o dzieciach, których nie można umieścić w rodzinie, bywają niezadowolające, podlegają one bardzo surowym regulacjom prawnym, są często poddawane kontroli i oferują ogromną korzyść, gdyż dzieci przebywające pod taką opieką znajdują się w przejrzystej sytuacji, nie zagraża im przemoc, a ich zdrowie fizyczne i psychiczne jest odpowiednio pielęgnowane i monitorowane. Wiele przemawia na korzyść takich rozwiązań i porównywanie przedmiotowych instytucji do placówek z innej epoki jest dla nich krzywdzące. Oliver Twist i sierotka Annie są tam, gdzie ich miejsce, na półkach bibliotek, i nie należy porównywać ich sytuacji do obecnych warunków stwarzanych dzieciom, które aktualnie znajdują się pod opieką naszego państwa.

Po trzecie, powódka zwraca się do sądu o uwzględnienie jej niezwyklej doświadczeń życiowych, jej imponującego zakresu umiejętności nabytych dzięki pracy na farmie oraz jej działalności w czasie wojny, jak również jej osobistych zalet i atrybutów. Ponadto twierdzi ona, że okoliczności, w jakich poznała przedmiotowe dziecko, stworzyły między nimi szczególną więź, która stanowi o wyjątkowości ich relacji, co wyraźnie kwalifikuje ją do podjęcia roli rodzica chłopca.

Sąd wysłuchał licznych świadków, w tym generała Erica Finleya z nowozelandzkiej armii. Zeznawali oni w sprawie charakteru Ellie Linton i nie ma wątpliwości, że to wyjątkowa młoda kobieta, która wykazała się ogromną odwagą w czasie wojny oraz po niej, gdy musiała się zmierzyć z przerażającą śmiercią swoich rodziców. Następnie najlepiej, jak umiała,

opiekowała się przedmiotowym dzieckiem i sąd z zadowoleniem stwierdza, że dziecka nie spotkała z jej strony żadna krzywda. Istnieją słuszne powody, by przypuszczać, że pomogła mu na wiele sposobów i że mógłby być w znacznie gorszym stanie, gdyby nie poświęciła mu tyle czasu i energii. Łącząca ich relacja, choć niezwykła i być może spotykana wyłącznie w wyjątkowych okolicznościach, takich jak wojna, wydaje się autentycznie silna i oparta na miłości.

Przejdę teraz do kwestii orzeczenia w sprawie przyznania opieki prawnej nad samą powódką. Przeczytawszy ustawę o opiece społecznej z 2007 roku, zgadzam się z obydwoma mecenasami, że wspomniane ustawodawstwo w żaden sposób nie odnosi się do tego typu przypadków.

Być może to zaskakujące, ale ustawodawca nie przewidział takiej sytuacji, jaką przyszło mi się zająć. Na pierwszy rzut oka wydaje się jednak rozsądne i sensowne uznać, tak jak uczynił mecenas reprezentujący Wydział, że osoba będąca pod czyjąś opieką prawną nie może być prawnym opiekunem osoby trzeciej. Istotą przyznania opieki prawnej jest to, że osobę objętą taką opieką uznaje się z jakichś powodów za niezdolną do zadbania o siebie, a zatem nie można oczekiwać, że będzie ona zdolna do zadbania o kogoś innego.

Jednocześnie sąd musi uwzględnić realia. Na przykład to, że młodzi ludzie znajdujący się pod czyjąś opieką prawną wyłącznie ze względu na swoją niepełnoletność mogą po ukończeniu osiemnastego roku życia zostać uznani za osoby, które osiągnęły wiek, w jakim należy je traktować jako osoby dorosłe. Wówczas stosowne okazuje się uznanie ich większej niezależności i dojrzałości. Wydział z pewnością jest świadom, że opieka prawna nad młodymi osobami w wieku szesnastu lub siedemnastu lat, wyjąwszy osoby niepełnosprawne, często ma niewielkie znaczenie praktyczne, chyba że wiąże się także z funduszami powierniczymi.

Zdaję sobie sprawę, że decyzja, którą dzisiaj podejmuję, może być przywoływana jako precedens, jeśli w przyszłości sąd będzie rozpatrywał podobną sprawę, ale cieszę się, że z uwagi na dojrzałość powódki decyzja o wyznaczeniu jej opiekunów prawnych nie musi stanowić przeszkody dla przyznania jej prawa do opieki nad dzieckiem wraz ze wszystkimi nieodzownymi obowiązkami.

Zatem rozważywszy wszelkie kwestie poruszone w tej sprawie, proponuję decyzję,

która może wywołać zaskoczenie i debatę społeczną, ale siedzę na tej sali sądowej blisko trzy dni i zapoznałem się z ogromną liczbą dowodów. Adwokat powódki z właściwą sobie mocą i siłą przekonywania dowodził, że sądy nie mogą być ograniczane sztywnym i staromodnym podejściem do rodziny i że wybuch wojny musi z konieczności prowadzić do uznania przez sądy nowych konfiguracji, których nie brano by pod uwagę przed wojną. Nawiązałem do tego już wcześniej. Jestem przekonany, że w tym wypadku twórcze podejście do dobrostanu chłopca, którego jedyną żyjącą krewną jest młodsza siostra wychowywana przez rodzinę zastępczą, okaże się w pełni uzasadnione.

Bo co jest celem prawa? To środek umożliwiający nam wspólne życie. Nic więcej. Młodym i starym, bogatym i biednym, ludziom o różnym kolorze skóry, mężczyznom i kobietom: dzięki prawu wszyscy możemy doświadczać życia, nie ulegając prymitywnym impulsom chciwości, strachu i uprzedzeń oraz nie będąc obiektem prymitywnych impulsów innych ludzi. Prawo dąży do zapobiegania problemom albo, jeśli już wystąpiły, do rozwiązywania ich w sposób sprawiedliwy dla wszystkich. Uznaje, że przeszłość można jedynie wspominać, nie sposób jej jednak zmienić. Ale w takim stopniu, w jakim to możliwe, prawo dąży do przywrócenia nas wszystkich do stanu, w którym się znajdowaliśmy, zanim niesłusznie narzucono nam zmianę.

Nie możemy zwrócić tego młodego człowieka rodzicom. Stworzył on jednak relacje rodzinne tam, gdzie uznał za słuszne, i najwidoczniej nie dzieje mu się w związku z tym krzywda, a raczej, zgodnie z dowodami dostarczonymi przez wielu świadków, których wysłuchałem w tej sali sądowej, wyszło mu to na dobre. Ani on, ani jego opiekunka nie są ciężarem dla społeczeństwa, lecz wnoszą do niego cenny wkład. Dom, jaki stworzyli, mimo że zagrożony działaniami terrorystów, wydaje się domem szczęśliwym, a jego mieszkańcy nie wadzili sąsiadom. I używam tu słowa „sąsiedzi” zarówno w sensie abstrakcyjnym, jak i dosłownym.

W związku z powyższym wyciągam następujące wnioski: obydwoje rodzice tego dziecka nie żyją; z uwagi na brak innych krewnych i odpowiednich osób opieka nad nim staje się zatem obowiązkiem państwa, a państwo najlepiej wywiąże się z powierzonego mu zadania, wyznaczając na matkę zastępczą obecną tu powódkę. Niniejszy nakaz pozostanie w mocy do ukończenia przez powódkę dwudziestu jeden lat, w której to chwili będzie ona mogła złożyć wniosek o adopcję, jeśli wyrazi wówczas takie życzenie i uzna to za stosowne.

Ponadto nakazuję, by powódka wyraziła zgodę na następujące warunki: po pierwsze, aby środowisko, w jakim będzie wychowywane dziecko, było jak najbezpieczniejsze, co wymaga wyprowadzenia się z gospodarstwa, z którego zostało ono uprowadzone, oraz aby zamieszkała ona w Wirrawee albo w Stratton, co wskazała już jako swój zamiar. Należy to uczynić w ciągu dziewięćdziesięciu dni od wydania niniejszego nakazu. Po drugie, urzędnicy Wydziału Odpowiedzialności Społecznej będą składali regularne wizyty celem kontroli warunków życia dziecka, a przez pierwsze pół roku kontrole te będą miały miejsce co najmniej raz w tygodniu. Jeśli ich wynik okaże się zadowalający, ich częstotliwość zostanie zmniejszona do jednej wizyty na dwa tygodnie przez następne pół roku, a potem wedle uznania Wydziału, lecz do chwili ukończenia przez powódkę dwudziestego pierwszego roku życia nie będą się odbywały rzadziej niż raz na dwa miesiące. Po trzecie, powódka zapewni w miarę swoich możliwości zadowalającą frekwencję szkolną dziecka, a w każdym dniu, w którym dziecko opuści szkołę, będzie informowała o tym fakcie i jego przyczynach Wydział do godziny dziesiątej rano. Wreszcie powódka będzie niezwłocznie informowała Wydział o wszelkich zmianach okoliczności życia jej i/lub dziecka, które mogą wpłynąć na materialną stronę ich dobrostanu. Niniejszy nakaz Sądu Rodzinnego w Stratton wchodzi w życie natychmiast.

Pani Linton, czy rozumie pani, co to oznacza?

Niech jej ktoś poda szklankę wody.

Zaczekamy, aż dojdzie pani do siebie. Nie ma pośpiechu.

W porządku, czy rozumie pani, co oznacza wydanie tego nakazu?

(Linton) Tak, chyba tak, Wysoki Sądzie.

Jestem pewny, że pani adwokat udzieli pani wszystkich wyjaśnień.

W każdym razie przyznaję pani prawo do opieki nad Gavinem, pod warunkiem że przeprowadzi się pani do miasta i zgodzi się na cotygodniowe wizyty urzędników z Wydziału. Będą przychodzili przez pierwsze pół roku, a potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, zacznie ich pani widywać rzadziej.

Dziękuję, proszę pana, to znaczy Wysoki Sądzie, bardzo dziękuję.

Jestem pewny, że dobrze się pani spisze, jeśli tylko spełni pani wszystkie warunki, które dziś wymieniłem. I jestem pewny, że przedstawiciele Wydziału okażą się bardzo pomocnymi i uprzejmymi współpracownikami. Nie musi się ich pani obawiać.

Dobrze, Wysoki Sądzie, dziękuję, Wysoki Sądzie.

No cóż, w takim razie życzę powodzenia wam obojgu. Mam nadzieję, że od tej pory szczęście będzie wam sprzyjało. Zamykam posiedzenie sądu.

Posiedzenie sądu zostało zamknięte o 14.44.

Epilog

Stoję przed bramą ośrodka Świętego Bedy. Jest tam duża poobijana tablica z napisem „PLACÓWKA OPIEKUŃCZO-WYCHOWAWCZA ŚWIĘTEGO KRZYŻA” i mnóstwem innych informacji. Ktoś usiłował przerobić W w słowie „Świętego” na N i Ż w „Krzyża” na SI, ale nie do końca mu się udało: napis wygląda tak, jakby ktoś zaczął go zdrapywać i w połowie się rozmyślił.

Lee, Pang, Phillip, Paul i Intira chcieli ze mną przyjechać. Doszli do wniosku, że skoro mamy mieszkać razem w Stratton i tworzyć jedną wielką rodzinę, też powinni tu teraz być, ale spotkamy się później w McDonalddie. To sprawa między mną i Gavinem.

Podjazd wysypano białym żwirem. Wszyscy wychowankowie ośrodka mają jakieś obowiązki, a w wypadku Gavina jest to grabienie podjazdu codziennie po południu, dbanie o jego czystość. Wygląda na to, że podjazd nie był grabiony co najmniej od dwóch tygodni.

Podczas wcześniejszych wizyt wysiadałam z pikapa przed bramą i szłam podjazdem pieszo. Dzisiaj robię tak samo. Ale tym razem podjazd wydaje się niemożliwie długi. Nie mogę jeszcze bardziej odwlekać naszego spotkania, więc zaczynam biec.

Zbliżając się do budynku administracji, widzę normalną krzątanicę, tak samo jak przy wcześniejszych wizytach. Starszy człowiek kosi trawnik. Chyba ma na imię Bert. Dwóch chłopców gra w piłkę, zrobiwszy bramkę z kubła na śmieci. Mężczyzna i kobieta czekają na werandzie, mają na sobie swoje najlepsze ubrania. Możliwe, że to rodzice któregoś z dzieci albo kandydaci do pracy czy coś w tym rodzaju. Kto wie?

Omijam recepcję, choć odwiedzający powinni się tam meldować.

Sapiąc lekko z wysiłku, rozglądam się w poszukiwaniu Gavina. Chłopiec o imieniu Morris, przypuszczalnie jedyne dziecko, z którym zaprzyjaźnił się tu Gavin, zauważa mnie i macha na powitanie.

- Gavin jest chyba z drugiej strony, obok kuchni! - woła.

Też do niego macham, w podziękowaniu, i pędzę w stronę bloku kuchennego. Cały Gavin: zawsze w pobliżu jedzenia, nawet jeśli narzeka na jego jakość. Ale nigdzie go nie widzę, więc rozglądam się dalej, lawirując wśród zarośli.

Bez powodzenia. To takie dobijające. Marzę tylko o tym, żeby do niego podbiec, przekazać mu dobrą nowinę i wymaszerować stąd razem z nim ku wolności i nowemu życiu. Ale to trochę trudne, bo nadal jestem sama. Czuję się rozdarta, nie wiedząc, czy dalej go szukać, czy pójść do recepcji, jak powinnam była zrobić na samym początku.

Po raz ostatni okrążam domki od frontu, a potem wchodzę na wzniesienie, wzdłuż którego ciągnie się płot. Właśnie tam zauważam małą postać siedzącą na huśtawce i odwróconą do mnie plecami. Huśtawka kołysze się lekko w przód i w tył, a Gavin ryje stopami w piasku. Na widok jego osamotnienia przez chwilę zbiera mi się na płacz. Ale znam pewną osobę, która może mu dotrzymać towarzystwa, więc wbiegam na górę. Nie ma sensu go wołać, a nie chcę go wystraszyć, wyskakując mu zza pleców bez żadnego ostrzeżenia, więc odbijam trochę w bok i przekraczam jego dystans ucieczki. Gavin zawsze miał świetne widzenie peryferyjne. Spogląda w górę i patrzy na mnie, a potem przechyla głowę.

Wiem, jakie pytanie sobie zadaje: „Co ona tu robi? Przecież to nie pora odwiedzin”.

Wstaje powoli. Wydaje się raczej zadowolony, powoli rozciąga usta w półuśmiechu. Nigdy się nie zdradzi, rzucając się na mnie z radością.

Gavin jest subtelny. Przeważnie muszę brać jego miłość na wiarę, bo gdybym liczyła na codzienny deszcz uścisków i ciepłych, czułych słów, moje życie przypominałoby bardzo długą suszę.

Zwalniam do marszu i nadal idę w jego stronę, starając się za bardzo nie uśmiechać, starając się zachować spokój, starając się nie rozkleić jak baba, bo wiem, jak Gavin tego nie cierpi. Jego uśmiech robi się trochę szerszy.

- Wygraliśmy? - pyta.

Już się domyślił. Moje serce zaczyna bić szybciej na dźwięk tego „my”. Taki niepozorny przyrostek, a mówi wszystko.

- Przegrałam - odpowiadam.

Ale zanim strach, który pojawia się w jego oczach, zdąży tam zagościć na dobre, dodaję:

- Tak, taka ze mnie frajerka. Utknęłam z tobą na dobre.

Analizuje te słowa i w końcu mówi:

- Hej, czyli zdobyłaś główną nagrodę!

Potem robi coś, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzyło. RzUCA się na mnie i zamyka mnie w największym uścisku, jakiego doświadczyłam w całym swoim przeklętym życiu. Gavin! Gavin! Chłopak, który nie chciałby mnie reanimować, nawet gdybym została wyłowiona nieprzytomna ze stawu. Bałby się, że złapie babskie zarazki.

Wyściskawszy się, biegniemy do jego domku. Nie może się doczekać, kiedy opuści ośrodek. Pomagam mu spakować rzeczy. Nie trwa to długo, bo opiekunowie zmuszali go do dość częstego sprzątanania.

Żartuję, że po przeprowadzce do Lee też będę wymagała takiej czystości, ale Gavin ma już dość żartów, jeden w zupełności mu wystarczył, jest na to zbyt wrażliwy, więc zapisuję w myślach, żeby przez parę następnych dni powstrzymać się od żartowania.

W recepcji pojawia się problem. Informują mnie, że nie przygotowali jeszcze dokumentów. Gavin będzie musiał u nich zostać jeszcze jeden dzień, może dłużej, aż dostaną wszystkie papiery z Wydziału. Gavin wygląda na zdruzgotanego. Błędnie. Kłócę się, aż w końcu kobieta za kontuarem robi się niemila i uświadamiam sobie, że ona też ogłuchła, ogłuchła na mnie. Zaczynam się odwracać, pokonana. Ale potem się zastanawiam. Co mi zrobią, jeśli zabiorę Gavina? Nie będą nas gonili, bo wiedzą, że mam nakaz sądowy, ta kobieta sama to przyznała, więc raczej nie zadzwoni po gliny. Kiedy Wydział się o tym dowie, pewnie nie będzie zachwycony - nasza współpraca nie zacznie się najlepiej - ale czemu miałabym czekać, czemu miałabym narażać Gavina na jeszcze większe cierpienia? Tylko dlatego, że nie są dobrze zorganizowani? No więc zdobywam się na odwagę, zapisuję swój adres i przesuвам go po kontuarze w stronę kobiety.

- Właściwie to zabieram go już teraz - oznajmiam.

Kobieta wygląda na zszokowaną.

- Jeśli spróbujesz, będziesz miała kłopoty - mówi.

- Nie, to pani będzie miała kłopoty - odpowiadam. - Jestem jego prawną opiekunką i każdy, kto próbuje mnie powstrzymać, złamie nakaz sądu.

Kobieta stoi, usiłując coś wymyślić, a ja zwracam się do Gavina:

- Spadajmy stąd.

I wychodzimy. Kobieta milczy, ale sięga po telefon. Uśmiecham się do Gavina.

- Nie biegnij, bo będą nas gonili. Po prostu pójdziemy szybko w stronę bramy. Gdy tylko znikniemy im z oczu, zaczniemy biec.

Gavin też się do mnie uśmiecha. Uwielbia takie akcje. Na jego twarz wraca życie. Uświadamiam sobie, że to najlepsze, co mogłam zrobić - to najlepszy sposób opuszczenia tego miejsca, bo daje Gavinowi poczucie, że nie zostaliśmy pokonani, że dajemy radę, że jesteśmy młodzi, że znowu kontrolujemy swoje życie, że możemy wkroczyć w przyszłość pewnym krokiem. Tuż za zakrętem biorę go za rękę i razem biegniemy do bramy.



Document Outline

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Epilog

